

ŻYCIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

KS. BISKUP BOUGAUD

CHRYSTJANIZM I CZASY OBECNE

KSIEGA I: WIARA I NIEWIARA

— " — II: JEZUS CHRYSTUS

— " — III: CREDO

— " — IV: KOŚCIÓŁ

— " — V: ŻYCIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

WYDANIE DRUGIE, KOMPLETNE

KS. BISKUP BOUGAUD

ŻYCIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

„Cokolwiek jest prawdziwego,
cokolwiek wstydliwego, cokol-
wiek sprawiedliwego, cokolwiek
świętego, cokolwiek przyjem-
nego, cokolwiek dobrej sławy:
jeśli która cnota, jeśli która
chwała karności, to obmyślajcie.”

(Filip. IV, 8.)

WYDANIE DRUGIE



NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN





M5158 / 5

NIHIL OBSTAT.

Poznań, dnia 16 marca 1925 r.

X. Dr. Janasik.

IMPRIMATUR.

Poznań, dnia 18 marca 1925 r.

(L. S.)

X. Meysner
Wikariusz generalny.

L. Dz. 2369/25.

X. St. Durzyński.

CZCIONKAMI Drukarni Św. Wojciecha w Poznaniu

K-201/82 | 144072

OD WYDAWNICTWA

Arcydzieło apologetyczne biskupa Bougaud, jego pięcioksiąg znany pod ogólnym tytułem *Chryścjanizm a czasy obecne* w przekładzie polskim wyczerpany już był od dość dawna. Czasy Wojny a następnie powojenne ubóstwo technicznych środków wydawniczych nie pozwoliły na przedsięwzięcie nowej edycji tego prawdziwego klejnotu literatury religijnej w oprawie odpowiadającej jego wartości. Obecnie, gdy książka polska, powróciła do swego wyglądu przedwojennego, nastał czas sposobny, by silnie odczuwany w sferach katolickich brak ksiąg tych zaspokoić.

Spełniając życzenie najgorętszych polskich wielbicieli i propagatorów dzieła nieśmiertelnego biskupa z Laval, rozpoczęliśmy drugie wydanie pięcioksięgu od ksiąg ostatnich, to znaczy od *Życia chrześcijańskiego i Kościoła*, jako pomocy najpilniej potrzebnych w pracy apologetycznej wśród warstw inteligentnych. Następnie zaś już kolejno od księgi pierwszej poczynawszy, ukażą się trzy pierwsze tomy.

Chociaż każda część dzieła stanowi poniekąd samodzielna i odrębną całość niewątpliwie jednak, ktokolwiek

zakosztuje z krynicy myśli znakomitego apologety i świetnego stylisty, dążyć będzie do poznania dzieła kompletnego i do ozdobienia niem swego księgozbioru, aby powracać doń niejednokrotnie.

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA

Przedmowa autora.

Już jeden tylko krok nam pozostaje do ukończenia przedsięwziętego dzieła.

Zamierzaliśmy wykazać wszelkiemu dobrej woli człowiekowi, że powinien mieć religję; że niedosyć jest być dobrym, uczciwym, szlachetnym, wypełniać wszystkie swe obowiązki względem ludzi, a nie oddawać jednocześnie Bogu tego, co Mu jest należne, to jest czci i modlitwy, dziękczynienia i miłości. „Mniemam, pisał wielki Racine do syna swojego, że spełniając wszystko możliwe, aby zostać w pełni uczciwym człowiekiem, zrozumiesz, że nie można nim być nie oddając Bogu tego, co Mu się winno.“ Pierwszy tom tego dzieła poświęciliśmy wykazaniu tej prawdy tak oczywistej, a tak dziś zapoznanej.

Jeżeli jednak człowiekowi potrzebna jest religja, to jakąż religję ma on wybrać? Jedna jest tylko prawdziwa: ta, która zrodzona z Adamem, rozwinięta przez Mojżesza, podniesiona została do najwyższej doskonałości przez Pana naszego Jezusa Chrystusa. Inne religje niewyraźnie ją tylko przypominają, lub w opłakany sposób wykrzywiają. O ile siły nam pozwoliły, oświeciliśmy najwyższą jasnością tę główną prawdę zapomocą dwóch argumentów, z których każdy objął osobny tom. Najpierw ukazaliśmy życie Założyciela religji chrześcijańskiej, Jego narodzenie, młodość, Jego apostolskie posłannictwo, Jego naukę, cuda, Jego śmierć, zmartwychwstanie, Jego niezrównaną postać. Albo się bardzo mylimy, albo nie można z dobrą wolą patrzeć na tę postać, by nie dojść do wniosku, jaki uczynił J. J. Rousseau: „Jeżeli życie i śmierć Sokratesa przystoją mędrcom, życie i śmierć

Jezusa Chrystusa przystoją Bogu". — Otóż boskość Założyciela przenika prawdą religję przez Niego założoną. Moglibyśmy przytoczyć niektóre z licznych entuzjastycznych listów, jakie odebraliśmy, a z których widać, że pierwszym nieprzepartym argumentem na korzyść religii chrześcijańskiej jest niewysłowiona piękność Pana naszego Jezusa Chrystusa i nie dające się zaprzeczyć Jego bóstwo. Ten argument wypełnia drugi tom naszego dzieła.

Do tego, według nas bezspornego argumentu, ale który pełne światło wlewa w duszę jedynie pod warunkiem, że wyzwoli się ona odważnie z wszystkich dobrowolnych zasłon, dodaliśmy jeszcze drugi. Jest nim głębokie badanie wielkich dogmatów chrześcijańskiej religii: Trójcy Przenajświętszej, Stworzenia, Upadku, Wcielenia i Odkupienia; dogmaty te święte, które rzekoma filozofja i fałszywa wiedza próbują naruszyć, tem jaśniejszem oblały się światłem. Oświecają one wszelką prawdziwą filozofję, wszelką prawdziwą naukę, wszelką cywilizację, zawierają w sobie pierwiastek do rozwiązania wszelkich zagadnień umysłowych, moralnych, politycznych, społecznych; ludzkość pojęła dopiero pierwsze ich światelka, ale one wystarczą do podsycania i do wzbogacania ludzkiego umysłu aż do końca wieków. Trzeci tom poświęcony jest rozwinięciu tego argumentu.

Ale niedosyć, by człowiek był religijnym, by był chrześcijaninem; trzeba jeszcze, by był katolikiem, by stał się częstką tej wielkiej, świętej społeczności, jaką jest Kościół. Bo Jezus Chrystus, chcąc dalej prowadzić dzieło swojego życia i utrwalić na wieki nienaruszoną swoją naukę, ustanowił społeczność, którą udarował przywilejem nieomyłności, ozdobił boskimi znamionami jedności, powszechności, świętości i apostołstwa; obok skarbów światła i łaski złożył w niej jeszcze jedyny depozyt boskiego życia, przeznaczonego dla ludzkości. Konieczność należenia do tej społeczności wypływa nietyle z wyraźnego nakazu Jezusa Chrystusa, jak z niemożności znalezienia gdzie indziej prawdy i łaski, bez których obejść się

nie możemy. Początki Kościoła katolickiego, jego budowa, jego boskie cechy, nieginące życie, różność jego od fałszywych kościołów, stosunki jego z ludzkimi społeczeństwami wyłożone są w czwartym tomie.

Gdyby Jezus Chrystus był tylko filozofem, lub gdyby chciał przynieść światu tylko wzniosłe i zrozumiałe objaśnienia wiekuistych zagadnień, zaprzatających wciąż ludzkie umysły, to zadanie nasze byłoby skończone.

Ale zupełnie innemi były zamiary Zbawiciela. Chciał On oświecić umysł i wzmocnić wolę dlatego jedynie, by doprowadzić człowieka do życia wyższego nad zmysły, a nawet nad rozum, do życia słusznie nazwanego boskiem, gdyż ani jego początek, ani środki, ani cel jego nie leży w zakresie ludzkiej, choćby najdoskonalszej natury. Prawdziwy chrześcijanin jest wielki przez to właśnie, że już tu na ziemi rozpoczyna to samo życie, jakie ma kiedyś w niebie prowadzić. Piąty ten i ostatni tom mówić będzie o tem życiu nie z punktu widzenia teoretycznego, lecz w sposób praktyczny. Z punktu teorii mówiliśmy już o niem ze dwadzieścia razy. Czyż mogliśmy mówić o Jezusie Chrystusie nie wspominając, jakie On życie przyniósł dla świata, jaki jest boski charakter tego życia, jak ono podniosło ludzką naturę, oświeciło umysł, oczyściło serce, utwierdziło sumienie, a odrodziwszy jednostki, odrodziło rodzinę i społeczeństwo? Czyż mogliśmy w szczególności nie wykazać, jakie to nieznane cnoty zrodziły się u stóp Krzyża z wylanej Krwi Boga-Człowieka: pokora, czystość, apostołstwo, miłość pełna poświęcenia dla Boga i dla bliźnich? O tem wszystkiem tyle mówiliśmy, że już nie będziemy się powtarzali. Ale strona praktyczna pozostała jeszcze nietknięta. W jaki sposób boskie to życie wnika w ludzką duszę i w niej się rozwija? Z pomocą jakich instytucyj Bóg je wspiera, gdy ono słabnąć zaczyna? jak je wskrzesza, gdy ono zamiera? Jakim sposobem podnosi je do doskonałości? I jak to życie, trwając w duszy, bronione, ożywiane, strzeżone, cudownie rozwijane, prowadzi nas mimo wszelkich niebezpieczeństw

do nieba, do szczęśliwości wiekuistej? Oto zagadnienia, jakie nam pozostają do omówienia. Czuliśmy się bardzo szczęśliwymi, gdyby nam się udało pełne światło rzucić na dwie w szczególności główne instytucje życia chrześcijańskiego: na Pokutę i Eucharystję. Ileż to spotkaliśmy ludzi i to wśród najlepszych, którym do doskonałości brakowało jedynie praktykowania tych dwu sakramentów i którym potrzeba było dać tylko trochę więcej światła, aby ośmielić ich serca! A iluż to innych, którzyby się zupełnie oderwali od ziemi, gdyby im jaśniej przedstawiono myśl o wieczności! Jest to nasze najwyższe pragnienie. Czuliśmy się sowiec wynagrodzeni za wszystkie trudy, gdybyśmy, spróbawwszy oświecić chrześcijan pierwszemi tomami niniejszego dzieła, przyczynili się temi ostatniemi kartami do uczynienia z nich chrześcijan praktykujących.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Wiara.

Pierwszym naszym obowiązkiem względem Boga jest Wiara. Apostoł mówi: „Przystępującemu do Boga potrzeba wierzyć, iż jest *credere enim oportet accedentem ad Deum quia est*; a iż jest oddawcą tym, którzy go szukają, *et inquirentibus se remunerator sit*”¹⁾. Prawość, wierność Bogu, to podstawa wszelkich naszych z Nim stosunków.

Nie dziwny się temu; wszak jest to podstawa naszych stosunków ze wszystkimi. Dziecię ma wiarę w matkę, młodzieniec w mistrza swego; żona w małżonka, żołnierz wierzy w wodza. Gdyby w człowieku były jedynie rozumowe czyny, to na ziemi byłyby tylko jednostki, pyłki odosobnione. Akt wiary daje początek społeczeństwu, rodzinie, przyjaźni, miłości; i w tenże sam sposób tworzy on religję.

Spróbujmy przedewszystkiem rozpatrzyć szczegółowo naturę, prawdziwy charakter wiary, jej rolę i miejsce w rzeczach tego świata i jej konieczne stosunki ze wszystkimi władzami naszej duszy.

I.

Całość stworzenia składa się z trzech światów, cudownie ustopniowanych; każdemu z nich odpowiada w człowieku organ wzorowy, przeznaczony do wprowadzenia go w ów świat właściwy.

¹⁾ Hebr. XI, 6.

Pierwszym jest świat natury. Otwieram oczy, i wszystkie piękności stworzenia: słońce, ziemia, gwiazdy, kwiaty, morze, odbijają się w moim wzroku. Czy oko stworzone zostało dla natury? Czy natura stworzona została dla oka? Jakkolwiek bądź jest, czyż może być nad to miłsza i głębsza harmonia?

Poza tym pierwszym światem jest drugi, niewidzialny dla oka: świat praw, rządzących naturą, świat pierwiastków ją utrzymujących, sił w ruch ją wprawiających. W jaki sposób można poznać ten drugi świat? Czy zapomocą oczu, tego wzroku ciała, o którym dopiero co mówiliśmy? Przeciwnie, nigdy się weń lepiej nie wnuknie, jak zamykając oczy. Bóg, dla wprowadzenia nas w ów drugi świat, nieporównanie większy od pierwszego, dał nam drugi organ wzroku — rozum. Rozumiemy przez tę ową zdolność, sięgającą od skutków do przyczyn i odkrywającą w przemijających zjawiskach wiekiiste prawa. Piękność oka, przyrównana do rozumu, jest cieniem za ledwie i nie śmiemy wspominać o cudach wzroku obok przenikliwych intuicji umysłu.

Czyż to jeszcze niewszystko? Ponad wspaniałosciami natury, stanowiącemi zachwyt artystów, poetów, ponad prawami, zasadami, liczbami, zachwytem filozofów, matematyków, uczonych, jest świat trzeci, o tyle wyższy od drugiego, o ile ten znów przewyższa pierwszy: jest to świat nadnaturalny. A najpierw nieskończone sfery istoty Boga, Jego natury, Jego tajemniczego życia, istnienia i stosunków trzech Osób Trójcy Przenajświętszej; potem godne uwieśnienia sfery zamiarów Boga w stworzeniu człowieka: naco go Bóg stworzył, w jakim celu, jakimi darami go ubogacił, aby go uczynić zdolnym do nadnaturalnego przeznaczenia. Cały ten trzeci świat pełen jest cudów, wobec których błędną oba pierwsze światy. A jak doń można przeniknąć? Zapomocą oczów? Wszystko tu jest niewidzialne. Zapomocą rozumu? Wszystko tu jest nieprzeniknione, niezgruntowane. Rozum może dojrzeć, że Bóg jest, że ma On pewne przymioty, ale wszelkiemu

stworzonemu umysłowi niedozwolonem jest przeniknąć Jego naturę, Jego życie wewnętrzne. Nawet na tym świecie wewnętrzna istota człowieka znana jest jedynie Jemu samemu. Któż zatem inny, jak Duch Boży, mógłby nas pouczyć, co się w Nim zawiera? Jakże rozum mógłby poznać Jego zamiary względem człowieka? Zależały one tylko od Boga, wypływały jedynie z Jego woli, nie były wcale koniecznością; mogły być zupełnie odmienne. A więc rozum, działający dedukcyjnie, zapomocą wnioskowania, nie może na niczem się tu oprzeć, aby się wznieść aż do tych najzupełniej od niego niezależnych zamiarów nieskończonej Miłości. Jeden byłby tylko sposób wnuknięcia w ten trzeci świat, a mianowicie, gdyby Bóg sam zechciał objawić nam jego istnienie i ukazać jego cuda. I otóż uczynił On to w dobroci swojej. A ponieważ naturalne nasze zdolności bezsilnemi były, by pograżyć się w tej promiennej i nieskończonej tajemnicy i nie mieliśmy odpowiedniego organu wzroku, Bóg wykończając swoje dzieło, udzielił go nam, stosując jego siłę i doskonałość do danego przedmiotu: jest nim Wiara. Wiara, to boski teleskop. Dalej ukazuje niż spojrzenie oczu, dalej sięga niż wzrok rozumu; sprawia, że dusza, nie zatrzymując się nad światem natury i światem rozumu, wznosi się ponad nie i wnika w sfery niedostępne tak dla wzroku ciała, jak i dla wzroku umysłu. Wiara jest wykończeniem człowieka.

Oko jest darem Bożym, zachwycającym pięknnością, ale nie może wprowadzić w świat rozumu.

Rozum jest darem Boga, tysiącrotnie tamten przewyższającym. Posiada przedziwnie jasne intuicje, ale nie wprowadza w świat łaski.

Wiara jest darem Boga. Doskonali ona w nas poznanie świata natury i świata rozumu; a unosząc nas wyżej, wprowadza w świat łaski.

Szczęśliwi, którzy posiadają te trzy dary razem; szczęśliwi poeci, malarze, artyści, którzy otwierają oczy ciała na piękności natury i radują się niemi; szczę-

śliwi filozofowie, matematycy, myśliciele, otwierający oczy umysłu na wielkie piękności świata rozumu; szczęśliwi chrześcijanie, dzieci Boga, ulegli synowie Ewangelji, którzy wzrokiem wiary oglądają niewysłowione wspaniałości świata łaski. Szczęśliwi, którzy patrzą oczyma na cuda natury, a jednocześnie wzrokiem umysłu ogarniają cuda łaski. Szczęśliwe dusze, posiadające ów wzrok potrójny i mogące zstępować i wstępować w potrójny świat, który Bóg otwiera ku ich zachwytowi!

II.

Nieraz słyszy się mówiących: „Dlaczegoż Bóg objawił nam ten trzeci świat?” Odpowiadam: „A dlaczegoż miał go nam nie objawić? Wszak gdy się miłuje, nie ma się tajemnic dla umiłowanego; potrochu uchyla się wszystkie zasłony; serce staje się przejrzyste. Co więcej, gdy się kocha, chciałoby się kochanego wywyższyć, ubogacić. Mało Bogu było mieć stworzenia; pragnął mieć dzieci. Nie chciał przestać na daniu im nędznego życia; zapragnął udzielić im życia swojego, wiekuistego, nieskończonego. Ozdobiwszy nad miarę ich jednodniowe mieszkanie, tak to, w którym przebywa ich ciało, jak i to, w którym obraca się ich umysł, przygotował im na przyszłość inne, piękniejsze jeszcze, a chcąc ich uradować, zgóry im o tem powiedział.

Że zaś oznajmił im to z miłości, chce też, by oni z miłości słowom Jego uwierzyli; a ponieważ to, co im oznajmił, pełne jest rzeczy nadzwyczajnych, niespodziewanych, w cudowny więc sposób usposabia ich dusze, ażeby mimo zdumienia i osłupienia, mocno uwierzyły. Oto czem jest Wiara.

Mówią jeszcze: „Dobrze, dlaczego jednak Bóg objawił nam cuda trzeciego świata w tak ciemnych formułkach?” Dlaczego? Gdyż nie mógł tego uczynić inaczej. Bylibyście woleli, by Bóg prawdom nadprzyrodzonym pozostawił całą ich świetność? Ależ w takim razie w duszy ludzkiej nie zostałoby miejsca dla najmniejszego aktu wol-

nej woli. Wobec tej nieskończoności, umysł zostałby porwany, spiorunowany, niemożliwy byłby wszelki opór, a co za tem idzie, nie mielibyśmy żadnej zasługi. Gdzież jest moja wolna wola, gdy uznaję, że słońce świeci? Gdzie moja zasługa, gdy mówię: dwa a dwa jest cztery? I dobroci Boga i naszej godności przysłało więc, by przedmiot naszej wiary osłonięty był cieniem. Wtedy dusza może rozporządzać swoją wolną wolą; jej przyzwolenie staje się pełnem zasługi.

Odrzućcie święte ciemności, otaczające Wiare; ukażcie trzeci świat w całym jego blasku, cóż się wtedy stanie z dwoma innymi? Piękności świata natury wydadzą się nędzą. Zagadnienia świata rozumu nie będą godne zajmować nasz umysł. Ujrawszy świat trzeci, pozostałibyśmy tam w zachwyceniu. Cóż wtenczas stałoby się z owymi czynnymi zdolnościami duszy, mogącymi się rozwijać przez uczone badania, przez pracowite studia, przez zaufanie do znakomitych mistrzów? Ulegalibyśmy prawdzie, w niczem nie dopomagając jej panowaniu w nas. O, człowiecze, Bóg większym jest artystą od ciebie. Ten trzeci, zbyt olśniewający świat, zabiłby dwa drugie, zabijając i nas wraz z niemi.

Znajdujesz, że formułki Wiary są mgliste, niepozorne. Zgadza się na to! Ale czy nasiona drzew są bardzo okazałe? Weź nasienie dębu. Gdyby doświadczenie nie uczyło, któż mógłby uwierzyć, że tu, w tym marnym żółędziu, w doskonałym układzie znajduje się pień, liście i kwiaty tego olbrzyma roślinnego! A przecież wszystko to jest tutaj, i z tego lichego ziarna strzela w górę wspaniałe drzewo. Podobnie w niepozornych formułkach ukryte są świetności trzeciego świata; wytrysną one z nich kiedyś i zajaśnieją w pełnym blasku przed naszymi oczami.

Nie zaprzeczam więc, że są ciemności Wiary, są one niewątpliwie. Ale czy zauważyłeś rzecz szczególną, że im wyżej się wstępuje po szczeblach stworzenia, tem cienie wzrastają, czy to z powodu wzniosłości, czy że Bóg przez to chciał wydoskonalić zdolności człowieka i pobudzić go

do wspaniałych zdobyczy. Świat natury, najmniejszy, jest też najjaśniejszy, chociaż i on pełen jest tajemnic, ale tajemnic, otoczonych oczywistością. O wiele odeń wyższy świat rozumu jest też i o wiele ciemniejszy. Ileż w nim niezgłębionych zagadnień! A godne uwagi jest to, że, czem wyżej wstępuje się w ów świat rozumu, tem oczywistość się zmniejsza. Więcej jej znajdujemy w sferze matematyki, niż w sferze metafizyki, a jednakowoż ta ostatnia wyższą jest od pierwszej. Cóż więc dziwnego, że jeszcze mniej oczywistości znajdujemy w sferze Wiary, najwyższej ze wszystkich? To tak, jak wśród Alp niebotycznych: podnóża ich widać wyraźnie, a szczyty giną w olśniewającej światłości dnia.

A zresztą, cóż znaczą cienie, jeżeli Bóg obdarował nas wzrokiem, cudownie do przenikania ich zastosowanym? Wiara przenika ciemności; to właśnie stanowi jej istotę; nato tylko jest nam dana. Gdy światło się ukazuje, ona znika. Nie dlatego się wierzy, że się widzi; wierzy się, mimo że się nie widzi; wierzy się, bo Bóg przemówił. Wyrażną przyczyną Wiary, jak określa teologia, tem, co stanowi przyzwolenie duszy, nie jest światło, jakiego mógłby dostarczyć rozum, ani też analogie, jakie odkrywa, ani nawet zewnętrzne argumenta, jakimi mógłby wiarę poprzeć, gdyż w takim razie nie byłaby to już Wiara. Wiarę stanowi władza Boga, który przemówił. Wierzy się nie widząc, na Jego słowo. Widzi się w ciemności oczami Boga.

III.

Nie trzeba jednak wyobrażać sobie, że ten trzeci wzrok służy jedynie do przenikania głębin świata nadprzyrodzonego. Bóg, który z Wiary chciał uczynić pierwiastek życia religijnego, uczynił z niej także jeden z niezbędnych pierwiastków wszelkiego życia, aby tym sposobem przyzwyczaić doń umysł ludzki. Wszędzie rozsiął jakby przecucie Wiary, jakby jej próby.

Wiara jest to przyzwolenie mojej duszy na rzeczy, których nie widziałem, ale w które wierzę, gdyż są one stwierdzone przez wiarogodne świadectwa. A ileż to jest podobnych rzeczy tak w świecie natury, jak i w świecie rozumu? Powracasz z podróży, opowiadasz mi, że w pewnej nieznaney mi miejscowości w Pirenejach znajduje się kościół w stylu romańskim z IX wieku, posiadający przepyszną bizantyńską mozaikę. Wiem, że nie jesteś zdolny mnie oszukać; znam twój smak wyrobiony i głęboką twoją wiedzę i choć nie mogę twego kościoła dosięgnąć ani spojrzeniem oczów moich, ani wzrokiem umysłu mojego, wierzę w jego istnienie, bo ty mi o tem mówisz. Widzę go niejako twojemi oczyma.

Inny przykład: żyję od kilkudziesięciu lat na tej ziemi. Ale co się na niej działo przede mną? Jeden mam tylko sposób dowiedzenia się o tem: posłuchać tych, którzy wtedy żyli, i wierzyć ich słowu. I tak cała przeszłość usuwa mi się z przed oczu; owe sześć tysięcy lat istnienia ludzkości mogę objąć tylko przez wiarę. Tak samo usuwa się przede mną cała kula ziemską; oprócz niewielu miejscowości, jakie osobiście zwiedziłem, resztę znam jedynie, przystając na czynione mi o niej objawienia podróżników, którzy ją przebiegali. Nawet gdy idzie o człowieka, którego widzę, którego spojrzeniem przenikam, w jakiż sposób mogę poznać jego najskrytsze myśli, choćby najprzychylniejsze dla mnie, jeżeli mi ich sam nie wyjawia, a ja nie uwierzę jego słowom? Otóż, jeżeli są na ziemi rzeczy, których, choć są one pozytywne i pewne, nie można jednak dosięgnąć ani wzrokiem ciała, ani wzrokiem rozumu i zna się je, tylko wierząc słowu, objawiającemu nam ich istnienie, cóż więc dziwnego, że wyżej ponad ziemią mogą być rzeczy, które poznajemy jedynie za pomocą podobnegoż środka?

Jeżeli Wiara potrzebną jest dla poznania mnóstwa rzeczy widzialnych, oczywistych, ale których nie dosięga wzrok mojego oka, ani wzrok mojego rozumu, to o ileż bardziej potrzebną jest ona, by przeniknąć owe ciemności

zawszą nas, nawet na tym świecie otaczające! Siadasz do obiadu; czyż w tym chlebie, w którym spodziewasz się znaleźć odżywienie, nie mógłbyś znaleźć śmierci? Spożywając go więc, czynisz akt wiary. Jesteś chory; wzywasz lekarza; powierzasz mu swe życie, pozwalasz mu badać wnętrze twoje. Cóż to jest? Akt wiary chwiejnej, niepewnej, ale jednakowoż wiary. Jesteś ojcem, bierzesz twoje dziecko na ręce i uczysz je mówić: mój ojczy! cóż to jest? akt wiary. Jesteś żołnierzem; cóż dodaje ci odwagi? Oczami ciała nie możesz ogarnąć całego pola bitwy; nie obejmujesz wzrokiem umysłu piękności planu działania; ale wierzysz w geniusz twojego wodza, wierzysz słowu, wołającemu do ciebie: Naprzód! i rzucasz się w ogień.

A któż wypowie rolę wiary w pracach czysto umysłowych, w wielkich wynalazkach, w odkryciach gwiazd lub nowych lądów? Iluż to uczonych umarło, nie znalazłszy dowodów, potwierdzających ich wynalazki lub odkrycia, a jednakowoż wierzyli w nie i byli pewnymi, że potomność wykończy ich dzieło i przyoblecze w ciało niedokładne intuicje ich umysłu! Tak samo rzecz się ma we wszelkich innych kierunkach życia. Wszyscy codziennie czynimy tysiączne akty wiary; zginęlibyśmy, gdybyśmy ich nie czynili; umiera się, jeżeli się nie wierzy. A więc, jeżeli bez wiary niema ani życia fizycznego, ani życia umysłowego, ani życia rodzinnego, ani życia społecznego, jeżeli bez wiary niemożliwymi stają się wszelkie stosunki z ludźmi, jakie moglibyśmy bez niej mieć stosunki z Bogiem? Nie możemy wędrować po tym nędznym świecie, nie wierząc człowiekowi, a chcielibyśmy przejść przezeń, nie wierząc w Boga! Toż to szaleństwo!

Trzeba jednak zauważyć różnicę.

Boską Wiarę określa się słowami: niezachwiane i pełne miłości przyzwolenie na prawdę objawioną nam przez Boga.

Mówię: niezachwiane, to jest wyłączające wszelką wątpliwość. Człowiek może się mylić; najuczciwszy, najzdolniejszy, najsprawiedliwszy może mię wprowa-

dzić w błąd. Ale Bóg jest prawdą nieskończoną bez jednego cienia, bez żadnej chwiejności. To też moja wiara w Niego jest mocna, niewzruszona, wyłącza wszelkie wahanie, stawia duszę moją w absolutnej pewności.

Dodaję: pełne miłości; gdyż słowo, na które przyzwałam, jest słowem Ojca, słowem Tego, który mnie stworzył, który nad kolebką ludzkości pochylił się, aby do niej mówić, i który, choćby mógł, nie byłby chciał nas omylić. I oto dlaczego moja wiara podwójną ma siłę. Jest aktem mego umysłu i jest aktem mego serca, płynie z mojej duszy, jako światło i jako miłość.

Taką też jest i formuła aktu Wiary: Boże mój, wierzę mocno i z całego serca w to wszystko, coś nam objawił i do wierzenia podał, a wierzę dlatego, że Ty jesteś Prawda, ani omylić się, ani nas omylić nie mogąca!

IV.

W tem, cośmy dotąd mówili, można dojrzeć wielki plan stworzenia. Są trzy, coraz to wyższe światy i trzy odmienne organa, by do każdego z nich wniknąć. I tak, jak te trzy światy nie są ze sobą w niezgodzie, tak i ten trojaki wzrok nie sprzeciwia się sobie nawzajem. Przeciwnie, jeden drugiemu dopomaga, jeden drugiego wspiera i oświeca. Ileż to razy np. rozum sprostował wzrok moich oczu? Gdybym wierzył jedynie moim zmysłem, to, widząc kij napół w wodzie zanurzony, sądziłbym, że jest on złamany. Gdyby rozum mój nie ostrzegał mię, iż nie należy ufać pozorom, to wyobrażałbym sobie, że słońce obraca się ze wschodu na zachód. I jak rozum mój bez przestanku prostuje spojrzenie moich oczu, tak samo ileż to razy wzmacnia je i potęguje. Patrząc na drzewo, a podczas, gdy oczy moje widzą jego silny pień, jego gałęzie, kwiaty i owoce, umysł mój, przenikając głębiej, widzi jego potężne korzenie wrosłe w ziemię, widzi soki, ową prawdziwą krew drzewa, krążące po niem całym. Ileż to różnych sposobów patrzenia na naturę! Są tacy, którzy wrócili z Szwajcarii, nic więcej tam nie zobaczywszy, jak

drzewa, kamienie i wodę. Stoją oni na granicy zwierzęcości; posiadają jedynie oczy. Są inni, którzy pod zewnętrzniemi kształtami wzrokiem umysłu dostrzegają duszę natury, tę duszę pogodną, głęboką, tkliwą, przeglądającą ze wszech rzeczy i stanowiącą prawdziwą ich piękność. Z drugiej strony, jakkolwiek tak bardzo niższym jest wzrok oczu, jakżeż on dopomaga wzrokowi rozumu! Daje mu siłę, nie dozwala, by się gubił w mglistych abstrakcjach; dostarcza mu zjawisk, nad którymi pracując, może się ćwiczyć. Uczony, patrząc oczami ciała, których siłę natęża jeszcze z pomocą teleskopu, lub mikroskopu, odnajduje konieczną podstawę, by mógł się wznieść do zasad, do praw ogólnych. Wieki średnie tem bardzo błędziły, że zanadto poświęcały wzrok oczu dla wzroku umysłu.

Taki sam stosunek wzajemnej harmonji i pomocy da się zauważyć między wzrokiem rozumu a wzrokiem Wiary. Wcale nie są one sobie wrogie; przeciwnie, dopomagają sobie, wspierają się wzajemnie. A najpierw jakże bardzo rozum dopomaga Wierze! Rozum to z niezachwianą mocą ustala pewne prawdy niższego rzędu, nazwane wstępem do Wiary; są one jakby koniecznym punktem wyjścia dla niej. Rozum strzeże i sprawdza dowody Wiary, powody do wierzenia! Rozum, doszedłszy do najdalszych granic, wyczerpawszy wszelką możność, czuje, że jest mnóstwo rzeczy, których dosięgnąć nie może, a które dosięgnąć trzeba, i to każe mu się domyślać istnienia objawienia. Rozum wreszcie wykazuje mocno możliwość, pożytek i potrzebę objawienia. Jest on podstawą Wiary tak, jak wpatrywanie się w naturę jest podstawą naukowej wiedzy o naturze, dokonywanej przez oczy umysłu.

Z drugiej znów strony, jak bardzo Wiara dopomaga rozumowi! Wiara wykazuje absolutną pewność owych prawd naturalnego rzędu, odnalezionych, ustalonych przez rozum ludzki; potęguje ich światło: usuwa z nich cienie; a ponieważ niema przerwy między prawdami rzędu nadprzyrodzonego, a prawdami rzędu naturalnego, ponieważ

wzajemnie stapiają się one jedne w drugich, Wiara, ucząc jednych, oświeca szczyty drugich, a zarazem ustala ich podstawy. I przez to rozszerza, pogłębia, oświeśla umysł ludzki. Otrzymawszy wiele od rozumu ludzkiego, oddaje mu z nawiązką.

Wzajemna ta wymiana pomocy między organami wzroku nie przeszkadza bynajmniej pewnej między nimi hierarchji. Wzrok ten, jak i światy, jest cudownie coraz wyżej ukształcony. Idzie się w górę od zmysłów do rozumu i znowu wznosi się od rozumu do Wiary, a wstępując na wyższy szczebel, depce się szczebel niższy. Rozważmy, jak się to dzieje: chcąc się trochę zagłębić w świat myśli, mimowoli zamykamy oczy. Malebranche zasuwiał firanki u okien i w tej ciemności, w milczeniu, w dobrowolnem odsunięciu się od świata i natury, znajdował najwyższe umysłowe światło. O. Lacordaire siadał w kącie swej celki i tam, z zamkniętymi oczyma, przez całe godziny nieruchomy, opuszczał świat zmysłów, by wnikać w świat ducha. W ten też sposób trzeba opuszczać świat umysłu, by wznieść się do świata Wiary. Pascal powiedział, że, aby pozyskać Wiarę, trzeba w sobie umysł przytępić. Ganię to wyrażenie. Wszak zamknąć oczy, aby łatwiej móc się wznieść i wyżej w sferę myśli, nie jest to samo, co wyłupić sobie oczy i zniszczyć wzrok. Tak samo dobrowolne wyrzeczenie się światła własnego rozumu dla uznania wyższej światłości, nie jest poniżeniem rozumu, lecz usunięciem go na właściwe miejsce.

Co zresztą jest godnego nagany w tem wyrażeniu Pascal'a, to jedynie sposób wypowiedzenia go, gdyż myśl jest wspaniała. Pascal chciał powiedzieć, że należy zamknąć oczy umysłu, aby wejść w świat Wiary, tak jak się zamyka oczy ciała, by wejść w świat rozumu, i nic niema nad to prawdziwszego.

Nawet do czysto ludzkiej wiary wchodzi zawsze pierwiastek rozumu, ale strzec się trzeba, by go nie posuwać zbyt daleko. Jeżeli po danem z mojej strony słowie, zadać będziesz mego podpisu, jeżeli, mając mój podpis, ze-

chcesz jeszcze świadków, jeżeli prócz świadków trzeba ci jeszcze poręczenia i hipoteki, o! wtedy zamiast zaszczycać mnie swoją wiarą, obrażasz mię podejrzeniami. Wiara zbyt popierana, nie jest już wiarą i jak nie czi ona człowieka, tak i nie może uczcić Boga. Prawdziwa wiara zasadza się na tem silnem wyrażeniu Apostoła: *Scio cui credidi*¹⁾. I w tem drugiem słowie tak głębokiem i słodkiem: *Beati qui non viderunt et crediderunt*²⁾. O Tomaszu, szczęśliwy jesteś, żeś włożył palec w rany rąk i stóp, w ranę serca i że zwyciężony oczywistością, zawołałeś: *Dominus meus et Deus meus*³⁾. Są jednak szczęśliwsi od ciebie! Są nimi ci, którzy mogli byli dotykać Ran owych, a nie dotknęli; którzy mogli byli oglądać cuda, a nie chcieli, którzy wiedzą, że są niezwalczone argumenta, ale się na nich nie opierają, aby przez to Wierze całą zasługę zostawić. *Beati qui non viderunt et crediderunt*. Wiara jest przyzwoleniem, ufnością, poddaniem się światłu padającemu z góry; trzeba, bezwątpienia, dołączyć tu i rozum. Są rzeczy, na które trzeba patrzeć, by je widzieć. Ale są inne, gdzie trzeba, zamknawszy oczy, ufać i mówić: *Scio cui credidi*.

V.

Teraz, skoro już znamy narzędzie, organ wzroku, dowiedzmy się, jak za jego pomocą możemy wnikać w ów trzeci świat, do którego ma on nas wprowadzać. Są ludzie, którzy myślą, że dostać się tam można jedynie, wyrzekając się wolnej woli, godności osobistej, poddając rozum w bolesną i upokarzającą niewolę. Mniemają, że trzeba tam zstąpić, jak do ciemnej pieczary, że umysł ma tam być zewsząd dręczony i tłumiony. Rzecz się ma zupełnie

¹⁾ Tim. I, 12. Wiem, komum uwierzył.

²⁾ Joann. XX, 29. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli.

³⁾ Id., ibid. 28. Pan mój i Bóg mój.

przeciwnie. Żaden z światów nie jest obszerniejszy, jaśniejszy. Nigdzie wolność duszy nie jest większa, jej godność lepiej zabezpieczona, jej postęp pewniejszy, jej pokój głębszy i zupełniejszy. Jednem słowem, nigdzie wielkie prawa umysłu ludzkiego nie są lepiej zrozumiane i uszanowane. Zatrzymajmy się na chwilę, aby podziwiać ten wielki i pocieszający widok.

A najpierw, jakież to jest pierwsze prawo ludzkiego umysłu? Wolna wola. Zaledwie ośmielić się można nazwać ją pierwszym jego prawem: jest ona jego naturą, jego istotą. Umysł człowieka jest wolny, zupełnie wolny. Ani wymowa, ani miecz, ani knut nie mogą zgwałcić ludzkiego umysłu. Jedną ma on tylko granicę, a nią jest prawda. Granica ta nie krępuje go, nie przynosi mu ujmę, przeciwnie, wywyższa go, pobudza, a pobudzając uspokaja; bo wolna wola nato dana została człowiekowi, by znalazł prawdę i w niej spoczął. Jakże więc Wiara mogłaby naruszać dar taki? Wiara jest aktem najistotniej dobrowolnym. Czyż można gwałtem wlać ją w duszę? Czy ją tam można siłą zatrzymać? Czy Kościół, chcącego doń wejść, nie zapytuje przedewszystkiem: „Czego żądasz? — Wiary. — Czy chcesz być ochrzczonym? — Chcę“. A gdy raz weszło się tak z wolnej woli, bez przymusu do Kościoła, czyż jest jaka ludzka siła, zdolna mnie zmusić, bym w nim pozostał? Wiara rodzi się tylko z dobrowolnego przyzwolenia. Jest to wolna wola, łącząca się z czem? z uznaną prawdą. Czyż np., jest się może niewolnikiem, wierząc i wyznając, że dwa a dwa jest cztery? lub czy ograniczyło się swoją wolność, zabraniając sobie mówić czegokolwiek, co sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi, lub popełniać cośkolwiek przeciwnego honorowi?

I nie tylko Wiara nie niszczy wolnej woli, ale, powtarzam, pobudza ją, dodaje jej bodźca. Otwiera przed ludzkim umysłem ogromne obszary, przestrzenie bezgraniczne, dotąd dlań całkiem zamknięte; daje mu siłę potrzebną, by się wznosił do nich i tam szybował.



Wiem, że wielu wyobraża to sobie wręcz przeciwnie. Panowanie wolnej myśli, królowanie wolnych myślicieli uważają z dumą, jako zwycięstwo obecnych czasów. Złudzenie to godzinę trwało i już się rozwiewa. Patrzę na tych wolnomyślicieli i mówię w duchu: ani wolni, ani myśliciele. I dodaję: ich wolna myśl nie jest wolną, jest to myśl wyuzdana.

Nazywam wolną myśl, która chce się wyzwolić od wszelkiej hańbiącej zależności.

A wyuzdaną nazywam tę myśl, która się chce wyswobodzić z pod koniecznej zależności.

Komuż niewiadomo, iż jest konieczna, niezbędna zależność, przynosząca zaszczyt, wzmacniająca i ubezpieczająca umysł ludzki; i że są także sromotne i poniżające zależności, będące zgubą i hańbą dla rozumu? Twierdzisz, wolnomyślicielu, że nie chcesz żadnego jarzma, że sam potrafisz znaleźć prawdę! Ale czemu jest to twoje ty? Ty, to twój ojciec, ty, to twój nauczyciel, to wiek, w którym żyjesz, to dziennik, który czytasz. O biedna myśli ludzka! jeszcze nienarodzona, a już tysiącem nici omotana. A potem dołączy się jeszcze pycha, zmysły przemówią, złe wyziewy uderzą do głowy i młodzieniec zawoła: Jestem wolny! Niestety, jest to szczyt niewoli.

Wiara niszczy właśnie wszystkie te sromotne jarzma pychy, namiętności, epoki i świata. Wiara otacza umysł czystością, otwiera przed nim bezmierne przestrzenie, rozszerza pole dla jego badań i wzmacnia jego polot. Powiedz mi, młodzieńcze, odrzucający naukę Kościoła, gardzący wiarą twej matki i głoszący się pysznie wolnym i myślicielem, w czymże to lot twój śmielszy jest od mojego? Rozpatrzmy razem. Oto najpierw świat pierwszy, świat natury, ziemia, morza, niebo, gwiazdy. Cóż ty tu dostrzegasz więcej, niżli ja? Ach, bezwątpienia byłbym zachwycony, gdyby mianujący się ateuszem, wielki Laplace zabrał głos, aby mi objaśnić cuda niebios. Ale

gdyby po nim przemówił Cauchy, lub znakomity Biot, albo jeszcze O. Secchi, to sam Laplace przyklasnąłby ich słowom. Wzrok katolika dorównał wzrokowi ateusza.

Idźmy krok dalej. Oto świat umysłu, przedziwny świat zasad. Tu mówisz, że zwyciężysz. A jednak cóż tu widzisz więcej ode mnie? Czyż co do Boga, co do duszy, co do prawdy, dobra, i piękna nie widzę tegoż samego, co ty dostrzegasz? Czy Descartes nie był tak samo, jak ty śmiały? Czy święty Augustyn, Leibniz, lub Fénelon nie wzniesli się równie jak ty wysoko w świat myśli? Opowiadają, że pewnego dnia dwóch młodych ludzi przyszło do O. Lacordaire'a. Odkryli oni, że Boga niema, i przychodzili wykazać zakonnikowi dowody tego odkrycia, nie dające się, według nich, odeprzeć. Zakonnik wysłuchał ich, potem rzekł: „Patrzcie, mam tu na stole książkę, pisaną przez mnicha, który więcej, niż wy, nagromadził dowodów przeciwko istnieniu Boga”. A otwierając pierwszą kartę Sumy św. Tomasza, wskazał im słowa: *Videtur quod Deus non sit...* „Zdaje się, że Boga wcale niema”. I wyliczył powody: 1-o, 2-o, 3-o i t. d., zawierające tyle niewiary, że młodzieńcy się zdumieli. *Sed contra est.* „Ale oto co jest przeciw tym zarzutom”. I rozwinął przed nimi wszystkie dowody istnienia Boga, wprowadzając ich ze zdumienia w zachwyt.

Wzniesmy się jeszcze wyżej ponad świat natury, ponad świat rozumu... Ale ty nie chcesz tam wstąpić! Tam wzrok twój zanika, a więc gdzie ty już nic nie dostrzegasz, ja widzę. Wielkie przestrzenie otwierają się przede mną. Wiara nowy świat mi ukazuje. Mój wzrok potężniejszy, dalej sięgający, niż twój.

Wiem, powiesz mi, że Wiara krępuje rozum. To tak mniej więcej, jak Ameryka, odkryta przez Kolumba, ograniczyła swobodę okrętów, lub jak planety, odkryte przez Le Verrier'a, skępowały wzrok astronomów. Jasna oczywistość nie krępuje oka ludzkiego, pociąga je, zachwyca. Tak samo Wiara działa na rozum ludzki. Nie ściętnia go,

nie ogranicza, ale przeciwnie, daje mu lot śmielszy wśród szerszych przestrzeni.

Drugie prawo umysłu ludzkiego, to godność. Zawsze się mówi o wolnej woli. Jest jeszcze coś więcej: jest godność, jest powaga umysłu ludzkiego. A czy wiesz, na czym się ona opiera? Na tej absolutnej zasadzie, by nie przyjmować za prawdę, jak tylko to, co się jasno widzi. Ktokolwiek inaczej działa, może mieć wolną wolę, ale nie jest rozsądnym.

„A więc, powiesz mi, o to właśnie mi chodzi. Jeżeli Kościół nie zgwałcił pierwszego prawa ludzkiego rozumu, to czyż uszanował, jak był powinien, godność jego? Czyż siłą nie narzucił mu wiary w ten świat, który przed nim stworzył? Czyż nie powiedział: „Skoń głowę, a zamknij oczy, nie badaj i wierz?”

O nie! Kościół tak nie powiedział; byłby się tem zniesławiał. Kościół chce, byśmy do tego świata, w który nas wprowadza, wstępowali szlachetnie, z godnością i nie tylko z wolnej woli, ale i przez rozum. Ukazuje nam swe prawa, swe dokumenty, istniejące przeszło od ośmnastu wieków. Mówi do nas: Otwórzcie oczy i patrzcie. Czyż nie jest słusznym i rozsądnym, czyż nie jest koniecznym wierzyć takim dowodom, poddać się takim argumentom?

Prawda, że skoro wszedłeś dobrowolnie, bez przymusu w tę bramę, pełną światła, to Kościół ukazuje ci takie punkta, których sam rozum nie może przeniknąć, rzeczy tajemnicze, a nawet niezrozumiałe. Ale powiedz szczerze, czy same tylko rzeczy zrozumiałe uznajemy? Rozumieć, to znaczy nie potrzebować już o nic pytać. W tym sensie niema nic takiego, co byśmy rozumieli, nawet w naturze. Pylek jest dla chemika rzeczą niezrozumiałą, będzie go rozkładał, analizował; ale po tym rozbiórce, po tej analizie stanie znów wobec jakiegoś nieznanego, ostatecznego pierwiastka, który szydzić będzie z jego wiedzy. Zapytajcie chemika, astronoma, co to jest życie, światło, ciepło, siła, co to jest moc przyciągająca:

nic nie wie¹⁾. Jedynie młodzieniec, wchodzący w świat, z naiwnością, właściwą jego wiekowi, i śmiałością, wypływającą z jego niedoświadczenia, może powiedzieć: „Uznaję to tylko, co rozumiem”. Ale skoro się dłużej żyje, szaleństwem jest i nierozsądkiem nie chcieć wierzyć dlatego, iż Wiara naucza rzeczy niezrozumiałych.

Nie jest nierozumnem uznawać rzeczy niezrozumiałe jako prawdę, ale byłoby takim uznawać je bez powodu. Skoro jednak mówią mi o nich usta Chrystusa, którego bóstwo jest oczywiste, i nauki Kościoła, pozwalającego mi jednocześnie sprawdzać dowody, wiara w takie rzeczy nie może być poniżeniem, ani zaślepieniem. Ci się poniżają, ci gwałcą to wielkie, boskie prawo godności ludzkiego umysłu, którzy nie chcą patrzeć; ci, którzy nie chcąc nic badać, odrzucają te rzeczy, jako nie dające się uzasadnić, ci, którzy mówią z pychą: „Wiedza nie uznaje nic nadprzyrodzonego; wiedza nie bada go nawet”. Oto jak mówicie wy, którzy głosicie się wolnomyślicielami! Ach, ani wolni, ani myśliciele!

Ale wolna wola i godność nie wystarczają jeszcze, by zadowolnić wzniosłą naturę ludzkiego umysłu. Potrzeba mu postępu, ruchu naprzód i to we wszelkich kierunkach. Człowiek był zbyt wielki, by Bóg rzekł doń, jak do morza: „Pójdiesz aż dotąd, a dalej nie pójdiesz”. Bóg mu powiedział: „Synu ruchu, synu umysłu, synu światła idź, idź ciągle naprzód; nigdy się nie zatrzymuj!” Bóg nam nakazał tak wciąż dążyć naprzód, mówi Bossuet, że nawet nie pozwolił nam się zatrzymać w nieskończoności.

¹⁾ „Co to jest siła życiowa? mówi Burmeister, nie wiemy, jak również nie wiemy, co to jest siła sama w sobie. Musimy się zadowolnić tem nędznym określeniem, że siła jest pierwotną przyczyną wszelkich zjawisk materialnych” (Burmeister. Historia stworzenia, I, 256). — „Światło, mówi Ulrici, to znane zjawisko otwierające przed nami świat zjawisk, a które, prawdę powiedziawszy, jest jedynym zjawiskiem, pozostaje jednakowoż najbardziej tajemniczym ze zjawisk”. (Ulrici. Bóg i natura, str. 71). — „Znam prawa siły przyciągającej, mówił Newton; ale gdyby mnie zapytano, co to jest siła przyciągająca, nie mógłbym dać odpowiedzi”. (Leibniz. Oeuvres complètes, II, 87).

Taką jest konieczność tego postępu dla rozwoju i wielkości umysłu ludzkiego, że Bóg chciał, jak to widzieliśmy, by ten postęp istniał nawet w świecie prawd objawionych; tem więcej zatem w światach rozumu i natury. Otóż Kościół nie tylko że dalekim jest od przeszkadzania temu koniecznemu postępowi, ale mimo wyższych swych zajęć i tu przychodzi mu z pomocą. Choć, rzecz można, uchyla tylko rąbka gęstej zasłony, zakrywającej nam nieznaną bezmiar trzeciego świata, jednak i to trochę, które nam dostrzec pozwala, wystarcza do badania bodźca umysłowi i ośmielenia go do badań i poznawania wszystkich stworzonych światów. Twierdzą, że genjusz nauki śmielszy jest, odkąd zrzucił z siebie jarzmo Wiary. Wcale to prawdą nie jest ani w czynie, ani w zasadzie. W czynie, genjusz naukowy XIX wieku w niczem nie przewyższył genjuszu wieku XVII. Ten ostatni bardziej był twórczym, a jeżeli tamten pozostanie sławnym dzięki swym wynalazkom, to zawdzięcza je nie porzuceniu Wiary, ale przyjęciu i udoskonaleniu metody badania, którą wieki średnie zbyt zaniedbały. W zasadzie swej genjusz katolicki jest samą śmiałością. Będąc pewnym, że przedmiot jego Wiary nie da się naruszyć, nie lęka się żadnej próby. Chciałby nawet, by wszystko zostało zbadane. Śpieszcie, śpieszcie, przeszukajcie cały obszar nauki. Każdy tam krok będzie wspianiem stwierdzeniem naszej Wiary. Człowiek o niewykształconym rozumie nie może posiąść silnej pewności, ani mieć niewzruszonej nadziei. Nie jest pewny, czy nowe odkrycia nie zburzą jego systemu, nie zniszczą jego wniosków. Lub jeżeli jest zupełnie bezinteresowny i gotów wszystko poświęcić dla prawdy, to skądże zdoła zaczerpnąć w tym samym stopniu ów święty zapał, jaki ożywia chrześcijańskiego uczonego?

Wiara, zwiększając działalność ludzkiego umysłu, nadaje mu jednocześnie regułę i nakłada nań hamulec. Gdyby nie było reguły, hamulca, dochodziłoby się do zguby. Przypuśćmy, że rozpalona lokomotywa pędzi po szynach, które ją ujarzmiają, ale zarazem nadają jej kie-

runek, usuńmy te szyny, a oto z przerażeniem ujrzymy, jak, zdwoiwszy na chwilę szybkość, pędzi ku zatrąceniu. Jeżeli więc takim jest los sił natury, to cóż się stanie z tyle straszliwszymi potęgami ludzkiego umysłu? Dajcie człowiekowi genjusz, wymowę, namiętność; odbierzcie mu zasady — hamulec, świat drżeć przed nim będzie. To jest właśnie owo dobro, jakim Wiara obdarzyła umysł: nadała mu kierunek. Teraz tego nie chcą i cóż się dzieje? Cóż to cechuje obecne czasy? Czy postęp idei? Och nie, postęp nauk, lecz bankructwo idei.

Nauki wzrastają wśród nas, jak wzrastały w starożytnym Egipcie, w Grecji; a wzrastają, gdyż im przede wszystkim potrzeba metody, cierpliwego badania. Ale ideom, ale myślą potrzeba czegoś innego. To też patrz, co się z niemi stało i to nawet z najwznioślejszymi, z temi, co zdolne były najwyżej unieść dusze! Zwichnięte zostały, albo doprowadziły do przepaści. Czegóż im brakowało? Ani genjuszu, ani wymowy, ani wiedzy, ani rzutkości; brakowało im kierunku, wędzidła, światła przewodniego, jednym słowem, Kościoła.

A razem z tem ogólnem bankructwem idei filozoficznych, moralnych, politycznych, społecznych, znika nieziszczone i nieziszczalne czwarte wspaniałe prawo ludzkiego umysłu: zasycenie. Dusze mrą z głodu, gdyż nie nasyca ich fizyka, chemia, algebra, tak samo nie zasyca zmysłowe uciechy; dusze żyją ideami, a ponieważ te zdala od Kościoła wszystkie zmarniały, oplakany stał się w naszym wieku stan ludzi nie-chrześcijan. Głód umysłów podobny jest do głodu ciała: objawia się albo podnieceniem, albo przygnębieniem — albo trwogą, niepokojem w wielkich duszach, albo zwierzęcą obfitością w duszach pospolitych. Niema pokoju, ani odpoczynku dla serca i umysłu poza prawdą nieskończoną, której posiadanie daje nam jedynie Wiara; nigdzie niema tej proporcji między miłością a jej przedmiotem, między uzdolnieniem a pragnieniami, między mijającym czasem a zbliżającą się wiecznością; nigdzie wreszcie nie znajdziemy tego zaspoko-

kojenia, którego sam przedsmak napelnia już duszę radością. „Boże, źródło niewyczerpane życia i światłości, woła prorok, nasycon będę, gdy się okaże chwała Twoja!”

W następnym rozdziale powrócę jeszcze do owego czwartego prawa ludzkiego umysłu; jest ono wspaniałe i w niem zawiera się ostatni, nie dający się zaprzeczyć dowód konieczności Wiary.

VI.

Są zatem trzy światy, a do poznania ich trzy zupełnie odrębne organa wzroku, których całości, odrębności i harmonji Kościół strzegł zawsze starannie; i jest to także jeden z niemałych dowodów jego boskiego pochodzenia. Po ludzku sądząc, Kościół powinien był wszystko poświęcić Wierze, zdeptać rozum, uczynić zeń korny podnóżek objawienia. Ale nie; Kościół nigdy nie poświęcił Wiary dla rozumu, ale też i nigdy nie poświęcił rozumu dla Wiary. Nie wszyscy ludzie byli równie rozsądni; byli tacy, którzy chcieli pociągnąć za sobą Kościół; nietylko, że im się oparł, ale ich potępił. Równe gromy cisnął na tych, którzy zbyt ufni w potęgę rozumu, chcieli się obejść bez Wiary, jak i na tych, co zbyt opierając się na Wierze, z pogardą rozum deptali. Do pierwszych rzekł: „Rozum nie wystarcza; byłby mógł wystarczyć, gdyby Bóg był tak zechciał. Ale On rozwinął przed nami trzeci świat, niedostępny dla wzroku rozumu, i dał nam Wiarę, by nas tam wprowadziła. Odrzucać więc Wiarę jest to zapoznawać zamiar Boga i źle używać samego rozumu!” — Do drugich rzekł: „Tak, Wiara jest wielką rzeczą; lecz jeżeli odrzucicie rozum, na czymże się ona oprze? Jednem i tem samem uderzeniem wstrząśnięcie podstawę rozumu i podstawę Wiary i narazicie się na zniszczenie obojga”.

Do jednych i do drugich mówi: „Wy, racjoniści, pozbawiacie się prawego oka pod pozorem, że lewe wam wystarczy. Wy, tradycjoniści, wylupiacie sobie lewe oko pod pozorem, że prawe jest doskonałe. I jedni i drudzy

mylicie się. Zachowujmy oba oczy, aby widzieć dokładnie, w ich całości, różne piętrzące się sfery wspaniałego świata, jaki Bóg dla nas zgotował”.

Oto jak Kościół przemawia od ośmnastu przeszło wieków, i powtarzam, że ta niezmiennosc, wśród nieustannych wahań ludzkiego umysłu, jest jednym z nie najmniej ważnych jego rysów.

Na jednym z pięknych obrazów Jana z Bruges widzimy na pierwszym planie stojącego przed Ojcem Przedwiecznym pięknego, złotowłosego Anioła, trzymającego wagę. Nie można sobie wyobrazić pokoju, cudownej pogody, najzupełniejszego braku namiętności, malujących się na tem obliczu. To też ręka jego nie drży, a obie szalki w doskonałej równowadze się utrzymują. Jest to obraz Kościoła, ważącego w swych rękach prawa rozumu i Wiary.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Kształcenie Wiary.

Niedokładne, a nawet fałszywe byłoby pojęcie o Wierze, gdyby widziało się w niej jedynie organ wzroku, dany chrześcijanom przez Boga dla przeniknięcia głębin trzeciego świata. Z takiego punktu widzenia wynikałoby, że siedliskiem Wiary jest jedynie umysł; tak zaś nie jest. Wiara jest cnotą. Jest to siła nadprzyrodzona, każąca nam z miłości, mimo wszelkie ciemności, łączyć się z Bogiem, i czyniąca nas zdolnymi wyznawać naszą Wiarę, mimo grożących nam niebezpieczeństw. Któż zatem nie czuje, że wzniosła ta cnota nie może mieć gdzie indziej siedliska, jak w najgłębszych tajnikach serca? W przeciwieństwie do oka, które równie świetnie błyszczy w twarzy łotra, jak i w twarzy uczciwego człowieka, w przeciwieństwie do rozumu, który tylko słabo podlega zmiennościom wewnętrznego człowieka, Wiara wzmacnia się lub zmniejsza, słabnie lub potężnieje, według stanu serca, w którym przebywa. Cały orszak cnót ją otacza, a gdzie one znikają, tam i Wierze grozi zaginienie. Na tem doświadczeniu i na tej zasadzie oparto sposób kształcenia Wiary, hodowania jej tak bardzo dziś zaniedbanego, a więcej niż kiedy nieodzownego.

Wszelkie kształcenie kosztuje, a tem bardziej Wiary; ale zato jaką nagrodę przynosi! Dużo tu ofiar potrzeba, ale jaką siłę zyskuje się w życiu, jaki pokój przy śmierci!

Starajmy się zgłębić ten punkt zapatrywania i wydobyc zeń światło.

I.

Dlaczego Bóg objawił nam cuda trzeciego świata, w którym są zawarte tajemnice Jego uwielbionego istnienia i Jego względem nas zamiary? Mówiłem już w poprzednim rozdziale, że uczynił to z miłości, bo gdy się kocha, to serce uczuwa nieprzewycięzoną potrzebę objawienia się tym, których kocha. Do płatnych służebników mówi się niewiele: *Jam non dicam vos servos, quia servus nescit quid faciat dominus ejus*. Przyjaciołom wszystko się wypowiada: *Vos autem dici amicos, quia omnia quaecumque audivi a Patre meo nota feci vobis*¹⁾.

Ale dodałem, że ponieważ Bóg objawił się z miłości, chce, byśmy w Niego z miłości wierzyli. Wiara jest przyzwoleniem serca: *corde creditur*. Jej wzrok jasnowidzący jest wzrokiem serca: *illuminatos oculos cordis*. A składa się ona z dwóch żywiołów, będących jakby dwoma cudnymi kwiatami miłości: z ufności i z poświęcenia.

Cóż piękniejszego nad ufność? Na niej spoczywa przyjaźń, miłość, rodzina; po za tem zawsze się jest trochę nieufnym. Ale tu, przy ukochanym ojcu, przy świętej matce, w otoczeniu żony i dzieciak można zamknąwszy oczy, powiedzieć sobie z radością: „Powierzam się i oddaję w wasze ręce!”

A nawet poza tem świętem ogniskiem, gdzie znajdziemy godność i spokój w społecznych stosunkach, jeżeli nie w zaufaniu? Nieraz nie możemy dać matematycznych dowodów na to, co twierdzimy; ale w braku dowodów mamy nasze słowo; a gdy je damy, chcemy, by nam wierzone. I uważam, że jedną z najwznioślejszych rzeczy na ziemi jest widok człowieka, dającego słowo z gotowością

¹⁾ Joan. XV, 15. Już was nie będę zwał sługami, bo sługa nie wie, co czyni pan jego; lecz was nazwałem przyjaciółmi, bo wszystko com słyszał od Ojca mego, oznajmiłem wam.

wycierpienia raczej wszystkiego niż złamania go, i drugiego człowieka, przyjmującego owo słowo i zawierającego swoją cześć, żonę, dzieci, majątek, mówiąc: Spokojny jestem, mam Jego słowo!

Otóż w tem leży piękność i wielkość Wiary. Bóg dał nam swoje słowo, dał je nam w świętych księgach; powierzył je Kościołowi. A my wśród ciemności i smutków tego życia mówimy: Jestem spokojny, mam Jego słowo!

Nieskończoną zasługę owej ufności stanowi to, że się rzeczywiście z narażeniem życia powierzamy Bogu. Wierzyć w Boga nie jest nic trudnego i nie miałoby w sobie nic godnego zasługi, gdyż Bóg jest samą prawdą. Ale trudnem jest i wynoszącem Wiarę nad inne cnoty właśnie to, że wierzymy w Boga, narażając życie nasze obecne i przyszłość naszą. Abraham miał jednego tylko syna i stary już był bardzo, gdy Bóg zażądał, by Mu tego syna jedyne, tego dziedzica Jego obietnic na ofiarę poświęcił. Wielkoduszny Abraham nie zawahał się, jak powiada Pismo święte, natychmiast posłuchał, wiedząc, iż Bóg cokolwiek obiecał, mocen jest i uczynić¹⁾.

Tak samo postępuje chrześcijanin; wędrowiec wierzy w przyszłą ojczyznę; poświęca dla niej teraźniejsze życie, uciechy chwilowe, dobra widzialne, i wśród różnych niebezpieczeństw idzie ku swej ojczyźnie, której nigdy nie widział, ale której w istocie wierzy na słowo Boga samego.

Oto są wielkie pierwiastki Wiary. Nic ponad nie wyższego niema w porządku rzeczy moralnych. Człowiek niczem więcej nie może uczcić Boga; jest to najzupełniejszy dar, jaki stworzenie składa Stworzycielowi. To też, gdy człowiek leży na łożu śmierci, a Kościół zań się modli, zanosí do Boga to wzruszające błaganie: *Licet peccaverit, semper tamen credidit*. Jak-gdyby mówił: Dusza ta może być słabą, może nie prze-

¹⁾ Rom. VI, 11.

szła przez mętne fale tego życia bez zbrukania siebie; ale, Panie, wierzyła w słowo Twoje; zaufała mu w zupełności; oddała Ci pośród ciemności tego smutnego żywota największy hold, jaki stworzenie może oddać Stwórcy swojemu.

Skoro więc Wiara tak jest ważną i tak cenną, nie może przebywać jedynie w umyśle; musi mieć siedlisko swoje w najgłębszych tajnikach serca i sumienia ludzkiego. Chodźmy dalej; wszystko się nam rozjaśni.

II.

Rozbiór Wiary wykazuje, że składa się ona z dwóch pierwiastków,łączonych razem: z ufności i z poświęcenia. Bogu należy się tak jedno, jak i drugie, gdyż On jest prawdą i dobrocią nieskończoną, a słowa swoje i obietnice otoczył wszelką jasnością, jakiej mógł zapragnąć ludzki rozum. Ale ponieważ słaby i nieufny człowiek byłby niezdolny do takiego podwójnego aktu, Bóg dał mu nadprzyrodzoną siłę, skłaniającą go do wierzenia. Siłą tą jest Wiara. Otrzymujemy ją przy Chrzcie świętym. Ktokolwiek jest ochrzczony, posiada ów dar w głębi swego sumienia, i aby pozostać wiernym, potrzeba mu tylko iść za tą Boską skłonnością, prowadzącą go ku Bogu drogą ufności i poświęcenia. Żeby jednak Wiara nie była w nas jedynie darem, ale i zasługą, godną nagrody, Bóg dał nam tylko niejako jej nasienie z zaleceniem strzeżenia go, pielęgnowania i pomagania mu do wzrostu.

Jakże się to trzeba obchodzić z rośliną, którą się pragnie wyhodować? Starannie wybiera się nasienie i przygotowuje ziemię, z której ma ono ciągnąć soki. Miesza się ziemię próchnicową, wrzosową, zwilża ją należycie, ale nie zanadto; wystawia się ją dla ogrzania na promienie słoneczne, ale się ją chroni przed siekotą. Jeżeli ziemia będzie zbyt suchą, roślina schnąć będzie i zamrze; jeżeli zbyt wilgotną, błotnistą, roślinie zgniją korzenie. Jest to doskonały obraz Wiary i warunków jej pielęgnowania. Jeżeli umysł jest suchy, spalony pychą,

jakże Wiara marnieje! Jeżeli serce nurza się w błocie namiętności, jak bardzo Wiara zagrożona!

Dusze pyszne mało są zdolne do Wiary; nie są dość względem siebie samych nieufne, zanadto zgóry rozstrzygają wszelkie trudności; zbyt zuchwale wyszukują różne zarzuty, występują przeciwko nim bez przygotowania, bez należytej roztropności, zawsze będąc pewne zwycięstwa. A ponieważ zwykle pycha ogarnia wielkie dusze, staia się one skłonnemi do przypisywania sobie samym zalewającego je światła. Sądzą, że we własnym genjuszu znalazły to, co im Bóg jedynie ze swej dobroci udzielił; sobie samym to przypisują.

Jest to jeden z występów, najbardziej obrażających Boga, zazdrosnego o swoją chwałę i opierającego się pysznym. „Cóż Bóg wtedy czyni?“, zapytuje Lammenais w piśmie, rozślawionem jego apostazją. „Bóg się cofa; pozostawia samotnym tego szaleńca, rachującego jedynie na swoje siły. Pozostawia go na pastwę jego pychy. I wtedy to następują owe wstrząsające upadki, które zdumiewają i przerażają; owe upadki niespodziewane, straszliwe przykłady Boskich sądów“¹⁾.

Takie samo grozi niebezpieczeństwo, gdy serce nie jest czyste. Serce czyste, niewinne, skłonne jest do ufności. Nie podejrzewa nikogo o wykręty. Czyż mogliby je oszukiwać, wszak ono nigdy nie oszukuje? Ale inaczej się dzieje, skoro namiętności obsiadą serce. Tak bardzo ono oszukiwało, że i samo niezdolne jest zaufać. Co więcej, lęka się ono prawdy; ma tysiączne drobne powody, by jej za prawdę nie uznawać: występkami walczą przeciwko prawdzie. Zamiast żeby Wiara broniła nas przed namiętnościami, to namiętności bronią nas przed Wiara. Potrochu zaczynają absolutnie panować i doprowadzają duszę do ostatecznej zguby. Świat zdumiewa się na widok

¹⁾ Uwagi Lamennais nad Naśladowaniem Jezusa Chrystusa, III. roz. XIV.

upadających cedrów libańskich; ale gdy się poszuka przyczyny tych upadków, dostrzeże się, że korzenie ich zgniły.

Obrazy te pozwalałyby mniemać, że upadają tylko wielkie dusze, dusze wysuszone straszną pychą, lub zniszczone okropnemi nadużyciami. Niestety! i najmniejsze upadają i to bardzo licznie, ale zawsze z tych samych powodów, zawsze dla braku pokory lub czystości, a prawie zawsze dla braku obydwóch tych cnót razem. Doświadczenie wykazało i księgi święte uczą, że tylko wtedy istnieje Wiara potężna, wytrwała, wydająca cudowne kwiaty i owoce, gdy ma za podstawę pokorę i czystość. Jest to wyrażone w Magnificat: *Respexit humilitatem ancillae suae*¹⁾. Są to słowa kazania na górze: *Beati mundo corde, quoniam ipsi Deum videbunt*²⁾. Oglądać w przyszłości będę Boga jak nikt inny, w całej wspaniałości niebios; ale oglądają Go też, jak nikt inny, w przejrzystych zasłonach Wiary. O święta pokoro! o błogosławiona czystości! bądźcie na zawsze trwałemi podstawami naszej Wiary; przez was podtrzymywana, niech się ona wznosi aż do tych wyżyn, gdzie łączy się z widzeniem!

III.

Mówią: „Wiara jest darem Boga; nie jest się winnym, nie posiadając jej, nie jest się odpowiedzialnym, gdy ją się straci, tak samo, jak się nie jest odpowiedzialnym, gdy jej się nie znajdzie“. Błąd to potworny! Traci się Wiarę tylko z własnej winy, a odnajduje się ją zawsze, gdy się chce tego.

Wiara jest niewątpliwie darem Bożym; ale tak samo jak wzrok, jak rozum, ani mniej ani więcej. Otóż czy nic się nie robi, by zachować tamte dwa wspaniałe dary, by

¹⁾ Św. Łuk. I, 44. Iż wejrzał na pokorę służebnicy swojej.

²⁾ Św. Mat. V, 7. Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają!

je ustrzec, by nie pozwolić im słabnąć? Czy utraciwszy je, nie można ich nigdy odzyskać?

Wzrok jest darem Bożym. Przynosimy go ze sobą przy urodzeniu; stanowi on część naszego jestestwa. Czyż się jednak nie zdarza, że się psuje? Od czegoż są okuliści? Idziemy do nich po radę; opowiadamy im, że oczy nasze chore, że jakieś plamy czarne je przysłaniają, że jakiś cień pada na nie, że się lękamy, by ich zupełnie nie zaciemnił. Przystajemy na kurację, poddajemy się bolesnym operacjom; i dobrze czynimy, bo w dniu, gdy wzrok nasz zgaśnie, połowa życia z nim razem zaniknie.

Tak samo rodzi się z rozumem, z jasnym wzrokiem umysł. I to jest dar Boga, a jak wspomniałem! Ale czyż niczego od nas nie wymaga? Są ciemne umysły, nie kształcono ich. Są umysły wykrzywione, nie prostowano ich. Są nawet umysły chore, obłąkane; jakże z nimi postępują? Poddają je leczeniu. Stworzono zakłady dla leczenia umysłu chorych, gdzie dzięki staraniom udaje się nieraz powrócić im światło rozumu i zdrowia.

Jakże więc można sądzić, by Wiara, ten organ wyższy i subtelniejszy od tamtych, nie potrzebowała żadnego kształcenia, żadnego pielęgnowania? Otrzymałaś ją przy Chrście świętym w całości, świetlaną, zupełną. Rodzice twoi pielęgowali ją, i do jakich piętnastu lub dwudziestu lat cały swój blask w tobie zachowała. Jeżeli potem osłabła, jeżeli ją utraciłaś, to czyjaż w tem wina? Czyż nie wystawiłaś tego ślicznego światła na najostrzejsze wichry, czyś jej nie narażała na wszelkie burze? Czy nie pozwalałaś sobie na niebezpieczne czytania, czasami wręcz przeciwne wierze? Czy wobec takich podszeptów mogłoby się ostać zaufanie nawet względem najdroższych istot? Ach! dość czasem jednego słowa, by wnieść zamęt do najlepiej dobranego stadła, by zatruć serce na zawsze! Ach, tyle bluźnierstw przeciwko Bogu, przeciwko Kościołowi, tyle oszczerstw przeciwko duchowieństwu, czyż mogłyby pozostawić nienaruszoną, czystą, niezachwianą twoją Wiare, twoją ufność w Boga! To szaleń-

stwo! Wątpić najpierw będziesz o niektórych dogmatach, dopóki ich wszystkich nie odrzucisz.

A cóżes czynił, gdy Wiara twoja zaczęła słabnąć z twojej winy, przez twoją nieroztropność? Czy pośpieszyłeś do lekarza? Czy prosiłeś o radę, o leki? Przyznaj, że nie chciałbyś żyć paru miesięcy z choremi oczami, lub z zawrotami głowy. Ale zanikająca Wiara, cóż to szkodzi? Czyż bez Wiary nie można być szczęśliwym, stać się bogatym, wpływowym, dojść do zaszczytów? Całe twoje postępowanie tem się tłumaczy, że nie znasz ceny Wiary.

A jednak, patrz, jaką jest dobroć Boga. Stracić można wzrok zupełnie, traci się całkiem świadomość umysłu. Nigdy nie traci się w zupełności Wiary. Istnieje ona w głębi duszy, jak diamenty niestopione, które odnajdują w zgłiszczach spalonego domu. Napróżno niewiara oddawna zamieszkała duszę; później się tam niż Wiara zjawiała. Wiara pod nią jest utajona; dość dmuchnąć na ten popiół, by ją odnaleźć. Ale nie czyni się tego, choć to tak proste, tak łatwe. Pozostaje się dwadzieścia, trzydzieści lat z taką osłabłą wiarą, nic nie czyniąc, by ją ożywić.

Wiem, że są tacy, których te słowa zadziwią. Twierdzą oni, że naprawdę szukają Wiary i znaleźć jej nie mogą. Można by zaprzeczyć owemu „naprawdę”. Powiedzmy tylko, że jeżeli szukają Wiary, to jej źle szukają. I z jakimże usposobieniem ducha to czynią? czy z pokorą? Posłuchajmy, w jaki pogardliwy sposób pozywają Kościół przed sąd swój, jak z nim niby z oskarżonym postępują! Kim jesteś? jakie twoje pochodzenie? co odpowiesz Renanowi i jemu podobnym? jak rozprawisz się z takimi, jak Michelet? A z jaką wzdumą usuwają się odeń, twierdząc, że odpowiedzi jego są niewystarczające!

Często z pysznym, niesłyszającym umysłem łączy się zepsute serce, nie chcące słyszeć. Miałem krewnego, znakomitego prawnika, doskonałego człowieka, wszechstronnie wykształconego, ale który stracił Wiare. Młody i zar-

liwy, próbowałem wmówić mu, że odnalazłby Wiarę, gdyby zgodził się wysłuchać wyłożonych jej dowodów. „I gdzież chcesz — pytał mnie z dumą — bym szedł szukać tych dowodów? czy znajdę je w kazaniach naszych wikarych! Gdyby się tak pojawił O. Lacordaire, to i owszem!” W dwa lub trzy lata później znakomity dominikanin przybył, by wygłosić kilka konferencji o prawdziwości religii. Pobieglem do mego uczonego krewnego; nagliłem go, by szedł na owe konferencje. Zdawał się zakłopotany. „Dobrze, dobrze, zobaczę — odrzekł mi; — ale bardzo w tych czasach jestem zajęty.” Nie poszedł, a ja nie ukrywałem przed nim moich łez bolesnych. Później, gdy zerwały się pewne więzy, których w niewinności mojej nie podejrzewałem nawet, uczęszczał on pokornie „na kazania naszych wikarych” i całe miasto budował żarliwością odzyskanej Wiary.

Z tak oczyszczonego serca i z pokornego umysłu wytryska z konieczności modlitwa, modlitwa wszechmocna nad sercem Boga. I wtedy ciemności ustępują, i choćby różne wątpliwości dręczyły, choćby wspomnienia przeczytanych złych książek mąciły duszę, odnajduje się Wiarę, i to taką, przy której sile i piękności błędnie nawet wiara tych, którzy nigdy nie wątpili. Widziałem tego przykłady.

IV.

Ażeby zatem Wiarę rozwinąć, zachować, doprowadzić do pełni rozkwitu, potrzeba ją pielęgnować, kształcić. Rozumie się, że to wymaga pracy, jak wszelka hodowla. Potrzeba tu zaś pracy w pocie czoła, w trudzie, w poświęceniu. Ale jakże sówicie jest się za to wynagrodzonym! Przyjrzyj się ludziom wierzącym. Jakiż to spokój w ciągu ich życia, jaka niebiańska pogoda w godzinie śmierci! Bywali wśród nich ludzie geniuszu, dusze nieugięte, charaktery śmiałe, porywcze, niczem się nie zadowalniające, pragnące wszystko zmieniać, a mimo to żyli spokojnie w Wierze. Bywali filozofowie, badający

wszelkie zagadnienia; bywali matematycy, opierający się na $A + B$; chemicy uczeni, przywykli do uważnego rozpatrywania, do cierpliwej analizy, do drobiazgowej ścisłości, ludzie nie zadowolniający się słowami, żądający faktów, dowodów, określeń. A przecież oni wierzyli. Wierzyli z prostotą, z żarliwością. Nie był im obcym żaden zarzut, czyniony przeciw Bogu i Religji. Przeczytali wszystko, co napisał Voltaire, wszystko co wymyślił Kant, Hegel, Strauss, co opowiedział Renan. Nie zamąciło to ani trochę spokojnej, jasnej ich wiary. Poza próżnemi zarzutami, przyjętymi przez półuczonych, a niepokojącemi pospólstwo, znali oni prawdziwe trudności i wiedzieli, gdzie się one znajdują. Znali pewne ustępy z Biblii; pewne wyrażenia w historii siedmiu dni stworzenia jeszcze nierozjaśnione, a w których opowieść Mojżesza z dala się pozostawać w sprzeczności z wiedzą. Ale i to ich nie niepokoiło. Umysł ich tonął w wyższym świetle, górnem, zupełnem. Czego jeszcze nie znaleziono, znajdzie się później. Odpowiedź daną będzie we właściwej godzinie. Dwa promienie Boskiej światłości: Biblia i wiedza zleją się w jedność. Ileż razy od dwustu lat to się zdarzyło i jeszcze się zdarzy. Tymczasem oni wierzyli, wielbili, wznosili się ponad wszystkie zjawiska, ponad wszelkie skutki, sięgali do najpierwszej, niewysłowionej przyczyny, od której wszystko pochodzi i którą we wszystkim widzieli. Świat fizyczny, chemiczny, astronomiczny ze swym ładem, harmonją, ze swem światłem i cieniami, ze swemi tajemnicami, czynił dla nich dotykalmym świat nadprzyrodzony, którego sam jest odbiciem i niejako przygotowaniem ewangelicznem. I podczas gdy półmędrkowie przyczepiali się do drobnych trudności i przechodząc od jednego zaprzeczenia do drugiego, dochodzili do nicości, do zupełnej ciemności, tamci żyli z pełnem światłem w umyśle, z pełnią pokoju i ufności w duszy. Spędziwszy zaś życie w światłości, umierali spokojni, szczęśliwi i wolni. Widziano pierwszorzędných uczonych, żałujących

na łożu śmierci, że niedość wierzyli, że za późno uwierzyli, a którzy, wyrzekając się swej przeszłości, ostatniem tchnieniem oddawali cześć Bogu wszelkiej wiedzy, którego zapoznawali zbyt długo. Nie widziano dotąd genjuszów chrześcijańskich, filozofów, uczonych, którzyby umierając wyrzekali się wiary lub choćby wątpili. Co do mnie, gdyby wiara moja zachwiała się kiedy, co nie zdarzyło się jeszcze w ciągu czterdziestu lat pracy naukowej, poszedłbym w duchu do łoża śmierci Bossuet'a. Jakiż tam pokój, jaka absolutna, niczem niezachwiana ufność w obietnice Ewangelji! Poszedłbym przysłuchać się słowom, jakie wielki uczony Suarez wypowiedział w ostatnich swych chwilach: „Nie wiedziałem, że tak słodką jest śmierć“! Poszedłbym przyjrzeć się, jak O. Lacordaire umierając utkwiał wzrok swój w krzyżu: „Już nie możesz do Niego mówić? — Nie, ale patrz na Niego“. Poszedłbym oglądać śmierć ks. Perreyve, odlatającego jak gołąb na skrzydłach Wiary. Śmierć męczenników ma w sobie coś majestatyczniejszego, coś, co głębszem wzruszeniem przejmie duszę, ale nie wiem, czy Wiara może się powołać na silniejszy argument, jakim jest pogoda umierających ludzi wielkiego serca i wielkiego umysłu.

A może chcesz innemu przyjrzeć się widokowi? Chodź, przypatrz się wierze ubogiego. Szydzisz z wiary wyrobnika, a ona jest wprost wzniosła. Oto człowiek nie posiadający, mogący zaledwie się wyżywić. Zamieszkuje poddasze na odległym przedmieściu; pracuje wytrwale, by utrzymać żonę, wychować dzieci. Masz go za bardzo nieszczęśliwego, i byłby nim w istocie, gdyby Wiara nie podnosiła duszy jego nad tę smutną rzeczywistość. Ale wie on z katechizmu, że jest w niebie Bóg wielki i dobry, który go nigdy nie opuści, który waży łzy jego, który wynagrodzi poświęcenia jego; żyje on spokojny w tej pewności. Jest to człowiek, który może nigdy niczego się nie uczyć, nie znający nawet liter. Myślisz, że wiara jego to poprostu przyzwyczajenie, rutyna. Przyjrzyj

się bliżej, a zobaczysz, jak jest mocna, jasna, ugruntowana na tej samej podstawie, co wiara uczonych i genjuszów. Wie od swej matki, od Kościoła i od ludzkości, będącej drugą jego matką, że stworzywszy nas z miłości i przeznaczywszy do wiecznego szczęścia, Bóg stał się człowiekiem, aby nas odkupić: że cierpiał i umarł na krzyżu, aby nam pomóc cierpieć i umierać. Ten czyn Boga nie wydaje mu się nadzwyczajnym, wszak on uczyniłby to samo, aby uratować żonę lub dzieci. Wie jeszcze, że apostołowie, którzy widzieli Zbawiciela, umarli, aby dać świadectwo prawdzie Jego nauki. Nie posiadając genjuszu Pascal'a, wierzy on jednak chętnie świadkom, którzy się dają zabijać. Wie, że zaledwie apostołowie i pierwsi chrześcijanie rozwinęli sztandar pokory, czystości, pokuty, już świat powstał przeciwko nim, i to go nie dziwi; widzi w środowisku, które zamieszkuje, w sąsiednich poddaszach, że namiętna nienawiść tłumu ku Kościołowi łączy się zawsze z rozpustą i bezbożnością. I pojmuję, że skoro Kościół istnieje jeszcze, skoro zwyciężył takich nieprzyjaciół, skoro po przeszło ośmnastowiekowem przesładowaniu nie jest ani bezsilnym, ani zmęczonym, skoro ciągle głosi pokorę, czystość, miłość Boga i ludzi, skoro codziennie urzeczywistnia te wielkie rzeczy, a nieraz w sposób wzniosły, musi on z konieczności być dziełem Boga. Nic więcej nie potrzebuje wiedzieć; a to co wie, pojmuję z łatwością, i wystarcza to dla podsycańia w nim Wiary i miłości pokornej i ufnej.

Nie potrafiłby, bezwątpienia, odeprzeć zarzutów półmędrka; ale ten znowu nie zdołałby zachwiać tego ubogiego. Cóż go zresztą obchodzą wszystkie trudności? On ich nie rozumie, a one nie mogą go osiągnąć. Podczas gdy Voltaire zaostreza swój dowcip, gdy Diderot, d'Alembert, d'Holbach tworzą Encyklopedję; podczas gdy Strauss poci się nad udowodnieniem, że Ewangelje są mitem, on, ten robotnik, ten biedak, ten nieuk wznosi się wyżej nad te systemy; wstępuje w ową jasność, którą Bóg zasłonił

przed mędrkami tego świata, a objawił maluczkim. Wróciwszy od pracy, bierze swoje dziecię na kolana i uczy je mówić: Ojcze nasz, któryś jest w niebie, bądź wola Twoja! Objaśnia modlitwę; stosuje ją do wypadków dnia, do chleba, którego zaczyna brakować, do zwiększającej się nędzy. I któż zdoła wypowiedzieć piękność owych komentarzy, padających z ust chrześcijańskiego robotnika, z ust ubogiej matki, dobrej starej babki, nic nie umiejącej, a umiejącej wszystko, której słowa pełne wiary, której mądrość zaczerpnięta u nieznanych źródeł, w zdumienie pogrążają największych nawet uczonych. Przypominam sobie osmdziesięcioletniego starca, którego objeżdżający diecezję biskup pytał o Boga, o duszę, o wieczność, o śmierć tak już bliską; jak on nas zdumiewał i budował swemi odpowiedziami! Nieśluszenie przytaczam jeden przykład, jakgdyby to był fakt nadzwyczajny; wszędzie podobne się zdarzają; wszędzie spotkać można chorych, umierających, niewiasty, dzieci, starców, wzruszających żywością i jasnością uczuć religijnych. Och, jak nasza Wiara jest nieraz wielka w maluczkich i w pokornych! jak jest świetlana! jak ich koi, pociesza, jak podnosi ponad ich położenie! jakie promienie pokoju, prawdziwego szczęścia, rozlewa wśród ofiar, wyrzeczenia się, gorzkich bólów ich biednego życia! Iluż to genialnych ludzi, ile dusz heroicznych otrzymało światło Wiary u kolan takiej prostej, nic nie umiejącej kobiety z ludu, i przy onem słońcu rozpało światło swego rozumu!

V.

Wiara nietylko pokój i błogosławioną ufność wlewa w serca bogatych i ubogich, w umysły kształcone lub prostacze, — wlewa też moc, bohaterstwo, wzgardę samych siebie, daje podstawę wszystkiemu, co wielkie; budzi pragnienie cierpienia za dobrą sprawę, pragnienie śmierci za prawdę i cnotę; ośmiela do wielkich przedsięwzięć i pomaga w skutecznem ich przeprowadzeniu. Niema

chyba nikogo, kto by nie czytał w liście św. Pawła do Żydów wymownej, wzniosłej, przedziwnej pochwały Wiary i jej działania. Stojąc u stóp Kalwarji, nieświadomy jeszcze wspaniałych cudów, jakie się zrodzą z wylanej Krwi Jezusa Chrystusa, wielki Apostoł zwraca się ku przeszłości i wiek po wieku opowiada wielkie sprawy, dokonane przez Wiarę¹⁾. Wiarą to Abel spodobał się Bogu, a Henoch uznany został za godnego być uniesionym do nieba. Przez Wiarę Noe stał się zbawcą rodu ludzkiego, drugim ojcem ludzkości. Przez Wiarę Abraham został założycielem ludu Bożego, a nie zawahawszy się poświęcić syna jedyne, otrzymał w nagrodę pokolenie tak liczne, jako gwiazdy niebieskie, jako piasek w morzu. Przez Wiarę Mojżesz wyrwał lud swój z niewoli, przeprowadził go przez morze Czerwone i doprowadził do Ziemi Obiecanej. „A cóż jeszcze mam mówić? woła wielki Apostoł, boć mi czasu nie stanie, gdybym rozповідаł o Gedeonie, Barachu, Samsonie, Jeftem, Dawidzie, Samuelu i Prorokach“. Zapał go unosi i wylicza ich działania z niezrównaną wymową. A cóż dopiero byłby powiedział, widząc rozwijające się chwalebne wojsko męczenników, olbrzymie zastępy pokutników, białe hufce dziewic, niezliczone rzesze świętych, zapelniających świat od dziewiętnastu wieków? Z sercem bardziej jeszcze wzruszonem, z umysłem do zachwyty uniesionym byłby ciągnął: „Przez Wiarę zwalczyli królestwa, vicerunt regna; zawarli lwie paszczęki, obturaverunt ora leonum; zagasili gwałt ognia, extinxerunt impetum ignis; uszli ostrza miecza, effugerunt aciem gladii; wzmoogli się z niemocy, convaluerunt de infirmitate; niewiasty wzięły swoje umarłe ze zmartwychwstania, acceperunt mulieres de resurrectione mortuos suos. A drudzy byli ciagnieni, nie przyjąwszy odkupienia, aby lepsze zmartwychwstanie należeli. A drudzy doznali pośmiewisk i bicia; nadto i wię-

¹⁾ Hebr. XI.

zienia i ciemnic; byli kamienowani, przecinani, w zabiciu miecza pomarli, błakali się w owczych, w kozich skórach, niedostateczni, uciśnieni, utraپieni; których nie był go-dzien świat, tułając się po puszcach, po górach i jamach i w jaskiniach ziemi. A ci wszyscy świadectwem wiary doświadczeni, obietnicy nie odnieśli!"

W tym wspaniałym rozdziale św. Paweł wciąż wraca do tego, że nie otrzymali nagrody, że dobrowolnie wzgar-dzili uciechami i zaszczytami; że z własnej woli wybrali poniżenie; że żyli jako obcy na tej ziemi, świadcząc tem, że oczekują miasta lepszego, miasta trwałego, którego Bóg sam jest założycielem i budowniczym. „Wedle Wiary umarli ci wszyscy, nie dostawszy obietnic, woła on, *juxta fide[m] defuncti sunt omnes est, non acceptis repromissionibus*, ale zdaleka je upatrując, *sed a longe eas aspicientes*; i pozdrawiając, *et salutantes*, i wyznając, iż są gośćmi i przychodniami na ziemi, *et confitentes quia peregrini et hospites sunt super terram*; bo którzyś to mówią, okazują, iż ojczyzny szu-kają, *qui enim haec dicunt, significant se patriam inquirere*”.

Oto jest Wiara w całej piękności, wielkości i wspa-niałej płodności.

VI.

Aby dojść do takiego światła, trzeba wprowadzić przebyć najpierw straszne ciemności. Bóg tylko za taką cenę udziela tego daru. Ale któż wypowie wzrost tej światłości w miarę, jak dusza dobrowolniej i chętniej po-grąża się w świętych mrokach Wiary? Ile ofiar ponosi, tyle odrębnych otrzymuje nagród.

Są najprzód w Wierze niektóre prawdy spekulatywne, teoretyczne, obchodzące szczególniej rozum, np. że są w Bogu trzy Osoby, Ojciec, Syn i Duch Święty, że druga Osoba wcieliła się w łonie Dziewicy, za sprawą Ducha

Świętego; że Jezus Chrystus jest zarazem Bogiem i czło-wiekiem i t. p. Bóg nie mógł nam dać zrozumienia tych prawd, gdyż w takim razie nasze pojęcie musiałoby do-równywać Jego rozumowi. Ale mógł być dać nam po-znać ich oczywistość, mógł tak je zbliżyć do nas i tak jasnymi je uczynić, żebyśmy nie mogli o nich wątpić; tak właśnie uczynił z tajemnicami przyrody. Ale Bóg tego nie chciał; oczywistość tę da nam w niebie. Tam ujrzemy ta-jemnicę Trójcy Przenajświętszej, tajemnicę Wcielenia; nie zrozumiemy ich zapewne w zupełności, ale ujrzemy je tak jasno, że Wiara stanie się niepotrzebną. Tymcza-sem wszystkie te prawdy ukrywają się pod zasłoną. Nie możemy ich jasno oglądać, ani ich badać w nich samych. Możemy w nie wierzyć. I to jest właśnie owa ofiara, ja-kiej Bóg od nas żąda. Postawił nas wśród świata cudów i rzekł nam: „Wierzcie, nie oglądając. Ufajcie mi; ujrzycie później”.

I nietylko brak jawnej oczywistości stanowi ofiarę. Gdy patrzemy na słońce, zdaje nam się, że widzimy czarne punkty i cienie; jest to skutek słabości naszego oka. Tak samo, gdy rozpatrujemy niektóre tajemnice Trójcy Przenajświętszej, Wcielenia, Eucharystji, zdaje się nam, że przed wzrokiem duszy naszej powstają cienie, sprzeczności, a my pełni pychy, zamiast te cienie złożyć na karb naszego niedołęstwa, naszej nieświadomości, skłonni jesteśmy przypisać je Bogu. Utrzymujemy, że te objawione tajemnice są zbyt ciemne, podczas gdy wła-śnie są one zbyt olśniewające. I tu, bezwątpienia, Bóg mógł być wzmocnić nasz wzrok, mógł pozwolić, byśmy, jak orły, spoglądali w słońce. Uczyni to później, teraz tego nie chciał. Dlaczego? Dlatego, byśmy wierzyli, a wie-rząc złożyli w ofierze nie nasz rozum, ale pychę rozumu naszego i byśmy przez to mieli zasługę.

Pycha naszego rozumu, to chęć docieknienia wszyst-kiego, decydowania o wszystkim, to przekonanie, że sami jedni widzimy dobrze, lepiej niż inni, to poprawianie

nawet Boskiego sądu; to stawianie rozumu naszego w roli nieomylnego, najwyższego sędziego wszelkiej prawdy. Otóż tę pychę Bóg chce zniszczyć; chce doprowadzić pyszny nasz rozum do uznania własnej słabości, własnego ograniczenia, do przyznania się, iż nie może patrzeć w oblicze Boga, że niezdolny jest zrozumieć sam przez się ostatniego słowa wszechrzeczy. Nic człowieka tyle nie kosztuje, co takie wyznanie, jest to, jakgdyby mu zabierano duszę. Ale zato, gdy raz je uczyni, gdy upokorzywszy się przed Bogiem, powie: „Panie, jam tylko ciemnością, słabością, jam niezdolny spojrzeć na oblicze Twoje, by nie być odrazu olśnionym, powalonym”; gdy zawoła: „Panie, zamykam oczy; wyrzekam się mego nędznego, lichego rozumu; wierzę i uwielbiam” — och! wtedy nie da się opisać, ile jasności zalewa tę duszę, ile tam światła gromadzi Bóg nie dający się prześcignąć we wspańiałości. Nie rozumie ona tajemnic, ale je widzi. Nie śmiemy rzec, że je przenika, gdyż to jest niepodobieństwem, a jednakowoż wnika w nie w jakiś niewymowny sposób. I to napełnia ją tym pokojem, o którym wyżej mówiłem, i tym zachwytem, który już na tym świecie daje szczęście. Oto pierwsza ofiara, poniesiona dla Wiary, a także pierwsza za nią nagroda.

Są w Wierze inne straszliwsze ciemności, boleśniej może dotykające duszę: te ciemności, zasłaniające nie już nieskończoną, niepojętą naturę Boga, ale Jego postępowanie z nami.

Jest to prawdą Wiary, że Bóg rządzi światem i każdym człowiekiem z osobna; że ani włos z głowy nam nie spadnie bez Jego rozkazu i zezwolenia; że ponieważ Bóg jest mądrością nieskończoną, zatem wszystkie te rozkazy czy zezwolenia wydawane są z powodów nieskończonego słusznego, i na koniec, że skoro Bóg jest dobrocią, miłością nieskończoną, to zawsze i jedynie działa dla większego naszego dobra. Nie jest nic trudnego wierzyć w to teoretycznie; ale bywają chwile, gdy praktyczna w to wiara staje się nadludzką niemal ofiarą.

I tak, na przykład, będąc młodym, znalazłeś szczęście. Nagle pierwsze twoje dziecko umiera na twoich rękach, żona w kwiecie wieku na zawsze cię żegna, pozostawiając samego przy pustym ognisku domowym. Co robić, co rzec na to? Wiara żąda, byś powiedział: „Panie, Ty wiesz lepiej niż ja, co dla nas stosowniejszem było. O Boże! dobrze uczyniłeś!” Ale czy nie czujesz, że powiedzieć to, a powiedzieć z mocną wiarą wśród tych ciemności i tego nieszczęścia, jest to największy hołd, jaki stworzenie może oddać Bogu?

Uboga matka pracuje, by wychować dzieci, by je żywić. Przychodzi choroba, nie zostawia jej sił, nie pozwala pracować. Głód wraz z nędzą się zjawia nie tylko dla biednej matki, ale i dla jej dzieci. Okropne położenie często się zdarzające; gdyby się nie powstrzymywano, powiedziałoby się, że Bóg jest okrutny, że jest niesprawiedliwy. A Wiara? cóż na to mówi Wiara? „Że Bóg jest dobry, że uczynki Jego zawsze z miłości wypływają, że trzeba czekać, że później się to zrozumie”. I mówić tak przez długie miesiące, w czasie ostrej zimy, wobec dzieci drżących z zimna, płaczących z głodu; wyznawać miłość ku Bogu wpośród uderzających ciosów, o jakże to ciężkie, ale jak cudownie piękne!

Wstępowałeś w świat obdarzony wielkim charakterem i pełen zdolności. Naraz potwarz, ohydna potwarz pada na ciebie, ściga cię z ukrycia, zamyka przed tobą wszelkie zawody. Zamiast przeznaczonego ci świetnego życia, skazuje cię na życie ograniczone, pospolite. Powiedz: „F i a t!” — a wzniesiesz się nad wszystkich twoich potwarców i Niebo samo nagrodą ci się stanie.

Gdybyż przynajmniej można było znać powody, jakie ma Bóg, zezwalając na takie plagi! Powody te, skłaniając nas do uwielbiania Boga, łagodziłyby naszą boleść. Ale nie; Bóg uderza, nie ukazując się nam. Straszliwe gromy spadają na nas z nie dającej się przeniknąć chmury; a Wiara wymaga, byśmy w oczekiwaniu dnia usprawiedli-

wienia Bożego, zdruzgotani Jego ręką, wołali do Niego: „Panie! dobrześ uczynił!” Jakaż to ofiara, ale i jaka za nią nagroda będzie! Zaledwie krzyk ten wyrwie się ze złamanego serca, a już Bóg zalewa je pociechą. Staje się dlań ojcem, matką, przyjacielem; zastępuje temu osamotnionemu sercu wszystko, co mu zabrał. Świat patrzy na tych pocieszonych przez Wiarę; zdumiony ich pokojem, nie śmie źle się odzywać, gdyż czuje, że niezdolnym jest dać im podobną pociechę, a widzi wyraźnie po smętnej pogodzie ich oblicza, że serca ich ukojone, choć nie uleczone.

Czyż mam jeszcze wskazywać inne ciemności Wiary, inne ofiary, inne nagrody? Cóż nam Wiara mówi o tym świecie, na którym spędzamy lat kilkadziesiąt? „Że jego uciechy są kłamliwe, a jego rozkosze próżne; że bogactwa jego są niebezpieczeństwem; że jeżeli chcemy zbawić naszą duszę, musimy wyrzec się pychy, zbytku, pożądlivosti, musimy umartwiać zmysły nasze i nieść nasz krzyż”. Oto w co trzeba wierzyć wytrwale, niezachwianie, a więc co trzeba też i pełnić, gdyż wierzyć, a nie wprowadzać w czyn swej wiary, jest sprzecznością. Ale czy nie czujesz, że wierzyć i tak do tego stosować swoje życie, to poświęcić siebie całkowicie? Jest to poświęcić teraźniejszość, którą widzimy, której dotykamy, dla niedostrzegalnej przyszłości? Jest to opuścić zapewnione radości, dla radości, nie powiem niepewnych, skoro Bóg nas o nich zapewnia, ale których nie znamy. Jest to powiedzieć Bogu: „Tak ufam Tobie, Panie, że Ci się cały powierzam”.

Starożytny świat przyklasnął Aleksandrowi, gdy wypił kielich rzekomej trucizny, narażając życie swoje dla wiary w przyjaźń. A my zdajemy nasze życie na słowo Boga. Jest to rozsądniejsze, a niemniej wielkie. To też Aniołowie przyklaskują, gdy widzą biedne stworzenia wyrzekające się wszystkiego na jedno Boskie słowo, żyjące w ubóstwie, czystości, umartwieniu. Sam Bóg jest wzruszony i wielkimi nagrodami obdarza ich już nawet na tym

świecie! Ukazuje im tak jasno nicość owych dóbr nędznych, które dla Niego opuszczają, że nie wiedzą już, jakimi słowami wyrazić mają swoją dla nich pogardę! a jednocześnie serca ich zaprawiają się do kosztowania wiekuistych radości. Widzą tak, jak św. Szczepan, niebo rozwarł nad swymi głowami: *video coelos apertos*¹⁾; i przez ciemności życia i niezmierzone odległości światów dostrzegają zachwycającą piękność Boga!

VII.

Streśćmy się: wszystko wypływa z miłości i wszystko do niej powraca. Miłość jest pierwszym i ostatnim wyrazem Wiary. Miłość objawia i miłość wierzy. Dlaczego Bóg do nas przemówił? Dlatego, że nas miłuje. Dlaczego objawił nam tajniki swego bytu? dlatego, że gdy się miłuje, nic się nie ma skrytego dla umiłowanego. Już was nie będę zwał sługami; bo służanie wie, co czyni pan jego; lecz was nazwałem przyjaciółmi, bo wszystko, com słyszał od Ojca mego, oznajmiłem wam²⁾. Nie pytajcie mnie więc, dlaczego dane nam jest objawienie, nie mówcie, że było ono niepotrzebne, że rozum nasz sam wystarczał; że wzmógłszy się trochę, byłby sam z siebie odnalazł wszystko, czego potrzebował. Tak, przyznaję, było to możliwe; Bóg mógł być wybrać plan taki. Ale wtedy musiałby się wyrzec przemawiania do nas, objawienia nam swoich tajemnic. Wołał powiedzieć: „Słuchaj, chcę, byś mnie znał, jak Ja znam siebie samego. Nie chcę, byś mnie szukał z trudem i znajdował z trudem. Chcę, byś wszystko otrzymał z ust moich, z mojego serca, ażebyś przez to wiedział, jak bardzo cię umiłowałem”. Oto prawdziwe znaczenie objawienia; jest ono dziełem miłości. Wypłynęło z serca Bożego pod wzniosłym naciskiem miłości.

¹⁾ Act. VII, 55.

²⁾ Joan. XV, 15.

Gdy kogo kochamy, czujemy potrzebę wywnętrzenia się przed nim, wyjawienia wszystkiego, a także gdy kochamy — ufamy, wierzymy. Wierzymy łatwo, chętnie, wyrzucamy sobie najmniejsze wahanie, najmniejsze powątpiewanie, lękamy się, by nie ufać za mało. Ach, nie dawaj mi żadnych dowodów! nie chcę ich; wierzę ci. Jakto! miałbym wątpić o tym, którego kocham! Jak piękna jest Wiara w ten sposób zrodzona, jak słodka dla serca, jak delikatna w swem działaniu! jak jest czystą, nigdy nie zmaconą żadnem niskiem tchnieniem! Ale też jak jest silną, jak podnosi duszę aż do bohaterstwa! Ona to, ta Wiara, stwarza przyjaźń, miłość, rodzinę, szczęście, i ona też tworzy Religję.

ROZDZIAŁ TRZECI.

O uczciwości i o świętości.

Nietylko hołd naszego umysłu należny jest Bogu, ale i hołd serca naszego, naszej woli, naszego sumienia, hołd całego naszego życia tak publicznego, jak prywatnego. I tu znowu odnajdujemy tę harmonijną dwoistość, którą już dostrzegliśmy, a która wynika z wielkiego planu Boga. Tak jak Wiara nie sprzeciwia się rozumowi, ale opiera się na nim i powiększa go, tak samo świętość wznosi się na uczciwości; jest to jej konieczna podstawa; z niej wyrasta i wyżej dąży, a opierając się na uczciwości, podnosi ją i dodaje jej piękności. Dla umysłu potrzebną jest harmonja rozumu i Wiary; dla obyczajów harmonja uczciwości i świętości. W takich tylko warunkach jest się prawdziwym chrześcijaninem.

Na nieszczęście niewszyscy to pojmują. Jak są ludzie zadowolniający się rozumem, a odrzucający Wiarę, tak są znowu tacy, którym wystarcza uczciwość i którzy nie chcą świętości. I także, jak pewni ludzie, posiadający Wiarę, depcą rozum, są tacy, którzy, mając się za świętych, sądzą, że są w prawie zapominać o uczciwości, a nawet nią pogardzają.

Są racjoniści i tradycjoniści tak co do wiary, jak i w obyczajach. Kościół nie uznaje jednych i drugich. W jego oczach Wiara nie uwalnia od rozumu, a świętość nie uwalnia od uczciwości, i naodwrot.

Oto co musimy rozpatrzyć, nim dalej pójdziemy, wypadnie nam tu rozproszyć mnóstwo błędnych mniemań.

I.

Jakież to piękne miano: uczciwy człowiek! „Mistrzu Robercie, mówił św. Ludwik, mojem zdaniem, słowo „uczciwy człowiek” jest tak wielką i dobrą rzeczą, że pełne ma się usta, gdy się je wymawia”. Rzeczywiście, jest ono tak wielkie, że wyższe odeń miano „święty” zaledwie trochę je przyćmiewa, nawet w ustach chrześcijanina.

Nie dziwmy się temu. Uczciwość — to ustosunkowanie zupełne, absolutne, powszechne naszego życia z prawem sprawiedliwości, jakie Bóg wyrzył w naszym sercu. Początkiem uczciwości jest jasne, bez dobrowolnego zaciemnienia rozpoznawanie zła i dobra. Uzupełnieniem jej jest mocne, trwałe postanowienie, aby żyć według tego światła, cokolwiekby to miało kosztować. Nie sama świętość ma swoich męczenników; uczciwość ma ich także, czasem bardziej ukrytych, ale tem większych.

Uczciwy człowiek kocha dobro, jakiegokolwiek jest ono. Nie wybiera między jednym a drugim dobrem, między takim, które zaszczyt przynosi, a takim, które rani. Miłuje je w całości, pod wszelką formą, dlatego że jest ono dobrem.

Tak samo uczciwy człowiek nie rozróżnia zła od zła; wszelkie zło jest dlań wstrętne. Umieść uczciwego człowieka w środku wielkiego lasu, w głębi nieprzeniknionych podziemi, zdala od czyjegokolwiek wzroku, w zupełnej pewności, że czyn jego nigdy najaw nie wyjdzie, przełoży on śmierć raczej niżby miał popełnić najmniejsze, choćby tajemne zło. Drobne zło, proste kłamstwo, mała niesprawiedliwość mogłyby uratować jego położenie, ułatwić mu awans; nie popełni go, upadnie raczej, mówiąc, jak ów wielki papież: „Miłowałem sprawiedliwość, a nienawidziłem nieprawości; oto dlatego umieram na wygnaniu!”

Uczciwy człowiek szanuje swoje słowo. Nie szafuje niem na wszystkie strony; nie igra z niem lekko; nie potrzebuje popierać go swoim honorem. Ale raz je dawszy, dotrzymuje go. Okoliczności mogą się zmienić, słowo pozostaje. Ten, kto je otrzymał, nie doznaje niepokoju. Spokojny jestem; mam jego słowo.

Tak, jak uczciwy człowiek ma żywe poczucie dobra i zła, prawdy i fałszu, tak ma też poczucie tego, co jest słuszne, a co niesłuszne: *Cui que suum* — każdemu, co mu się należy: jest to jego niewzruszona zasada. Pod żadnym pozorem, nawet w najdrobniejszej rzeczy nie dotknie honoru, życia, żony, ani mienia bliźniego. Dobry to sąsiad, człowiek uczciwy; więcej wart niż dziesięciu zandarmów.

Człowiek uczciwy nie jest wolny. Ma on pana, od którego odbiera rozkazy i wypełnia je, nie roztrzaskając takowych, tyrana, przed którym zawsze się unia, a jest nim obowiązek. Poświęca mu swój czas, swoje uciechy, majątek, położenie, nieraz życie. Co mówię? Poświęca mu nawet życie żony, dzieci; spotyka się wzniosły widok człowieka posiadającego zaledwie trochę życia, a który dla wypełnienia obowiązku poświęca wszystko, co ma najdroższego, najświętszego, nawet najukochańszą małżonkę, nawet uwielbiane dzieci.

Nie żałujmy go zresztą; gdyż jeśli obowiązek rani, to jednocześnie ubłogostawia. Poza nim jest tylko ból. Eudoksusz odziany purpurą zasiada na najwyższym miejscu u dworu. Ale ile podłości popełnił, by się tam dostać; ile wykretów wobec swojego sumienia! jakich zdradzieckich podstępów używał, by usunąć przeciwnika! ile uniżonej służalczości i występnego przypochlebiania się włady! I oto doszedł nareszcie do celu. Macie go za szczęśliwego, taki się wam wydaje. Nie brakuje pochlebców, którzy starają się, by zapomniał o swej hańbie. On nie zapomina. Wstyd śpi z nim, budzi go w nocy, szepce mu do ucha: jesteś nędznikiem. Ten zaś, kto zawsze dopełniał swego obowiązku, kto poświęcał siebie dla czystości sumienia, stale ma pokój w sercu; szlachetna duma prześledza z jego oblicza. Nie unika on niczyjego wzroku, nie ma postawy tak pomieszanej jak Eudoksusz. Z podniesionem czołem idzie na zgromadzenia współobywateli, pewny, że nigdy nie spotka się z szyderczym uśmiechem lub pogardą. Spogląda na dzieci swe i wnuki i mówi do

siebie: Nie zostawię im może takiego majątku, jaki mógłbym im pozostawić, gdybym tak postępował, jak Eudoksjusz; ale przynajmniej jednego zaszczytu i szczęścia nikt im nie odbierze: zawsze będą mogli powiedzieć: Nasz ojciec był uczciwym człowiekiem.

Jak takie myśli są piękne! Jak wielka to rzecz być zawsze wiernym swemu obowiązкови! Ale być mu wiernym, gdy on tylko ból przynosi, gdy staje na przeszkodzie do dalszego wzniesienia się, gdy się wie dokładnie, że szkodzić on będzie nawet w przyszłych losach dzieci, to jest rzeczą tak wielką, że żadna ludzka nagroda nie może się równać z taką ofiarą. Tu za nią płaci sumienie, a w niebie Bóg.

Takim jest człowiek uczciwy; schyl przed nim głowę. I kimkolwiek jesteś, czy kapłanem, czy nawet biskupem, niech ambicją twoją będzie, by o tobie powiedziano: „To był uczciwy człowiek!”

II.

Dlaczego w teraźniejszych czasach w człowieku uczciwym, w jego umyśle, w jego sercu i życiu daje się zauważyć pewien brak straszliwy? Uczciwy człowiek skrupulatnie wypełnia wszystkie swe obowiązki względem ludzi; nie uznaje żadnego względem Boga. A jednak, skoro się pragnie być uczciwym człowiekiem w całej pełni i świętości tego wielkiego miana, czyż można zapominać o najpierwszej, najwyższej, najświętszej Istocie wśród wszystkich?

Uczciwy człowiek czci ojca i matkę. Czyż Bóg nie jest dla nas ojcem?

Uczciwy człowiek wdzięczny jest za doznane dobrodziejstwa. Czyż Bóg go niemi nie obsypuje?

Uczciwy człowiek poddaje się posłusznie prawom swojego kraju, nawet najcięższym: podatkowi krwi, podatkowi mienia. Czyż Bóg nie nałożył nań żadnego prawa?

Uczciwy człowiek wierny jest swojemu słowu. Czyż nigdy żadnych obietnic nie czynił Bogu?

„Mam nadzieję, pisał autor Atalji do swego syna, że czyniąc wszystko możliwe, by stać się zupełnie uczciwym człowiekiem, pojmujesz, że nie można nim być, nie oddając Bogu tego, co Mu się należy”. Otóż Bogu należy się uwielbienie, cześć, gdyż jest On Panem i Władcą wszechrzeczy; należy się modlitwa, prośba, gdyż On jest jedynym rozdawcą wszystkiego; dziękczynienie, gdyż On nas obdarzył życiem i mnóstwem dobra; należy Mu się cześć nie tylko wewnętrzna, prywatna, ale i zewnętrzna, publiczna, gdyż tak jesteśmy stworzeni, że skoro tylko w sercu naszym, w umyśle powstanie jaka myśl, jakie uczucie, przywiązanie, miłość, to nieprzeparta konieczność zmusza nas do objawienia nazewnątr, do okazania tego w zewnętrznych czynach. Cóż to jest człowiek miłosierny? czy ten, który platoniczne, ukryte przed wszelkim wzrkiem przechowuje uczucia, jakie ma względem ubogich i niešťśliwych? A czy rzetelnym, uczciwym, prawym, bezinteresownym człowiekiem nie jest ten, kto w stosunki swoje kładzie honor, prawość, bezinteresowność? Z tego wynika, że myśleć, iż można mieć dla Boga uczucia wiary, czci i miłości, jakich prawo natury koniecznie wymaga, a nie wyrażać ich przez zewnętrzne uczynki, jest to występne łudzenie samego siebie.

Nie zadowolniaj się złudzeniami. Zrozum dobrze, iż nie będziesz uczciwym człowiekiem w wielkim i świętem znaczeniu tego słowa, dopóki nie będziesz się modlił do Boga, nie będziesz Go wielbił, dopóki nie oddasz Mu należytej czci prywatnej i publicznej. Jest to absolutna oczywistość.

III.

Ale choćbyś nawet doszedł do zupełnej uczciwości, nie powinno i nie może ci to wystarczyć. Jezus Chrystus nie nato zstąpił z nieba, nie nato stał się człowiekiem i umarł na krzyżu, by urobić jedynie uczciwych ludzi; wystarczał na to poganizm. *Ethnici hoc faciunt*;

azaż i poganie tego nie czynią¹⁾? Bóg, królestwa przyrody wywyższył jedno nad drugim, by od minerałów dojść do człowieka. Tak samo wywyższył życie, by od człowieka dojść do Boga. Na życiu uczciwym, tej koniecznej podstawie wszystkiego, założył życie nadprzyrodzone. Nazywa się ono tak, nie żeby było poza obrębem natury; przeciwnie, wszystkie dusze za niem tęsknią; nie wystarcza im życie uczciwe, potrzeba im wznieść się wyżej. Życie to nazywa się nadprzyrodzonym dlatego, że jest zbyt wzniosłe, by można dojść doń o samych jedynie siłach natury. Jezus Chrystus sam nakreślił jego plan, sam dał jego zakres cudownie jasny.

„Słyszeliście, iż rzeczone jest starym: Nie będziesz zabijał; a ktoby zabił, będzie winien sądu. A ja wam powiadam: iż każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu”.

„Słyszeliście, iż powiedziano starym: Nie będziesz cudzołożył. A ja powiadam wam, iż wszelki, który patrzy na niewiastę, aby jej pożądał, już ją scudzołożył w sercu swoim”.

„Słyszeliście zasię, iż powiedziano starym: Nie będziesz krzywo przysięgał, ale oddasz Panu przysięgi twoje. A ja wam powiadam, abyście zgoła nie przysięgali... A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest. Nie, nie. A co nad to jest, od złego jest”.

„Słyszeliście, iż powiedziano: Oko za oko, a ząb za ząb. A ja wam powiadam, żebyście się nie sprzeciwiali złemu; ale jeśli cię kto uderzy w prawy policzek twój, nastaw mu i drugiego”.

„Słyszeliście, iż powiedziano: Będziesz miłował bliźniego twego, a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela twego. A ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjaciół wasze; dobrze czynicie tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladowającymi i potwarzającymi was... Albowiem jeśli miłujecie te, co was miłują, cóż za zapłatę mieć

będziecie? azaż i celnicy tego nie czynią?... Bądźcie wy tedy doskonali, jako i Ojciec wasz niebieski doskonałym jest²⁾).

Oto jest owo chwalebne wywyższenie jednego życia nad drugie, życia nadprzyrodzonego, boskiego nad życie czysto naturalne. Postawienie nad cnotami uczciwego człowieka cnót chrześcijanina, świętego: pokory, przebaczenia zniewag, niewinności serca, czystości, poświęcenia, posuniętego aż do ofiary.

„Nauczycielu... co dobrego mam czynić, abym miał żywot wieczny?... — Chowaj przykazania. Rzekł mu: Które? A Jezus rzekł: Nie będziesz mężobójstwa czynił. Nie będziesz cudzołożył. Nie będziesz czynił kradzieży. Nie będziesz fałszywego świadectwa mówił. Czcij ojca twego i matkę swoją. A będziesz miłował bliźniego twego jak samego siebie. — Rzekł mu młodzieniec: Wszystkiego tego strzegł od młodości mojej”.

Ach, ty tego wszystkiego strzegłeś, byłeś uczciwym człowiekiem. Wznies się wyżej, stań się chrześcijaninem, stań się świętym. Uczciwość jest to zgodność życia z prawem sprawiedliwości, jakie Bóg wyrzył w naszych sercach. Świętość — to zgodność życia z wyższym prawem, jakie Jezus Chrystus objawił światu i nałożył uczniom swoim.

A ponieważ człowiek nie mógł swojemi naturalnemi siłami wznieść się aż tak wysoko, Jezus Chrystus, nadając nową ustawę, obdarzył dusze potrzebnymi siłami do jej wykonania. Ustanowił siedm sakramentów, to jest siedm ognisk życia nadprzyrodzonego, przeznaczonych do uzdolnienia człowieka do życia boskiego; Chrzest, który wszczepia w duszę skłonności, zdolności, upodobania zgodne z wysokiem jej przeznaczeniem; Pokutę, która podnosi i oczyszcza duszę, jeśli nie umiała wznieść się na te wyżyny, lub z nich spadła; świętą Eucharystję, boski zasiłek tego życia, dostosowany do jego wielkości. Dowodem, że rzeczywiście siły potrzebne do osiągnięcia świę-

¹⁾ Matt. V, 47.

²⁾ Matt. cały rozdział V.

³⁾ Matt. XIX, 20.

tości płyną przez te święte kanały, jest to, iż zaledwie zostały one ustanowione, a natychmiast zapanowały najwznioślejsze cnoty, zrazu w życiu ukrytem jednostek, następnie w życiu publicznym, społecznym. Drugim tego dowodem jest, że gdy człowiek przestaje czerpać u tych świętych źródeł, zaraz zstępuje z wyżyn i powraca do życia pustego, błahego, jałowego, do życia jedynie uczciwego człowieka. Zstępuje niżej nawet, gdyż prawo spadku ciał stosuje się i do dusz: z czem większej wysokości się spada, tem więcej zagłębia się w ziemię.

Ale to jeszcze nie wszystko. Jezus Chrystus dawszy nam prawa, światło, oręż i siły, któremi człowiek może i powinien wyrobić w sobie życie Boskie, dał nam też żywy przykład, żyjąc owem życiem i pełniąc jego czynności. Z serca swojego uczynił niegasnące ognisko pokory, cichości, czystości, miłości. I z tego to serca wpływa w nas zapomocą sakramentów boskie życie, tak, że naprawdę mamy to samo życie, te same życiodajne środki: „Jam jest winna macica, wyście latorośle¹⁾”, i to tak w Nim wzniosłe życie, mimo naszych ułomności jest i w nas wzniosłem, skoro jest tem samem życiem. O chrześcijaninie! mówił pewien wielki papież, znaj godność swoją i z tego wysokiego stopnia nie spadaj do poziomu poganina!

Chrześcijaninowi nie powinno zatem wystarczać, że jest uczciwym człowiekiem. Mogło to niegdyś wystarczać, dziś to już za mało. Jezus Chrystus ukazał ci ideał życia boskiego, nie możesz poprzestać na niższem życiu. Nałożył na ciebie jako obowiązek ono wyższe życie: nie wolno ci się temu nie poddać. Przystawanie na uczciwości, jakgdyby On nic wyższego nie był przyniósł, jest więcej niż upadkiem, jest buntem. Chcąc ci dopomóc do tego życia boskiego, ustanowił sakramenta. Nie przystępując do nich, gardzisz niemi. Uważasz za niepotrzebne dzieło Wcielenia i Odkupienia. Wyrzekasz się imienia swojego, odrzucasz godność dziecka Bożego, jaką ci Jezus

¹⁾ Joan., XV, 5.

Chrystus Krwią swoją wysłużył. Odpychasz Jego dobrodziejstwa. Wyrządzasz Mu najboleśniejszą zniewagę.

O bracie najmilszy, miej odwagę dokonać dzieła i wzniosły fundament pięknego życia uczciwego człowieka uwieńcz koniecznie budową życia chrześcijańskiego!

IV.

Istnieje inne niebezpieczeństwo, groźniejsze jeszcze i bardziej znieważające Boga, a szkodzące Religji; jest to pogardzanie prostemi, naturalnemi cnotami w tem mniemaniu, że się dosięgło wyżyny życia nadprzyrodzonego, i pod pozorem, że się jest czystym, szczodrobliwym, gorliwym w modlitwie, gardzenie uczciwością, prawdomównością, delikatnością uczuć, dobrą wiarą i poszanowaniem swego słowa. Czyż można wystawić sobie coś dziwniejszego? to jakgdyby posąg odpychał swoją podstawę. A jednak nieraz się z tem spotkać można. Oto pan R., stojący na czele wielkiej administracji, posiada wielkie zdolności; co więcej jest dobrym chrześcijaninem. Spowiada się i komunikuje często; strzeże pilnie swego sumienia i co rok czyni rodzaj przeglądu ogólnego, przy którym postanawia się poprawić. Miałem w ręku niektóre z jego zeszytów z temi postanowieniami: postanawiał stać się wierniejszym w pełnieniu ćwiczeń duchowych; postanawiał punktualniej oddawać się pobożnemu czytaniu; lepiej się przygotować do Komunii świętej i t. p. Bardzo to wszystko było budujące; ale przytem ma on charakter nieznośny, gwałtowny, skory do gniewu; twarde jest dla podwładnych; unosi się namiętnemi antypatjami lub sympatjami i skutkiem tego postępuje niesprawiedliwie. Otóż nie widziałem, by kiedykolwiek poczynił jakie co do tego postanowienia. Po za tem jest on samolubny, myśli jedynie o własnej korzyści, ucieka się do tyśiącznych drobnych wybiegów, byle dopiąć swego celu; zazdrosny względem otaczających go osób i bez litości

druzgoczący wszystko, co budzi jego nieufność. W rekollekcyjnych jego zeszytach nie widać, by się tem zajmował. Jest to święty, ale nieuczciwy człowiek.

Pan L. jest według przysłowia więcej katolicki niż sam papież. Znajdował, że Pius IX był niedość gorliwym. Jakiemiż obelgami obrzuca tych, co podobnie jak on nie myślą! krwawe razy im zadaje. Ponieważ religijne jego zasady nie pozwalają mu pojedynkować się, nie cofa się przed żadną zniewagą. Czego z obawy sądu nie śmie wypowiedzieć jawnie, to tak zręcznie potrafi dać do zrozumienia, że niemniej przeciwnika moralnie zabije. Jednakowoż codziennie słucha on Mszy świętej; uczęszcza do spowiedzi i Komunii; odmawia różaniec i to nawet często na ulicy, aby go wszyscy widzieli. Oskarża się o roztargnienie podczas Mszy, ale nie wyznaje, że było ono spowodowane obmyślaniami silnego ciosu, jakim chciałby ugodzić przeciwnika, lub kłamstwa bardzo zręcznego, jakim mógłby go przygnieść! Zresztą wszystko to spełniane bywa dla większej chwały Kościoła. Jest to święty, ale nie jest to uczciwy człowiek.

Pani D. jest najpobożniejszą osobą w całej parafji; jest prezydentką Stowarzyszenia Dzieci Marji; codziennie przystępuje do Komunii. Ale język ma szatański i nie płaci swoich długów. Jest to święta, ale nie jest to uczciwa kobieta.

Albo raczej nie: wszyscy oni są karykaturami świętych, bo świętość nieodłączna jest od uczciwości. Nietylko że jej nie odrzuca, jako czegoś niepotrzebnego, ale opiera się na niej, jako na koniecznej podstawie. Nie gardzi nią; przeciwnie, pomaga jej działaniu wytrwale i subtelnie. Strzeże jej wobec nieświadomości umysłu i słabości serca. Zalewa ją własną światłością. Jak Wiara rozszerza i wspiera rozum, tak w głębi dusz świętość przygotowuje dla uczciwości panowanie piękniejsze, trwalsze, bezsporne i owocne. Największy z chrześcijan musi być z konieczności najdoskonalszym z uczciwych ludzi.

V.

Kobiety w wyższym niż mężczyźni stopniu posiadają poczucie wszelkich subtelności. Jedna z nich mówiła: „Jedno tylko prawo uznaję dla katolików, a mianowicie to, by czynili wszystko lepiej, niż inni”. I dodawała: „Chcę, abyśmy byli świętymi, ale nadewszystko chcę, abyśmy najpierw i w najwyższym stopniu byli uczciwymi ludźmi”¹⁾. I to jest prawda. Zwykła uczciwość nie wystarcza katolikowi; jemu potrzebny jest sam kwiat uczciwości, coś nieokreślenie delikatnego, przedziwnego, dokładnego. Oto słowa Pana Jezusa: *Nisi abundaverit justitia vestra plus quam Scribarum et Phariseorum, non intrabitis in regnum coelorum*²⁾. Jeżeli nie będzie obfitowała sprawiedliwość wasza więcej, niż doktorów zakonnych i faryzeuszów, nie wnikdziecie do królestwa niebieskiego. Owa harmonja świętości i uczciwości jaśnieje w życiu wszystkich świętych. Jednego tu tylko przytoczę św. Ludwika. Trudno znaleźć większego świętego, ale wprost niepodobna znaleźć uczciwszego odeń człowieka. Doszedł on do szczytu życia nadprzyrodzonego. Któż nie słyszał o jego żarliwej pobożności, o jego modlitwach pełnych ekstazy, na jakich spędzał dnie i noce, zalewając się łzami? Kto nie wie o jego postach i umartwieniach, o bohaterskiej jego miłości dla ubogich, dla starców, dla trędowatych, lub zarażonych powietrzem? Ale przytem jakież w nim delikatne poczucie sprawiedliwości, jakie umiowanie obowiązku! jaka wierność danemu słowu! jakie poszanowanie cudzej własności! Zwracał prowincję, narażając się na niezadowolenie ludu swojego. Zniewalał panów do szanowania praw ubogiego. Jednego tylko doznawał niepokoju, a tym była obawa, czy sprawiedliwość każdemu została wymierzona. Kościół policzył go w poczet świętych. Voltaire go sławił. I oto po przeszło sze-

¹⁾ Pani Swieczyn. II. 80.

²⁾ Św. Mat. V, 20.

ściu wiekach pozostaje on zawsze najdoskonalszym wzorem uczciwego człowieka, a zarazem jest jednym z największych świętych.

Nigdy owa harmonja uczciwości ze świętością nie była potrzebniejszą jak za dni naszych. Świat nie rozumie już świętości, ale ceni jeszcze i poważa uczciwość, i jej blask może mu dopomóc do przeniknięcia religijnych tajników świętości.

O chrześcijanie, bądźcie uczciwymi ludźmi! Dążąc do szczytów, nie gardźcie podstawami i pamiętajcie, że w duszach tak samo, jak w świątyniach wyniosłość wież zależy od głębokości fundamentów.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Modlitwa.

Modlitwa rodzi się z Wiary, a jest jednym z głównych obowiązków człowieka względem Boga. Skoro człowiek zna nieskończoną wielkość Boga, Jego bezgraniczną potęgę, Jego dobroć, miłość i przyrówna do tego swoją niemoc, to niemożliwą staje się rzecz, szczególnie gdy jest złamany, upadający, zraniony bólem, zagrożony śmiercią, by nie wzywał z głębi serca tej Wszechmocy, mogącej go uratować. Wzywanie to jest modlitwą. „Modlitwa jest wyznaniem nędzy, pokładającej nadzieję”¹⁾. Łatwo wykazać, że to wyznanie jest naturalne i słuszne. Ale niejednego czytelnika zdumienie ogarnie, gdy się dowie, jak wyznanie to jest potężne. Wiele tu nasuwa się pytań aktualnych, przejmujących, do których musimy przystąpić, aby je rozwiązać; mianowicie, w jaki sposób ta niemoc, wołająca o ratunek, stać się może najwyższą siłą człowieka, nieprzepartą, zwyciężającą nawet Boga? ile pokoju modlitwa wlewa w duszę? jakie klęski brak jej sprowadza na jednostki, rodziny, narody? czy prawdą jest, że świat mógłby zginąć, gdyby modlitwy nie było? nareszcie, w jaki sposób należy używać tej tajemniczej broni modlitwy, aby osiągnąć zbawienie. Spróbujmy odpowiedzieć na te pytania.

I.

Dziś przede wszystkim żądamy faktów. Oto jeden z nich. Człowiek prosi, a prosi drugiego człowieka, który nie jest niczem więcej od niego. Wszyscy jesteśmy

¹⁾ Gerbet. Dogme générateur.

równi wobec Boga, wobec praw ludzkich; jesteśmy równi pochodzeniem, krwią, po większej części sposobem wychowania; a jednak człowiek prosi człowieka. Od dziecka, które z prośbą zwraca się do matki, od ubogiego, który prosi bogatszego, od słabego, który na pomoc wzywa silnego, człowiek prosi człowieka i prośbą go zniewala. Korjolan podstąpił pod Rzym, niosąc miastu zgubę nieuniknioną. Cóż go powstrzymało? Prośba, prośba jego matki. I tak zawsze będzie; zawsze siła oddaje się na usługi niemocy, zwyciężona jej łzami; i to stanowi wdzięk życia, to zapewnia spokój. Gdyby tylko silni broń posiadali, cóżby się stało z małuczkimi, z pokornymi? Na szczęście jest prośba; ona jest bronią słabego, ona przywraca społeczeństwu potrzebną równowagę.

I rzecz cudowna: im słabsza istota, tem jej prośba potężniejsza. Cóż łatwiej zgnieść, jak dziecię? Ale oto składa rączki, prosi, płacze, i chyba byłby potworem ten, koby nie został rozbrojony.

To także stanowi niezwyciężoną moc niewiasty. Jest ona królową, dopóki prosi; lecz panowanie jej pryska z chwilą, gdy zechce rozkazywać.

Jeżeli więc tak jest, jeżeli człowiek wysłuchuje prośby drugiego człowieka, jakże Bóg nie miałby jej słuchać, Bóg, który jest wielki, dobry, który jest Ojcem? Odrzuca to jasno zrozumiano i modlitwa stała się powszechną wszędzie i zawsze. Cóż bo odnajduje uczony, badając zamierzchłe wieki? Ołtarze, kolumny, szczątki świątyń, świadczących o zanoszonych tu prośbach.

I nie tylko modlitwa jest powszechną i wieczystą, nic jej zniszczyć nie jest w stanie. Daremnie w czasach rewolucji przeciwko niej występują, burząc kościoły, wypędzając kapłanów, rozbijając dzwony; skoro tylko niebo po takiej burzy trochę się wypogodzi, już świątynie dźwigają się z gruzów, dym z kadzielnic w górę się wznosi i gromadzą się tłumy z władzami na czele, by oddać w modlitwie cześć Bóstwu.

To samo, tylko w cudowniejszy sposób, powtarza się w głębi dusz. W dniach panowania pychy, namiętności, zabrania się ustom modlitwy; ale powraca ona tam wkrótce. Smutek ją sprowadza, boleść od niej balsamu żąda. U łoża śmierci ukochanej małżonki, umiłowanego dzieciątka, zasyłającego w uśmiechu ostatnie pożegnanie, pada się na kolana, wołając: „Boże, mój Boże! ratuj mnie!” Nowy to jawny dowód niegasnącej potęgi modlitwy. Modlitwa jest nieśmiertelna, jak dusza człowieka.

II.

Rodzaj ludzki zawsze się zatem modlił; zawsze wierzył, że potrzebuje Boskiej pomocy, że do każdej jego czynności od najdrobniejszej do najznakomitszej, czy to do myślenia, czy do działania, do kochania, cierpienia, czy do wysłużenia nagrody, ta pomoc jest mu koniecznie potrzebna; a otrzymać ją może tylko jednym sposobem: modlitwą. Człowiek nie jest zawsze szczęśliwy; cierpi na ciele, cierpi na duchu, cierpi dusząc się w tem ciasnem więzieniu i nie wystarcza mu wielbić, czcić i podziwiać: potrzebna mu jest prośba, gorące wezwanie do Tego, który sam może uratować, uleczyć, pocieszyć. Gdybyż to raz tylko w życiu człowiek był zawiedziony w swoich radosnych nadziejach, zmiażdżony, zraniony w swych uczuciach! Ale nie; co dnia, niemal co godzinę powtarza się to pod tak różnemi formami, że wyobraźnia nawet jest tem zdumiona. Nasza natura urobiona jest do cierpienia; ale stworzona też jest do nadziei, do zwracania oczu łzami zalanych ku niebu, skąd może jej przyjść ratunek: *Levavi oculos meos in montes, unde veniet auxilium mihi*. Podnosiłem oczy moje na góry, skąd mi przyjdzie pomoc. Modlitwa jest głosem tej boleści i tej nadziei.

Jest ona jednocześnie jedynym środkiem do otrzymania, do pozyskania tej niezbędnej pomocy. Bo jakże jest inny na to sposób? Jak tę pomoc dostać? Gdyby nam ją

Bóg dawał sam z siebie, zawsze, niezmiennie, bezwzględnie, przymusowo, to zeszlibyśmy do rzędu kamieni, roślin, zwierząt, ciał, które otrzymują wszystko, czego im potrzeba, bez proszenia. Taka pomoc Boska poniżałaby nas, tłumiąc naszą swobodę i wolną wolę.

Czyż żądać będziemy od Boga tej pomocy, jako z prawa nam należnej? czy rozkazywać Bogu będziemy? czy Mu nakazemy, by nam szedł z pomocą? Lecz w takim razie, jak postąpilibyśmy z majestatem Boga, z Jego godnością?

Poza temi dwoma niemożliwymi sposobami przymusu lub rozkazu, jakież jeszcze inny pozostaje? Jest trzeci najmiłszy, najśłodszy, pozostawiający całą wolność człowiekowi, nie naruszający majestatu Boga: pozostaje modlitwa, błaganie. Pozostaje krzyk serca, jak owej niewiasty, której dzieciątko lew porwał, a której lzy zniewoliły go, by je zwrócił. Pozostaje błaganie tego starca, tego króla, o którym opowiada Homer, że, aby otrzymać zwłoki syna, przyszedł po bitwie do Achillesa, rzucił się do stóp jego, mówiąc: „Zmierz ogrom mego nieszczęścia, skoro całuję rękę, która syna mego zabiła!” Pozostaje wołanie onego słynnego mówcy, który, widząc ginącą ojczyznę, wołał: „Nie, nie, Ateńczycy, wy nie zezwolicie na to, błagam i zaklinam was na cienie ojców waszych, na głowy dzieć waszych”, a to wołanie szło z serca tak wzruszonego i tak było przejmujące, że wszystkich zwyciężyło.

Wymowa jest dźwiękiem wydawanym przez wzruszoną duszę. Modlitwa toż samo.

Wymowna prośba zwycięża wszystko. Modlitwa toż samo, tylko że słuchaczem modlącego się jest sam Bóg.

Oto dlaczego Pan nasz Jezus Chrystus wyrzekł te krótkie i stanowcze słowa: Proście, a będzie wam dane¹⁾. Apostoł zaś dodał: Proście, a nie bierzecie: przeto iż źle proście²⁾. To tak, jak gdy się mówcy zarzuca: „Słuchacz twoi pozostali

¹⁾ Matt., VII 7.

²⁾ Jac., IV, 3.

zimnymi i obojętnymi, bo mówiłeś źle, zimno, bez zapалу. Przemów lepiej; ożyw się; porusz serce i wnętrze twoje, a porwiesz wszystkich za sobą”. Tak i to: „Proście, a nie bierzecie, przeto, iż źle proście. Módl się duszą całą; niech wiara twoja potężny głos wyda, a wzruszysz Boga. Bóg łatwiej da się wzruszyć niż człowiek. Bóg jest najtkliwszy z istot; wzrusza Go najłżejszy dźwięk proszącej duszy. Podobnie jak Pan Jezus, gdy obracając się nagle wśród tłumu, zapytał: „Kto mię dotknął?” — „Panie, wszyscy Cię dotykają”. — Tak i Bóg z wiekui- stych głębin pyta: „Kto się do mnie modli?” — Ależ Panie, wszyscy się modlą do Ciebie, wszyscy Cię proszą. — Nie, nie: k t o ś mnie prosi. Uczułem drgnienie wzruszonej duszy”. Oto jest modlitwa. Niewszystkie brzmienia głosu mają moc jednakową. Ale bywają takie, że im się nie oprzeć nie może i Bóg nimi jest zwyciężony.

Moc ta jest tak niezwalczona, że gdy Bóg postanawia na nią nie zważać, gdy chce słuchać jedynie głosu swej sprawiedliwości, zaczyna od tego, że każe milknąć modlitwie. „I rzekł Bóg do Mojżesza: Widzę, że ten lud jest twardego karku. Puść mię, dimitte me, że się rozgniewa zapalczywość moja na nie i wygładzę je”. Ale Mojżesz tem więcej się modlił; Moyses autem orabat Dominum; mówił: „Niech ucichnie gniew Twój, a bądź litościwy nad złością ludu twego. Wspomnij na Abrahama, Izaaka i Izraela, sługi Twoje”. I tak gorąco się modlił, że Boga zwyciężył. „I ubłagany jest Pan, żeby nie uczynił złego, które mówił przeciw ludowi swemu: Placatusque est Dominus ne faceret malum quod locutus est”¹⁾.

Któż nie zna historii Abrahama? Bóg postanowił deszcz ognisty spuścić z nieba na Sodomę, to miasto występne. Ale miał Bóg wiernego sługę, przyjaciela, nie chce przeto wypełnić tego wyroku, nie powiedziawszy mu o tem: Num celare potero Abraham quae

¹⁾ Exod. XXXII, 9.

gesturus sum? Bóg posiada całą subtelność przyjaźni, Abraham zaś ma całą jej śmiałość. „Nie, Panie, nie uczynisz tego. Numquid perdes justum cum impio? Izali zatracisz sprawiedliwego z niebożnym? Jeśliż będzie pięćdziesiąt sprawiedliwych w mieście, zginaż spolem?... Rzekł Pan do niego: Jeśli znajdę w Sodomie pięćdziesiąt sprawiedliwych, opuszczę wszystkiemu miejscu dla nich. A odpowiadając, Abraham rzekł: Iżem raz począł, będę mówił do Pana mego, chociażem proch i popiół; a jeśli się tam znajdą czterdzieści, a jeśli się tam znajdą trzydzieści, a jeśli się tam znajdą dwadzieścia?”. I tak ponawiając prośbę zstępuje aż do dziesięciu: „Proszę, nie gniewaj się, Panie: Ne irascaris Domine, si loquar adhuc semel. Nie gniewaj się, Panie, jeśli jeszcze raz przerzekę: A jeśli się tam najdą dziesięć? Quid, si inventi fuerint ibi decem?”. Jeśli tylko dziesięć sprawiedliwych się znajdzie, nie uderzysz ich, Panie? „Hoc non est tuum. Nie Twoja to rzecz, który sądzisz wszystką ziemię, żadną miarą nie uczynisz sądu tego. A Bóg odpowiedział: Nie zatracę dla dziesięciu. Non delebo propter decem”¹⁾. Co za wspaniała rozmowa i jak wyraźnie okazuje się potęga modlitwy. Ale wszystko błędnie wobec tych słów Zbawiciela naszego: Czegokolwiek zechcecie, prosić będziecie, i stanie się wam...²⁾. Ale też, gdybyście tej górze rzekli: Podnieś się, a rzuć się w morze, i stanie się³⁾. „Jezus Chrystus, mówi Bossuet, posługuje się tu tak nadzwyczajnymi wyrażeniami, aby pokazać, że dla modlącego się wszystko jest możliwe”. I dodaje: „Oto cud nad cudami: człowiek obleczoney we wszechmoc Boga”⁴⁾.

¹⁾ Genes., XVIII, 17—33.

²⁾ Joan., XV, 7.

³⁾ Mat., XXI, 21.

⁴⁾ Bossuet. Méditations sur l'Évangile.

III.

Spotykamy się z dwoma zarzutami. Oto pierwszy: „Poco się modlić? Bóg jest zbyt wielki, by miał słuchać tak marnych stworzeń. Zresztą Bóg jest niezmienny; jak można sądzić, że naruszy te wiekuiste prawa, zapomocą których rządzi wszechświatem? Gdyby je raz naruszył na moją prośbę, musiałby je naruszać sto, tysiąc razy na prośbę innych, a naruszać je w różnych sprzecznych kierunkach. Zmieniałby się więc ciągle. Cóż w takim razie stałoby się z niezmiennością Jego boskiej natury, z pięknnością i harmonią Jego dzieła?”

Już się spotkałem z owym systemem praw niezmiennych i wiekuistych¹⁾, tak cenionym w XVIII wieku, gdyż pozwalał za jednym zamachem wykreślić modlitwę, kult; całą religię. Ale system to tak niedorzeczny, że sam Voltaire zeń szydził. Bóg, stwarzając świat, byłby więc sobie i człowiekowi nałożył pęta! I żyliby we wzajemnej niewoli, rozdzieleni ze sobą prawami, które Bóg sporządził dla człowieka, a które zapanowałyby zarazem nad Bogiem i nad człowiekiem. Cóż to za niedorzeczność!

Świat, jak go Bóg obmyślił i jak go tegoczesna wiedza zaczyna rozumieć, bardziej jest harmonijny, bardziej giętki. Nie jest on zbiorem praw niewzruszonych, lecz sił działających jedne na drugie, to podtrzymujących i wzmacniających się zobopólnie, to równoważących, zwalczających się, czasem niszczących się zupełnie. Wszystkie te siły tworzą niby sieć, wśród której krąży swobodnie genjusz ludzki, a tem więcej Duch Boży.

I tak, przypuśćmy jakikolwiek czyn: będzie on miał koniecznie, nieuchronnie taki a taki skutek, chyba że wda się w to wola, genjusz ludzki, który, wezwawszy inną siłę natury, zapobiegnie tamtemu skutkowi.

Prawem natury jest np., iż żelazo, przenikając w żywe ciało, sprawia dotkliwy ból. Ale wynaleziono działa-

¹⁾ Le Christianisme et les temps présents
I ch. VIII.

nie chloroformu i znam pewnego chorego, który budząc się po strasznej operacji, prosił, by nareszcie zaczynano operację, gdyż jest na nią zupełnie przygotowany: żadnego więc bólu nie uczuł.

Podobnie było z febrą; pozostawiona sama sobie, zabijała człowieka. Jest to prawo niezmiennie. Św. Monika umarła na febrę i ileż to ofiar w dawnych czasach choroba ta zabierała. Ale odkąd ukazał się siarczan chininy, ci tylko umierają na febrę, którzy nie chcą się leczyć.

Możnaby mnóstwo dać przykładów. Bóg nie chciał, by człowiek był niewolnikiem niezmienności praw natury. Dał mu do rąk siły, zapomocą których może walczyć przeciw tej tyranji i stać się znów królem. Otóż i modlitwa jest jedną z owych potęg. Jest to siła jak elektryczność, jak siła ciężenia. Idzie tylko, by umieć połączyć ją z innemi i używać jej, by tamte zmienić lub uchylić. Jeżeli więc, mówi doskonale J. de Maistre, jaki tegoczesny filozof zdziwi się widząc, że używam modlitwy, aby się uchronić od piorunu, zapytam go: Dlaczegoż pan używasz piorunochronu? albo posługując się pospolitym przykładem: Dlaczego pan używa sikawek w czasie pożaru, a lekarstw w czasie choroby? Czy się to nie sprzeciwia odwiecznym prawom? — Och, to zupełnie co innego, odpowie mi kto na to; jeżeli jest prawem, że ogień pali, to jest także prawem, że woda ogień gasi. — I ja to samo właśnie twierdzę; gdyż jeżeli jest prawem, że piorun, spadając, powoduje takie a takie zniszczenie, jest też prawem, że modlitwa w porę zanesiona do Boga, gasi lub odwraca ogień niebieski¹⁾.

„Bądź pewny, ciągnie dalej de Maistre, że niema ani jednego zarzutu, czynionego przeciwko modlitwie, którego nie dałoby się zastosować przeciw nauce, przeciwko medycynie. Ten chory ma lub nie ma umrzeć; nie potrzeba więc modlić się za niego. A ja mówię: Niepotrzebnie więc też dawać mu lekarstwa, a zatem niepo-

¹⁾ Soirées de S. Petersbourg.

trzebną jest medycyna. Gdzież tu może być różnica, proszę powiedzieć? Nie chcemy zważać na to, że sprawy drugorzędne łączą się z głównym czynem. Ten człowiek umrze, lub nie umrze: tak, umrze bezwątpienia, jeżeli nie będzie zażywał lekarstw, a nie umrze, jeżeli ich użyje. Warunek ten, jeśli się tak wyrazić wolno, jest częścią przedwiecznego wyroku.” Tak samo rzecz się ma z modlitwą. Człowiek ten bliski był śmierci, ale się zań modlono i ogólne prawo modlitwy zwyciężyło ogólne prawo choroby.

Jedyna różnica jest ta, że siły porządku fizycznego są stosowane brutalnie, a w stosowaniu sił porządku moralnego jest ta pewna giętkość, wypływająca z wolnej woli człowieka. Niemniej przeto są one piękne, i tem więcej przez nie uwielbiony bywa Bóg, który stworzył je i dał człowiekowi ku pomocy.

Skoro więc człowiek znajduje w skarbcu przyrody siły, zapomocą których zwalcza inne, szkodzące mu siły, dlaczegoż Bóg nie czyniłby tego? Nie chodzi tu ani o „arbitralną Opatrzność, ani o żadne gwałtowne kroki.” Nie idzie nawet o cuda. Można o nie prosić, ale Bóg ich nie potrzebuje. Chodzi jedynie o umiejętne użycie potężnego instrumentu sił przyrody. A któż może lepiej grać na jakim instrumencie, jak tegoż wynalazca? Kto może znać dokładniej wszystkie jego zalety i wydobywać zeń najpiękniejsze dźwięki? A jeżeli ten wynalazca posiada nie-skończoną dobroć, któż może wypowiedzieć, ile On jednym słowem, jednym drobnym skinieniem może udzielić pomocy błagającym Go dzieciom? Umysł Michelet'a na-próżno płacze się wśród tych wielkich, niezmiennych praw, które, jak mu się zdaje, chcą Boga usunąć z wszechświata, serce jego oburza się i buntuje przeciwko takiemu usunięciu. „Jeżeli, mówi on, odrzuciliśmy nie dającą utrzymać się tezę o arbitralnej Opatrzności, wydającej co chwila indywidualne wyroki i spełniającej drobne gwałty, to czyż dlatego nie mamy już uznawać tej najwyższej, bezstronnej Miłości, rządzącej przez te wiel-

kie prawa? Czyż przestaje ona być Miłością, dlatego że jest Rozumem? Co do mnie, gdyby zniknęła miłująca Przyczyna, przestałbym działać. Gdybym nie czuł, że świat jest miłowany, że ja sam jestem miłowany, nie chciałbym żyć; złóżcie mię odrazu do grobu. Widok postępu nie przedstawia już dla mnie żadnego interesu. Cóż z nim zrobię, jeżeli zgasicie miłość?"

I dalej: „Nie mogę obejść się bez Boga. Chwilowe zaćmienie wielkiej środkowej idei zaciemnia teraźniejszy cudowny świat nauk i odkryć. Wszystko jest postępem, wszystko siłą, a wszystkiemu brak wielkości. Jest w tem niewątpliwie poezja; ale gdzież jest całość, harmonja, poemat? Nie widzę ich. Nie mogę się obejść bez Boga!"

„Gdzież jest całość, harmonja, poemat?" Myśmy to właśnie oglądali: wszystko to się znajduje w owym pięknym układzie sił, działających i oddziaływających jedne na drugie. Człowiek, choć tak mały, krąży z pewną wielkością wśród tego układu, którym rządzi Bóg, dający modlitwie człowieka moc zwyciężającą Jego samego.

IV.

Drugi zarzut, jaki czynią, to że: „Modlitwa poniża człowieka; umniejsza go. Stój prosto, przyjacielu, mówi Rousseau, i tak zawsze będziesz mały. Zamiast modlić się, pracuj. Żebractwo nigdy nie jest piękne, ani gdy się zwraca do Boga, ani gdy się zwraca do ludzi."

Modlitwa poniża! ujmuję godności! Przyznaję, że to powiedzenie zdumiewa mię. Jakże to sobie wyobrażasz Boga wielkiego, dobrego, przedwiecznego, wszechmogącego, nieskończonego, jeżeli sądzisz, że jak pyłek, zabłąkany w bezmiarze, poniżam się, naruszam swoją godność, zwracając się do Niego z prośbami. Mówisz, że lepiej uczynię pracując, niż prosząc Go o chleb powszedni. To co innego. Ale, dajmy na to, pracuję dniami i nocami, aż do wyczerpania, i nie mogę zarobić na wyżywienie żony i dzieci; a wtedy przygnieciony troską, niczego się

już od ludzi nie spodziewając, nie ustając zresztą w pracy, podnoszę oczy ku Temu, który jest samą dobrocią i hojnością nieskończoną. Nie widzę, w czem tu swoją godność nadwyreżyłem. — Jedno z moich dzieci jest chore. Bóg widzi, że niczego nie zaniedbuję, by je ratować. Przywołałem lekarza jednego, kilku; żaden nie może znaleźć lekarstwa, któreby uzdrowienie sprowadzić mogło. Niepokój mię ogarnia, trwoga mię pożera. Ludzie nic dla mnie uczynić nie mogą. Zwracam się do wielkiego, wszechpotężnego Lekarza. Ośmielcie się, oschle serca, które nigdy nie cierpiałyście, ośmielcie się powiedzieć, że taka prośba ujmę godności przynosi! — Młody jeszcze jestem; namiętności mną miotają; chcę jednak pozostać cnotliwym, uczciwym, chcę być wiernym i czystym. Przywołuję Boga na pomoc. I raz jeszcze pytam: cóż w tem jest poniżającego? Któraż ze strun mojej duszy, choćby najdelikatniejsza, najczulsza, najdumniejsza może być tem dotknięta? Wymień mi jaką zdolność, wielkość, szlachetność w mojej naturze, któraby ucierpiała z powodu, żem ukląkł przed Bogiem? A choćbyś i dziesięć zdołał wymienić, niemniej ja klękać będę. Uklękne, upokorzę się, poniżę, aby uratować drogich moich, aby uleczyć, uszczęśliwić tych, których miłuje moje serce. A ty, tak dzisiaj dumny, niech jeno spadnie na ciebie grom, od którego w godzinie jednej bieleją włosy, a padniesz na kolana i odrzucając nic nie pomagającą filozofję, wołać będziesz: „Boże mój, Boże, ratuj!"

Spójrz tylko, jak nasze wrażenia się różnią. Tam, gdzie ty widzisz poniżenie, ja dostrzegam wielkość. Gdy dusza moja się modli, zdaje mi się, iż wypełnia jedną z najwznioślejszych czynności rozumu. Głosić wszechwładztwo Boga i zależność człowieka, a w tem wszechwładztwie uznawać potęgę, mądrość, dobroć, miłość Boga nieskończonego, a przez to czcić Go, poddawać się we wszystkim Jego świętej woli i stawać z pokornym błaganiem przed Jego dobrocią i szcudroblowością, jest to, mojem zdaniem, czynem najwyższego rozumu.

Modlitwa zatem nie może duszy poniżyć, nie może jej zmniejszać; modląca się dusza doskonali się, staje się pokorniejszą, silniejszą, lepszą. I to jeszcze niedosyć: staje się ona większą. W modlitwie widzę wykończenie mojej istoty. Bóg dał mojej myśli lot prawie nieskończony; z jednego końca świata w drugi przebiega z szybkością błyskawicy; wznosi się aż do nieba, aż do Boga. Bóg sercu mojemu dał lot jeszcze więcej nieskończony; wzlot szybszy, nie znający przestrzeni, odległości, przyzywający dalekich, zbliżający rozdzielonych. Trzeba więc było dla wykończenia człowieka udzielić mu i siły nieskończonej, równie daleko sięgającej, jak myśli i uczucie. W przeciwnym razie dzieło nie byłoby wykończony; zamiast być szczęściem, wielkością, byłoby męką. W tym celu Bóg dał nam modlitwę.

„Modlitwy, mówi Homer, są córami wielkiego Zeusa.“ Stary poeta ma słuszość. Bóg je stworzył z ojcowskiej miłości, by niemi ozdobić i uzbroić swe dzieci. Ale nie godzę się na dalsze słowa Homera: Jakież one niespokojne, ułomne, zafrasowane, zaledwie śmia podnieść wzrok pokorny“. Było to dobre dla modłów pogańskich. Nasze są żywe, skore; wnoszą się radosnym lotem, jak strzały, jak aniołowie. Wstępują w niebo, nie śniem rzec, jak królowie, jak władczynie, ale przynajmniej jak córki królewskie, świetne, chwalebne, świadome, że mogą wszystko otrzymać u Tego, który je stworzył i chce, by były wszechmocnymi. I tak samo pośpiesznie zstępują na ziemskie obszary, rozsiewając otrzymane łaski. Nawiedzają tajemnicze sfery czyśćca, przynosząc boleściom równe im pociechy i nadzieje. Lot ich jest tak samo nieskończony, jak lot mej myśli i mojego serca, ale jest potężniejszy. Modlitwa chroni, wspiera, pociesza tych, za którymi myśl moja goni zdaleka, a których serce tylko kochać może. Przez modlitwę dusza moja powstaje z niemocy, może wszystko uczynić dla ukochanych; modlitwa uzupełnia duszę, wykończy ją i wieńczy.

V.

Widzi się wielkość modlitwy; ale któż wypowie jej słodycz, jej moc ożywczą? Jest ona niejako oddechem duszy. Jakież jest pierwszy akt, gdy się budzimy do życia? Otworzyć usta i zaczerpnąć potrzebnego nam powietrza. Otóż Bóg otacza tak dusze, jak powietrze ciała. „W Nim żyjemy, mówi św. Paweł, *in ipso vivimus*; i ruszamy się, *in ipso movemur*; i jesteśmy, *in ipso sumus*“¹⁾). Bóg jest otaczającą dusze naszą atmosferą. Tak, jak obdarzył nas przyrządem do oddychania, zapomocą którego prawie bez wysiłku przywłaszczamy sobie potrzebne nam powietrze, tak i duszy naszej dał organizm religijny, zastosowany do otaczającego nas Boskiego pierwiastka, bez którego obejść się nie możemy. Dusza oddycha tak jak ciało; bierze w siebie Boga zapomocą działania, podobnego temu, przez jakie asymilujemy sobie powietrze. „Otworzyłem usta moje, mówi Psalmista, i wzięłem w się Ducha. *Aperui os meum et atraxi Spiritum*“²⁾).

Taką jest prostota owego religijnego organizmu, że trzeba pracować nad tem, by się nie modlić; do modlenia się zaś żadnego wysiłku nie potrzeba. Modlitwa w naturalny sposób wypływa z serca i przynosi mu życie i błogość. Powietrze, jakim oddychamy, składa się z dwóch pierwiastków, które razem zmieszane, stają się przedziwnie miłymi: z tlenu, potęgi ożywczej, rozpalającej ogień w krwi naszej; z azotu, który uspokaja, łagodzi ów ogień, nie pozwala nam umrzeć z uduszenia lub podniecenia. Boskie powietrze, jakim oddycha nasza dusza, składa się także z dwóch pierwiastków: ze światła i z miłości. Gdyby było samo światło, dusza tyłkoby się egzaltowała, ale jest miłość, i z tego połączenia wywiązuje się stan niewymownie błogi. „Jak kadzidło rozżarza węgle, mówi Goethe, tak modlitwa roznieca nadzieję w sercu“³⁾). A La-

¹⁾ Dz. Ap XVII, 28.

²⁾ Ps. CXVIII, 131.

³⁾ Przysłowia prozą.

mennais: „Są palące wichry, wysuszające duszę ludzką, modlitwa zaś jest orzeźwiającą ją rosą”. I jeszcze: „Gdy się modliłeś, czy nie czujesz, że serce twoje lżejsze, a dusza bardziej zadowolona? Modlitwa czyni, że smutek jest mniej bolesny, a radość czystsza: daje bólom moc łagodzącą, a radości woń jakąś niebiańską¹⁾. Maine de Biran, określając warunki pokoju, mówi: „Najpierw p r a g n ą ć, czuć swe potrzeby, swoją nędzę, swoją zależność i usiłować wznieść się wyżej. Po drugie, modlić się, ażeby zstąpił Duch mądrości, ażeby przyszło królestwo Boże; modlić się, ze wzrokiem zwróconym ku źródłu, skąd idzie światło: w ten sposób człowiek zostaje w posiadaniu nieskończonego, niewyczerpanego skarbu.” „Kto mi da skrzydła gołębiczy, skrzydła modlitwy?” „Jak bardzo potrzebuję modlić się!” woła innym razem; a gdy nabrał hartu w obcowaniu z Bogiem, pisze: „Dzień stanu błogiego, spokoju, rozumu: skutek to modlitwy”²⁾.

Modlitwa jest więc nietylko świętem prawem człowieka, niezwykłą potęgą, złożoną w ręce jego słabości, zwyciężającą same niebiosy, omnipotentia supplex, ale jest jeszcze najkonieczniejszą jego potrzebą. Jest częścią jego istoty; jest jego duchowym oddechem. Niewysłowione niepokoje tych, którzy się nie modlą, silniej jeszcze tego dowodzą, niż radości i szczęśliwość modlących się. Mówmy jeszcze dalej o tym wspaniałym przedmiocie.

VI.

Jakże się cierpi, gdy się nie może oddychać! Jaka trwoga ogarnia! jakże duszenie się jest bolesne! Widziałem, jak dziecko, duszące się w krupie, zerwało się z łóżeczka i stanęło, aby zaczerpnąć trochę powietrza! Widziałem ludzi silnych, wijących się z rozpacz, szła ich ogarniał,

¹⁾ Paroles d'un croyant.

²⁾ Pensées..

rzucali się do okna: powietrza! powietrza! A gdy go ostatecznie zabraknie, to śmierć! Umiera się, nie mogąc oddychać!

Podobnie dzieje się z tymi, którzy się nie modlą. Powstrzymany w duszy religijny oddech wywołuje w niej nadzwyczajny bezład.

Niekiedy jest to bezwładność, dziwna niemoc. Nie można odnaleźć sił duszy; próbuje się je zbudzić, ale na próżno. Życia brakuje. Odwaga, energia, szlachetne porwy, mocne postanowienia, wszystko to znikło razem z modlitwą.

Czasami bywają te smutki bez przyczyny, drażliwość, zniechęcenie do życia, gniew przeciwko Bogu, przeciwko żywiołom, przeciw samemu sobie. Gdy się zbada dokładniej wszystkie te niemoce, smutki, rozpacz, ujrzy się, że u wielu ludzi są one skutkiem stłumionej modlitwy.

Człowiek staje się niespokojny, przygnębiony, bo zamknął w sobie szczelnie uczucia, które potrzebują się wylać! Modlitwa zaniechana, to jak ściśnięta para — rozsadza życie. Niejeden nie byłby popełnił samobójstwa, gdyby się był modlił.

Bywają burze, które gdy nie spłyną dobroczynnymi łzami w modlitwie, druzgoczą życie, straszliwie nim wstrząsając. Serce jest naczyniem głębokim, ale kruche; może pęknąć, gdy podniecający je ogień nie znajduje ujścia w modlitwie. Albo modlitwa, albo bunt! albo rezygnacja, padająca na kolana przed Bogiem w modlitwie, albo rozpacz, bluźniąca i wyzywająca Boga! Łzy niewypłakane dławią; modlitwy tłumione i usunięte nie pozwalają odetchnąć duszy!

VII.

Zaniedbanie modlitwy przez jednostki spowodowało inne nieszczęścia. Pierwszem z nich to prawie zupełny zanik wspólnej modlitwy u ogniska domowego.

Pan nasz Jezus Chrystus powiedział: „Ale ty, gdy się modlić będziesz, wniknij do komory swojej, intra in cubiculum tuum; a zawarłszy drzwi, et clauso ostio; módl się Ojcu twemu w skrytości, ora Patrem tuum in abscondito; a Ojciec twój, który widzi w skrytości, odda tobie, et Pater tuus qui videt in abscondito, reddet tibi¹⁾. Jest to modlitwa jednostki, tak czasem słodka, ożywcza, jak rosa. Ale ponieważ człowiek nie jest istotą osamotnioną na ziemi, więc i modlitwa taka nie wystarcza. To też Pan Jezus powiedział gdzie indziej: „Albowiem gdzie są dwaj, albo trzech, zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku ich”²⁾.

Dwaj albo trzech, zgromadzeni w imię moje! Którzyż to są? Najpierw małżonkowie, więcej niż zgromadzeni, gdyż złączeni. Dobrze i mocno się kocha, wspólnie się modląc; lepiej się wtedy kocha, czyściej, trwalej, na zawsze! Małżeństwo wtedy dopiero w pełni rozkwita i słodkie wydaje owoce, gdy dusze łączą się boskimi swymi stronami; wtedy jest w niem moc przedziwna, trwałość nierozzerwalna. Modlitwa wspólna — to niby dobroczynny deszczyk, spadający co wieczór na spiekotę dnia, niby balsam gojący drobne zadrażnienia. Modlitwa wspólna jest wzajemnem przebaczeniem; zabliznia ranki. A jeżeli jest się tak szczęśliwym, że się nie zna ani chmur, ani cieni, to modlitwa do uczuć, zbyt nieraz ziemskich, wlewa pierwiastek niebiański, który je utrwała i nie pozwala im nigdy oziębnać.

Dwaj albo trzech zgromadzeni w imię moje! Któż to jeszcze będzie? Z ojcem i matką ich dzieci. Dziecko nigdy nie będzie umiało się modlić, jeżeli się tego nie nauczy na kolanach matki, a potem, gdy trochę starsze, przy boku ojca. Niedosyć, by ojciec mówił: „Córko, idź się modlić”. Trzeba, żeby powiedział: „Synu, chodź się modlić!” a raczej: „Synu mój, córko,

¹⁾ Matt. VI, 6.

²⁾ Matt. XVIII, 20.

módlmy się razem!” Wspólna modlitwa jest dla dzieci szkołą uszanowania rodziców; nigdy one nie będą więcej czcić ojca, jak gdy co wieczór widzieć go będą klękającego i pochylającego głowę przed Bogiem. Ileż dostojności, ile powagi dojrzą dzieci w modlącym się ojcu!

Dwaj albo trzech zgromadzeni w imię moje! Którzyż to jeszcze? Z ojcem, z matką i z dziećmi — domownicy. Przywiązywaliby się silniej do swych panów, nie rozstawaliby się tak łatwo z nimi, otoczyliby ich większem posłuszeństwem, miłością, gdyby chlebowdawcy modlili się z nimi, gdyby domownicy widzieli ich czyniących rachunek sumienia, uderzających się w piersi ze skruchą, uznających, że i oni błędzą. Modlitwa stawalaby się spójnią w stosunkach zawsze trochę trudnych, trochę zawikłanych między panem a służbą.

Czy ujrzymy jeszcze kiedy ów miły widok rodziny,łączonej w modlitwie? Najwięcej stracił tu ojciec. Zaniedbując pacierz, wymykając się ukradkiem z pokoju w chwili, gdy matka ma z dziećmi do modlitwy klęknąć, złożył on religijne rzędy w rodzinie. Święty Paweł naucza¹⁾, że mąż jest głową żony, tak jak Chrystus głową Kościoła; a zatem jeszcze więcej głową w sprawach moralności i religii, niż w sprawach podrzędnych; i z tego to powodu żona winna jest posłuszeństwo mężowi we wszystkim, tak samo jak Kościół winien je Chrystusowi. Ale czy to będzie możliwe, skoro mąż już się nie modli, skoro się usunął, skoro nic wiedzieć nie chce o rzeczach, tyjących się Boga? Święty Paweł na innym miejscu mówi, że mąż powinien być nauczycielem żony, że jeżeli w publicznem nauczaniu Kościoła znajdują się rzeczy, których ona nie pojmie, powinna zwrócić się do męża o wytłumaczenie, domi viros suos interrogant²⁾. Jakżeż ona może o to pytać męża, skoro on już do kościoła nie chodzi i ona lepiej od niego zna religię? On to nawet naiwnie wyznaje. Stąd to zrodziła się dla ko-

¹⁾ Eph. V, 23—24.

²⁾ I Cor. XIV, 35.

biety potrzeba udawania się teraz częściej niż w dawniejszych czasach do kapłana z wszelkimi trudnościami sumienia i szukania u niego oświecenia. Skarżysz się na to, młody małżonku, gdyż chciałbyś sam kierować twą żoną, chciałbyś stać się jej powiernikiem, niemal spowiednikiem. Mnie tylko, powtarzasz jej ciągle, mnie powinnaś wszystko mówić, mnie ze wszystkim się zwierzać. Tak, ale pod jednym warunkiem, że się będziesz modlił i spowiadał. Chrześcijanka nie może zwierzać się przed poganinem. Gdyby śmiała, powiedziałaby ci: Nie zrozumiesz mnie i nie potrafiśz mną kierować.

Niepodejrzany badacz, jeden z najbardziej upominających się o prawo spowiadania żon przez mężów, napisał te słowa: „Kobiety czyste, łagodne i wierne, nie potrzebujące z niczem się ukrywać, niczego odpokutowywać, więcej jeszcze niż inne potrzebują zwierzać się z miłości, szukać spoczynku przy kochającym sercu. Jakże się to dzieje, że mężczyźni tak rzadko korzystają z takiego żywiołu szczęścia? Ach, większość jest tego niegodna¹⁾. Tak; nie są oni godni, odkąd nie chcą znać wiary, ani modlitwy.

A jak wychowywać dzieci? Powiedzcie, ojcowie rodzin, czy jesteście zdolni dać wychowaniu kierunek chrześcijański, skoro dusza wasza nie ma w sobie Boga i nic Boskiego przelać nie może w tę młodą duszyczkę, tak tego żądną?

Jeżeli chcemy odzyskać prawdziwego ducha związku małżeńskiego i powrócić do pokoju i słodczy rodzinnego życia, w którym dusze ciągle zgodnie i najcisłej się łączą, trzeba powrócić do wiary, trzeba przywrócić wspólną modlitwę przy ognisku domowym. Trzeba, żeby znów u stóp Boga ukłękli razem ojciec i matka i dzieci i domownicy. Wtedy spełnią się słowa Zbawiciela: Gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku ich.

¹⁾ Michelet.

VIII.

Idźmy dalej. Jakkolwiek smutny jest zanik wśród nas modlitwy jednostki i wspólnej modlitwy w rodzinach, jest coś jeszcze nad to smutniejszego i bardziej niepokojącego: zniknięcie modlitwy narodowej.

Naród nie jest wypadkowem i mijającym zgromadzeniem pewnej ilości osobników, zebranych w jednej okolicy. Naród, to istota, którą Bóg stworzył przez uroczyste fiat; to istota, mająca swoje posłannictwo, posiadająca duszę, istota, która może cierpieć, być narażoną na niebezpieczeństwa, umrzeć, i która musi znać modlitwę, skoro zna jęk bólu!

To też wszystkie narody modliły się i niektóre modlą się jeszcze, ale nie wszystkie; a te, co modlić się przestały, muszą zginąć.

Żaden naród nie może żyć bez modlitwy! Nawet w czasach obecnych gorąca i jednogłośna modlitwa narodowa mogłaby stać się wszechmocną. Kazałaby górą pychy, prywaty i niezgody zaprzepaścić się i naród byłby wolnym od nich. Mogłaby podnieść, co osłabło, uleczyć, co jest chore, złączyć w jedno, co niezgodne. I wtedy znowu ujrzanoby spełniającą się obietnicę Zbawiciela: Gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku ich.

IX.

Nakoniec wyżej niż modlitwa jednostki, wyżej niż modlitwa rodzinna i narodowa, stoi modlitwa Kościoła. Już tu nie dwoje albo troje gromadzi się przy ognisku domowym; nie dwoje lub troje złączonych w wielkości i majestacie całego narodu; tu ludzkość cała klęka u stóp swego Stwórcy; to Kościół, wielkie zgromadzenie dusz, rodzin, narodów, podejmuje prośby ludzkości, wyraża je boskimi słowami i zanosí do tronu Boga samego.

Nie umiem wysłować piękności modlitwy Kościoła i jej potęgi. Czuć w niej drgające wszystkie struny zdolne wzruszyć serce Boga, a rozczulić serca ludzkie. Odzywa się to ze szlachetną ufnością królewskiej oblubienicy, pewnej, że będzie wysłuchana; to znów z tklivem błaganiem matki drżącej o swoje dzieci; najczęściej zaś westchnieniami i cichymi skargami wygnanki, tęskniącej za boskim Oblubieńcem i błagającej o połączenie z Nim na zawsze. Jakże Bóg mógłby pozostać głuchym na takie prośby? Ludzie nie mogą się im oprzeć; od św. Augustyna aż do J. J. Rousseau ludzkość nie może bez łez ich słuchać.

Modlitwa Kościoła ma swój dzień uroczysty, niedzielę. Tego dnia papież i kardynałowie w Rzymie, biskupi w swoich diecezjach, kapłani i wierni w parafjach gromadzą się wspólnie w jednym miejscu, w świątyni, poświęconej Bogu, i wznoszą do nieba wielką prośbę, którą Bóg obiecał zawsze wysłuchać. Gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku ich. Wspaniały widok całej niemal ziemi złączonej w jednym błaganiu! Rzeczy można, że tego dnia rzeczywiście i lepiej uczuwa się obecność Boga wśród ludzi.

„Przypominam sobie, opowiada A. Daudet, co się mnie samemu zdarzyło w dzieciństwie. Już budząc się rano czułem dobrze, że to jest niedziela! W krzewach pod oknem ptaszek pięknie śpiewał; dzwony kościelne radośnie dzwoniły; powietrze napełnione było zapachami i dźwiękami; niebo było tak pogodne, słońce tak jasne! Nie rozumiałem tej tajemnicy i pytałem się siebie, jakim sposobem natura może się zmieniać w oznaczony dzień. Później to zrozumiałem. Odbicie to religijnej duszy dziecka, obmytego niedawno wodą chrztu świętego, ogrzanego pieśczętami matki przechodzi w naturę i czyni ją w jego oczach piękniejszą, podobną do niego samego!

„Dziecię wstaje rozradowane; idzie do świątyni, która jest domem Bożym, ale też i domem ludu. Bogaci

mają swoje pałace, mogliby się zadowolnić skromną kaplicą. Ludowi potrzebne są katedry; potrzebne mu są uroczystości, jakich nie wyprawiają dla książąt tej ziemi, a jakie Kościół urządza. Prawdziwa uroczystość ludowa — to niedziela. We wspaniałej świątyni wszystkie sztuki piękne złączone razem, dodają zachwyt do ogólnego zachwytu: architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka, a nadewszystko wymowa! Tak, wymowa! Jakkolwiek nieraz słowa kaznodziei są nieuczone, to jednak przez samą naturę prawdy przez nich głoszonej, przez dotknięcie w duszach ludzkich strun pewnych, zawsze stają się wymownymi. Lud, wchodząc do świątyni, uczuwa swoją wielkość; a małe dzieci, przestępując jej próg, przejęte są potężnym głosem organów, oddychają zapachem kadzidła i kwiatów, słuchają majestatycznych śpiewów i dźwięcznych słów łacińskich, których nie rozumieją, a które im tak dużo mówią; słowa to wiekuiste dane doczesności, tajemnicza ojczyzna, dostrzeżona z wygnania. Uniesione wiarą, nadzieją i miłością, idą dzieci od ogniska domowego do ołtarza, od ołtarza śpieszą do ogniska; przynoszą matce pieśczętę Boga tak, jak Bogu zaniósł poczęcie matki.

„I żona powraca stamtąd uśmiechnięta, pogodniejsza, uspokojona. Wiem o jednym mężu, który mówił do żony: „Dziś niedziela, musiałaś być u Komunii; chodź, niech cię uścisnę“.

Nawet robotnicy miejscy odczuwają dobrodziejstwo niedzieli: „Dla tych niewolników, pracujących cały tydzień, kalendarz od czasu do czasu ukazuje przestrzeń świetlaną, możliwość ożywczego zaczerpnięcia powietrza. To niedziela; dzień tak długi dla światowców, a który dla mnóstwa istot stanowi jedyną nagrodę, jedyny cel ciężkich sześciodniowych trudów. Jeżeli się chce dobrze poznać niedzielę, trzeba jej się przyjrzeć w dzielnicach roboczych, w tych ciemnych, ponurych ulicach, które ten dzień rozjaśnia, rozszerza, zamykając sklepy, usuwając wozy ładowne, zostawiając na dziedzińcach starych do-

mów wolne przestrzenie na zabawy, na grę w wolanta dzieciom czysto umytym i postrojonym. Trzeba widzieć niedzielę w rozgorączkowanych przedmieściach, gdzie już od rana odczuwa się jej łagodzące i krzepiące działanie w owym milczeniu zamkniętych fabryk, w dźwiękach dzwonów kościelnych, rozbrzmiewających po całej podmiejskiej okolicy śpiewem wolności i swobody. Wtedy zrozumie się ten dzień i polubi się go.

„Niedzielo robotników i maluczkich, przeklinałem cię często bez powodu! Strugi zelżywego atramentu wyłałem przeciwko twym głośnym i rozpasanym uciechom! Ale dziś, odwołuję mój błąd, sławię cię i błogosławię za wszystkie radości i ulgi, jakie przynosisz uczciwej i odważnej pracy; za śmiech dzieci radujących się tobą, za dumę szczęśliwych matek, strojących dzieci na twoją intencję, za godność, jaką dzięki tobie zachowują i najuboższe mieszkania”¹⁾). Byłaby to doskonała pochwała niedzieli, gdyby autor był dodał: „I za zaspokojenie potrzeb religijnych ludu, za zaspokojenie pragnień jego sumienia i duszy!”

W tem rzeczywiście jest święta wielkość Niedzieli. Jest to dzień uroczystych hymnów, dzień *Credo*, *Magnificat* i *Te Deum*. Skoro się jest chrześcijaninem, jeszcze wyżej się dąży. Jak w ziemskich koncertach słyhać czasami w chóralnym śpiewie przedziwny i porywający tenor, panujący nad innymi głosami, tak i w śpiewach Kościoła chrześcijanin wyróżnia głos Jezusa Chrystusa, modli się z Nim i w Nim. Zanim ten chwalebny Zbawiciel opuścił ziemię, dał świętej swej Oblubienicy Ducha łaski i modlitwy, ażeby modły Kościoła godne były wysłuchania i wzniosły się do Boga, a nie drżały i chromały, jak modły pogańskie; Duch ten trwa zawsze w Kościele i bez przestanku prosi za nami wzdychaniem niewymownym²⁾). Z tego powodu modlitwa Kościoła jest szacowną nawet w oczach Boga; On ją ceni i zawsze wysłuchuje.

¹⁾ Alph. Daudet.

²⁾ Rom. VIII, 26.

Co świat ratuje i zatrzymuje nad przepaścią? Modlitwa Kościoła, ofiara Mszy świętej, tysiące podniesionych rąk biskupów i kapłanów, którzy ofiarując Krew Jezusa Chrystusa, mówią codzień: *Parce Domine*; wołanie milionów wiernych odpowiadających: *Amen*. A ponad wszystko odzywają się niewymowne wzdychania Ducha Świętego, ożywiające te modlitwy i podnoszące je do najwyższej potęgi.

O wszechmocności modlitwy Kościoła, niedosyć jesteś znana! serca ludzkie nie umieją łączyć się z twoją żarliwością! A jednak tu właśnie jest rozwiązanie zagadnień i trudności niepokojących ludzkość od wieków. Powstańmy zatem my, dzieci Kościoła katolickiego, uczmy się modlić modlitwą Matki naszej; gwałtownie wołajmy ku Niebu, a wtedy stanimy się panami świata, gdyż zwyciężymy Boga, który nam niczego odmówić nie zdoła!

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Spowiedź. — Boskie ustanowienie Spowiedzi.

Gdybyśmy byli aniołami, cześć nasza, oddawana Bogu, może mogłaby się ograniczyć do modlitwy, do uwielbienia; ale jesteśmy ludźmi; mamy cielesną powłokę, stopy nasze dotykają błota; a zatem z wyjątkiem chyba takich, którzy nie mają najmniejszego pojęcia, co to jest dobre, a co złe, wszyscy musimy się oczyszczać. Bo czyż zło jest mitem? Czyż można popełnić dwadzieścia, trzydzieści grzesznych czynów i nie splamić niemi duszy? Czy myślicie, że można podnieść się z nieprawości, jak owa niewiasta, o której mówi Pismo święte: *Et tergens os suum, dicit: Non sum operata malum.* „I ocierając usta swoje, mówiła: Nie uczyniłam nic złego“¹⁾.

Ludzkość tak nie mniemała. Wszędzie, we wszystkich religjach znajdujemy obrzędy oczyszczające, zadoścynne akty, przez które dusze powracają mają do czystości, do łaski przed Bogiem. I dla tejże przyczyny Pan nasz Jezus Chrystus ustanowił trybunał Pokuty, gdzie przez upokarzające nas wyznanie i bolesną skruchę odnajdujemy pokój i radość niewinności.

Trzeba do głębi poznać pochodzenie, organizację i skutki tego trybunału, który bywa przedmiotem zachwyty dla jednych, obawy dla drugich, pogardy i gniewu dla wielu. Dla dobra oświeconego sumienia niema żadnej wątpliwości, że jest on boskim pod każdym względem.

¹⁾ Prov. XXX, 20.

Dwa są sposoby, by tego dowieść. Pierwszy, niejako zewnętrzny, zasadza się na gromadzeniu tekstów Ojców Kościoła, świadectw soborów i starożytności kościelnej i na wykazaniu zapomocą nieprzerwanego szeregu doskonale zgadzających się ze sobą dokumentów, że instytucja ta sięga samego Jezusa Chrystusa. Metoda to długa i zmuśna; użyję jej, ale nie będę jej nadużywał. Jest druga, którą nad tę przekładam.

Raz wobec Chateaubriand'a dyskutowano nad kwestją, czy pewien słynny ustęp, przypisywany więźniowi z wyspy św. Heleny, ów ustęp nadzwyczaj wymowny, w którym jest mowa o miłości, jakiej Jezus Chrystus żądał od ludzi i jaką otrzymał, a kończący się słowami: „Znam się na ludziach i mówię wam, że Jezus Chrystus nie był człowiekiem“; otóż dyskutowano, czy ustęp ten rzeczywiście wyszedł z pod pióra Napoleona. Wielki pisarz przeczytawszy go uważnie, rzekł: „Jakże możecie o tem wątpić? Znać tu lwia potęgę“.

Lwia potęga to jest coś, czem geniusze znaczą swoje dzieła; ślad tak potężny ich umysłu, takie ujawnienie ich wielkiej duszy czy to w słowie, czy na płótnie, czy w marmurze, że gdyby nawet wszelkie zewnętrzne dowody zniknęły, nikt się nie waha. Weź obraz Rafaela, ustęp Bossuet'a, rzeźbę Michała-Anioła, czy będzie ona podpisana lub nie, cóż to znaczy? Gdy tylko spojrzysz, powiesz odrazu: To dzieło wielkiego mistrza. Jest tu potęga lwia!

Badajmyż w tem świetle Spowiedź, i czy to rozpastrywać będziemy składające ją pierwiastki, czy własną jej strukturę, czy zdawać sobie będziemy sprawę z jej cudownej skuteczności w podnoszeniu sumienia, zawsze dojdziemy do tego samego wyniku: tu jest więcej niż potęga geniuszu, tu jest piętno boskiej potęgi.

I.

Wielką niewątpliwie i śmiałą rzecz uczynił Jezus Chrystus, gdy stawiając w pośrodku świata starca, rozkazał mu: „Zasiądź tu; ucz stąd prawdy, cnoty, i mimo

szalejących wokół ciebie przewrotów, mimo najgwałtowniejszych namiętności, usiłujących zamknąć ci usta, nie milknij nigdy. Pozostań do końca wieków głosem prawdy, sprawiedliwości, prawa i godności". A gdy dziś po dziewiętnastu wiekach, wstępując po stopniach Watykanu usłyszysz się rozbrzmiewające dookoła tegoż starca słowa, które niegdyś padły z ust samego Zbawiciela: Tyś jest Opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go, nie można oprzeć się zdumieniu i nie uznać, że ustanawiając papieża, Jezus Chrystus dał światu niezrównany dokument swojego Bóstwa.

A jednak było to mniej trudne, mniej niebezpieczne, mniej narażone na marne nieudanie się, niż to, co Jezus Chrystus uczynił, ustanawiając Spowiedź.

Bo trzeba dobrze rozważyć, czego wymagał taki sakrament. Potrzeba tu było dwóch rzeczy, nie dających się urzeczywistnić wedle ludzkiego rozumienia. Trzeba było stworzyć penitenta i trzeba było stworzyć spowiednika.

Najpierw trzeba było stworzyć penitenta. Trzeba było powiedzieć człowiekowi, pogrążonemu w pysze, otaczającemu duszę swoją lodową atmosferą milczenia: „Chodź i uklęknij u stóp drugiego człowieka, nie więcej wartego od ciebie; i tak klęcząc wyznaj mu to, co taisz przed przyjacielem, przed najdroższymi ci istotami, to, za co się sam przed sobą rumienisz". Oto co trzeba było uczynić i co Jezus Chrystus uczynił bez żadnych obłonek, bez oszczędzania, bez wybiegów, poprostu, to jest w sposób, który najłatwiej mógł sprowadzić niepowodzenie.

Rzeczywiście podał tu dwa niemożliwe prawa: pierwsze, że wszyscy mają się spowiadać; drugie, że każdy ze wszystkiego będzie się spowiadał. Wszyscy ze wszystkiego! Byłoby to szaleństwo, gdyby Jezus Chrystus nie był Bogiem.

Wszyscy bez żadnego wyjątku! Choćby się doszło do dojrzałego wieku, do pełni doświadczenia, choćby się u stóp tronu ugięło pod ciężarem zaszczytów, choćby się nawet tron zajmowało — trzeba uklęknąć u stóp człowieka ubogiego, prostego, nie posiadającego geniuszu, ni sławy, niższego od nas pod wielu względami. I choćby się było samemu kapłanem, biskupem, papieżem nawet, choćby się było oświeconym wszystkimi darami świętości — niema wyjątku. Ktokolwiek jest ochrzczony, w jakimkolwiek stanie duchownym i w jakimkolwiek położeniu się znajduje, choćby posiadał wszystkie korony, wszystkie infuły, musi uklęknąć u stóp drugiego człowieka i powiedzieć doń: Ojcze, zgrzeszyłem!

I gdyby jeszcze wymaganem tylko było wyznanie owych wielkich przestępstw, rzadko się zdarzających, tych grzechów ciężących ołowiem na duszy, odbierających sen, skłaniających nieraz największego złoczyńcę do stawienia się przed sędzią, aby doń rzec: „Aresztuj mnie, jestem nędznikiem, zbrodniarzem, zabiłem człowieka; wydaj na mnie wyrok". Gdyby żądano wyznania takich grzechów, to dobrze. Ale nie; wszystkie, nawet najmniejsze, najtajniejsze, najskrytsze winy, te, które nas najwięcej upokarzają, nawet pewne uchybienia, trudniejsze do wypowiedzenia niż zbrodnie, wszystkie trzeba wyznać bez wyjątku, bez ogródki! Takie jest prawo.

Otóż obmyślenie takiego dzieła, doprowadzenie go do skutku, niecofnięcie się przed takimi niemożliwościami jest niewątpliwie piętnem Bóstwa.

Jakkolwiek trudnem było stworzyć penitenta, jeszcze więcej trudności przedstawiało stworzyć spowiednika i nie tylko stworzyć, ale sprawić, by go przyjęto, by się nań zgodzono. Bo najpierw trzeba było na proch zetrzeć to serce ludzkie, tak zarazem piękne i tak brzydkie, to serce tak mało kochające, lub kochające z nadto, to serce tak czasem samolubne, a często tak namiętne; trzeba je było w proch obrócić, gdyż mogło ono stać się

groźnem utrudnieniem. A cóż włożyć na jego miejsce? Serce nowe, które nie należałoby już do ziemi, a było na niej zawsze, które zawierałoby w sobie cnoty, jakich ludzkość nie znała.

Łatwo pojąć, że do tego dostojnego powołania potrzebna była najpierw spowiednikowi potęga miłości, którejby nic nie zachwiało, ani błędy, ani słabości, ani zbrodnie, ani pospolitość, ani tysiąckrotne powtarzania tych samych rzeczy; którejby ani cierpienia, ani niebezpieczeństwa, ani śmierć nawet nie powstrzymała; która by mu kazała wszystko opuścić, wszystkiego się wyrzec, wszelkich przywiązań, uciech, interesów, a raczej kapłan nie powinien już mieć ani interesów, ani upodobań, ani rodziny, ażeby dniem i nocą być w zupełności oddanym na usługi tych, którzy ich od niego żądać będą.

Ale to dopiero początek. Do tej potęgi miłości trzeba było jeszcze dołączyć najwyższą rozciągłość miłości. Trzeba było miłować tak samo ubożego i bogatego, starca i dziecko, duszę bandyty i złoczyńcy narówni z duszą świętego, być równie szczęśliwym zstępując do więzienia, aby uratować duszę skazańca, jak wstępując na stopnie tronu, by ratować duszę króla; czyli potrzebne było takie rozszerzenie serca, taka rozległość miłości, jakiej się na ziemi nie spotyka.

I trzeba jeszcze było dołączyć czystość nowego rodzaju. Trzeba było serca, któreby kochało nie kochając, serca utworzonego jednocześnie z ognia i lodu. Bo jakież nieszczęście dla dusz, jeżeli nie będzie ono z ognia! a jakie niebezpieczeństwo dla niego samego, jeżeli nie będzie z lodu!

Dać zatem człowiekowi pospolitemu, ograniczonemu, namiętnemu ową potęgę miłości, owo rozszerzenie serca, ową idealną czystość, oto co nazywam piętnem Bóstwa.

Całą rzecz jeszcze utrudniało to, że nie szło tu o niektóre tylko dusze, bardzo szlachetne, bardzo subtelne, o te dusze wybrane, tak rzadkie; działać trzeba było na całej linii. Szło o to, by spowiednicy byli tak liczni po

całym świecie, jak piasek nadmorski, ażeby przez wieki całe we wszystkich punktach ziemi każdy penitent mógł znaleźć spowiednika i to takiego, by mógł nań przystać.

I to jeszcze niewszystko. Do tych darów trzeba było dodać wszystko przewyższający dar dochowywania sekretu, stworzyć usta, któreby się nigdy nie otworzyły, serce nieprzystępne ciekawości, próżności, bojaźni, zdolne w głębi swojej zagrzebać wszelkie wrzucane weń smutki i nieprawości i to tak, by nic nigdy stamtąd nie wypłynęło, serce podobne do tych górskich bezdennych studni. Rzuca się w nie kamień, ale nigdy żaden odgłos nie dojdzie do nadsluchującego ucha.

Oto czego było potrzeba, aby Spowiedź stała się możliwą. Czyż nie miałem słuszności, mówiąc, że Jezus Chrystus nigdy nie przedsięwziął nic nad to trudniejszego? Ach, gdybym żył w owych czasach, gdy Pan nasz nauczał nad brzegami jezior Judei, byłbym Mu powiedział: „Panie, czyż nie znasz ludzkości? Ludzkość jest pełna pychy; nie znajdziesz wśród niej penitentów; ludzkość nie potrafi dochować sekretu; nie znajdziesz wśród niej spowiedników!

A jednak ta niemożliwa instytucja żyje; trwa na świecie od blisko dwudziestu wieków. Nie zginęła; rozwija się we wszystkich częściach ziemi; wśród wszelkich cywilizacji. Nie zniszczyły jej nasze winy ani winy spowiedników, ani winy penitentów. Musimy przyznać, iż jest ona boską.

Tak; od blisko dwudziestu wieków Kościół odzywa się do pysznej ludzkości: Uklękni i wyznaj tve winy. I od blisko dwudziestu stuleci, mimo tysiącznych indywidualnych opierań się, z którymi także prędzej lub później dochodzi się do ładu, ludzkość klęka i wyznaje swoje winy. Od blisko dwudziestu stuleci Kościół z pośrodku nędznej, pospolitej ludzkości wybiera młodzieńców, wychowuje ich, urabia i mówi do nich wkońcu: „Zasiadźcie tu i w duchu Bożym, z miłością Jezusa Chrystusa słuchajcie wszystkich tajemnych bólów, smutków i wstydów, ja-

kie w wasze serca wylewać będą ludzie, a niech nigdy żadna nieroztropność, żadna słabość, żadne niebezpieczeństwo, nawet śmierć nie zdołają wydrzeć powierzonej wam tajemnicy". I od blisko dwudziestu wieków kapłan, mimo całej swej ułomnej natury, niesie ten ciężar niemożliwy.

Ach! nie jesteśmy tem, czem być powinniśmy. Wiem dobrze, że nie dosiegamy naszego boskiego ideału. Nie potrzeba tego mówić. Czyż to nie powód codziennych naszych jęków? Tak wiele i wielkich win popełniamy! Gdybyśmy o nich zapomnieli, niewiara byłaby nam je przypomniawsza; zachowała ona blizny nasze, zbadała nasze rany, nie ażeby je opatrywać, goić oliwą Samarytanina; radaby je raczej pogłębić, o ile się da; zna je dokładnie i moglibyśmy ze Zbawicielem powiedzieć: Porachowali wszystkie kości nasze, policzyli rany nasze.

I cóż znaleźli? cóż się z ich badań okazuje? Znaleźli kapłanów, nie posiadających owej potężnej, wszechstronnej miłości, o jakiej dopiero co mówiłem, kapłanów zbyt ziemnych, samolubnych; zgadzam się na to!

Znaleźli, lecz w mniejszej liczbie, mimo wszystkiego co głoszą, kapłanów, którzy nie zachowali dziewiczej czystości swej duszy; i to jest prawda, i nikt nad tem więcej niż my nie boleje.

Ale czego nigdy nie znaleziono, to kapłana, któryby zdradził tajemnicę Spowiedzi. Nigdy, ani w czasie odrywania się pysznej herezji i schizmy, ani wśród rozpasania rewolucji, ani nawet w szale gorączki lub oblędu, nigdy nie znalazł się kapłan, wyjawiający zeznania, uczynione mu na Spowiedzi; i bezbożność ani jednego takiego kapłana nie potrafiła wymienić. I oto dla czego, mimo naszych błędów, win i ułomności świat nie przestaje przyprowadzać do stóp naszych młodzieńskie dzieci, młode serca, młodzieńcze wyznania, przyprowadza matkę i córkę, przedwczesne smutki z zastarzającymi smutkami, to czego nie usłyszysz ucho małżonki, o czem się brat nie dowiedzie, czego się przyjaciel nie domyśla. I przez tę cu-

downą ufność świat głosi, że są penitenci dlatego, że są spowiednicy; że są penitenci i spowiednicy dlatego, że Jezus Chrystus jest Bogiem!

II.

Do metafizycznej niemożebności, by Spowiedź przez kogo innego niż przez Jezusa Chrystusa ustanowioną była, dołącza się większą jeszcze niemożebność historyczna. Jeżeli bowiem nie jest ona dziełem Jezusa Chrystusa, to czyj jest dziełem? kiedyż pojawia się w historii? Jakże uwierzyć, by instytucja z jednej strony tak piękna, głęboka, dzieło niezrównanego genjuszu, ale z drugiej strony najbardziej obrażająca pychę, najbardziej upokarzająca człowieka, najbardziej przeciwna jego namiętnościom, jakże przypuścić, by taka instytucja mogła być założoną, narzuconą, stać się powszechną, nie wzbudziwszy żadnego przewrotu, żadnego podziwu, żadnego gniewu? Wszak wszystko powinno się było poruszyć, aby jej przyklasnąć, lub ją zwalczać. Otóż nigdzie w historii śladu tego niema; najzupełniejsze panuje co do tego milczenie.

Spowiedź — to wielka potęga Kościoła; to korona kapłana; czyni go królem dusz. A zatem dla jej założyciela musiał w Kościele powstać wybuch podziwu i wdzięczności. Kościół nie zapomniał o biskupie, który ustanowił procesje Dni Krzyżowych; zachował w pamięci imię papieża, który zaprowadził wielką uroczystość Bożego Ciała. Zna imiona tych, którym zawdzięcza Szkaplerz i Różaniec. Czci błogosławioną dziewicę, która objawiła światu nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego. A miałby nie zachować żadnego wspomnienia o tym, który ustanowił Spowiedź, to Boskie dzieło ku uspokojeniu dusz! A przecież z punktu zapatrywań Kościoła byłby to największy mąż w chrześcijaństwie, najgłębszy umysł; wszak uczyniłby rzecz niezrównaną, nadludzko piękną i owocną. I nawet ślad jego nie pozostałby w tak zawsze pamiętnem sercu Kościoła? Nie da się

to zrozumieć. Tak wielką jest pamięć Kościoła, że gdy się napotka jaką świętą dobroczynną instytucję, żyjącą w jego łonie, a nie wie się, jak ona powstała, ma się prawo wierzyć, według św. Augustyna, że sięga ona Jezusa Chrystusa lub Apostołów; takiem jest niepodobieństwem, by Kościół o jej twórcy zapomniał. Otóż nietylko Kościół nie wie, kto mógł być twórcą Spowiedzi, co już samo kazałoby wnioskować, że jest nim Jezus Chrystus, ale od dziewiętnastu wieków głośno, bez przerwy twierdzi, że Spowiedzi nie ustanowił żaden człowiek, że on, Kościół, zawsze ją posiadał w swym skarbcu, jako środek oświecający dusze; że to Jezus Chrystus mu ją powierzył i że nie przestaje uznawać w niej i uwielbiać boskiego śladu Jego ręki. Jest nad czem się tu zastanowić.

Ale choć nadzwyczajnem byłoby to milczenie, ten brak podziwu i wdzięczności ze strony Kościoła i dusz świętych, dla których Spowiedź jest siłą i pociechą, to jeszcze dziwniejszem, jeszcze więcej godnem zastanowienia byłoby inne milczenie, inny brak — brak gniewnych protestów. Jakto? Oto instytucja zmuszająca mnie, bym ukląkł u stóp drugiego człowieka, który niczem więcej nie jest ode mnie, i nietylko zmuszająca mnie, abym przed nim ukląkł, ale bym przed nim wyznał wszystkie moje grzechy, przestępstwa, to, czego nie śmiem wyznać sam przed sobą, czego się wstydzę! I gdy ta instytucja się pojawia, ludzkość przymuje ją bez oporu? Choćby ta rzecz zrobiła się nagle i odrazu, to jednakowoż musiał być taki dzień, gdy człowiek po raz pierwszy tak ukląknął. I nie zawahał się, nie zapytał kapłana: „Ktoś ty jest? Kto ci dał tę władzę? Skąd spada na mnie to zobowiązanie? Wczoraj go nie miałem, jakim sposobem dziś je otrzymałem?” A nawet przypuszczając, że łatwiej było wciągnąć pod to wstrętne jarzmo czeredę niewiast, dzieci, istot pospolitych, to czyż nie było dusz dość dumnych, by się przeciwko niemu zbuntowały? Ci królowie tak despotyczni, tak oddani rozkoszom, ci panowie, ci dumni rycerze, czyż nie musieli wybuchnąć oburzeniem, gdy im

nakazano ukląknąć u stóp tych ubogich kapłanów, których za sobą w orszaku swym wiedli, u stóp tych mnichów, którzy z ich łaski żyli? Dziwnem mi się wydaje, że nie było ani jednego dość potężnego, dość dumnego protestu, by się mógł być do historii przedostać i ludzkość poruszyć.

A więcej niż uległość królów, panów, genjuszów, zdumiewa mię uległość kapłanów. Wszak chyba musieli oni rzec: „Za kogo nas bierzesz? Czyż nie do głębi znamy te rzeczy? My spowiadamy, ale spowiadać się nie będziemy. To prawo nie dla nas jest dane.” Ale nie; wszyscy kapłani się spowiadają. Spowiedź ściślej ich obowiązuje niż innych; spowiadają się częściej, w sposób bardziej upokarzający, przed spowiednikami, którzy im są równi, a często od nich niżsi. Byli kapłani, którzy znajdowali, że Kościół zbyt jest pobłażliwy względem grzeszników, że zbyt łatwo przebacza upadłym powrotnie w te same winy; ale przed Lutrem nikt nigdy Kościołowi nie zaprzeczył Boskiego prawa przebaczenia i rozgrzeszania. Papieże, biskupi, kapłani, królowie, rycerze, lud prosty, wszyscy z uległością przyjęli Spowiedź, a to tak poprostu, tak naturalnie, że w historii śladu o tem nie znajdujemy żadnego.

Cóż jeszcze mam dodać? Kościół ma wrogów, śledzących go z zawiścią, zapisujących z triumfem najmniejsze pozorne zmiany w dogmacie lub w moralności, szukających rzeczywiście pozoru jedynie, by go oskarżyć i odeń się odłączyć. Czy Spowiedź posłużyła komu za taki pretekst? W IX i XI wieku Grecy zrywają z Kościołem katolickim, ale zachowują Spowiedź, uważając ją za Boską instytucję i do dziś ją mają. W V i VI wieku nestorianie i eutychnianie odłączają się od wspólności Kościoła; odrzucają wiele rzeczy, ale Spowiedzi nie odrzucają i dziś jeszcze uważają ją jako sakrament, ustanowiony przez Jezusa Chrystusa.

Tak samo rzecz się ma z arjanami w IV wieku i wszystkimi innymi wcześniejszemi sektami. Ileż to

oskarżeń pada na Kościół! ile wyrzutów, że zepsuł, sfałszował naukę Chrystusową! Przytaczają szczegółowe teksty; nigdy w żadnym niema wzmianki o Spowiedzi, i to tak samo w IX lub XI, jak i w IV lub III stuleciu. Nigdy, w żadnej epoce, aż do XVI wieku, nikt się od Kościoła nie oderwał z powodu Spowiedzi, ale przeciwnie wszyscy odszczepieńcy trwali przy niej, uważając ją jako bezsporną część skarbu, pozostawionego przez Jezusa Chrystusa. A zatem hipoteza, że Spowiedź została ustanowiona nie przez Jezusa Chrystusa, ale przez kogoś nieznanego, w niewiadomo którym wieku, jest hipotezą bezpodstawną i odrzuca ją zarówno Wiara, jak rozum i zdrowy rozsądek.

III.

Kwestja to jednak tej wagi, że nie można poprzestać na biernym tylko argumencie. Jakkolwiek przekonywajacem jest tu milczenie, nie wystarcza jednakowoż. Trzeba, by się wieki wypowiedziały, by każdy z nich kolejno dał świadectwo swej wiary w boskie pochodzenie Spowiedzi.

Lutrze! tyś pierwszy ośmielił się zaprzeczyć temu boskiemu pochodzeniu; a jednak spowiadałeś się w młodości swojej; spowiadałeś sam w wieku dojrzałym. Był taki dzień, gdy biskup, kładąc rękę na twojej głowie, rzekł: „Accipe Spiritum sanctum. Quorum remisit peccata, remittuntur eis.” I ty tej władzy używałeś!

Tak samo było z Melanchtonem, z Zwingluszem, z Todore z Bezy, z większą częścią twych uczniów! Jak ty, spowiadali się oni, a wielu z nich spowiadało także!

A skoro przyszła chwila odrzucenia Spowiedzi — nie zaczęto bowiem od tego, uczyniono to, by zyskać popularność, by pociągnąć do protestantyzmu tłumy słabych i występnych — skoro więc przyszła chwila odrzucenia, Luter mimo całej swej zuchwałości zawahał się;

czuć, że ręka jego zadrżała. Oto co pisze: „Spowiedź sekretna, taka, jak jest dzisiaj pełniona w Kościele, choć nie może być dowiedziona Pismem, dogadza w przedziwny sposób; jest pożyteczną, nawet potrzebną. Nie chciałbym, by nie istniała, przeciwnie, rad jestem, że jest praktykowana w Kościele¹⁾”. To też na konferencji w Augsburgu (1530), odbytej pod przewodnictwem Lutra, XI artykuł oświadcza, „że trzeba w Spowiedzi zachować osobiste rozgrzeszenie; że to rozgrzeszenie jest prawdziwym i właściwym sakramentem, i że potęga kluczy odpuszcza grzechy nie tylko wobec Kościoła, ale i wobec Boga²⁾”. A w siedm lat później, na zgromadzeniu w Smalklandzie, gdzie Luter ostatecznie wykończył swój system, napisano: „Nigdy nie trzeba w Kościele kasować Spowiedzi i rozgrzeszenia, tak potrzebnych dla nieśmiałych i bojaźliwych sumień i dla młodych ludzi, gwałtownych i skorych do uniesień³⁾”. Wreszcie w małym katechizmie, jaki sam ułożył, by uczyć dzieci nowej nauki, czytać można następujące pytania: „Czy wierzysz, że odpuszczenie grzechów, dane przez kapłana, jest odpuszczeniem danem przez Boga? — Tak. A ja z rozkazu Pana naszego Jezusa Chrystusa odpuszczam ci grzechy w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego⁴⁾”. Są to słowa rozgrzeszenia Kościoła katolickiego.

Melanchton mówi tak samo. Oto w jakich słowach wypowiedział swoje zdanie na konferencji augsburskiej: „Sądzę, że można rozróżnić trzy części w Pokucie: skruchę, spowiedź, a w spowiedzi przedewszystkiem stawić rozgrzeszenie, i wreszcie zadośćuczynienie”. W apologii, jaką napisał o konferencji augsburskiej, mówi, że

¹⁾ Occulta autem confessio, quae modo celebratur, miro modo placet, et utilis, imo necessaria est, nec vellem eam non esse in Ecclesia Christi. De captiv. Babyl., Opp., t. II. fol. 292.

²⁾ Bossuet. Hist. des Variations, liv. III, parag. 46—47.

³⁾ Part. III. cap. VIII.

⁴⁾ Bossuet. Hist. des Variations, liv. III, parag. 48.

„Chrzest, Komunia i Rozgrzeszenie są to trzy Sakramenta“¹⁾).

Nawet Kalwin, znany ze swej nienawiści do Spowiedzi, waha się także; wrywają mu się pełne znaczenia wyznania: „Nie przeczę, mówi on, że osobiste rozgrzeszenie jest bardzo pożyteczne; przeciwnie, zalecam je, jak to już uczyniłem w kilku moich pracach, byle było ono oczyszczone i uwolnione od wszelkich zabobonów“²⁾).

Ale oto coś nie mniej dziwnego. W chwili odstępstwa od wiary katolickiej Kościół anglikański ułożył dla zorganizowania swego kultu książkę, zatytułowaną: Książka wspólnej modlitwy i sprawowania Sakramentów i obrzędów anglikańskiego Kościoła. Tam w rozdziale: Odwiedzanie chorych czytamy: „Jeżeli chory ma zaniepokojone sumienie jaką wielkiej wagi winą (with any weighty matter), powinno go się nakłonić (moved), by uczynił szczegółową Spowiedź swoich grzechów (a special confession); a gdy tę Spowiedź skończy i będzie pokornie i z całego serca o to prosił, pastor powinien go rozgrzeszyć w ten sposób: Niech Pan nasz Jezus Chrystus, który zostawił Kościołowi swemu moc rozgrzeszania każdego prawdziwie żałującego grzesznika, wierzącego w Niego, raczy przez swoje wielkie miłosierdzie odpuścić ci twoje grzechy. A ja, przez udzieloną mi władzę, rozgrzeszam cię ze wszystkich twoich grzechów w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen“³⁾. Widzimy,

¹⁾ Id., ibid.

²⁾ Instit., liv. III, c. IV, n. 7. — Defens. II, ad Westphal., t. VIII.

³⁾ The Book of common prayer, and administration of the Sacraments, and other rites and ceremonies of the Church, according to the use united Church of England and Ireland. Oxford. 1825.

że i tu jest zachowana formuła, używana w Kościele katolickim.

Jasno się z tych wszystkich tekstów okazuje, że Reforma zrodziła się w pełni panowania Spowiedzi. Jakże się to stało, że po takim jej uznawaniu, wkońcu ją zniesiono? Odkąd Reforma zniosła kapłaństwo, nie miała już spowiedników; odkąd pozwoliła żenić się swoim pastorem, nie miała już penitentów. Spowiedź upadła sama przez się. Nikt jej nie chciał. Najdogodniej było ogłosić ją za ludzki wymysł. Tylko musiano tego dowieść. Katolicy wzywali protestanckich doktorów, by wymienili autora, czas i miejsce tego wymysłu papistów. I oto zaczynają przeszukiwać roczniki historii kościelnej. Napotkawszy w XIII wieku na sobór, który dla rozbudzenia gorliwości nakazuje pod klątwą Spowiedź i Komunię roczną¹⁾, próbują uczynić zeń twórcę Spowiedzi. Przekonani jasnymi świadectwami wieków bezpośrednio poprzedzających panowanie Inocentego III, cofają się do VI wieku. Dostawszy i tu odprawę, cofają się nadaremnie do IV wieku, do chwili, gdy św. Leon znosi Spowiedź publiczną; nie mogąc zacząć się o żaden moment historyczny, usiłują wyzyskać ciemności dwóch pierwszych wieków, ciemności katakumb. Ale oto i katakumby się rozświetlają i zmuszają ich, czy chcą, czy nie chcą, sięgnąć aż do Jezusa Chrystusa. Widok to ciekawy i pełen światła. Zatrzymajmy się nieco nad nim.

IV.

Mówią, że Spowiedź wymyślona została w XIII w., albo w VI, albo przynajmniej w IV, gdyż aż tam cofnąć się trzeba było. Zaczniemy od wykazania tekstów, które zmusiły protestantów do tego cofnięcia się. Te, które wybieramy, są jasne i niezaprzeczenie autentyczne.

¹⁾ Sobór Lateraneński 1215 r.

W XII w., na sto lat przed papieżem Inocentym III, czcigodny Piotr z Blois¹⁾, Ryszard de St. Victor²⁾, Godfryd z Vendôme³⁾, Hugon z Saint-Victor⁴⁾, św. Anzelm⁵⁾, Iwon z Chartres⁶⁾ i św. Bernard⁷⁾.

¹⁾ Piotr z Blois. Traktat o Spowiedzi. „Niech więc nikt nie ośmiela się powiedzieć sam sobie: Spowiadam się w tajemnicy Bogu i przed Nim samym pokutę czynię; gdyby bowiem taka spowiedź wystarczała, Jezus Chrystus nadarmo byłby dał klucze Piotrowi”.

²⁾ Ryszard de Saint-Victor. De potestate ligandi atque solvendi, c. V. et VIII. Prawdziwa Pokuta zależy na nienawiści grzechu, związanej z postanowieniem unikania go i wyświadczenia się i dopełnienia nałożonej pokuty. Grzesznik, zaniedbujący tego, nie uniknie wiecznego potępienia”.

³⁾ Godfryd z Vendôme. „Jest rzeczą pewną i niczem zaprzeczyć się nie dającą, że grzech odpuszcza się jedynie przez Spowiedź i pokutę.” (Bibliot. P. P. t. XXIV.)

⁴⁾ Hugon z Saint-Victor. Objasniając ustęp z listu św. Jakóba: spowiadajcie się tedy jedni drugim z grzechów waszych, mówi: „Słowa te tak się powinny wyklądać: spowiadajcie się nie tylko przed Bogiem, ale i przed człowiekiem zastępującym miejsce Boga; spowiadajcie się, którzy macie grzechy, przed tymi, którzy mają władzę je odpuszczać. A dlaczego trzeba się spowiadać? Apostoł to powiedział, abyście byli zbawieni: Confitemini ut salvemini; tak jakby rzekł: że jeżeli nie będziemy się spowiadać, nie będziemy zbawieni”. (Lib. de Sacrament.)

⁵⁾ Św. Anzelm. Wielki ten doktor, komentując w Homilji o dziesięciu trędowatych te słowa Pana Jezusa: „Idźcie, okażcie się kapłanom, mówi: „Objawcie szczerze w pokornej Spowiedzi wszystkie plamy wewnętrznego waszego trądu, ażebyście z nich oczyszczonymi byli. A nato trzeba się udać do kapłanów i prosić ich o rozgrzeszenie”.

⁶⁾ Iwon z Chartres mówi tak samo (Serm. XIII in cap. Jejun.).

⁷⁾ Św. Bernard. „Trzeba, abyście spowiadali się pokornie, poproście i szczerze ze wszystkiego, co wam sumienie wyrzuca. (Serm. XVI in Cantic). Nacóżby się zdało powiedzieć tylko część swych grzechów, a resztę zataić? Wszystko jest jawne w oczach Boga. Dlaczegoż miałbyś ukrywać cośkolwiek przed tym, który zastępuje miejsce Boga w tym wielkim Sakramencie? (De sept. grad. Conf.). Niech kapłani strzegą się, by nie rozgrzeszali grzesznika, choćby żałującego, jeżeli nie wysłuchali jego spowiedzi”. (Serm. ad milit. Temp. c. XII.)

W XI i X wieku: św. Piotr Damjan¹⁾, Reginon, opat z Brunn²⁾, Rudolf³⁾ i Smaragdus⁴⁾.

W IX wieku: Paschazjusz⁵⁾, Jonasz, biskup z Orleanu⁶⁾, Raban-Maur⁷⁾, Synod Paryski w 829 r.⁸⁾, Synod w Pawji 850 r.⁹⁾ i Synod w Châlons¹⁰⁾.

¹⁾ Św. Piotr Damjan. „Spowiedź powinna być czyniona całkowicie. Nie można ograniczyć się na wyznawaniu części swoich grzechów, a zatajeniu reszty; na spowiadaniu się z grzechów lekkich a zatajeniu ciężkich. Co do kapłana, niech się on bardzo strzeże, by nigdy nikomu nie wyjawiał, cokolwiek usłyszał pod sakramentalną tajemnicą Spowiedzi”. (Serm. de S. Andreae.)

²⁾ Reginon, Opat z Brunn. De Eccles. discipl. lib. I.

³⁾ Rudolf de Flaviac. „Przebaczenie Boga otrzymuje się tylko za sprawą rozgrzeszenia udzielonego przez tych, którym powierzone zostały klucze, według tego, co im było powiedziane: a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiach. Trzeba zatem paść do ich stóp, odkryć przed nimi swoje winy w Spowiedzi i oplakać je, ażeby grzechy nasze były odpuszczone przez ich władzę”. (Lib. III in cap. I Levitic.)

⁴⁾ Smaragdus. In Psalm. XXXVI.

⁵⁾ Paschazjusz. „Według św. Jakóba, gdy który z chrześcijan jest chory, trzeba najpierw żądać od niego Spowiedzi z jego grzechów, a potem dać mu poświęcenie Ostatniego Namaszczenia”. (De corp. et sang. Christi. c. VIII.)

⁶⁾ Jonasz, biskup z Orleanu. „Odpuści się chorym grzechy, jeżeli się wyświadcą: grzechy, bowiem, nie mogą być odpuszczane bez Spowiedzi, która je zmazuje”. (Lib. III de Institut. laic., c. XIV.)

⁷⁾ Raban-Maur. „Ten kto się daje do grzechu pociągnąć, nie może być uzdrowionym inaczej, jak tylko odrzucając brud grzechowy przez Spowiedź i skazując się na pokutę”. (Lib. VII, in cap. VII. Eccles., V.)

⁸⁾ Synod Paryski 829 r. suspenduje kapłanów nie mieszkających w swoich parafjach i powodujących przez to, że dzieci umierają bez Chrztu, a dorośli bez Spowiedzi.

⁹⁾ Synod w Pawji 850, zachowując Spowiedź publiczną za grzechy publicznie popełnione, wymaga, aby ci, którzy popełnili tajemne grzechy, spowiadali się tajnie przed kapłanami wyznaczonymi od biskupa.

¹⁰⁾ Synod w Châlons traktuje o konieczności Spowiedzi zupełnej i szczerzej, „bez której grzechy nie są odpuszczane”. (Lab b., t. IX. col. 366.)

W VIII i VII wieku: Czcigodny Beda¹⁾, Paulin, patriarcha z Akwilei²⁾, Teodulf, biskup z Orleanu³⁾, Alkuin⁴⁾, Synod z Kent 787 r.⁵⁾, Krologan, biskup z Metz⁶⁾, Egbert, biskup z Yorku⁷⁾, Izaak, biskup z Lincoln⁸⁾, Hinkmar, arcy-

¹⁾ Czcigodny Beda. O p p., tom V, in V J a c.

²⁾ Paulin, patriarcha z Akwilei. „Powinniśmy z całą prawdą czynić nasze spowiedzi i wypełniać godne owoce pokuty według rozkazów danych nam przez kapłana. Jemu zaś zabrania się mówić czegokolwiek z usłyszanych spowiedzi”. (De Salu ar. docum c. 52.)

³⁾ Teodulf, biskup z Orleanu. „Trzeba się spowiadać ze wszystkich grzechów, jakie się popełniło uczynkami a nawet myślami”. (L a b b., Conc. t. IX, col. 191.)

⁴⁾ Alkuin. W liście do pewnego chorego pisze: „Ażeby się dobrze przygotować do śmierci, powinienes oczyścić się z jak największym staraniem ze wszystkich grzechów, popełnionych myślą, mową i uczynkiem, a to przed roztropnym i godnym zaufania spowiednikiem”. A w innym liście mówi: „Niech żaden chrześcijanin nie wstydi się spowiadać ze swoich grzechów. Lepiej mieć jednego człowieka świadkiem swoich win, aby przez to uratować swoją duszę, niż narażać się, że się będzie kiedyś oskarżonym przed wiekiustym Sędzią, w obliczu całego rodzaju ludzkiego”. (O p p., tom I, p a s s.)

⁵⁾ Synod z Kent 787 r. Synod ten zakazuje modlić się za dusze tych, którzyby z własnej winy bez spowiedzi pomarli. (L a b b. tom VIII, col. 642.)

⁶⁾ Krologan, biskup z Metz. „Niech chrześcijanie trzy razy w roku odbywają Spowiedź przed kapłanami. Ten, kto ją częściej odprawi, uczyni jeszcze lepiej, a niech nikt nie da się powstrzymać przez wstyd, gdyż bez Spowiedzi niema przebaczenia”. (Spicil., t. I.)

⁷⁾ Egbert, biskup z Yorku. „Dwanaście dni przed Bożem Narodzeniem chrześcijanie, tak mężczyźni jak niewiasty, z całą rodziną mają iść do spowiednika swego, aby przygotować się do przyjęcia z czystym sumieniem Ciała Pańskiego”. (An. bened.)

⁸⁾ Izaak z Lincoln. Pomiędzy rozporządzeniami tego wielkiego biskupa jest jedno, które możnaby sądzić, iż jest w naszych czasach wydane; nakreśla ono spowiednikom, w jaki sposób mają pytać penitentów, by się dowiedzieć, czy grzech był publiczny, czy skryty, nałogowy, czy przechodni i t. d. (L a b b. t. X.)

biskup z Reims¹⁾, Karol Wielki²⁾, ustanawiający w swych kapitularzach kapelanów dla wojska.

W VI i V wieku: Św. Grzegorz Wielki³⁾ i św. Leon⁴⁾, aby nie mnożyć cytat bez miary. Razem trzydzieści świadectw, poprzedzających Inocentego III; przytoczyliśmy je tylko w dopiskach, aby nie nużyć niemi czytelnika, wystarczają one jednak, aby stwierdzić Boskie pochodzenie Spowiedzi. Teraz szczegółowiej przejrzymy cztery pierwsze wieki Kościoła; rozpatrzmy zbliższa owo zagadnienie i starajmy się w jasnym świetle wykazać, że Spowiedź tajna, szczegółowa, uczyniona przed kapłanem w celu otrzymania rozgrzeszenia, istniała nietylko w IV i III wieku, nietylko w katakumbach, ale nauczana była przez Doktorów Kościoła, wypełniana przez wiernych, a przez wszystkich uważana jako Boska, potrzebna instytucja, jako przepis absolutnie obowiązujący: Wierzący mogą pobieżnie przejrzeć cytowane przez nas teksty. Ale usilnie proszę tych, którzy szukają światła, by chętnie i śmiało zabrali się do przeczytania tych rozwlekłych cy-

¹⁾ Hinkmar, arcybisk. z Reims. Zaznacza zwyczaj wielkich panów, mających przy sobie jałmużnika, ażeby w razie grożącej śmierci mogli się przed nim wyspowiadać, a także polecenia, przez innych czynione dzieciom i domownikom, aby natychmiast sprowadzali kapłana, gdy tylko zachorują.

²⁾ Karol Wielki. Oto jedno z jego rozporządzeń: „Niech każdy wódz w wojsku ma przy sobie kapłana, któryby mógł spowiadać jego żołnierzy”. (Carol. Magni Capit. eccl., c. 3.)

³⁾ Święty Grzegorz Wielki. „Ile jest pewnem, że powinno się wyjawiać każdy swój grzech na Spowiedzi, tyle jest oczywiście, że nie powinno go się zwiększać kłamstwem. Trzeba go wyznać tak, jak jest. Grzeszniku, idź, wyspowsiadaj grzech twój, nie staraj się umniejszyć go”. (Comm. in I Reg. et in Joan.)

⁴⁾ Święty Leon. „Zabraniam, by zmuszano do publicznego odczytywania szczegółowych zeznań wszystkich grzechów, jakieby grzesznicy spisywali na papierze. Gdyż wystarcza, by odkryć przed kapłanem zapomocą tajnej spowiedzi grzechy, którymi się zawiniło”. (Epist. 136 ad Ep. Campan.)

tat, jeżeli chcą nabrać zupełnie pewnego przekonania co do tego wiekiego zagadnienia, w którym chodzi o śmierć lub życie chrześcijanina.

IV wiek.

1-o Św. Augustyn. „Niech każdy grzesznik, chcący się pojednać z Bogiem, idzie do kapłanów, przez których klucze Kościoła będą dlań zastosowane; niech przyjmie od sprawujących Sakramenta sposób czynienia pokuty: a niech się pilnie wystrzega, by przez fałszywy wstyd nie powiększył zgubnej swej rany¹⁾. I jeszcze: „Ten, który się nie spowiada, jest przeto niemniej obciążony długami, tylko te długi nie zostaną mu odpuszczone. Leczy nas najpierw Spowiedź, a potem żywot skromny i pokorny, modlitwa z wiarą, skrusza serca i łyżeczere, płynące z głębi serca. Spowiedź uzdrawia nas prawdziwie²⁾. „Bardzo zuchwały jest ten chrześcijanin, który, dopuściwszy się grzechów śmiertelnych, ośmiela spodziewać się zbawienia bez uciekania się do kluczy Kościoła, przez które tylko rozwiązany na ziemi będzie mógł być rozwiązany i w niebie.“ — „Niech żaden grzesznik nie mówi sam do siebie: Zgrzeszyłem potajemnie; potajemnie też moją sprawę przed Bogiem przeprowadzę, wystarczy, bym w sercu płakał, a Bóg, który wszystko widzi, przebaczy mi; gdyby wystarczało spowiadać się Bogu, to Jezus Chrystus napróżno byłby rzekł do Apostołów: „Cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie³⁾. — „Naturalnem jest, byś był smutnym przed Spowiedzią; ale raduj się po Spowiedzi; będziesz uzdrowiony. Sumienie twoje zalane było zepsutą krwią; wrzód zebrał, męczył cię; nie mogłeś znaleźć spoczynku. Kapłan jest lekarzem, wypalającym lub wycinającym ranę swoim słowem. Uznaj rękę lekarza. Wy-

spowiadaj się. Niech przez Spowiedź zgnilizna ta usunięta będzie! Wtedy ciesz się i raduj; reszta z łatwością da się uleczyć⁴⁾. Można by przytoczyć inne teksty św. Augustyna, ale te wystarczą. Wszystko tu jest: Spowiedź, jej charakter sakramentalny, jej konieczność, jej skutki cudowne; obowiązek czynienia jej nie przed Bogiem jedynie, ale przed kapłanem, nie lękając się wstydu. Czegoż tu brakuje?

2-o Św. Hieronim. Jeżeli kto, potajemnie ukąszony przez szatana, trwa w milczeniu i nie czyni pokuty i nie chce wyznać rany swej przed tym Bratem i tym Mistrzem, który ma słowa uzdrowienia, nacóż oni mu służyć będą? Nacóż się zda lekarz, jeżeli chory wstydzi się pokazać mu swoją ranę? Sztuka lekarska nie leczy, czego nie zna⁵⁾. — Tak, jak w Starym Zakonie kapłan orzekał, czy trędowaty jest czysty, czy nieczysty, tak podobnie i teraz biskup lub kapłan rozwiązuje lub związuje. Nie żeby czynił człowieka winnym lub niewinnym, ale z mocy swego urzędu, poznaawszy różność grzechów, orzeka, które mają być odpuszczone, a które nie⁶⁾. — Czyż w tych dwóch ustępach nie jest oczywista Spowiedź sekretna, szczególnie, czyniona przed kapłanem.

3-o Św. Ambroży. Najpierw podajmy króciutki opis, jaki sekretarz biskupa daje o nim: „Za każdym razem, gdy jaki grzesznik przychodził spowiadać przed nim swoje grzechy, aby za nie pokutować, biskup tak płakał, że zniwalał do płaczu grzesznika; tak, że można było wziąć biskupa za winowajcę⁷⁾. — Teraz posłuchajmy, co ten święty mówi o Spowiedzi: „Pokaż się lekarzowi; przedstaw mu swoją ranę, aby cię mógł uleczyć. Bóg zna bezwątpienia twój grzech, ale chce, byś go wyznał

¹⁾ August. Serm. 151. Nr. 9.

²⁾ Serm. 351.

³⁾ Serm. 392.

⁴⁾ In Psalm. LXVI.

⁵⁾ In cap. X Eccles.

⁶⁾ In XVI Matth.

⁷⁾ Baunard. Hist. des saint Ambroise, p. 62.

własnymi usty". — „Nie czekaj, by cię oskarżono; jeśli się sam oskarżysz nie będziesz się obawiał innego oskarżyciela, gdyż pokorne wyspowiadanie grzechów uwalnia nas od wszystkich naszych przestępstw." — „Nikt nie może mniemać, że jest z grzechu usprawiedliwiony, jeżeli się z niego poprzednio nie wyspowiadał. Grzechy odpuszczone są przez Boga, którego kapłan jest tłumaczem i jakby wykonawcą. Są one odpuszczone przez kapłana mocą jego świętego urzędowania¹⁾". — I na koniec: „Nie w swoim to imieniu kapłan odpuszcza grzechy, ale w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego²⁾".

4-o Św. Jan Złotousty. „Kapłanom powierzona została władza, jakiej dobry Bóg nie powierzył ani aniołom, ani archaniołom, bo nie do nich to powiedział: Cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech. Książęta ziemscy mają moc wiązać i rozwiązać, ale tylko ciała; kapłani sami mogą wiązać i rozwiązywać dusze, a ich władza aż do samych niebios sięga; tak, że co czyni kapłan, sam Bóg zatwierdza w niebie³⁾". — „Spowiadając się z popełnionych przez nas grzechów nie powinniśmy się wstydzić człowieka, ale jedynie bać się Boga. Jednakowoż widzę, że się dzieje przeciwnie. Nie lękamy się Tego, który nas sądzić kiedyś będzie, a drżymy w obecności tych, którzy nam nie mogą nic złego uczynić, i boimy się wstydu, jaki spotkałby nas wobec nich. Niebezpieczna to bojaźń, gdyż ten, kto wstydzi się wyjawić przed człowiekiem grzechy, których nie lęka się popełniać przed Bogiem, i nie chce się z nich spowiadać, ani za nie czynić pokuty, będzie w ostatni dzień sądzony nie przed jedną lub dwoma osobami ale w obecności świata całego⁴⁾". — „Grzeszniku, dla-

czego wstydzisz się wyspowiadać z grzechów swoich? Nie wyznajesz ich przed człowiekiem, któryby je publicznie wyjawiał; nie przed kolegą, który gotów byłby przytłoczyć cię hańbą; wyznajesz je przed Tym, który jest sam Panem, przed Tym, który ma pieczę o tobie, który jest litościwy, który jest lekarzem; Jemu to pokazujesz rany swoje¹⁾". — Ach, jakkolwiek wielkimi byłyby zbrodnie wasze, jest na nie lekarstwo, jeżeli pośpieszycie do Spowiedzi, jeżeli okażecie rany wasze temu lekarzowi, który opatruje, a nie czyni wyrzutów, i jeżeli wyjawicie wszystko jemu samemu bez obecności kogo innego, gdyż Spowiedź grzechów jest ich zniszczeniem²⁾".

5-o Św. Anastazy Synaita. „Grzeszniku, idź, wyspowiadaj wszystkie twoje grzechy Jezusowi Chrystusowi w osobie kapłana." — „Mając ręce brudne, nie śmielibyście dotknąć rąk króla ziemskiego. Jakże więc śmiecie przyjmować Króla królów z sercem splamionem grzechami? Spowiadajcie się zatem z waszych grzechów Chrystusowi za pośrednictwem kapłanów, a nie dajcie się wstydem zatrzymywać, gdyż jest wstyd, który srowadza chwałę i łaskę³⁾".

6-o Św. Bazyli. „Koniecznym jest potrzebą jest spowiadać się z naszych grzechów przed tymi, którym powierzone zostało szafarstwo boskich tajemnic. Ale czy jest się także obowiązany, usuwając wszelki wstyd na stronę, wyznawać je przed wszystkimi? Czy to dosyć wyznać je przed kilkoma? a w takim razie przed jakimi osobami i w jaki sposób? Odpowiadam: Ze Spowiedzią jest tak, jak z ujawnieniem chorób ciała. Jak się nie odslania chorób ciała przed wszystkimi, ale tylko przed

¹⁾ Ibid., ibid 429.

²⁾ Libr. de Spir. Sanc., cap. XIX.

³⁾ De Sacerdot lib. II, c. III.

⁴⁾ Homil. XXIII in Joan.

¹⁾ De Lazar., cons. IV, n. IV.

²⁾ Homil. XX in Genes. II, III.

³⁾ De sacra Sinax., in Actuar. Combesis, t. I p. 800.

tymi, którzy znają naukę i sztukę leczenia, tak samo nie powinno się spowiadać ze swoich grzechów jak tylko przed tymi, którzy mają władzę zmazania ich. Grzechy mają być wyznane przed tymi, którym powierzony został urząd sprawowania tajemnic Chrystusowych¹⁾.

7-o Św. Atanazy. „Zbadajmy, czy wszystkie nasze więzy są zerwane. Jeżeli nie, oddajmy się w ręce uczniów Jezusa Chrystusa. Tylko oni mogą nas rozwiązać, z mocy władzy, jaką otrzymali od Zbawiciela, gdy rzekł: Cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech²⁾).

8-o Św. Jakób z Nizybis. „Nie wypada, by grzesznik wstydził się wyznać swoje występki i prosić o lekarstwo pokuty; bo ten, kto się wstydzi odkryć swoje rany przed lekarzem, naraża się na to, że się one powiększą i przejdą w zgniliznę i w gangrenę... A wy, kapłani, którzy w charakterze uczniów naszego wspólnego Lekarza, Jezusa Chrystusa, posiadacie moc leczenia dusz, jeżeli ujrzyte, że kto doznaje wstrętu do wyjawienia swojej choroby, upominajcie go, zachęcajcie by jej przed wami nie ukrywał. A skoro ją wam odsłoni, strzeżcie się starannie nie wydać tego publicznie³⁾.

9-o Św. Grzegorz z Nazjanzu. „Ach! jak szczęśliwi będziemy, biskupi i kapłani, jeżeli w tych dniach Wielkiejnocy przyprowadzimy do Pana nie tylko tych, którzy przez Chrzest zostaną w innych ludzi przemienieni, ale i tych, którzy w tym samym czasie wracają ze śmierci do życia przez Pokutę i Spowiedź⁴⁾. — „Odważy, przyjacielu, idź, ukaż kapłanowi grzechy twoje ze szczerością, z jaką się pokazuje rany

¹⁾ In regul. Brev. interrog. 228 et 229.

²⁾ Serm. XII.

³⁾ Serm. VII, part. II.

⁴⁾ Epistol. ad Episc. Mitylen. Bibl. P. P. t.

swe lekarzowi. Niczego się nie lękaj; kapłan jednakową pieczęć mieć będzie o twoje uzdrowienie jak i o twoją cześć¹⁾.

10-o Św. Hilarjusz z Poitiers. „W celu utrzymywania dusz w zbawiennej bojaźni, Jezus Chrystus rozpoczął od ustanowienia tego najwyższego, niezachwianego trybunału surowości apostołskiej, przez który wszyscy, co dali się uwikłać w więzy grzechów, i wszyscy, którzy z nich rozwiązani będą, to jest ci, którzy skutkiem Spowiedzi dopuszczeni zostaną do przebaczenia, będą z mocy tego apostołskiego wyroku związani lub rozwiązani w niebie²⁾.

Zatrzymajmy się już na tych dość licznych przytoczeniach i zadajmy ludziom dobrej woli i poważnie szukającym prawdy jedno tylko pytanie: czy w IV wieku żyje, istnieje Spowiedź; Spowiedź konieczna, tak bardzo obowiązująca, że bez niej niema żadnej nadziei uleczenia i zbawienia? Czy w naszym wieku inaczej przemawiają z kazalnicy naszych, jak to czynili św. Augustyn w Afryce, św. Ambroży w Medjolanie, św. Jan Złotousty w Konstantynopolu, św. Atanazy w Aleksandrii, św. Hilary w Poitiers? Oświecone sumienie i dobra wola odpowiadają: Te same są słowa, gdyż ta sama jest wiara.

III wiek.

Zagłębmy się teraz w ciemności III i II wieku, a za nim ocenimy przytaczane teksty, zapamiętajmy trzy rzeczy: 1-o zniszczenie skutkiem prześladowań większości pisanych dokumentów z tych pierwszych czasów; 2-o prawo, nakazujące tajemnicę z obawy nieuniknionej profanacji i szyderstwa i nie pozwalające wspominać tak o Spowiedzi, jak i o świętej Eucharystji; 3-o istnienie Spowiedzi publicznej, przy której bladła Spowiedź sekretna. Stwierdzonem jest jednak, że Spowiedź sekretna zawsze poprzedzała Spowiedź publiczną i tę ostatnią do-

¹⁾ Orat. in Mulier, paccatr.

²⁾ Canon. in Matth.

piero nakazywała i stanowiła. Wyświeciwszy te punkty, przystąpmy do tekstów, które teraz zupełnie jasnymi się staną.

1-o Św. Cyprjan. „Jak godni pochwały są ci, którzy, nie złożwszy ofiar bałwanom, za samą jednak myśl o tem idą poprostu i z boleścią do kapłanów Pańskich wyświadczać się z tego grzechu; odkrywają przed nimi sumienie i proszą o odpowiednią pokutę. Błagam was, najmiłsi bracia, niech każdy z was, dopóki jest jeszcze w tem życiu, idzie wyświadczać się z występków swoich, bo Spowiedź tylko tu może być przyjęta, tu, gdzie pokuta czyniona i odpuszczenie otrzymane od kapłanów mogą być Bogu miłymi¹⁾”. Na innym miejscu św. Cyprjan opowiada historję młodej dziewczyny, która popełniwszy grzech bałwochwalstwa, natychmiast przez Boga ukaraną została za to, że ośmieliła się przyjąć świętą Eucharystję, nie wyświadcawszy się ze swego występkę, i dodaje, że wielu innych surowo i w różne sposoby ukaranymi byli przez Boga za niesповідanie się z grzechów i nieczynienie pokuty²⁾).

2-o Orygenes. „Ci, którzy mają żołądek przepętlony niezdrowemi pokarmami, nie mogą doznać ulgi, dopóki ich nie zwymiotują. Tak samo jest z grzechem. Dopóki ukrywają i w sobie zatrzymują grzech, są niejako dławieni i duszeni przez to zło. Ale zaledwie postanowią stać się własnymi oskarżycielami, skoro tylko oskarżą się i wyświadcą, natychmiast zrzucą swe zbrodnie i odrzucają nazewnątrz nawet przyczynę choroby³⁾”. — „Jeżeli spowiadamy się z grzechów naszych nie tylko przed Bogiem, ale i przed tymi, którzy mogą opatrywać nasze rany, wtedy grzechy nasze będą zmazane przez Tego, który powiedział: „Rozproszę nie-

¹⁾ Lib. de Lapsis.

²⁾ De lapsis.

³⁾ Homil. II in Psalm. XXXVII.

nawisć twoją jako mgłę, a grzechy twoje jako obłok¹⁾”. — „Ci, którzy nie są świętymi, umierają w grzechach; ale ci, co są świętymi, żałują za swoje winy, czują rany swoje, nie osłaniają przed sobą swoich upadków, szukają kapłana i starają się oczyścić za jego pomocą²⁾”. — „Skoro znajdziesz tego człowieka, tego lekarza, mądrego i współczującego, jakkolwiek dałby ci radę, iść za nią winienes. Jeżeli on osądzi, że twoja choroba jest tej natury, że ją się powinno publicznie wobec całego Kościoła wyjawić, aby przez to drudzy byli zbudowani, a ty sam łatwiej uleczony, jest to rzecz, którą trzeba z wielką rozważą przeprowadzić i tylko za radą doświadczoną takiego lekarza³⁾”.

I tu także, w tych tekstach św. Cyprjana i Orygenes jest mowa o Spowiedzi; o Spowiedzi z grzechów nawet myślą popełnionych; o Spowiedzi sekretnej, odbywanej przed kapłanem, a która może stać się publiczną, jeżeli kapłan tego wymagać będzie, ale która nie może być publiczną jak tylko wtedy, gdy kapłan po głębokiem rozważaniu na nią się zgodzi.

II wiek.

1-o. Tertuljan. „Spowiedź z grzechów jest o tyle skuteczną dla ich zmazania, o ile ukrywanie takowych dla ich zwiększenia. Spowiedź jest myślą zadosyćczynienia — ukrywanie myślą trwania w nich. Ta druga pokuta, jedyna, która zostaje (po Chrzcie), nie powinna odbywać się tylko w tajnikach sumienia, ale także przez akt zewnętrzny. Ten akt zewnętrzny to Spowiedź, Exomologeza według greckiej nazwy, przez którą wyznajemy nasze grzechy Bogu, nie jak komuś, który o nich nie wie, ale sposobem zadosyćczynienia. Exomologja jest upokorzeniem się człowieka; stawia go w postawie

¹⁾ Homil. XVII in Luc.

²⁾ Homil. X in Num.

³⁾ Homil. II in Levit.

wzywającej nań zmiłowania Boga." — MoŜnaby sądzić z tych słów Tertuljana, że wystarcza spowiadać się Bogu samemu. Wielki Doktor tłumaczy to jaśniej: „Wielu grzeszników, bardziej zajętych swym wstydem niż uzdrowieniem, stara się uniknąć tej Spowiedzi, lub ją opóźnić. Są to chorzy, którzy nie śmiąc odsłonić tajemnych swych chorób lekarzowi, zginą raczej, niż się zgodzą na trochę wstydu. Ale czyż to zbyt wiele ta odrobina wstydu, gdy idzie o zadosyćuczynienie Panu, którego się obraziło? Piękna wstydlivość zaprawdę, co nosi głowę wysoko, gdy chodzi o oczyszczenie złego, a jest nieśmiałą wtedy tylko, gdy idzie o jego naprawienie!" — „A zresztą jak wielką to i piękną korzyść obiecuje wstydowi ukrywanie występku! Przez zamilczenie możemy ukryć sumienie nasze przed człowiekiem, ale nie możemy zasłonić go przed Bogiem. A na co się nam przyda zachowanie szacunku ludzkiego, jeżeli stracimy szacunek u Boga? Czyż nie lepiej odkryć nasze sumienie i otrzymać rozgrzeszenie, niż milczeć i być potępionym?"¹⁾ — „Widząc więc, iż utraciwszy łaskę, jaką otrzymałeś przy obmyciu przez Pana (Chrzest), nie masz innego sposobu uniknięcia piekła jak Spowiedź, dlaczego gardzisz tym środkiem zbawienia? Dlaczego wahasz się użyć odważnie lekarstwa, które jedynie uzdrowić cię może? Wiele zwierząt, chociaż pozbawionych rozumu, umie poznać lekarstwa cudownie dla nich zgotowane, a grzesznik zaniedbałby Spowiedzi, która przez Pana ustanowiona została, aby mu zdrowie przywrócić!"²⁾

2-o. Św. Ireneusz. Mówiąc o niewiastach, które słynny oszust Marek uwiódł zapomocą czarów i zaklęć, św. Ireneusz dzieli je na trzy kategorie: Jedne, powracając do Kościoła, spowiadały się z tego, że dały się zepsuć i unieść szaloną miłością ku uwodzicielowi;

¹⁾ De Poenitentia, cap. IX.

²⁾ De Poenitentia, cap. XII.

drugie nie zadowolniając się Spowiedzią sekretną, spowiadały się jeszcze publicznie; nareszcie były takie, które przez wstyd uchylały się od Spowiedzi, trwały upornie ukrywaniu grzechów i wkońcu oddając się rozpacz, ginęły³⁾.

3-o. Św. Klemens, drugi następca św. Piotra, wymieniony w listach św. Pawła. „Niech wierni powracają do Boga, dopóki są jeszcze przy życiu w swoim cielesie, bo, gdy się z tego świata zejdzie, nie można się już spowiadać ani pokutować⁴⁾).

4-o. Święty Jakób Apostoł. „Spowiadajcie się tedy jedni drugim grzechów waszych⁵⁾. (A nie przed Bogiem tylko.) Jedni drugim, jak to jest powiedziane w liście do Efezów (V, 21): Będąc poddanymi jedni drugim, to jest, niżsi przełożonym, a nie obustronnie.

5-o. Święty Jan Apostoł. „Jeśli byśmy się spowiadali grzechów naszych, Bóg wierny jest i sprawiedliwy, aby nam odpuścił grzechy nasze i oczyścił nas od wszelkiej nieprawości⁶⁾).

6-o. Święty Łukasz w Dziejach Apostolskich: „A wiele wierzących przychodziło, spowiadając się i opowiadając uczynki swoje". — Po spowiedzi następuje zadosyćuczynienie: „I wiele z tych, którzy się dwornością parali, zniesli księgi i popalili przed wszystkimi⁷⁾).

Katakumby.

Zanim dojdziemy do Jezusa Chrystusa i Jego uroczystych słów, ustanawiających ten Sakrament, musimy jeszcze zstąpić do katakumb, aby zobaczyć, jak tam prakty-

³⁾ Advers. Haeres. lib. I. c. IX.

⁴⁾ II Cor. VIII.

⁵⁾ Jac. V, 16.

⁶⁾ Joan. I, 9.

⁷⁾ Act. Apost. XIX, 18. 19.

kowaną była Spowiedź sekretna i przyrzec się penitentowi, klęczącemu u stóp spowiednika. Nie jest to teraz niemożliwym.

Niedawno odkryto w katakumbach siedzenia, których kształt i położenie nie dadzą się inaczej wytłumaczyć, jak tem, że były to rodzaje konfesjonałów. Są one umieszczone przy zejściu się dwóch ścian, w samym kącie. W każdej kaplicy jest takich parę, jedno lub dwa po stronie mężczyzn i tyleż po stronie niewiast.

Co to są za siedzenia? Oczywiście nie krzesła biskupie; te zazwyczaj bywają okazalsze i z a w s z e umieszczone w głębi absydy. Niema ich też więcej jak j e d n o wprost ludu, otoczone ławkami dla kapłanów i niższych kościelnych pomocników.

Siedzenia, o których mówię, zdają się swoim odosobnieniem wskazywać, że nie służyły do jakiejś ogólnej ceremonji, w której brałby udział lud cały, ale przeciwnie, do aktu indywidualnego, spełnianego zdala od hałasu i spojrzeń.

Umieszczenie ich w kątach nie pozwalało klęknąć obok nich ani na prawo, ani na lewo, gdyż zaraz wznosiła się ściana. Penitent musiał klęczeć przed kapłanem z głową do jego kolan pochyloną.

Dziś jeszcze w Sycylii, Neapolu i w wielu włoskich miastach konfesjonały są zupełnie otwarte; niewiasty tylko spowiadają się przy kracie z prawej lub lewej strony; natomiast mężczyźni klękają przed kapłanem, kładąc ręce, a niemal i głowę na jego kolanach, tak, jak to bywało w pierwotnym Kościele.

Tę to postawę, pełną pokory, odmalował Tertuljan w owem słynnym wyrażeniu: *Presbyteris ad volvi, Caris Dei ad geniculari*¹⁾; i stąd też poszła jedna z najohydniejszych potwarzy pogańskich, która jednak może posłużyć do stwierdzenia prawdy.

¹⁾ Tertul., de Poenitentia, cap. IX.

Jakkolwiek katakumby osłonięte były głęboką tajemnicą, zawsze cośkolwiek przedostawało się z nich najaw przez niedyskrecję jednych, przez zdradę drugich, a wyobraźnia pogan malowała tę niepewną jawę wstrętnymi barwami. I tak opowiadano sobie, że podczas ceremonji chrześcijan przynoszono na ołtarz dziecię, obsypywano je mąką, zabijano, a obecni dzielili się jego członkami i jedli je. Wyrażna to aluzja do tajemnicy przenajświętszej Eucharystji, gdzie Boskie Dzieciątko pod postacią chleba jest ofiarowane i spożywane przez wiernych. Mówiono także, że chrześcijanie klękali przed swymi kapłanami i cześć oddawali częścią ich wstydlwym!). Skąd mogła powstać tak ohydna potwarz? Nic niema ani w świętej ofierze Mszy, ani w żadnej innej ceremonji, coby mogło dać do niej powód, nic prócz Spowiedzi. Widocznie jakiś poganin ujrzał skupionych chrześcijan, klęczących pokolei przed kapłanem i pochylających głowę ku jego kolanom; zgadza się to z jednej strony z postawą opisaną przez Tertuljana, a z drugiej z układem siedzeń, o których mówimy.

„Uwagi dopiero co przeczytane, mówi M-gr Gerbet, nie roszczą prawa do zupełnej pewności; ale już to jest godne zapamiętania, że w XIX stuleciu odnaleziono prawdopodobnie konfesjonały z II lub III wieku. Gdybym był protestantem (lub niewierzącym) owo prawdopodobieństwo zaniepokoiłoby mnie trochę”²⁾.

V.

Dochodzimy nareszcie do Jezusa Chrystusa. Pytają się, kto ustanowił Spowiedź. Oto jest. To Ten, którego prorok ukazał światu, mówiąc: Oto Baranek Boży, oto który gładzi grzechy świata³⁾. To Ten, który mówił: Iżbyście wiedzieli, że moc

¹⁾ Minut. Felix. Octav. IX.

²⁾ Gerbet, Esquisse de Rome chrétienne, t. II, p. 134.

³⁾ Joan. I, 29.

ma Syn Człowieczy na ziemi odpuszczać grzechy¹⁾. Ten, który wyciągając rękę do ubogich, do chorych, aby podnieść ich dusze ponad cierpienia ciała, mówił do nich: Idź w pokoju... Odpuszczają się tobie grzechy²⁾. To Ten, który słysząc rzeszę zdumioną i zgorszoną: Któż może odpuścić grzechy, jeno sam Bóg? — nie lękał się odwołać do cudu, aby przezeń stwierdzić rzeczywistą boską swą władzę³⁾. To Ten wreszcie, który przed opuszczeniem ziemi, chcąc utrwalić i rozszerzyć moc daną Mu od Ojca, ustanowił Sakrament Pokuty, Spowiedź sakramentalną, a ustanowił wśród tak uroczystych okoliczności, słowami tak wzniosłymi i wspaniałymi, że niesposób nie dojrzeć tu Syna Bożego, działającego jako Bóg i ustanawiającego w Kościele swoim coś boskiego: Dwa razy powracał do tego tak, jak i do Przenajświętszej Eucharystji. Najpierw obiecał Sakrament pojednania dusz; później uroczysto go ustanowił.

Nie będę mówił o słowach obietnicy⁴⁾; są one zresztą takie same, jak słowa ustanowienia; przystępuję odrazu do tych ostatnich, do wielkiej chwili, gdy zostały wyrzeczone.

Było to nazajutrz po Zmartwychwstaniu. Apostołowie zamknięci byli z bojaźni przed Żydami. Nagle, choć drzwi się nie otworzyły, Jezus stanął pośród nich. Rzekł im: Pokój wam. A iżby stwierdzić tożsamość swojej Osoby, ukazał im rany na rękach i bok przebity. Św. Jan opowiada, że gdy Apostołowie poznawszy Go i już nie wątpiąc o Nim, napełnieni byli radością, Jezus rzekł do nich: Pokój wam. Jako mię posłał Ojciec, i ja was posyłam. To powiedziawszy, tchnął na nich i rzekł im: „Weźmijcie

¹⁾ Matth. IX, 6.

²⁾ Luc. VII, 48.

³⁾ Luc. V, 21, 24.

⁴⁾ Matth. XVIII, 18.

Ducha Świętego, których odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane¹⁾). To rzekłszy, Jezus znika. Nic innego niema w tem ukazaniu się; niema tu innego celu.

O cóż więc idzie? Jako mię posłał Ojciec, i ja was posyłam. Jakiż to wstęp! więc to, co dalej mówić będzie, tyczyć się ma posłannictwa, jakie otrzymał od Ojca! Tak, to samo uświęcające i odkupujące posłannictwo przelewa On niejako na swoich uczniów, On skończył, oni je mają dalej prowadzić.

Potem głos podnosząc mówi: Weźmijcie Ducha Świętego. Nacóż to? Iść tu musi o rzeczy bardzo wielkie, przechodzące o wiele ludzkie siły! a zatem nie może się to stać bez współdziału Nieba! Bóg musi tu być obecnym! Weźmijcie Ducha Świętego.

I cóż to Jezus czynić będzie? Czy rzecz drobnej wagi? Czyż wtedy możnaby zrozumieć tę uroczystość przygotowania ze strony najprostszego z ludzi? Czyż nie musimy przeciwnie spodziewać się czegoś wielkiego, znakomitego, co jedynie odpowiadałoby takiemu początkowi?

Weźmijcie Ducha Świętego. Jeszcze raz, o Zbawicielu mój, pytam, naco? Których odpuścicie grzechy, są im odpuszczone; a których zatrzymacie, są zatrzymane. Ach, teraz rozumiem. Któż może odpuszczać grzechy, jedno sam Bóg, mówili Żydzi. Weźmijcie Ducha Świętego, odpowiada Jezus Chrystus, abyście z Nim i w Nim mogli spełnić tak wielkie posłannictwo. Zapytuję teraz każdego dobrej woli, poważnie się zastanawiającego człowieka, czy Jezus Chrystus mógł rzec: Jako mię posłał Ojciec i ja was posyłam, czy mógł powiedzieć: Weźmijcie Ducha

¹⁾ Jcann. XX, 21, 23.

Świętego, gdyby następujące potem słowa: których odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone, były słowami banalnemi, nic nie znaczącemi; gdyby nie miały wielkiego, wzniosłego znaczenia, jakie im Kościół zawsze nadawał? To jest więc pierwszy pewny punkt: Jezus Chrystus chciał dać i dał Kościołowi swemu moc odpuszczania grzechów.

Jednakowoż możnaby jeszcze nad tem dyskutować, gdyby nic więcej nad te słowa nie było; ale uważmy, co Jezus Chrystus dodaje: A których zatrzymanie, są zatrzymane. Zatem nie wszystkie grzechy będą odpuszczone, będą zatrzymane. Trzeba więc będzie wybierać, trzeba będzie rozpoznawać, rozróżniać. A jakże to uczynić, jeżeli ten, kto owe grzechy popełnił nie wyzna ich sam? Czyż wymagane będzie śledztwo? Ale jakże ono wstrętnem będzie, jeżeli chodzi o grzechy jawne, a jak bezużyteczne, niemożliwe, jeżeli idzie o grzechy skryte! Jeden jest tylko sposób odpuszczenia lub zatrzymania grzechów, przebaczenia ich lub nieprzebaczenia ze znajomością rzeczy, a to, by je wyjaśnił ten, co je popełnił.

Może powiecie, że takie wyznanie jest dobre, zbawienne, ale nie jest obowiązujące; że Jezus Chrystus dał swoim kapłanom władzę odpuszczania grzechów, ale nie nałożył na wiernych obowiązku uciekania się do nich. Mniemaniu takiemu brakuje rozwagi. Jeżeli Spowiedź ma być dowolna, nikt jej nie zechce. Jakto! mogąc otrzymać przebaczenie grzechów, okrywających mię wstydem, jeżeli tylko w skrytości duszy oskarżę się z nich przed samym Bogiem; a nie będąc niczem do tego zmuszonym, miałbym je dobrowolnie wyjawiać przed kapłanem i rumieńcem wstydu oblewać się u stóp jego? toż to niedorzeczność. Zresztą kapłan będzie może rozprawiał ze mną; może będzie wymagał jakiegoś zadosyćuczynienia, restytucji, jakiegoś rozłączenia, a jeśli tego odmówię, on odmówi mi przebaczenia: a których zatrzymanie, są zatrzymane. Przeciwnie, Bóg przebacza zawsze;

Bóg niczego nie wymaga; z Bogiem można się ułożyć. Stanowczo tylko przed Bogiem będę się spowiadać.

W ten sposób Jezus Chrystus stworzyłby wielką niby instytucję; uroczyste zaprowadziłby ją, mówiąc do Apostołów: Jako mię posłał Ojciec i ja was posyłam; tchnąwszy na nich, powiedziałby: Weźmijcie Ducha Świętego. Których odpuszcicie grzechy są im odpuszczone, i powtarzam, przez takie postępowanie, przez tak uroczyste słowa zdawałby się chcieć coś uczynić wielkiego, a w rzeczywistości nicby nie zdołał. Jeżeli Spowiedź jest dowolna, jeżeli nie obowiązkowe jej odbywanie, to Jezus Chrystus nic tu nie uczynił, nic w owej chwili nie ustanowił. Udzielił swoim kapłanom władzy próżnej, niepotrzebnej, skoro można zupełnie bez niej się obejść. Ustanowiłby w takim razie jakąś śmieszną, honorową Spowiedź, i tylko głupcy korzystaliby z niej chyba. Czyż można coś podobnego pomyśleć o Istocie nie tylko najwznioślejszej ze wszystkich istot, posiadającej najgłębszą intuicję i bezgraniczną wiedzę, ale będącej jeszcze Bogiem, Synem Przedwiecznym Boga.

VI.

Jedna tylko rzecz może uwolnić od Spowiedzi: doskonała skrucha, miłość, posunięta do najwyższego stopnia, bo miłość zmazuje wszystko. Miłość zaciera wszystkie czy najlżejsze, czy największe plamy a zaciera dokładniej niż wszelka zewnętrzna ceremonia, wszelkie wyznanie, rozgrzeszenie. Ktokolwiek kocha, jest czysty, i nawet rozgrzeszenie nie jest bardziej oczyszczające niż miłość. Lecz, o dziwo! miłość zamiast uchylać się od Spowiedzi, szuka jej. W miłości zawarte jest pragnienie Spowiedzi. Ci jedynie unikają Spowiedzi, roztrząsają jej potrzebę, którzy nie miłują. Dla miłości nie jest ona nigdy dość upokarzająca, dość zupełna. Ach! jak cierpię, obraziwszy ukochanego! Byłoby ulgą dla mnie móc to

przed całym światem wyznać. Dawidowi, gdy zgrzeszył, nie wystarczało płakać i rumienić się ze wstydu w skrytości domu swego i serca swojego: *Rugiebam a gemitu cordis mei*¹⁾. Niedosyć mu było polewać łzami łóżko swoje, niedosyć, że grzech jego stał zawsze przed jego oczyma, że dniem i nocą wyznawał go przed Bogiem; potrzeba mu było, by cała ziemia o nim wiedziała i by do ostatnich pokoleń wszyscy, znając zbrodnię Dawida, znali dobroć i miłosierdzie Boga, który mu przebaczył: *Quia apud Dominum misericordia, et copiosa apud eum redemptio*²⁾.

Gdy Magdalena ujrzała w Panu naszym nieskończoną świętość i tym widokiem podniesiona została z poniżenia i obrzydliwości występku życia, niedosyć jej było jęczeć w ukryciu; dąży ona do domu Szymona. Tam zgromadzeni są ci, których kochała, o których względy dbała, a których pogarda obecna czyni ją szczęśliwą. Wchodzi; mija ten tłum, który już jest dla niej niczem; pada na kolana u stóp Pana i łzami swojemi, swoją postawą mówi wszystkim, zanim jeszcze słowami Jezusowi powiedziała, że jest niegodną nędznicą, że zasługuje na całą wzgardę, jaką ją obrzucają faryzeusze, ale że jej ta wzgarda jest obojętną, gdyż ona miłuje.

Z takiego to uczucia zrodziła się za czasów pierwotnej żarliwości Spowiedź publiczna, której rozgłos w cień na chwilę usunął Spowiedź sekretną. To samo też uczucie tworzy i utrzymuje w zgromadzeniach zakonnych wyznawanie publiczne win i publiczną za nie pokutę. Nieomylny to znak: gdy miłość wzrasta, rodzi się pragnienie publicznej Spowiedzi. Ale Spowiedź czy sekretna, czy publiczna, zawsze była potrzebna. Nigdy nie otrzymywano odpuszczenia grzechów przed ich wyznaniem i zadosyćuczynieniem.

¹⁾ Ps. XXVII, 9.

²⁾ Ps. CXXIX, 7.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Spowiedź (ciąg dalszy).

Boska architektura Spowiedzi.

Jeżeli boskie pochodzenie Spowiedzi ukazuje się przy badaniu składających ją pierwiastków i sposobu, w jaki ją Jezus Chrystus ustanowił, jeszcze lepiej się je dostrzeżę, rozpatrując jej wewnętrzny układ, to co ośmieliłem się nazwać jej architekturą. Spowiedź jest rzeczywiście tak dobrze dopasowana do duszy ludzkiej, tak dokładnie odpowiada najszlachetniejszym jej potrzebom z jednej strony, a z drugiej jej ranom najboleśniejszym, że im więcej się ją bada, tem silniejszego nabiera się przekonania, że nie mogła być ustanowioną jak tylko przez Tego, który stworzył duszę ludzką.

De Maistre mówiąc o Spowiedzi, powiedział te słowa, dyktowane mu przez genialną intuicję: „Niema ani jednego dogmatu, ani jednej instytucji w Kościele katolickim, których korzenie nie sięgałyby do ostatnich głębin duszy ludzkiej”¹⁾. A ja dodałbym: „które nie odpowiadają w boski sposób najszlachetniejszym jej potrzebom”. Oto jedna strona Spowiedzi.

Jest jeszcze druga, o której można powiedzieć, używając takichże samych wyrazów: „Niema w Religii katolickiej ani jednego dogmatu, ani jednej instytucji, któraby łagodnie i w boski sposób nie dotykała ran duszy ludzkiej i nie leczyła ich, nie schlebiając im bynajmniej”. I to jest druga strona Spowiedzi.

¹⁾ De Maistre. Le Pape.

Gdy się przyglądamy duszy ludzkiej, takiej, jaką ją grzech uczynił, widzimy wyraźnie dwie jej części niejako: jedną zranioną i osłabioną, drugą jaśniejącą, niebiańską; tak samo, rozważając Spowiedź, widzi się wyraźnie dwie różne jej strony — bolesną i promienną. Zbliżamy się do niej z lękiem, odchodzimy przemienieni.

W Awinjonie jest słynny Chrystus na krzyżu. Rzeźbiarz chciał wyrazić na obliczu Chrystusa wszystkie smutki i wszystkie radości Jego świętej Duszy w chwili męki. Spoglądając z jednego boku, ujrzyś udręczenia i bólesci Jego konania i śmierci; ale gdy spojrzysz z drugiego boku, dostrzeżesz nadzieję i wesele zmartwychwstania. W arcydziele tem tak strony bolesna i radosna zlewają się doskonale, że patrząc na oblicze Chrystusa, ma się poczucie, że widzimy umierającego Boga, który zmartwychwstanie.

Twierdzę, że coś podobnego znajdujemy w Spowiedzi i spróbuję to wykazać.

I.

Nie wiem, czy w całej starożytnej literaturze jest coś równie głębokiego i poważniej pomyślanego, jak ustęp z Platona, który przytaczam. Piękny jego genjusz jaśnieje tu w całym blasku: „Jeżeli się popełniło jakąś nieprawość, trzeba się udać na miejsce, gdzie można będzie stosowną za to karę otrzymać i stanąć przed sędzią jako przed lekarzem. Tam trzeba się oskarżyć samemu i nie tając swojego występku, wyznać go jawnie, ażeby zostając ukaranym, odzyskać zdrowie. Trzeba gwałt sobie zadać, aby wznieść się nad wszelką bojaźń i oddać się w ręce sprawiedliwości z zamkniętymi oczyma i męznym sercem, tak jak się oddajemy w ręce lekarza, ażeby wycierpieć cięcia i wypalania nie zważając na ból, a pragnąc jedynie dobra i piękna; i to tak, że jeżeli popełniona wina zasługuje na plagi, to im się poddać, jeżeli na kajdany, to wyciągnąć ręce, by je nałożono; jeżeli na karę

pieniężną, to ją zapłacić; jeżeli na wygnanie, to się na nie skazać; jeśli na śmierć, to ją ponieść; być pierwszym w świadczeniu przeciwko sobie własnymi ustami, aby przez wyznanie występków swoich być uwolnionym od największego zła, od niesprawiedliwości¹⁾).

Zasada Spowiedzi wspaniale tu przeczyta przez poganina, krwawe jej oblicze mistrzowską odrysowane ręką. Spowiedź uczynioną została, by wyrwać grzech z duszy, by się go ona pozbyła. Zło musi koniecznie wyjść z duszy; jeśli w niej zostanie, zepsuje ją. Platon i to równie dobrze dojrzał: „Wszystko to trzeba czynić z obawy, by choroba niesprawiedliwości nie zadawniła się w duszy i nie sprowadziła ukrytej zgnilizny, którejby się nie dało już uleczyć¹⁾).

I tego jeszcze niedosyć; nie wystarcza, by grzech wyszedł z duszy. Trzeba, by dusza wypędziła go dobrowolnie, ochotnie. Bez tego uzdrowienie jest niemożliwe. Jeden zaś tylko jest środek, by wyrzucić grzech z serca, środkiem tym jest wyznanie. Człowiek, wyznając swój występki, wyrzeka się go, a wyrzekając się, zrywa z nim.

Podobnie się to dzieje, jak w życiu fizycznym. Nie można pozbyć się choroby, nie można odzyskać zdrowia, spokoju, dopóki się nie pozbędzie trucizny ciężącej na żołądku.

Pod tym względem kara nie może się równać z wyznaniem winy i nie zdoła takowego zastąpić. Kara spada z zewnątrz, jest poza duszą. Może przez bojaźń powstrzymać zbrodnię, ale nie niszczy jej zarodku. Często nawet przez gniew, jakim napełnia winowajcę, pogłębia zło w jego duszy, skąd przy sposobnej chwili wybuchnie ono gwałtownie.

Oto dlaczego matka, świadoma nawet winy dziecka, usiłuje nakłonić je, by samo ją wyznało. Trzeba, by dziecko osobiście zło z serca usunęło. Matka doń mówi: „Przysnaj się, nie ukarzę cię“. I ma słuszość, bo jeżeli otrzyma wyznanie podyktowane żalem, to i nacóż kara?

¹⁾ Platon, *Gorgias*, p. 480.

Dlatego to i sędziowie przywiązują wielką wagę, aby oskarżony wyznał swoją zbrodnię, i to nie z tego jedynie powodu, że pewniej będą mogli wydać wyrok potępiający. Usiłują wydobyć z winowajcy wyznanie wtedy nawet, gdy skazany on jest na podstawie jasnych świadectw; usiłują je wydobyć nawet w chwili, gdy on wstępuje już na rusztowanie, gdy wyznanie w niczem już zmienić wyroku nie może. Wyznanie to nie uratuje winowajcy, ale ulżyłoby publicznemu sumieniu i przeistoczyło karę.

Oto wreszcie, dlaczego we wszystkich religiach są uroczyste obrzędy zadośćuczynienia, zawierające publiczne wyznanie grzechów ludu; gdyż ród ludzki zrozumiał instynktownie, że nie można otrzymać przebaczenia, jeżeli się winy swej nie wyzna.

Zresztą to tak potrzebne wyznanie naturalnem jest dla duszy. Jak organizm pragnie pozbyć się zabijającej go trucizny, tak czyni i winowajca, by odnaleźć trochę pokoju. Czyni to czasem z niebezpieczeństwem i narażeniem siebie, przekładając wynikające stąd cierpienie nad dręczącą go moralną mękę. Wszak trafiają się nędznicy, zbrodniarze, którzy sami siebie przed władzami oskarżają, „i możnaby przytoczyć, mówi de Maistre, miłosierne prawodawstwa, dające w takich razach wysokim urzędnikom władzę łagodzenia kary bez uciekania się do łaski panującego“¹⁾).

Tak też uczynił Jezus Chrystus; dopomógł tej wrodzonej potrzebie wyznania. Posłużył się on siłą zadosyćczyniacą, za taką przez wszystkie ludy uznaną, i podniósł ją do godności Sakramentu. Wyznanie było ludzkim, On uczynił je boskiem; uczynił prawem porządku nadprzyrodzonego to, co leżało w porządku naturalnym. A iżby takiej instytucji niczego nie brakowało, ustanowił wysokich urzędników, zniewolonych do absolutnego milczenia, i dał im jedyną władzę: przebaczenia.

¹⁾ Du Pape, liv. III, ch. III.

II.

Jeszcze jaśniej ukazuje się przedziwna harmonja Spowiedzi z potrzebami i naturą grzesznego człowieka, gdy się zbliższa studjuje wewnętrzną budowę Spowiedzi. Patrz, jak cudownie przystosowaną jest i umiersoną do zła, jakie ma wyrwać z duszy. Z jakichże bo żywiołów składa się zło? Najpierw z pychy. Nie mamy chęci słuchać ani Boga, ani ludzi. Każde prawo jest wstrętne, każde jarzmo nieznośne. *Non serviam*, oto pierwszy krzyk zbuntowanego serca. A dlaczegoż to nie chcemy słuchać Boga? Bo wolimy być posłusznymi własnym namiętnościom, rozkoszom, pysze, temu, co w nas jest czasem najpodlejsze i najhaniebniejsze. I w tem leży drugi pierwiastek zła: pożądliwość. Człowiek pociągnięty tak przez pychę i pożądliwość, napotyka przeszkodę — prawo Boże, wolę Bożą, i wtedy krew jego wre buntem. Zło staje się zupełnem. W najlżejszym nawet grzechu odnajdziemy te trzy pierwiastki: pychę, pożądliwość i bunt.

A teraz przyjrzyjmy się Spowiedzi. Z czegoż to ona się składa? Także z trzech aktów, odpowiadających pierwiastkom zła. Pierwszy, to akt pokory. Klęka się, mówiąc: „Ojcze, zgrzeszyłem“. Drugim jest akt ofiary. Otwiera się serce i rozdzierające wyznanie na usta przychodzi. Trzeci, to akt posłuszeństwa. Pochyla się głowę, przyjmuje nałożoną pokutę, restytucję, czy niezbędne rozłączenie; bez tej ofiary nie można uzyskać przebaczenia.

Te trzy akty stanowią Spowiedź. Nie dziwię się, że wzbudzają lęk, ale któż nie czuje, jak bardzo są one potrzebne? Skoro prawdą jest, jak to na innym miejscu stwierdziliśmy, że przynosimy ze sobą na ten świat krew zepsutą, skoro prawdą jest, że w tej zepsutej krwi są trzy poruszenia: pychy, pożądliwości i buntu, łatwo pojąć, że nie możemy wrócić do zdrowia, odzyskać cnoty, jeżeli nie przejdziemy przez owe trzy akty: pokory, posłuszeństwa, ofiary.

Zwróćmy mimochodem uwagę, jak głęboką jest jedność Religiji. Chcąc złączyć się z duchem Jezusa Chry-

stusa, widzimy, że nie możemy tego w inny sposób dostąpić, jak przez wiarę, a rozbierając wiarę, znajdziemy w niej trzy pierwiastki: pokorę, posłuszeństwo i ofiarę. Tak samo, gdy wkrótce rozpatrywać będziemy, w jaki sposób można się łączyć z Boską Istotą i dlaczego Ciało, Krew, Dusza i Bóstwo Pana naszego ukryte są pod zasłoną Najświętszego Sakramentu, ujrzymy, że Bóg tak to urządził, abyśmy się do Niego zbliżali z potrójnem usposobieniem: pokory, posłuszeństwa i ofiary. A teraz, gdy stojąc przed Jezusem Chrystusem, zapytujemy się, w jaki sposób możemy sumienie nasze z Nim połączyć, Kościół odpowiada nam: „Nie możecie tego inaczej dokazać, jak zastępując potrójne poruszenie pychy, pożądliwości i buntu, tworzące grzech, przez potrójny hołd pokory, posłuszeństwa i ofiary”. To właśnie nazwałem krwawem obliczem Spowiedzi.

Ale to jeszcze niewszystko, i oto dopiero, w czym ukazuje się doskonałe arcydzieło Spowiedzi, stworzone ręką Boga. Wyrzekając się grzechu, zachowujemy jednak jego wspomnienie, żałujemy sprawianej przezeń rozkoszy. Jeżeli nie śmiemy znowu go popełnić, dojść do aktu, to w myśli pieścimy jego obraz, pragniemy go, marzymy o nim. A ponieważ duch jest prędkie, a ciało słabe, zawsze nam grozi ponowny w grzech upadek. To też, by Spowiedź całą swą moc posiadała, nie dość jest wyrzec się grzechu i wyznać go, trzeba jeszcze wyrzec się myśli o nim, trzeba ze łzami wyznać pragnienie grzechu. Kościół uważa pragnienie zła, jako samo zło; wypala ranę zupełnie; nie pozostawia najmniejszego zarazka. Tam, gdzie grzech się osiedlił, Kościół wszystko wyrывa; nie tylko kwiaty i owoce, ale i łodygę i korzenie nawet. Pług puszcza na miejsce, gdzie było zło. Ileż tu głębokiej mądrości, ile wspaniałej śmiałości! Żadne prawodawstwo nie posunęło się tak daleko. Wszyscy filozofowie zwrócili na to uwagę, nawet Voltaire, nawet Diderot, nawet Proudhon, i nie skończylibyśmy, chcąc spisać ich świadectwa.

III.

Gdyby jednak nic więcej nie było w Spowiedzi, to mimo jej cudownej piękności, spowiadaliby się chyba jedynie tacy, o jakich mówi Platon, posiadający wzniosłą energię w duszy, nie zwracającą uwagi na żadne przeszkody, gdy idzie o wydobyć się z nieprawości. Ale gdzie są owe dusze heroiczne? Czyż jest ich wiele? To też Bóg z ludzkością postąpił na podobieństwo matki, która podając dziecku gorzkie lekarstwo, mające je uzdrowić, miodem smaruje brzeg szklanki, by do wypicia je skłonić. Jeżeli zatem jest w Spowiedzi krwawa strona, to jest druga promienna; jeśli jest głos wołający: „Kłęk-nij, upokórz się, bądź posłusznym!” to jest drugi, który woła: „Chodź, uczyni tę ofiarę, a znajdziesz pociechę, światło, przebaczenie i pokój!”

Najpierw pociechę, tę wielką potrzebę serca złamanego goryczami życia. Im więcej człowiek grzeszył, tem większe brzemię win leży na dnie jego duszy; a im więcej Bóg każe mu za nie cierpieniami odpokutować, tem więcej potrzebuje on pociechy. Ale wszak wiesz, że w radości znajdujemy powierników i przyjaciół; w smutkach ich nie mamy. Poganie mówią co do tego tak samo, jak i święci; Platon podobnie się odzywa, jak Jezus Chrystus, skarżący się przez usta proroka: „Szukałem, ktoby mię pocieszył, a nie znalazłem. *Quaesiui consolantem me, et non inveni*¹⁾. Nigdy pocieszycieli niema w cierpieniach.

A choćby się miało szczęście znaleźć przyjaciela, to ileż jest trosk takich, z których przed nikim zwierzyć się nie można; są one nam najdotkliwsze, pochodzą nieraz z powodu najdroższych nam osób! Trzeba łzy swoje w milczeniu połykać.

Godnem zatem było dobroci Boga, by nadzieją pociechy pociągał dusze i do Spowiedzi je przywodził. Ale także godnem było Jego mądrości, by pozwolił nam zna-

¹⁾ Is. LXIII, 5.

leżć pociechę w ofierze, bo trzeba było, by krwawa strona Spowiedzi złączyła się z promienną w cudownej jedności. A jak znajdujemy ową pociechę? Nie uniewinniając siebie, a oskarżając drugich, zrzucając na nich nasze winy, jak się to w świecie dzieje. Przyjacielowi opowiada się swoje troski, pozbywa się przed nim ugniatającego nas ciężaru; ale to tylko chwilowe ujęcie dla naszej pychy, podejrzliwości, goryczy; i po takim wynurzeniu jeszcze się jest więcej rozgoryczonym, rozdrażnionym. Nie w taki sposób znajduje się pociechę w Spowiedzi; przeciwnie, upokarzając się, bijąc w piersi, przeprasząc Boga, przyznając się do win popełnionych.

Kiedyż ta boska instytucja mogła być potrzebniejszą, jak obecnie! jak teraz, gdy tyle zawodów, tyle marzeń zniszczonych, tyle dusz zranionych, tyle goryczy w rodzinnych stosunkach! w tych czasach, gdy tak mało kto winę swą uznaje, gdy się nigdy siebie nie oskarża, gdy będąc nieszczęśliwym, nic innego nie umie się uczynić, jak grozić pięścią całemu społeczeństwu, winiąc je za wszystko. I cóż z tego wynikło? Ileż to samobójstw, szaleństw, ile głuchej krwawej nienawiści! Ileż to kobiet, ile młodych dziewcząt, ilu mężczyzn odbiera sobie życie z rozpacz! Biedni, nieszczęśliwi, nie mogli znieść swego opuszczenia, nie mogli znaleźć pociechy w swej niedoli i woleli umrzeć!

IV.

Bóg dodał do tej gorzkiej czary nie tylko słodycz pociechy, by nas zachęcić do jej wychylenia, ale jeszcze i światło. O ileż lepiej znieść można życie, troski, otoczenie, o ileż można być cierpliwszym, łagodniejszym, lepszym, wyrozumialszym, jeśli się zna dokładniej swoją pychę, swoje samolubstwo, ograniczenie, swoje słabości! A właśnie Spowiedź daje nam to światło.

Jezus Chrystus przyniósł na świat dwojaką światłość: światłość ogólną, jawną, wypływającą z nauki

chrześcijańskiej i ukazującą wielkie obowiązki, wspólne wszystkim wiernym; a obok niej światłość ukrytą, wewnętrzną, dostosowaną do każdej duszy, do jej potrzeb, do jej wątpliwości, jej niepokojów, smutków; światłość Boga jedyną dla jedynej duszy.

Może, wszedłszy kiedy do kościoła, usłyszysz z kazalnicy słowa: „Błogosławieni ubodzy duchem! Błogosławieni czystego serca!” i słowa te poruszą tylko powierzchownie twoją duszę.

Ale może innym razem, zdobywszy się na odwagę, zbliżysz się do świętego trybunału, a tam powiedzą ci: „Córko, strzeż się, lubisz stroje, klejnoty, błyskotki; pragniesz się podobać, zaćmić wszystkich; smucisz się, gdy nie jesteś gdzie najpierwszą. O, strzeż się próżności i pychy!” Lub usłyszysz te słowa: „Synu, lubisz lekkie rozmowy; czytujesz złe książki; uczęszczasz do złych towarzystw! Strzeż się, jesteś już zepsuty, lub się nim staniesz!”

Oto światłość, jaką znajdziesz w Spowiedzi, a znajdziesz ją tam jedynie. Idź do najdroższego przyjaciela i proś go: „Daj mi poznać wady, jakie we mnie dostrzeżę”. Przyjaciół będzie się wykręcał. Udać się do najszczerzej, najbardziej prawej osoby i powiedz jej: „Znasz owego pana; widzisz, że gubi swoją duszę. Znasz tę panią; naraża ona bardzo swoją sławę. Ostrzeż ich, skoro żyjesz z nimi w przyjaźni.” Potrząśnij tylko głową i odejdź. Jezus Chrystus mógł jedynie stworzyć przyjaciół dość dyskretnych, dość miłujących, aby rzec mogli: „Córko, synu, strzeż się, bo zginiesz!”

Bóg w swej nieskończonej miłości nie chciał, by w tych zwierzeniach kapłan pierwszy przemawiał, i rozmowa tak się zaczyna: „Mój ojcie, zgrzeszyłam i oskarżam się, że jestem próżną, pyszną, że nadewszystko pragnę podobać się ludziom”. „Tak, córko; jeszcze lepiej badaj siebie w tem i w owem, a ujrzysz, jak bardzo próżność zapanowała nad tobą.” „Mój ojcie, zgrzeszyłem; ogień nieczysty mnie pożera; jestem zmysłowy, rozwiązły; szukam sposobności do złego.” „Tak, to prawda, mój

synu; ale nie zniechęcaj się. Módl się; unikaj okazji, a staniesz się czystym."

Jakże Platon byłby uniesiony, zachwycony, gdyby znał ów boski trybunał, gdzie dopomagają duszom wracać do zdrowia, gdzie je uczą badać tajne głębin sumienia, gdzie, nie schlebając im wcale, przywodzą je do pokory, gdzie goją troskliwie ich rany, gdzie je zwolna podnoszą, dopóki nie zasmakują w cierpkiej radości żalu i zadosyćuczynienia. Posłuchajmy słów genialnego protestanta Leibniz'a: „Uważam pobożnego, roztropnego, poważnego spowiednika jako znakomite narzędzie do zbawienia dusz. Jego rady kierują naszymi przywiązaniem, oświecają nas co do wad naszych, pomagają unikać okazji do grzechu, rozpraszają wątpliwości, podnoszą ducha, wreszcie uśmierzają lub leczą zupełnie choroby duszy. Jeśli trudno jest znaleźć na ziemi coś lepszego nad wiernego przyjaciela, jakimże jest szczęściem znaleźć takiego, który przez nie-naruszoną moc cudownego sakramentu zniewolony jest dochować tajemnicy, ratować duszę!"

Eugenja de Guérin przytoczywszy ten ustęp, dodaje: „Znalazłam takiego niebiańskiego przyjaciela. To też wiadomość o jego wyjeździe głęboko mnie zmartwiła. Smutna jestem i dusza moja płacze. Nie powiedziałabym tego gdzie indziej; możeby mi to za złe wzięto, nie zrozumianoby mnie. W świecie nie wiedzą, czym jest spowiednik, ów przyjaciel duszy, powiernik jej najzaufańszy, jej lekarz, mistrz, jej światło; ów człowiek wiążący i rozwiązujący nas, dający nam pokój, otwierający przed nami niebo, do którego mówimy klęcząc i dajemy mu tę samą nazwę, co Bogu: m ó j o j c z e. I rzeczywiście wiara czyni go Bogiem i ojcem. Biada mi, gdybym klęcząc u stóp jego, nie widziała w nim Jezusa Chrystusa słuchającego Magdaleny i wiele jej przebaczonego, gdyż wielce miłowała! Spowiedź, to wylew żalu w miłości¹⁾).

¹⁾ Journal d' Eugénie de Guérin.

V.

Mówmy teraz o wyższych darach: po światłości i pociechach idzie przebaczenie. Któż tu na ziemi umie przebaczać? Społeczeństwo nie przebacza; ono piętnuje, zniesławia, a po ukończonej karze skazuje ukaranego na nędzny żywot i nie pozwala mu powrócić do dobrej sławy. Świat również nie przebacza; mniej ma skrupułów i jest bezwątpienia bardzo pobłażliwy; mnóstwo win toleruje; można być występny w obliczu Boga, a posiadać mimo to szacunek świata. Skoro się jednak przekroczy pewne granice i ściągnie na siebie jego potępienie, to już rzecz skończona, piętno pozostaje na zawsze, hańba spada nawet na dzieci. Sumienie także nie przebacza. Choćby się doszło do szczytu godności, choćby się miało czoło opromienione wszystkimi blaskami, jeżeli się ma zadraśnięte sumienie, to ono nie przebaczy. Budzi winowajcę spoczywającego na złotogłowie i purpurze i mówi doń: „Jakkolwiek los twój jest świetny, a świat jest pełen złudzeń względem ciebie, ty wszakże jesteś tylko nędznikiem". I ani łzy, ani westchnienia nie zdołają tego głosu przytłumić. Bóg jedynie może przyjść z ukojeniem i pociechą.

Co to za szczęście otrzymać przebaczenie, odzyskać pokój, godność, cześć we własnych oczach i w oczach drugich. Tylko Bóg to zdziałać może! I to jest właśnie arcydzieło spowiedzi. Któż obarczony wstydem i bólem, ukląkłszy przed konfesjonalem, nie powstał rozradowany? Któż słysząc nad pochyloną głową rozbrzmiewające słowa: „Idź w pokoju; grzechy twoje są ci odpuszczone", nie uczuł w sercu radości i pokoju, jakich nigdy nic ziemskiego dać nie może?

Spowiedź rani i goi, poniża i podnosi. Gdyby tylko raniła, rozdrażniałaby duszę; gdyby tylko pocieszała, pozabawiałaby ją wszelkiego hartu. Ale w niej wszystko jest cudownie stopione. Każe ugiąć kolana w pokorze; posłuszeństwie i ofierze, a jednocześnie zalewa duszę

i serce pociechą, światłem, przebaczeniem, pokojem. Odpowiadając tak najszlachetniejszym potrzebom duszy ludzkiej, jak i jej najdotkliwszym ranom, jasno wykazuje, że jest dziełem Boga, który tę duszę stworzył.

VI.

Dobrodziejstwa Spowiedzi są tak wielkie i rzeczywiste, że ci, którzy je utracili, jak np. protestanci, żałują ich. Przytoczyłem dawniej słowa pani de Staël: „Och! czegożbym nie dała, by móc ukłęknać w katolickim konfesjonale!” i te drugie Naville'a: „Któż z zazdrością nie spoglądał ku trybunałowi Pokuty? „Któż nie pragnął wśród goryczy wyrzutów sumienia, wśród niepewności, czy Bóg przebaczył, usłyszeć głos mówiący z mocą Chrystusową: „Idź w pokoju; grzechy twoje są ci odpuszczone”?

Łatwo możnaby znaleźć dużo zdań podobnych. Ale oto coś takiego, wobec czego błędą wszystkie pojedyncze powiedzenia: oto Spowiedź wśród ludów protestanckich odradza się sama z siebie, własną swoją mocą, potęgą cudownych swych skutków. Tak pastory, jak świeccy pracują nad jej przywróceniem, mimo oporu urzędowych zwierzchników ich Kościoła, wbrew nawet wszelkim hierarchicznym zarządzeniom. Daje się to widzieć szczególnie w Anglii, gdzie ruch ten jest tak wielki, że zaniepokoił episkopat Kościoła. Zwołano rodzaj synodu do Londynu w 1878 roku¹⁾. Stu biskupów mianujących się biskupami Kościoła katolickiego zgromadziło się pod przewodnictwem arcybiskupa z Canterbury²⁾. I nacóż to zwoływano ów synod? Oto ażeby zaradzić odradzającej się Spowiedzi.

¹⁾ Epistola centum Episcoporum in Anglia congregatorum in palatio Lambethano mense Julio, anno MDCCC LXXVIII, graece et latine reddita, jussu reverendissimi Archiepiscopi Cantuariensis Londini, apud Revington, 1878.

²⁾ Nos episcopi sanctae Ecclesiae catholicae... centum numero...

Warto przeczytać ten ustęp; poza tą kwestją nic ważnego nie omawiano wtedy. Po subtelnych uwagach co do jedności w Jezusie Chrystusie, co do różnorodności przydającej piękna owej jedności, co do przedziwnej giętkości wszystkich formulek¹⁾, po kilkowierszowym proteście przeciwko zbrodni Biskupa Rzymskiego, przywłaszczającego sobie nieomyślność²⁾, dochodzi się wreszcie do grzesznych nowinek, które niestety opanowują Kościół anglikański, a przede wszystkim do najpierwszej i najważniejszej wśród nich, do Spowiedzi, którą trzeba wykorzenić. I tu następuje kilka zakazów podpisanych przez stu biskupów:

Zabrania się pastorom anglikańskim żądać szczegółowego wyliczania grzechów od tych, którzy chcąc pobudzić się do skruchy, przychodzą prosić ich w tem o pomoc³⁾;

Zabrania się pastorom nakazywania prywatnej czy sekretnej Spowiedzi przed przypuszczeniem wiernych do uczestniczenia w świętej Eucharystji⁴⁾;

Zabrania się nawet zalecania zwyczajnej Spowiedzi u stóp kapłana⁵⁾;

Zabrania się nauczania, jakoby to ćwiczenie spowiedzi, to poddanie się kapłanom, z pragnieniem otrzy-

¹⁾ Et dum libere profiteamur amplam quamdam rituum ecclesiasticorum flexibilitatem esse exoptandam... Rigidam uniformitatem non flagitamus...

²⁾ Commonendi sunt a nobis fideles, facinus illud a Romano Episcopo patratum in concilio Vaticano, anno MDCCCLXX, quo sibi supereminetiam super omnes homines in rebus fidei et morum vindicavit, arrogatae sibi infallibilitatis praetextu, attributorum ipsius Domini Jesu Christi manifestam fuisse invasionem.

³⁾ Et nos consulto censemus nulli Ecclesiae ministro licere, ab iis qui ad eum se recipiunt, doloris aperiendi gratia, omnium singillatim peccatorum minutam enumerationem exquirere.

⁴⁾ Vel privatam confessionem iis imperare ante sacro-sanctae Eucharistiae participationem.

⁵⁾ Vel praescribere vel etiam commendare confessionis consuetudinariae coram sacerdote exercitationem.

mania odeń kierownictwa, było niezbędnym warunkiem dojścia do najwyższego stopnia życia duchowego.¹⁾

Oto jak się rzeczy mają w Anglii. A więc uczą tam widocznie, że nie ogólna, nieokreślona, ale właśnie szczegółowa, ze wszystkich grzechów Spowiedź jest potrzebną chrześcijaninowi, szczególnie przed przystąpieniem do Komunii świętej; uczą tam, że dobrze i zbawiennie jest odbywać ją nie w nadzwyczajnych okolicznościach, ale zwyczajnie i często uczą, że bez niej niemożliwym jest dojść do cnoty, do pobożności, a tem więcej do wyższego życia duchowego.

1552 roku luteranie z Norymbergji wysłali poselstwo do Karola V, błagając, by edyktem nakazał przywrócenie Spowiedzi, dla powstrzymania szerzących się zbrodni. W 1670 r. pastory z Strassburga wyrazili toż samo życzenie i żądali w interesie porządku publicznego przywrócenia Spowiedzi. A oto w XIX wieku sami pastory anglikańscy przywracają ją, aby zaspokoić potrzebę dusz, a czynią to tak ogólnie i tak jawnie, że cały episkopat anglikański niepokoi się i przedsięwzięcie najsurowsze środki, mające temu zapobiec.

Cóż to za potęga prawdy i dobra! co za bujne nasienie! można je deptać stopami, nie przeszkodzi się jego wzejściu. Podobne ono do tych ziarn zboża zamkniętych w grobach faraonów, które po trzech tysiącach lat wydobyte pełne były życia i plon obfity wydały!

¹⁾ Vel docere talem exercitationem, vel sacerdoti subjectionem, directionis, ut aiunt, causa, conditiones esse necessarias ad sublimissimam vitam spiritualement attingendam.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Spowiedź (ciąg dalszy).

Cudowna skuteczność Spowiedzi.

Są jeszcze inne dowody boskiego pochodzenia Spowiedzi.

Pewien bardzo wybitny człowiek rzekł do mnie te słowa: „Mówiąc o Kościele katolickim, można o wiele rzeczy się spierać; ale jest jedno, nie dające się zaprzeczyć i przed czem schylam głowę, mianowicie, że jest on twórcą świętych. Wszędzie można znaleźć uczciwych ludzi; święci znachodzą się tylko w Kościele katolickim”. Otóż Spowiedź to czyni świętych. Po świętej Eucharystji ona to jest znakomitą twórczynią cnoty, ona przeistacza dusze. Nieraz wydobywa je z wielkiego bażn; często podnosi je na najwyższe szczyty. Ona to czyni chrześcijanina, kapłana; ona po świętem życiu daje śmierć pogodną. Gdyby dobrze była znana, więcej praktykowana, przywróciłaby w rodzinie pokój, ustrzegłaby społeczeństwo od najgroźniejszych niebezpieczeństw.

O tem właśnie mówić będę. Pokazałem, z jakich żywiołów Jezus Chrystus utworzył tę instytucję przedziwną; spróbowałem odmalować jej wewnętrzną budowę, tak cudownie dostosowaną do duszy ludzkiej. Zakończę, mówiąc o jej wpływie, o jej potężnej, cudownej działalności.

I.

Zło, gubiące dusze, zagraża także rodzinom i niebezpiecznem jest dla społeczeństwa: jest ono w treści swej

niszczącym i rozpręgającym. *Charitas aedificat*¹⁾, miłość buduje; *justitia elevat gentes*²⁾, sprawiedliwość wywyższa narody. Zło działa wręcz przeciwnie: niszczy, rozprasza, czyni ludzi nędznymi: *Miseros autem facit populos peccatum*. Społeczeństwo zdaje sobie z tego sprawę; czuje ono, że to rozszerzanie się zła, ten nieustanny wróg namiętności jest głównym jego nieprzyjacielem. To też czyni wszystko co może, by przynajmniej zło powściągnąć, skoro go nie może w zupełności usunąć.

W tym celu ustanowiono urząd sędziowski, posadzono sędziego wysoko ponad ludzkimi namiętnościami, dano mu w rękę berło i miecz, mówiąc: „Czuwaj nad społeczeństwem i broń je przed namiętnościami, które mu grożą zniszczeniem”. I w samej rzeczy, sądy strzegą i zapewniają do pewnego stopnia bezpieczeństwo publiczne. Ale choć mają znaczną władzę, to jednak któż nie dojrzy granic ich działalności? Karzą jedynie uczynki zewnętrzne, ale zapobiec im nie mogą; nie mogą zawczasu usunąć owych myśli, owych pragnień, któremi wrą serca, i które przy pierwszej sposobności prowadzą do zbrodni; sądy nie mogą sięgać tak daleko.

Dlatego obok sądów cywilnych społeczeństwo ustanowiło sądy honorowe, o wiele dalej sięgające. Honor piętnuje czyny, których sprawiedliwość karać nie może; przenika w głąb sumień i tam rozróżnia pewne podłości, pewne uchybienia, których urząd sprawiedliwości nie może ukrócić. Honor piętnuje je i zmusza do ukrywania takowych. A jednak ileż to rzeczy wymyka się i z pod tego sądu! Bywają w świecie bezceństwa, na które wolno sobie pozwolić, gdyż dopuszczając się ich, nie traci się nazwy honorowego człowieka. Bywają występki wobec Boga i wobec dusz, których sąd honoru osiągnąć nie jest zdolny. Jest on stronny i bezsilny.

A przytem oba te rządzące światem sądy, urzędowy i honorowy, mają jedną bardzo słabą stronę: nie zwracają

¹⁾ I Corinth. VIII, 1.

²⁾ Prov. XIV, 34.

czci. Karzą, ale gdy ukarzą, pozostawiają winowajcę w niesławie i rozpacz. Mówią do tych odrzuconych z pośród społeczeństwa: *Lasciate ogni speranza*. Dlatego to dostarczają one tylko wyklętych, którzy, nie należąc już do społeczeństwa, nie mogą odzyskać dobrej sławy, tak przez wszystkich pożądaną, spiskują przeciwko społeczeństwu, marzą jedynie o zniszczeniu go zupełnem, w nadziei, że wśród ogólnej ruiny odnajdą dla siebie sławę i bogactwa.

Pogańskie religijne sądy niemniej były bezsilne. Czuli dobrze, że powstrzymanie zewnętrznego zła jest niczem, że trzeba usiłować, by je sam winowajca z głębi swej wyrzucił. W tym celu ustanowiono rodzaj spowiedzi, wyznanie zbrodni, ale nie ośmielono się posunąć dalej, aż do wyznawania ukrytych przestępstw, grzechów popełnionych myślą, pragnieniem, grzechów, które bywają źródłem wszystkich innych; nie zdobyto się też na skrucę. Paru kroplami wody, paru zewnętrznymi obrzędami oczyszczano, ale nie uzdrawiano grzesznika, i odchodził on, nie obiecując poprawy.

O ileż wyższym, głębszym jest prawdziwy trybunał Pokuty! Tam nie oskarżamy się jedynie z grzechów zewnętrznych, jawnych, ale i z najtajniejszych, aż do prostego pożądanego, do myśli. A wyznając, oplakujemy je; przebaczenie niemożliwe jest bez skruchy, bez żalu. Tam nietylko się je oplakuje, ale się za nie pokutuje; trzeba obiecać, że się wynagrodzi krzywdy; trzeba przebaczyć, trzeba zerwać ze złem. Tam przedsiębrane są ostrożności, by unikać nadal okazji do upadku, by pozbyć się nałogów, złych nawyków. Skutek jest nieomylny dla duszy pokornej i szlachetnej. Uznają to wszyscy myśliciele, nawet najmniej religijni. „Najlepszym ze wszystkich rządów, mówi Raynal, byłby taki, który ustanowiłby trybunał Spowiedzi”¹⁾. „Spowiedź, mówi Voltaire, można uważać jako najlepszy hamulec przeciwko skry-

¹⁾ *Histoire philosophique du commerce des Indes*, t. III, p. 250.

tym występkom. Skłania ona zranione serce do przebaczenia, a drobnych złodziei (dlaczego nie wielkich?) zniewała do zwrócenia tego, co ukradli bliźniemu¹⁾. „Ileż to restytucyj bywa u katolików, pisze Rousseau, ile wynagrodzeń złego dzieje się za sprawą Spowiedzi²⁾. „Nierzadko się zdarza, mówi Hengstenberg, że protestanci wolą mieć służących katolików, gdyż jeśliby co ukradli, spowiednik każe im to zwrócić³⁾. „Niedawno, opowiada protestancki pastor Pestalozzi, pytałem mego sąsiada, L. de H. dlaczego wśród jego najemników tak rzadko trafiają się wypadki dzieciobójstwa. To skutek Spowiedzi, odpowiedział mi. Przez Spowiedź kapłan może wnikać do głębi serc i tam niszczyć zarodki zła, nim się one rozwiną⁴⁾. Z tego samego powodu Marmontel twierdził, „że niema lepszego nad Spowiedź środka, by młodzież utrzymać w czystości obyczajów⁵⁾. „Możnaby do nieśkończoności, mówi Chateaubriand, przytaczać zdania wszystkich filozofów uważających sakrament Pokuty za najsilniejszą zapórę przeciwko występkom, a zarazem za arcydzieło mądrości⁶⁾.

II.

Potęga Spowiedzi w powściągnięciu zła jeszcze lepiej się okazuje w duchowym i moralnym podniesieniu zbłąkanych dusz. Weźmy najniżej upadłą, najbardziej przewrotnego człowieka; w dniu, gdy ten człowiek ukleknie w konfesjonale mówiąc: Byłem występny nędznikiem, schyliłem głowę, aby otrzymać rozgrzeszenie — tegoż dnia wraca on do niewinności, do cnoty. Najczarniejsze plamy znikają, z najohydniejszych uczynków nic w nim nie pozostaje, zatopione są w morzu niejako.

¹⁾ Dictionnaire philosophique, art. catéchisme.

²⁾ Emile, III.

³⁾ Gazette évangélique, 1863, p. 926.

⁴⁾ Przytoczone przez Hettingera IV, 252.

⁵⁾ Pamiętniki, I, 1.

⁶⁾ Génie du christianisme, 1-ère partie, ch. VI.

Widziałem raz jednego z takich występnych, gdy z oczami zalanymi łzami odchodził od konfesjonau, przy którym klęcząc, wyznał swe okropne przestępstwa: byłbym się chętnie do stóp mu rzucił, aby je ucałować. Świat palcami go jeszcze wytykał, skoro się tylko na ulicy ukazywał; w salonach, gdzie był znany, mówiono o nim: to bezecny człowiek! Ale ja, świadek jego duchowej przemiany, z czcią przed nim uchylałem głowę, mówiąc: to święty.

Jeżeli po tej pierwszej przemianie pozostaje w duszy nieunikniona słabość, święte rozgrzeszenie znowu do niej spływa. Potrochu usposobienie się zmienia, złe skłonności znikają, pokój powraca wraz ze zdrowiem, i niektóre dusze zranione złem, z długo nie gojącymi się bliznami, potrochu wznoszą się w cnotach nieraz o wiele wyżej, niż dusze, które nigdy nie grzeszyły.

Ta władza podnoszenia upadłych dusz jest nietylko jedną z oczywistych sił Spowiedzi, ale jest też jej zawarowaną niejako właściwością. W większej części wypadków nie pomagają ani modlitwy, ani żal, ani postanowienia; potrzebna tam koniecznie Spowiedź. Znałem młodzieńca dobrego, uczciwego, ale którego pożarły namiętności. Chciał być czystym, a nie mógł; modlił się, jęczał, czynił śluby i na nic to wszystko było. Ciągłe upadki upokarzały go i zniechęcały. Dopiero przez Spowiedź został uzdrowiony. Inny, wielkiego umysłu i charakteru człowiek rzekł do mnie: „Nie potrzeba mi innego dowodu, jak moje własne doświadczenie, bym wierzył w boskie pochodzenie Spowiedzi. Nigdy, mimo wszelkich postanowień, nie mogłem utrzymać się w czystości. Stałem się czystym odrazu, gdy się wyspowiadałem i przyjąłem Komunię świętą“.

Iluż to ludzi jest w tem położeniu! Iluż mówi do siebie: Waham się między cnotą a występkiem; jestem pełen słabości i nędzy; chciałbym dojść do dobrego, ale nie mogę! Brak mi skrzydeł do takiego wzniesienia się. A jednak jakże czyste, piękne, święte pragnienia czuję

w mej duszy! Lecz sił mi brakuje; nogi moje i ręce są jakby skute łańcuchami. Któż mnie dźwignie? kto z tego błota wydobędzie? kto mnie aż do Boga podniesie? Kto? bracie mój, łaska Jezusa Chrystusa przez sakramenta, jakie On ustanowił, przez Spowiedź i Komunię świętą.

Powiesz może: „Jakże mogę się spowiadać, skoro nie wierzę w Spowiedź”. — Najpierw, czy jesteś tego pewien? Dwie są rzeczy w Spowiedzi: jest boska władza dana kapłanowi; nie wierzysz w to? niech i tak będzie. Ale jest tam także pokora penitenta. Cóż może stanąć ci na przeszkodzie do jej pełnienia? Idź, gdzie zechcesz, do najbardziej odosobnionej kaplicy, do zupełnie nieznanego ci kapłana; uklękniij i mów: „Mój ojcze, zgrzeszyłem”. Czy nie możesz tego uczynić? Wszak nieraz z próżności chlubisz się twemi błędami; dlaczegóż nie miałbyś ich wyznać przez pokorę? Wyznajesz je, aby się niemi pysznić, przechwalać; dlaczegóż nie miałbyś ich wyznać, aby przez to być uleczonym, aby stanąć przed Bogiem w postawie ściągającej na ciebie Jego miłosierdzie? Zresztą skoro nie wierzysz, nie otrzymasz rozgrzeszenia. Kapłan powie ci tylko: „Idź, nie grzesz więcej”. Pobłogosławi cię, a znasz słowa Piusa VII: błogosławieństwo starca nigdy nie może zaszkodzić.

Ale nie będziesz długo wątpił. To upokorzenie się zjedna ci światło; łuski spadną z twych oczu; obawa wyznania raczej niż zwątpienie zaślepiło cię; podniesz się od stóp kapłana, jak niegdyś św. Tomasz po dotknięciu się ran Jezusa, mówiąc: Pan mój i Bóg mój!

III.

Jakkolwiek cudownem jest zmartwychwstanie duszy zapomocą świętego rozgrzeszenia — zmartwychwstanie stwierdzone tysiące razy i podobne w porządku moralnym do wskrzeszenia Łazarza w porządku fizycznym, to jednak jeszcze więcej podziwiam ukryty wpływ Spowiedzi na zwykłe życie chrześcijan, na ich utrzymywanie się w cnocie. Zaledwie dziecię wzrastać pocznie, a już

Spowiedź uczy je, jak ma się badać, jak poznawać nie to, co jest w niem dobrego, ale to, co jest złe, zgubne, uczy rozróżniać boskie skłonności, dane mu na chrzcie, od występnych dążeń rodzących się z grzechu pierworodnego, a które niepowściągnięte doprowadziłyby niewątpliwie do złego. Podczas gdy w świecie, tej młodej dziewczynie, tej młodej kobiecie mówią jedynie o jej piękności, o jej wdzięku, inteligencji, dowcipie, sam w cieniu konfesjonału spowiednik, ojciec duchowny, mówi jej tylko o jej wadach. Kierowana przez niego, oświecana, poznaje wkrótce złe swoje skłonności, rozróżnia główną, tę, z której wyrastają wszystkie inne. Tak czasem bardzo rychło dochodzi ona do tej znajomości siebie, którą w starożytności słusznie uważano za największe dobro, za początek wszelkiej cnoty. Znaj siebie samego — mówiła wyrocznia delficka. Słowa te należałoby wypisać na wszystkich konfesjonałach, tych najpotężniejszych narzędziach do poznania siebie.

Ale i tu jeszcze nie koniec działalności Spowiedzi. Pokazawszy nam, co jest w nas złego, uczy nas ona, jak mamy zło zwalczać. Spowiedź stworzyła strategię przeciwko złu, nazwaną tak dobrze walką duchową. Tam się uczymy, że są namiętności, z którymi trzeba walczyć otwarcie i przemocą, a inne, które się jedynie zwalcza uciekając przed niemi. Trzeba je dzielić, by móc nad niemi odnieść zwycięstwo. Wogóle trzeba walczyć z jedną tylko naraz; trzeba ścigać ją miesiąc, rok, dziesięć lat; nie zaczynać walki z drugą, dopóki się tej pierwszej najzupełniej nie stłumi. Przedewszystkiem trzeba wybierać główną namiętność, tę, która jest niejako korzeniem innych. Aby dopomóc człowiekowi w tej doniosłej pracy, Spowiedź zaprowadziła rachunek sumienia: rachunek ogólny ze wszystkich win, aby się przezeń przygotować do Spowiedzi; rachunek szczegółowy z tej lub owej wady, którą postanawiamy wykorzenić. Są to dwa cudowne wynalazki nieznane starożytnym.

Spowiedź, ucząc wykorzeniać złe nałogi, uczy jednocześnie, jak nabywać cnót: pokory, słodyczy, czystości, cierpliwości, zapominania o sobie, uczy ducha poświęcenia i zaparcia. Każde do tego używać tychże samych sposobów: rozdzielać pracę, nie przedsiębrać naraz wszystkiego, starać się najpierw o nabycie jednej cnoty; zaleca, by co wieczór badać uczyniony w niej postęp; i przy tej drugiej pracy nakazuje to samo staranie co przy pierwszej, ten sam ład, stałość, wytrwałość. Spowiedź zaprowadziła prawdziwą kulturę duszy, wiodącą nieraz do najwyższej świętości.

Możnaby się obawiać, by ciągle zajmowanie się swemi wadami nie pogrążało w smutku. Zdarza się to niekiedy z duszami trwożliwemi, ale ogólnie rzecz się ma przeciwnie. Wyniknął stąd ów miły charakter ludów katolickich, poważny, a zarazem wylany, skupiony i pogodny; w fizjonomji zaś ich odbija się dusza pełna pokoju i cichego rozradowania. Z tych rysów oblicza chrześcijańskiego protestanci zachowali jedynie powagę — nie znają już oni ani pogody, ani wylania. Powaga zaś ich jest zimna i sucha, nie posiada wdzięku.

Skutkiem to tej pracy nad samym sobą urabiają się tak zwane dusze wewnętrzne, których starożytność nie znała. Dusza taka żyje więcej wewnątrz niż zewnątrz; wiara ją uczy, że Bóg w niej mieszka, a miłość daje jej to uczuć. Stąd jest w niej niezmierna uwaga na najmniejsze poruszenie; ciągła czujność, by niczem nie zasmucić boskiego Gościa; stąd też gorliwość w nabywaniu wszystkich cnót, by Mu się przez nie podobać, stąd i boleść bezgraniczna, gdy jej się zdarzy popełnić choćby najlżejszą winę. Wie ona dobrze, że jej Bóg jest o nią zazdrosny, i chce stać się godną tej miłości, chce odpowiedzieć na Jego czystość czystością, na Jego miłość miłością. I w tem właśnie wielką dla niej pomocą jest Spowiedź. Cóż to utrzymywało św. Ludwika na wyżynach pokory i czystości bez skazy? To, że spowiadał się co tydzień. Św. Karol Boromeusz spowiadał się codzień.

Gdy się tak wciąż siebie oskarża, gdy się usuwa z serca najdrobniejsze pyłki, gdy się ciągle za nie pokutuje, musi się dojść do wielkiego podniesienia i przedziwnej czystości.

Powiesz może, że spotyka się mnóstwo chrześcijan często się spowiadających, a nie zmieniających się jednakoż. Wiem, że tak jest; ale czegoż to dowodzi? I najlepsze nasienie, wrzucone w niewłaściwą lub niedobrze przygotowaną rolę, nie wyda plonu. Najzdrowsze i najposilniejsze pokarmy, wzmacniające i odżywiające niektórych ludzi, nie przynoszą innym najmniejszego pożytku. Spowiedź nie jest nieskutecznym lekarstwem, ale wymaga współudziału woli, wymaga skruchy, mocnego postanowienia poprawy, siły moralnej, i tylko w tych warunkach i za taką cenę skuteczność jej jest pewna i zupełna.

IV.

Ale oto, co jeszcze jest godnem uwagi: Spowiedź nie tylko urabia chrześcijanina, nie tylko dźwiga go nieraz z najniższych otchłani występku i podnosi do najwzniolejszych szczytów cnoty — czyni zeń także kapłana, namaszcza go na króla dusz. Dając mu przedwczesne doświadczenie, czyni go w młodym wieku starcem (prezbiter). Młodziutkiego wprowadza w to bezmierne, wspaniałe królestwo dusz, gdzie bóle jednych, winy drugich, cudowne działanie łaski we wszystkich napełniają go zdumieniem, podziwem, litością, pragnieniem zaparcia się i poświęcenia i stwarzają w nim owo ojcostwo, o jakim mówi Apostoł: *Filioli mei, quos iterum parturio, donec formetur Christus in vobis.*¹⁾

Nie mam tu na myśli Spowiedzi odbywanej przez kapłanów. (pod tym względem Spowiedź kapłana jest taką samą jak wszystkich wiernych i także wywiera skutki). Mówię o słuchaniu Spowiedzi przez kapłana, przez co

¹⁾ Galat. IV, 19.

otrzymuje on owo najwyższe panowanie nad duszami. Słuchanie Spowiedzi tworzy kapłana, zauważyli to protestanci. „Reformacja, pisze protestancki pastor Pestalozzi, przecięła węzeł, łączący lud z duchowym jego kierownikiem. Nie da się zaprzeczyć, że skutkiem zniesienia Spowiedzi znika coraz więcej wewnętrzna znajomość każdej powierzonej duszy, jaką pastor mieć winien, i która stanowi niezbędny warunek w rządzeniu duszami. Dawny kapłan zamienił się w krajach protestanckich w profesora moralności rozprawiającego uczenie¹⁾).

„Jedynie przez tajną Spowiedź, mówi protestancki doktor Kirchoff, duchowny stać się może tem, czem być powinien przez wzniosłe swoje przeznaczenie: doradcą, przewodnikiem, opiekunem dusz we wszystkich duchowych potrzebach. A także tylko przez Spowiedź może się ustalić wpływ jego i władza, należna mu jako zastępcy Boga²⁾”. „Odrzucenie Spowiedzi tajnej, mówi Bretschneider, zerwało ścisły węzeł jednoczący pasterza z jego trzódką. Cóż bo się stało? Oto, że pastrowie ograniczeni zostali do roli prostych kaznodziej³⁾”. A Walcher pisze: „Czyż nie powinno się ubolewać, widząc, jak przez zaniechanie Spowiedzi tajnej pastrowie dobrowolnie odłączyli się od dusz, powierzonych ich pieczy? Teraz pastor nie jest już spowiednikiem, lecz jedynie kaznodzieją⁴⁾).

Spowiedź to więc ustanawia kapłana królem, a raczej ojcem dusz, i udziela mu zarazem właściwych przymiotów. Czasem bywa on powołany do kierowania duszami wysoce cnotliwymi: jedne z nich wszystko opuściły dla Boga, inne, związane czy to światowemi czy rodzinnymi węzłami, żyją w nich podobne aniołom. Jakichże uczuć doznaje kapłan, widząc je klękające u jego stóp,

¹⁾ Przytoczone przez Hettingera IV, str. 253.

²⁾ Przytoczone przez O. Venturę, *Raison philosophique et raison catholique*.

³⁾ *Handb. Der Dogmat. I c.*

⁴⁾ *New theol. annal. 1814.*

oskarżające się ze łzami z drobnych uchybień? Jakże sam wtedy jest wzruszony i upokorzony! Czemże jest wobec dusz takich i jak gorące ogarnia go pragnienie, by on, kapłan, żył tak święcie jak one dusze!

To znów przeciwnie, widzi przystępujące do trybunału Pokuty dusze obciążone przerażającymi występkami, słyszy wyznania dreszczem go przejmujące. Serce jego powinno przejąć się obrzydzeniem. Ale nie. Jakieś wnętrzości boskiego miłosierdzia i miłości wnikają wewnątrz i czynią z niego innego człowieka. Żyje już nie on, ale żyje w nim Jezus Chrystus. Niektórzy mniemają, że gdy wyznają kapłanowi swoje przestępstwa, to ściągają na siebie jego pogardę. Wcale tak nie jest. A nawet niezależnie od łaski sakramentalnej jest to niemożliwe, metafizycznie najzupełniej niemożliwe. Niech przyjdzie do ciebie największy złoczyńca, upadły na najniższy stopień upodlenia, niech, ukłękawszy przed tobą, wyzna z płaczem swe zbrodnie — nie będziesz mógł w żaden sposób nim pogardzać. Dlaczego? Gdyż wyznać swój występki, jest to wyrzec się go, porzucić go; jest to zmienić się zupełnie i przerobić się. A jeżeli człowiek wraca do dobrego, to i coś znaczy skąd wraca? Im z głębszego błota się dźwiga, tem jego powrót godniejszy jest podziwu, tem on więcej budzi miłości i szacunku w tym, którego Bóg wybrał za świadka i za narzędzie takiej przemiany.

A jak niemożliwem byłoby pogardzić takimi duszami, tak jeszcze więcej byłoby niemożliwem nie ukochać ich. Czyż można nie ukochać dusz tak cię poważających, że aż do stóp twoich upadają i z miłością wyjawiają przed tobą wszystkie swe ukryte nędze? Och, oddałby za nie ohotnie, bez wahania, życie swoje. Przyjacielu mój, bracie, jeśli nikt cię już nie szanuje, wszyscy z pogardą od ciebie się odwracają — idź do kapłana, ukłękni u stóp jego, wyznaj mu twoje przestępstwa, a uczujesz, że otoczy cię szacunek tak tkliwy, tak pełen miłości i delikatności, że może być tylko dziełem Boga, którego też dziełem jest spowiednik.

Nie z owego to jednak szacunku, nie z owego uczucia wpływa tajemnica Spowiedzi: tajemnica ta, to znów dzieło Boga. Zdumiewa ona samego kapłana. Kapłan nie tylko nie doznaje pokusy wyjawienia otrzymanych zwierzeń, ale nawet nie jest w możności myślenia o nich. Zapomina o nich natychmiast. Czasem penitenci spowiadając się, przypominają mu dawniej już przed nim wyznane grzechy; on ich nie pamięta; trzeba mu je raz drugi powiedzieć. Gdy wychodzi z konfesjonu, wszystko co tam słyszał, jest, jakby nie było. Jest w tem coś cudownego. Wszak spotyka się księży zniedołężeńiałych skutkiem wieku, dzieciństwa, męczących wszystkich naokoło niekończącymi się opowieściami o przeszłości — nigdy, ani słowa jednego nie rzekną z wysłuchanych spowiedzi. A wierni tak dobrze o tem wiedzą, że nikt się tem nie niepokoi. Są także księża dotknięci straszną chorobą umysłowego obłąkania; opowiadają oni bezwiednie dawne wspomnienia i wrażenia. Jakimże sposobem nigdy na usta nie przyjdzie im przypomnienie wysłuchanych spowiedzi? Bo święta tajemnica spoczywa tak głęboko, że nawet szaleństwo nie może jej poruszyć. Są też nareszcie i występni księża, odstępcy wiary, upadli tem niżej, im wyżej stali, przerażający swoim cynizmem; dość przypomnieć reformację, wielką rewolucję z 1793 r., starokatolików. Otóż czy wśród nich nie znalazł się choćby jeden upadły kapłan, któryby w swej nienawiści do Kościoła nie spróbował zaćmić najjaśniejszej jego aureoli, zdradzając tajemnicę Spowiedzi? Wielkie było z tego powodu zdumienie w czasie rewolucji. „Nadzwyczaj jest dziwnem, a niemal cudownem, mówi margrabina de Créqui, że wśród wszelkiego rodzaju zbrodni, popełnianych w czasie rewolucji francuskiej, nie słyszano ze strony księży odstępców nigdy żadnego wyjawienia tajemnicy sakramentalnej Spowiedzi”.¹⁾ Marmontel okazuje także samo zdumienie: „Jak się to stało, że od po-

¹⁾ Souvenirs de la marquise de Créqui. t. V.

czątku rewolucji wśród tylu młodych zapaleńców republikańskich idei, wśród tylu szpiegów i donosicieli, dla których nie było nic nietykalnego, dla których ani przyjaźń, ani wdzięczność, ani nawet naturalne związki krwi nie były świętymi, wśród tych, którzy tylko szukali pozorów, by łupić i wytępiac księży — jak się to stało, mówię, że nie zjawił się żaden donosiciel, oskarżający jakiego kapłana o wyjawienie tajemnicy Spowiedzi? W żadnym trybunale rewolucyjnym nie słyszano podobnego oskarżenia”¹⁾. Wszyscy współcześni, wyrażając się tak samo, budzą w umyśle wrażenie cudu.

I w inny jeszcze sposób Spowiedź urabia kapłana: a to zniewalając go do zachowania czystości. Ludzie instynktownie przeculi, że Spowiedź nie może istnieć obok miłości małżeńskiej. Spowiedź wymaga zachowania tajemnicy, miłość tajemnicy nie znosi, żąda, by wszystko mówiono. Czyż kapłan, obarczony tylu tajemnicami, nie podzieli się niemi z ukochaną małżonką? czy potrafi nie wyjawić ich, czy zdoła oprzeć się żądaniom owej natury gorącej, niespokojnej, ciekawej, a może zazdrosnej? A ona czyż uwierzy, że jest kochaną przez męża tak względem niej skrytego? A wierni, czy przyjdą złożyć swe tajemnice w to serce tak komuś oddane? Doświadczenie uczy tu tegoż samego, co i rozum: wszędzie, gdzie kapłani weszli w związki małżeńskie, Spowiedź zniknęła. Kościół grecko-katolicki, zezwalający na małżeństwo swoich księży, nie byłby zachował Spowiedzi, gdyby nie zachował spowiedników w osobach biskupów i zakonników, zniewalając ich do powściągliwości. Protestantyzm, który wedle wyrażenia Melanchtona „wie, jakim szaleństwem było zniesienie Spowiedzi”, i który stara się ją przywrócić, dochodzi jedynie do Spowiedzi dobrowolnej z tych tylko grzechów, z jakich

¹⁾ Opinions sur les cultes.

się kto chce oskarżyć, a jest to właśnie skutek zawierania małżeństw wśród pastorów. Spowiedź, obowiązująca ze wszystkich bez wyjątku grzechów, nie będzie nigdy czynioną przed innymi kapłanami jak tylko przed cystymi.

Oto są niektóre z cudownych skutków Spowiedzi. I chociaż ludzie światowi występują przeciwko Spowiedzi, nie rozumiejąc jej lub nie znając, niemniej jest ona jednym z arcydzieł nieskończonej Miłości i najpotężniejszym po świętej Eucharystji narzędziem żywota wiecznego, jakie Jezus Chrystus powierzył Kościołowi dla dokonania jego niebieskiego posłannictwa.

V.

Cóż mam jeszcze dodać? Spowiedź, uświęcając życie, przygotowuje świętą śmierć; pomaga sprawiedliwym zasnąć w pokoju i potęguje jeszcze ich niewinność! Chroni od rozpaczyny winowajców, dając im, wśród niepokojących ich wyrzutów sumienia, pewność przebaczenia. Tak jednym jak drugim ukazuje otwarte nad głowami niebo, gdzie na nich oczekuje Miłość nieskończona. Przez Spowiedź spokój niewysłowny zstępuje na umierających. Któż nie zna licznych i wzruszających przykładów tego? Jednym z nich zakończę ten rozdział.

Było to w krwawym roku 1793. W dniu 22 lipca, na wózku, wiozącym ofiary na rusztowanie, znajdowały się między innymi margrabina de Noailles, matrona czcigodna tak wiekiem jak urodzeniem, a nadewszystko cnotami, jej synowa, księżna d'Ayen, i jej wnuczka, wicehrabina de Noailles, młoda, zaledwie dwudziestoczteroletnia kobieta o anielskim charakterze i przedziwnej piękności. Przed samem uwięzieniem widywały co wieczór pewnego starego kapłana, który potajemnie je odwiedzał, by wspólnie z nimi gotować się na męczeństwo. Wymogły od niego przyrzeczenie, iż gdy iść będą na szafot, on zastąpi im drogę i udzieli ostatniego rozgrzeszenia. Staruszek dobry,

lecz bojaźliwy, zatrwożył się narazie tem żądaniem, obiecał jednak je spełnić, dodając, że tego dnia przywdzieje błękitne ubranie z kamizelką czerwoną, aby go łatwiej mogły dojrzeć i poznać.

Nadszedł złowrogi dzień; zaledwie umieszczono je na wózku, a już jedna tylko myśl zaprzęta owe trzy szlachetne ofiary: pragną dostrzec w tłumie kapłana, mającego im udzielić ostatniej pomocy i pociechy. Był on tam, wierny obietnicy, odziany w błękitne ubranie i czerwony kaftan; patrzył na nie, starając się ściągnąć na siebie ich spojrzenie. Ale tłumy ciekawych nie pozwalają im go dojrzeć. Dwa razy, obiegając poprzecznymi uliczkami, zachodzi im drogę i staje przed wózkiem, dwa razy szuka ich spojrzeń i nie może się z nimi spotkać. Zniechęcenie go ogarnia; tłum się zwiększa, a u stóp rusztowania nie będzie już mógł być przez nie dostrzeżony. W tej chwili grożąca od rana burza wybucha; oślepiające błyskawice przeryniają chmury, deszcz leje potokami. Tłumy się rozpraszają, chronią w bramy domów, nie mogąc się w nich pomieścić. Tylko ponury orszak ciągnie dalej swoją drogą, wolno przesuwa się po prawie pustej ulicy. Nagle młoda wicehrabina spostrzega, że ktoś mimo ulewy biegnie obok wózka. Poznaje go; daje znak matce i babce. Oto on! oto on!

Kapłan wyprzedza wózek, staje na skrawku ulicy i czeka na nie. Oczy ich spotykają się; dusze się rozumieją. A ponieważ szlachetne ofiary mają ręce skrępowane za plecami, „schylają głowy, opowiada dobry ksiądz, a czynią to z taką skruchą, wzruszeniem i nadzieją, że mnie przejmują do głębi. Wyciągam rękę, wymawiam święte słowa rozgrzeszenia i widzę, jak podnoszą głowy z wyrazem niebieskiego wesela. Gdyby kto wówczas przyniósł im wiadomość o ich uwolnieniu, mniej może radości byłby im sprawił¹⁾).

Oto moc rozgrzeszenia: ten pokój ofiary; ta radość wyższa nad wszystkie ziemskie radości; ten kapłan bie-

¹⁾ Histoire de M-me de Noailles, marquise de Montagu.

gnący wśród błyskawic i potoków deszczu, aby dopełnić obowiązku swego posłannictwa; te niewiasty skazane na śmierć, idące naprzeciw niej z modlitwą na ustach i troszczące się jedynie o otrzymanie ostatniego przebaczenia — wszystko to jest nadziemsko piękne; a jednak jest to tylko jedno z niezliczonych zdarzeń, wśród których ujawnia się jasno i potężnie boskie pochodzenie Spowiedzi.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Święta Eucharystja.

Pierwsze słowa ustanawiające świętą Eucharystję.

W chwili gdy mam pisać o świętej Eucharystji, żal mię ogarnia, że nie posiadam zdolniejszego, potężniejszego pióra, by opisać te cuda. Święta Eucharystja to ostatni wyraz nieskończonej Miłości — to urzeczywistnienie wszystkiego, czego serce człowieka pragnie, co chciałoby dla szczęścia swych ukochanych pozyskać, a o czem, niestety, można jedynie marzyć.

Ponieważ zaś tajemnica owa jest największą ze wszystkich tajemnic, musi też być i najmocniej ugruntowaną. Opiera się z jednej strony na niewzruszonej opoce słów Jezusa Chrystusa, a z drugiej na powszechnej, wieki trwającej, gorącej wierze ludzkości. Temi dwoma argumentami podbija umysł, a jednocześnie opanowuje serce; bierze je w posiadanie; same nawet ciemności tej tajemnicy pełne są ukrytego światła.

Nie rozpoczniemy oczywiście od owego ukrytego światła, jest tu bowiem inne, dostępne dla nas, zewnętrzne światło, nie wytryskujące z samej głębi tajemnicy, ale pochodzące z okoliczności, wśród których się ona zjawiała, i o niem najpierw mówić będziemy. W światłości tej ujrzyć można niejako trzy świetniejsze od innych promienie, trzy iskrzące się snopy ogniste, łączące się, zlewające i tworzące ognisko, w którym każdy zastanawiający się umysł musi odnaleźć żywą prawdę:

1-o Najpierw słowa Jezusa Chrystusa, tak jasne, zrozumiałe, czerpiące tak z osoby Tego, który je wyrzekł, jak też i z boskiej władzy Kościoła, który je potwierdził, siłę nie dającą się zachwiać żadnymi zarzutami;

2-o Wrażenie, jakie te słowa uczyniły na ludzkości, — tak głębokie, tak zachwycające, że po 19 wiekach ludzkość zeń jeszcze nie ochłonęła;

3-o Wielkie i błogie następstwa tej wiary ludzkości.

Na takich podstawach się opierając, wnikiemy śmiejemy w tajemnicze ciemności świętej Eucharystji, ażeby poznać wzniosłą miłość, która ją stworzyła.

I.

A najpierw słowa Jezusa Chrystusa, te słowa jasne, wyraźne, których nie chcę roztrząsać; wystarczy wykazać ich promienną światłość. Tylko ten im przeczy, kto ich nie zna.

Oto, według św. Jana, wyrażenia, jakich użył Jezus Chrystus, gdy po raz pierwszy mówił o wielkiej onej tajemnicy: Jam jest chleb żywota. Ojcowie wasi jedli mannę na puszczy: a pomarli. Ten jest chleb z nieba zstępujący: aby jeśliby go kto pożywał, nie umarł. Jam jest chleb żywy, którym z nieba zstąpił. Jeśliby kto pożywał tego chleba, żyć będzie na wieki. A chleb, który ja dam, jest moje Ciało za żywot świata. Jaka jasność w tych słowach, jaka światłość! Kto pożywa Ciało moje i pije Krew moją, ma żywot wieczny... Albowiem Ciało moje prawdziwie jest pokarm; a Krew moja prawdziwie jest napój. Jakaż tu prostota, jaki brak wszelkiego obrazowego stylu! jaka proza, jeśli tak rzec można! To też Żydzi nie myślą się co do ich znaczenia; buntują się, oburzają: Jakoż nam ten może dać ciało swe ku jedzeniu?

Jezus jest tam, słyszy ich szemrania i cóż czyni? cóż powinien był uczynić? Powinien był im powiedzieć, jak

w tylu innych okolicznościach: „Mylicie się; jesteście zmysłowi prostacy. Czyż nie widzicie, że jest to figura, symbol, porównanie?” Czyż tak Jezus mówi? Nie; On powtarza toż samo wyrażenie i to z większą jeszcze siłą. „Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam: Jeślibyście nie jedli Ciała Syna Człowieczego i nie pili Krwi Jego, nie będziecie mieć żywota w sobie. Albowiem Ciało moje prawdziwie jest pokarm: a Krew moja prawdziwie jest napój”. A jakgdyby trzeba było rozum ludzki do ostateczności doprowadzić i przytłoczyć go ciężkiem nad wyraz słowem, dodaje: „Kto mnie spożywa, i on żyć będzie dla mnie¹⁾. Qui manducat me...”

Jest to wyraźne. Żydzi dłużej nie nalegają; odchodzą szemrzając: „Twarda jest ta mowa i któż jej słuchać może?” I nawet wśród uczniów powstaje niepokój, — odłączają się. „Odtąd wiele uczniów Jego poszli na wstecz i już z Nim nie chodzili”. Jakże wtedy postępuje Pan Jezus? czy stara się ich pozyskać? Nie. A czyż nie powinien był tego uczynić, jeśliby nie byli rozumieli naprawdę słów Jego? czy nie powinien był wyjaśnić takiego nieporozumienia? A jednak nie czyni tego. Zwraca się do apostołów i pyta ich: „Zali i wy odejść chcecie?” Jakgdyby mówił: wiercie, albo nie wiercie! czyż mnie jeszcze nie znacie? czy nie wiecie, jaką jest moja potęga? czy jeszcze niedość objawiłem wam głębi serca mego, że nie widzicie, iż jest to wylew miłości, jaką to serce jest przepełnione? I wtedy to święty Piotr zawołał: „Panie, do kogoż pódziemy? słowa żywota wiecznego masz. A my wierzymy i poznaliśmy, żeś ty jest Chrystus, Syn Boży²⁾”.

Obietnica jest już zatem dana. Gdzież się to stało i wśród jakich okoliczności? Oto wobec osłabłej z głodu rzeszy, którą Jezus w cudowny sposób posilił. Gdy owe tysiące ludzi zdumionych i zachwyconych uznają Jego dobroć i potęgę, wtedy On pozwala im dostrzec cudowność świętej Eucharystji. Rozmnożył pięć chlebów i na-

¹⁾ Św. Jan VI, 51 i dalej.

²⁾ Joan. VI, 67—70.

karmił nimi pięć tysięcy ludzi, i ten materialny pokarm, który ich takim zdumieniem przejął, służy Mu za podstawę do wyjaśnienia, że prawdziwy chleb, jakiego człowiek potrzebuje, to nie jest ten, którym ich przed chwilą nakarmił; to nawet nie ten cudowny pokarm, jaki Mojżesz dawał ich ojcom na puszcy: gdyż ten chleb, ten pokarm nie chroni od śmierci, ale że prawdziwym chlebem, jakiego ludzkość łaknie i który ma ją ustrzec od śmierci, jest On sam, Jego Ciało, Jego Krew, człowieczeństwo Jego złęczone z bóstwem, i On ten chleb przynosi ludziom, aby z niego czerpali potrzebny im żywot. „Jam jest chleb żywy, którym z nieba zstąpił. Jeśli by kto pożywał tego chleba, żyć będzie na wieki. A chleb, który ja dam, jest moje Ciało... Kto pożywa Ciało mego i pije moją Krew, ma żywot wiekuisty. Albowiem Ciało moje prawdziwie jest pokarm, a Krew moja prawdziwie jest napój”.

To pierwszy promień światła. Jakże jest żywy, jak doskonale odpowiada głębi człowieka tak żyć pragnącego! Lecz nie brak tu i ciemności. Z tych pierwszych słów Jezusa Chrystusa dowiedziano się, że chcąc cudownym sposobem posilić ludzkość, da jej Ciało swe ku jedzeniu i Krew swoją ku picciu. Ale w jaki sposób, pod jaką postacią to czyni? Tego nie wiedzano. Miało to być dopiero ujawnione wśród wzniosłej rozmowy, podczas ostatniego pożegnania. Ten, który zorzy rozkazał, by przygotowała oko człowieka do blasku słonecznego, chciał, by wielki dogmat świętej Eucharystji, nazwany przez świętego Franciszka Salezego słońcem żywota chrześcijańskiego, był także poprzedzony zorzą, która przygotowała by dusze do zrozumienia go i do przyjęcia.

II.

I tak się stało. W chwili ustanowienia świętej Eucharystji nie słyzy się żadnych rozpraw, żadnych zaprzeczeń, nie widać żadnego zdziwienia. Gotowe są serca uczniów. Znają oni Serce Mistrza, znają Jego potęgę, pojmują, co im gotuje. Milczą więc i uwielbiają.

Odczytajmy słowa ustanawiające ten Sakrament. Jezus Chrystus dał im tło niemniej wspaniałe, jak słowom obietnicy. Wybrał wigilję dnia swej śmierci, godzinę tkliwego, rozdzierającego pożegnania, tę chwilę, gdy opuszczając umiłowanych uczniów, mówił do nich nietylko z większą jeszcze miłością, ale i z większą jasnością, gdyż nie będzie już mógł słów swoich objaśniać. W owej więc chwili, w czasie wieczerzy uroczystej przygotowanej¹⁾, cierpliwie oczekiwanej²⁾, oto, co się dzieje: „A gdy oni jedli, wziął Jezus chleb i błogosławiąc łamał i dał im, i rzekł: Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje, które się za was dawa: To czynicie na pamiątkę moją. A wzięwszy kielich, dzięki uczyniwszy, dał im, rękąc: Pijcie z tego wszyscy. Albowiem to jest Krew moja nowego testamentu, która za wielu będzie wylana, na odpuszczenie grzechów”³⁾. I znów trzeba powtórzyć: jaka prostota! jaka jasność w tych słowach! Grecki tekst jeszcze to silniej wyraża: To jest moje Ciało, moje własne Ciało, to samo, które za was jest wydane. To jest moja Krew, moja własna Krew; Krew nowego przymierza, Krew wylana za was na odpuszczenie grzechów waszych. W tekście syryjskim, równie dawnym jak grecki, spisany jest jeszcze za życia Apostołów: To jest moje własne Ciało. A w liturgji greckiej: To, co nam dają, co czynią z tego chleba, z tego wina, jest własnym Ciałem Jezusa, własną Jego Krwią. I raz jeszcze mówię, jaka tu prostota, jak jasne wyrażenie! Gdyby Jezus chciał być dać tylko symbol, byłby to powiedział. Gdy mówił przez podobieństwa, gdy czynił porównanie, tak układał swoją mowę, że wszyscy rozumieli i nikt nie wąpił, że są to podobieństwa. Tu bez przygotowań, bez ogródek, bez poprzednich lub późniejszych objaśnień Jezus mówi poprostu: „To jest Ciało moje; to jest Krew moja. Ciało, które będzie wydane; Krew, która będzie wylana”. O Zba-

¹⁾ Joan XXII, 8 i 10.

²⁾ id., ibid., 15.

³⁾ Mat. XXVI, Marc. XIV, Luc. XXII.

wicielu mój, jaka doskonałość, jaka moc, jaka potęga w Twoich słowach! „Łazarzu, wstań!” i Łazarz grób opuszcza. „Niewiasto, jesteś uzdrowiona”, i jest uzdrowiona. „To jest Ciało moje”, i to jest Jego Ciało; „to jest Krew moja”, i to jest Krew Jego. „Te słowa, mówi Melanchton, mają blask piorunu i umysł przerażony żadnej na nie odpowiedzi nie znajduje”¹⁾).

III.

Do tego opowiadania, powtózonego dosłownie przez świętego Mateusza, św. Marka, św. Łukasza, trzeba dodać opowiadanie św. Pawła. Niektórzy chcą czasami przeciwstawiać naukę św. Pawła nauce Apostołów; tem silniejsze staje się tu jego świadectwo.

„Albowiem ja wziąłem od Pana, com też wam podałem: iż Pan Jezus nocy, której był wydan, wziął chleb;

„A dzięki uczyniwszy, łamał, i rzekł: Bierście, a jedzcie: to jest Ciało moje, które za was będzie wydane: to czyńcie na moją pamiątkę.

„Także i kielich, po wieczerzy, mówiąc: Ten kielich nowy testament jest we Krwi mojej. To czyńcie, ilekroć pić będziecie, na pamiątkę moją.

„Albowiem ilekroć będziecie ten chleb jedli i kielich pili, śmierć Pańską będziecie opowiadać, aż przyjdzie.

„A tak, ktobykolwiek jadł ten chleb, albo pił kielich Pański niegodnie: będzie winien Ciała i Krwi Pańskiej.

„Niechajże doświadczy samego siebie człowiek: a tak niech je z chleba tego i z kielicha pije.

„Albowiem, który je i pije niegodnie: sąd sobie je i pije, nie rozsądzając Ciała Pańskiego.

„Dlatego między wami wiele chorych i słabych, i wiele ich zasnęło”²⁾).

¹⁾ *Ista verba: Hoc est corpus meum, fulmina erunt. Quid his opponet mens perterrefacta?* (Melanchton. *De veritate corporis et sanguinis Christi*, przytoczone przez Korneliusza a Lapide, in *I Ep. ad Corinth.*, cap. XI, 24.

²⁾ *Paul. I Corinth. cap. XI, 23—30.*

Jaka prawda w tych słowach i jak w samym ich tonie odczuwa się, że nie idzie tu o wyobrażenie, o symbol, o porównanie, lecz o dostojną i potężną rzeczywistość! To samo odbiera się wrażenie, czytając pisma pierwszych Ojców Kościoła, bezpośrednich uczniów Apostołów: św. Ignacego¹⁾, św. Justyna²⁾, św. Ireneusza³⁾, Tertuljana⁴⁾; z niezmiernem staraniem usuwają oni myśl, jakoby Jezus Chrystus był w ołtarzu tylko przez wiarę. Jeszcze żywsze odbiera się co do tego wrażenie, rozpatrując tak pełne znaczenia ceremonie pierwotnego Kościoła. To tajemnicze milczenie, otaczające świętą Eucharystję; ta wymagana czystość serca dla możliwości uczesiniczenia w Niej; owo Sancta Sanctis, przy którym usuwano neofitów, wszystko, aż do owej potwarzy ze strony pogan, zarzucających chrześcijanom, że zabijają dziecię, a obsypawszy je mąką, pożywają jego ciało i piją krew jego — wszystko to wykazuje, że nie myślano tu o spożywaniu jedynie zwykłego chleba na pamiątkę Jezusa Chrystusa. „Chleb, który ja dam, jest moje Ciało... Albowiem Ciało moje prawdziwie jest pokarm... Bierście i jedzcie: to jest Ciało moje.

IV.

I cóż powiecie wobec tekstów tak wyraźnych, tak dokładnych i tak jednoznacznych? Że to jest niemożliwe? Chyba dlatego, że, aby urzeczywistnić cud podobny, potrzebaby zbyt wielkiej potęgi lub zbyt wielkiej miłości! Ale skoro Jezus jest Bogiem, jak to wykazaliśmy, to gdzie są granice Jego wszechmocy? Skoro to On stworzył niebo i ziemię i te miliony gwiazd, wypełniające nieskończone przestrzenie, to któż może określić, co mógłby On uczynić dla zaspokojenia swej miłości? Ale wy, nie znając nawet wszechmocy Boga, chcielibyście twierdzić,

¹⁾ *Ignat. Epist. ad Smyrn. cap. 7.*

²⁾ *Justin. Apolog. I, 66.*

³⁾ *Iren. Adv. Haereses, IV, 18.*

⁴⁾ *Tertull. Advers. Marcior., IV, 40. — De Resurrect. carnis, cap. 8. — De lapsis, p. 186.*

że znacie Jego serce! Wy nie znacie nawet serca ludzkiego! Od sześciu tysięcy lat stoi ono przed wami, a nie domyślacie się nawet jego głębokości. I codzień z tego ludzkiego serca płyną czyny ofiary i poświęcenia, na których widok łzy wam tryskają ze wzruszenia. A przecież czyny są jeszcze niczem wobec jego marzeń, jego pragnień nieurzeczywistnionych! I nie znając serca ludzkiego, chcecie zakreślić granice Sercu Bożemu!

Niezrównane to i niezgłębione Serce obmyśliło ustanowienie świętej Eucharystji. Miłość mniej wielka byłaby rzekła: „Bierzcie, to jest obraz mojego ciała; to jest symbol mojej krwi. To jest pamiątka mojego pobytu na ziemi!“ I to już byłoby piękne i pełne miłości, ale zanadto jeszcze powierzchowne, niedosyć potężne. Jezus Chrystus zapragnął iść dalej, zstąpić aż do dna duszy człowieka, aby tam dokonać zjednoczenia, przechodzącego wszystkie ludzkie marzenia. I oto dlaczego rzekł: „To jest Ciało moje, które się za was dawa... ta jest Krew moja... która za was będzie wylana“. Pożywajcie i pijcie; chcę sam rozniecić ogień miłości w sercach waszych, abyście żyli życiem, podobnem mojemu.

Później zgłębiać będę wszystkie filozoficzne i naukowe zarzuty, tu jednak chcę już odpowiedzieć na nie jednym słowem: Dzieło to jest bezgranicznej miłości, wspomaganej przez bezgraniczną wszechmoc! Cóż na to odrzec możecie? Oto pierwszy promień światła.

A teraz zabłyśnie nam drugi.

V.

Cóż uczyniła ludzkość wobec tego zapewnienia Jezusa: „To jest Ciało moje, to jest Krew moja“, tak wyraźnego, tak dokładnego, ale które. trzeba wyznać, wzbudza straszliwe trudności? Ludzkość padłszy na kolana, przyjęła to Ciało, tę Krew; uwierzyła i wierzy dotąd.

Mówię ludzkość; czytelnicy pojmują, że nie mogę brać w rachubę zaprzeczeń jednostek. Wielu ludzi czuje słabnącą wiarę, ale czemuż jest ten bunt mniejszości na-

przeciw od 19 wieków trwającej, wolnej, rozważnej, niewymuszonej wiary większości, naprzeciw tej fali czci, otaczającej Stół Pański, której nic powstrzymać nie może? Zostawmy na stronie te wyjątki, nie badajmy ich ani sądzmy, gdyż są to wyjątki, a przypatrzmy się ludzkości. Powtarzam: ludzkość uwierzyła i dotąd wierzy. Wielkość wiary dorównywa wielkości zapewnienia.

Jak to sobie wytłumaczyć? Cóż zdołało przekonać ludzkość, coż ją skłoniło do oddania czci takiej tajemnicy? Wszak piętrzą się tu straszliwe trudności. Otwieram oczy i widzę chleb; wyciągam ręce i dotykam chleba. A gdy, zostawiając na stronie zbyt grube zmysły, staram się zastosować tu siły mego umysłu, widzę powstające potężniejsze jeszcze trudności. Jakże to Jezus Chrystus może być obecnym z ciałem i duszą w tej maleńkiej hostji? Jak może być naraz w wielu miejscach, jak w tysiącach hostyj? Jak? jak? mnożą się owe pytania, a czem więcej przybywa, tem pierwsze nabiera więcej siły: Jakże w to uwierzyła ludzkość? jak wierzy dotąd?

Bo trzeba zważyć, jaka to część ludzkości uwierzyła w oną tajemnicę. Nie barbarzyńskie hordy koczujące po nieznanych stepach; nie społeczeństwa popadłe w bałwochwalstwo i fanatyzm, które w tej wierze chciałyby znaleźć wymówkę dla swego zepsucia. Nie; przeciwnie, ludzkość chrześcijańska, największa, najsilniejsza, najrozumniejsza, najliberalniejsza, jaka kiedykolwiek była. To szlachetna Francja, to świetne Włochy, to dumna Hiszpanja, bogata Anglja, pracowite Niemcy (gdyż ani Anglja, ani Niemcy, odłączając się od Kościoła, nie wyrzekły się wiary w świętą Eucharystję), to nieszczęśliwa Polska, która w niej znalazła odwagę i nadzieję wśród swego rozbicia; to silna Rosja, napół jeszcze dzika, ale kto wie, czy nie przeznaczona do wielkiej przyszłości. Słowem — to umysł ludzki, podniesiony do najwyższej potęgi.

I podczas gdy za czasów pogaństwa najwyższe umysły najmniej wierzyły, tu najwznioślejsze, najpiękniejsze dusze, najlepsze, najczystsze, najbardziej miłujące

wierzą najsilniej. Widzę tu dusze szlachetne, serca proste, a głębokie, ludzi będących zaszczytem ojczyzny swojej i swojej epoki. Jakież to zgromadzenie! To jakby sobór całego rodzaju ludzkiego. Oto poeci opiewający świętą Eucharystję: taki św. Tomasz, św. Bonawentura, taki Dante! Oto doktorowie, którzy ją objaśniali lub bronili: św. Justyn, św. Augustyn, Bossuet, Malebranche! Oto architekci, którzy wznosili dla niej wspaniałe świątynie, nie wymieniając swego nazwiska, aby przez to uczcić tajemnicę utajonego Boga! Oto malarze, którzy wspaniałości owej tajemnicy przedstawiali pendzlem na murach katedr: Angelico z Fiesole, Leonardo da Vinci, Rafael, Michał-Anioł! Oto wojownicy pochylający głowy, które się nigdy przed nikim nie pochylały: Turenjusz, Czarniecki, Sobieski, Kondeusz! Oto ludzkość cała w tem co ma największego, mimo tylu i tak wielkich trudności, przyjęła ten Chleb, uwielbiła go, poniosła w triumfie, a hołdami swemi otoczyła go taką wspaniałością, że wobec tego majestatu niedowiarek mimowoli odkrywa głowę, a nawet bezbożnik uważa znieważenie tego Chleba za najohydniejszą zbrodnię, gdyż wszyscy czują, iż to jest zamach uczyniony przeciwko Bogu i Jego własnej Osobie.

VI.

Ale co jeszcze jest godniejsze podziwu. Ludzkość nie tylko uwierzyła w tę tajemnicę, ale żyła i żyje nią. Dosłownie pojęła te słowa: „Comedite et bibite”, „jedzcie i pijcie”. I przemieniła się, pożywając ten nowy pokarm i pijąc ten nowy napój. Aż dotąd była jak człowiek pozbawiony posiłku, zgłodniały, spragniony, osłabły, upadający i zrywający się co chwila z ogniem w oczach, z zaciśniętymi pięściami, gotowy rzucić się na wszystkich. Ale skoro spożyła i wypła ten nowy pokarm, zmieniła się jej fizjonomia, rysy jej oblicza złagodniały, nabrały jakiejś powagi, szlachetności, godności, czego się nigdy nie widywało poprzednio.

Na owem ogólnem tle słodczy, litości, współczucia, szlachetności, nazwanem cywilizacją chrześcijańską, ujrano powstające niezrównane i nieznane dotąd cnoty. Gdy się to zbliższa rozpatruje, gdy się zastanawia, skąd pochodzi ta nowa szlachetna krew dająca tyle sił ludzkości, jedną się tylko znajduje odpowiedź: *Accipite et bibite, hic est sanguis meus!*

W świecie są jakby dwie pochyłości, a między temi tak do siebie niepodobnymi pochyłościami, tak sobie przeciwnymi, stoi krzyż, u stóp zaś krzyża jest kielich! Niema tu innego objaśnienia. Któż to natchnął dziewice, by opuściły wszystko dla Chrystusa? kto skłonił męczenników, by wlewali krew swoją za wiarę? kto uczynił ludzi pokutnikami i apostołami miłości? Zapytajcie ich. Zapytajcie takiego św. Wincentego z Pauli, taką św. Teresę, co ich tak wysoko podniosło w miłości Boga i ludzi. Wskażą wam *tabernaculum*.

Czyż więc niema w tem jasnego, olśniewającego dowodu boskości świętej Eucharystji! Że genjusz może się nieraz zbłąkać, że taki Pascal, Malebranche mogli się omylić, zgadzam się na to. Nie przeczę, że umysł ludzki, nie mogąc zrozumieć, zatrzymuje się tu bezradny. Ale żeby cnota, bohaterstwo, poświęcenie, czystość anielska myliły się i Bóg na to przez 19 wieków pozwalał! żeby w błędzie byli nie tylko ci, którzy nią żyli, którzy z niej czerpali siłę, miłość, czystość, gotowość do poświęcenia się, a w prawdzie byli jedynie ci, którzy nic nie zgłębiali, nic nie badali, nic nie czynili! Jakto! więc w prawdzie mieliby być tylko samolubni, bezczynni, często zepsuci! a wielcy, czyści, bohaterscy, dziewice, męczennicy mieliby być w błędzie! A co dziwniejsze, ten błąd właśnie stałby się źródłem ich bohaterstwa! Gdyby tak było, to poszedłbym uklęknąć u stóp Stołu Pańskiego, a pomnąc ile tu cnót powstało, ile pociech odebrano, ile powściągnięto namiętności, zawołałbym: o Boże, Ojcze, Zbawicielu! czemu więc jest prawda, którą przed nami ukrywasz, skoro błąd, któremu pozwalasz przeważać, sprawia

tak wiele wielkich rzeczy. Ale takie przypuszczenie jest niemożliwe. Wierzę w czystość, w poświęcenie, w zaparcie się siebie, w miłość; a ponieważ wzniosłe te cnoty rodzą się ze świętej Eucharystji, Ona więc jest prawdziwą!

VII.

Na zakończenie przypatrzmy się, jak wielki genjusz i wielkie serce składa hołd u stóp ołtarza. Oto co p. Cornuau opowiada o Bossuecie. „Raz w dzień Bożego Ciała, procesja skutkiem niepogody nie mogła odbywać się na dworze i urządzono ją w kościele; trwała dość długo i pewna osoba ze swego miejsca mogła kilka razy widzieć Przenajświętszy Sakrament. Zdawało jej się, że niosący Go święty biskup z Meaux cały był zatopiony w Tym, którego obnosił. Mając sposobność tegoż dnia zbliżyć się do biskupa, zapytała go, gdzie duchem przebywał podczas gdy szedł z Przenajświętszym Sakramentem. Wyznał jej z prostotą, że więcej czuł Go jeszcze w sercu niż w rękach, że mówił doń wszystko, co miłość najtkliwsza i czci najpełniejsza powiedzieć może, a tak był zatopiony w tej błogiej rozmowie, że nie wiedział, czy idzie i co się z nim dzieje“).

¹⁾ Lettre de la soeur Cornuau au cardinal de Noailles.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Drugie twórcze słowo świętej Eucharystji.

Opowieść o ustanowieniu świętej Eucharystji nie kończy się na tych słowach: „Bierzcie i jedzcie: to jest Ciało moje. Pijcie z tego wszyscy, albowiem ta jest Krew moja“. Dołączyć tu trzeba i następne: „To czyńcie na pamiątkę moją“.

Te słowa twórcze, ustanawiające świętą Eucharystję: pierwsze mają powagę mistrza; drugie pełne są smętnej tkliwości.

Pierwsze, to słowa Mistrza, Króla, Boga: „Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje. Pijcie, to jest Krew moja“. Drugie są słowami przyjaciela, który oddala się od przyjaciół i nie chce być od nich zapomniany: „To czyńcie na pamiątkę moją“.

Luter noc całą spędził nad roztrząsaniem pierwszego zdania, by zeń wydobyć coś innego, niż rzeczywistą obecność. Nie mógł tego uskutecznić i protestanci-luteranie zachowali wiarę w rzeczywistą obecność Jezusa Chrystusa w ołtarzu.

Czego Luter nie mógł znaleźć w pierwszym zdaniu, Kalwin chciał wydobyć z drugiego, i uczył, że święta Eucharystja jest tylko „pamiątką, przypomnieniem“. Okazał przez to, że nie mając sam serca, nie rozumiał nawet, co to jest pamiątka.

Tak jest; święta Eucharystja jest niewątpliwie pamiątką; boski Mistrz niejednokrotnie to powtórzył. Ale gdy myślę o Tym, który tę pamiątkę daje, o chwili, w jakiej ją daje, muszę się spodziewać czegoś niezwykle pięknego.

Jakże protestanci mogą wyobrażać sobie, że w takiej chwili Jezus Chrystus zostawia nam czczą pamiątkę, rzecz pospolitą i martwą, pamiątkę tak nędzną, że człowiek nie chciałby ani dać podobnej, ani jej otrzymać!

Badajmy więc, rozważajmy to drugie zdanie: Czyńcie to na pamiątkę moją. Nietylko nie znajdziemy w niem umniejszenia pierwszych słów: Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje; ale inną drogą dojdziemy do nowego, jasnego i wzruszającego dowodu rzeczywistej obecności Boga w ołtarzu.

I.

Nie można się dziwić, że Jezus Chrystus zapragnął pozostawić nam pamiątkę, gdyż niepamięć — to wielka, ogólna ludzka ułomność. Dopóki ludzie znajdują się przed naszymi oczami, dotąd o nich myślimy, kochamy ich; lecz niech czas lub przestrzeń rzuci między nami smutną zasłonę rozłąki, a zaraz obraz ich blednie. Po dwóch lub trzech pokoleniach, cóż pozostaje po najpiękniejszych duszach, najważniejszych wydarzeniach, po tem, co najsilniej wzruszało lub zachwycało świat ówczesny? Mgliste wspomnienie, sen.

Dlatego to człowiek wszelkimi sposobami walczy z zapomnieniem. Stawia posągi, buduje piramidy, gromadzi olbrzymie gązdy, wznosi pomniki; nakazuje im: „Ja odchodzę; jeszcze chwil kilka, a zniknę. Zostańcie na mojem miejscu i nie dopuście, by zapomnienie pochłonęło pamięć o mnie”. Gdy Jozue przeszedł Jordan suchą nogą, kazał w łozysku rzeki ustawić z dwunastu kamieni wielki stos i rzekł do Żydów: „Umieście je tu na pamiątkę tego co widzieliście. Aby był znak wpośród was: a gdy was będą pytać synowie wasi jutro: Co znaczą kamienie? Odpowiedzcie im: Ustały wody Jordanowe przed skrzynią przymierza Pańskiego, gdy szła przezeń, i dlatego położono te

kamienie na pamiątkę synów izraelskich, aż na wieki”.¹⁾

Skoro bohaterski Leonidas ginął ze swymi trzystu Spartanami, broniąc w wąwozie Termopilskim wejścia do Grecji, napisał na skale te słynne słowa: „Przechodniu, powiedz Sparcie, żeśmy zginęli w obronie jej wolności”. A przecież wobec takiego faktu można było zaufać ludzkiej pamięci.

Oto czem jest pamiątka. Ryje w niezniszczalnym kamieniu lub bronzie pamięć słynnych czynów. To też, gdy przebiegamy sławne miejscowości, gdy przechodzimy pod triumfalnym łukiem Tytusa, Konstantyna, obok kolumny Trajana, gdy patrzymy na groby królów naszych i wodzów, wszystkie dawne wspomnienia ożywają się w naszej pamięci i na chwilę przynajmniej zwyciężamy zapomnienie.

Mówię: na chwilę, gdyż, niestety, przy takiej nawet pomocy nasze zwycięstwo nie jest zupełnem. Zwyciężony czas znowu powstaje i odwet zadaje. Iluż to przechodzi obok tych pomników, nie rozumiejąc, co one mówią! A ileż to pomników nie daje się odczytać najuczciwsi! Stajemy zdumieni wobec piramid egipskich; z ciekawością oglądamy kamienne stopy druidyczne pytając się: Co to jest? Kto te stopy ułożył? Co one znaczą? Quid sibi volunt isti lapides? I nikt nam tego nie objaśni. Zapomnienie to smutna, bezlitosna potęga!

II.

A gdybyśmy tylko zapominali o historycznych wydarzeniach, ale oto co gorsza, znika nam z pamięci i to, co nam było najbliższe. Przywiązania najdroższe, czyste uczucia naszego dzieciństwa, piękne i święte przyjaźnie lat młodzieńczych bledną po roku, po dziesięciu jak mgła się rozwiewają. I dlatego to, znając niedołączną ludzką na-

¹⁾ Jozue IV, 6, 7.

ture, skoro rozłączamy się z przyjacielem, zamieniając tyśiączne przysięgi niezapominania nigdy wzajemnie o sobie, dajemy mu jeszcze pamiątkę; mówimy: „Żegnaj, odjeżdżam; czy zobaczę cię jeszcze kiedy? Weź tę pamiątkę; patrząc na nią, myśl o mnie i o szczęśliwych chwilach razem spędzonych”. Niestety! i to trwa kilka miesięcy, kilka lat, — później zapomnienie przychodzi, i gdy kiedyś poruszymy owe relikwie przeszłości, napotkawszy ten przedmiot, nie pomyślimy nawet, że był nam dany na pamiątkę.

A czy to wszystko? Czy znamy kres, jaki Bóg nazaczył fali zapomnienia, gotowej wszystko pochłonać, i czy w tajnikach serca ludzkiego niema czegoś takiego, co nie podlegałoby zapomnieniu? Ach, są nigdy niezapomniane przywiązania. Są serca, o jakich mówi poeta, że gdyby je w proch rozkruszyć, to jeszcze te szczątki szeptałyby imię ukochania swego. Czyż matka może zapomnieć syna swojego? a córka czy zapomni o ojcu? Bądź błogosławiony, Boże, że w tej powodzi uczuć zmiennych uczyniłeś niektóre nieginącemi nigdy!

A jednak, o próżności serca ludzkiego, o nędzo tego zmiennego świata, na którym żyjemy! trzeba ożywiać, podtrzymywać, utrzymywać w pamięci nawet te uczucia tak głębokie i zda się niezwykłe! Są godziny, gdy owe święte uczucia bledną w sercu młodzieńca, który dopiero co opuścił dom swój rodzinny, kolebkę swego dzieciństwa, najmiłsze obcowanie z ojcem, z matką, ażeby w wielkiem mieście kończyć nauki. Wrzawa świata przygłusza tamte wspomnienia; uciechy go porywają. A oto w chwili, gdy ulegając namowom kusiciela miał już opuścić swój studencki pokój, na cóż to padł wzrok jego? Na portret ojca, na siwą jego głowę, na czcigodne oblicze. Zatrzymuje się, zawstydzony, drzwi zamyka; chce być godnym ojca, nie stanie się przyczyną łez matki. Uratowała go pamiątka.

Matka, tracąca maleńkie dzieciątko, nigdy o niem nie zapomni. Żyje ono wciąż w niej; tuli je w sercu troskli-

wiej jeszcze, niż kiedyś w objęciach je tuliła. Ale tysiące zajęć ją pochłania. I oto w chwili, gdy najmniej o tem myślała, ostry miecz przeszywa jej serce. Spostrzegła splot złotych włosków, tych ślicznych włosków, które tak całowała, gdy zdobiły jeszcze pełną życia główkę. Patrzy na nie, i widzi znów swoje dziecię, przemawia doń; zdaje jej się, że je znów tuli do serca. Złudzenie to chwilowe! słodkie, choć bolesne złudzenie: pamiątka je wywołała!

I dlatego nie dziwię się, że Jezus Chrystus zapragnął pozostawić nam pamiątkę. Jakkolwiek bowiem głęboki ślad pozostawiło Jego przejście, jakkolwiek wzruszającym i drogiem dla dusz było Jego życie, to gdyby jaka pamiątka nie przywołała nam Go ciągle na myśl, zapomnienie zwyciężyłoby wkrótce pamięć ludzką. Znając więc nasze serce i smutną potęgę zapomnienia, Jezus czekał chwili pożegnania; a mając już opuścić ukochanych uczniów, rzekł im: *Bierzcie... i czyńcie to na pamiątkę moją. Hoc facite in meam commemorationem.*

Cóż jednak jest owo *To — Hoc*? Jakąż to pamiątkę zostawi nam Bóg-Człowiek? Co obmyśli na godną siebie pamiątkę to Serce, które jest najwyższą miłością, a szczęśliwsze od nas, może urzeczywistniać wszystkie swoje pragnienia? Zgłębiajmy dalej, idźmy do dna samego; badając nasze pragnienia, nasze nawet niemożliwe marzenia, starajmy się dojść aż do tej wielkiej rzeczywistości.

III.

Nikt nie zaprzeczy, że wszystkie pamiątki niejednakową posiadają wartość i są drogie, są droższe, a są też wprost nieocenione. Na cóż to trzeba zważać w ustąpiowaniu onej hierarchji pamiątek? czy na złoto, na srebro, na wartość materialną? O nie! Bywają przedmioty bez żadnej wartości, a nie oddałoby się ich jednak za złoto świata całego. W pamiątce cena materialna jest niczem; wartość idealna — wszystkiem.

Ale skąd się bierze wartość idealna? cóż stanowi prawdziwą cenę pamiątki?

Pamiętka, mówi św. Tomasz, jest znakiem wyobrażającym osobę; jest tem, co, gdy znikniemy, gdy się oddalimy, umrzemy, ma nas niejako wskrzeszać w sercu ukochanych. Czem zatem więcej będzie naszej osobistości w jakim przedmiocie, tem więcej wcielimy się weń; im więcej w tę osłonę złożymy naszego serca, naszej duszy, nas samych, tem droższą stanie się pamiętka, gdyż będzie tem wyraźniej stawiać nas przed oczyma tych, którzy nas utracili.

Oto dlaczego, pragnąc mieć jaką pamiętkę, szukamy czegoś, co należało do ukochanej przez nas osoby, czegoś, w czem ona część siebie złożyła, np. słów kilka napisanych jej ręką, z których myśl jej czytamy, portret, z którego oblicze jej na nas spogląda. To niedosyć. Pragniemy mieć coś, co stanowiło część jej samej, co należało do jej osobistości, co żyło niejako jej życiem, co było w pewnem znaczeniu nią samą. Gdy Ludwik XVI miał opuścić więzienie, aby iść na szafot, spotkał na progu drzwi klęczącego, zalanego łzami, wiernego swego służącego Cléry. Król zapragnął dać mu jakąś pamiętkę, ale jaką? Nie miał ani złota, ani srebra; ale choćby miał, nie byłby mu dał tego, gdyż są usługi, których w ten sposób płacić nie można. Zawahał się przez chwilę, a podnosząc rękę do czoła, odciął pukiel włosów posrebrzonych w nieszcześciu i oddał to jako najdroższą i największą pamiętkę, jaką król mógł dać słudze swojemu.

Ostatni to wyraz pamiętki; tu już kończy się możliwość człowieka. Ale serce jego tem się nie zadowalnia. Miłość marzy, by iść dalej. Gdyby matka w chwili rozłączenia z synem, dając mu swój portret, promień swych włosów, zamknięty w medaljonie, który jako puklerz ma bronić jego serca, mogła jeszcze serce swoje wsunąć w ten medaljon, czyżby tego nie uczyniła? Któraż to matka nie powiedziałaby wtedy: „Żegnaj; opuszczasz mnie, ale ja cię nie opuszczę. Zostanę przy sercu twojem, aby się tobą opiekować”.

Czego nie możemy uczynić, my, którzy jesteśmy tylko ludźmi, ale o czem marzymy, czego pragniemy, to urze-

czywistnił Jezus Chrystus, Bóg. I oto dlaczego w dniu pożegnania nie dał nam na pamiętkę złobka swego, bo w nim spoczywało tylko Jego boskie Ciało; nie dał nawet Krzyża, choć cały zlany Krwią Jego przenajdroższą. Chciał nam dać coś, coby lepiej urzeczywistniło nie dające się ziścić marzenia człowieka. Rzekł: Bierzcie, to nie jest tylko czemś, czego się dotykałem, to nie jest wyobrażeniem mojem, nie jest drobną częścią mnie samego. To jest całe moje Ciało, cała moja Krew, cała Dusza i całe Bóstwo moje. Wszechmocniejszy jestem od ludzi i cały się wam oddaję w pamiętce.

IV.

Jak przez ten pierwszy akt ziszczał Jezus wszystkie marzenia i pragnienia serca ludzkiego, tak, pałając miłością, chciał drugim aktem przewyższyć je wszystkie.

Otrzymane pamiętki możemy do ust przyciskać, zawieszać na szyi, nosić na sercu. Jezus, potężniejszy w miłości niż ludzie, wprowadzi boską pamiętkę, w której zawarł się cały, do wnętrza naszej istoty, do świętego przybytku serc naszych. I my możemy powiedzieć, jak ów święty starzec: „Nazywam się Christofor, to jest Noszący — Chrystusa”. Idziemy przez życie, niosąc rzeczywiście Jezusa Chrystusa w sercu.

Oto czem jest święta Eucharystja; oto jaką jest pamiętka, którą nam zgotował i zostawił Jezus Chrystus. Śmiem utrzymywać, że niema takiego człowieka: czy to ojca, matki, męża, żony, czy przyjaciela, któryby nie uczuł się szczęśliwym, mogąc podobną pamiętkę zostawić ukochanym przez siebie istotom!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Święta Eucharystja (ciąg dalszy).**Olśniewające tajemnice rzeczywistej obecności.**

Wszystkie dzieła Boga mają jedną stronę ciemną a drugą jaśniejącą. Ponieważ uczynione są przez Boga, posiadają strony niedostępne dla umysłu ludzkiego, a ponieważ uczynione są dla człowieka, mają inne zachwycające go strony. I to jest prawda, tak w ziarnku zboża obumierającym w ziemi, by wydać następnie plon obfity, jak i w ciałach niebieskich, na które z zachwytem patrzymy. Skoro jednak pewne dzieła Boga przestają być jedynie wytworem Jego mądrości, Jego wszechmocy, i wypływają z Jego miłości, wtedy czujemy wzrastające w nich to coś tajemnicze i jaśniejące, będące właściwością owej miłości. Pod tym względem nic nie dorównywa świętej Eucharystji. Ileż tu ciemności dla umysłu, a niema ich wcale dla serca! Nie widzimy jak się dzieje, ale jakże doskonale wiemy dla czego się dzieje! Z czcią i pokorą wnikińmy do wnętrza tej wspaniałej tajemnicy. Jest to Święte świętych.

I.

Przyznajmy, że ciemności i niezrozumiałości świętej Eucharystji są niezmierne, tysiąc razy bardziej nieprzeniknione, niżbyśmy to wypowiedzieć mogli. W jaki sposób Jezus Chrystus jest obecny rzeczywiście na tysiącach ołtarzy jednocześnie? Nie wiem. Jakim sposobem jest cały w maleńkiej hostji? Tak samo nie wiem. Jakim

sposobem przy konsekracji substancja chleba i wina przemieniona jest w Ciało i Krew Jezusa Chrystusa? Jak mogę, ja nędzny i ułomny człowiek, brać to Boskie Ciało, tę Krew przenajdroższą i karmić się i żyć tem? Tajemnica, ciemność, niezrozumiałość! Widzę jedynie, że z tych ciemności, z tych niezrozumiałości rodzi się instytucja nie dająca się zniszczyć, tak jak nie daje się przeniknąć. Rozum, najbardziej wrogo usposobiony, napróżno bada wszystkie jej części, nie odkrywa w niej ani niedorzeczności, ani sprzeczności, ani niemożliwości, ani nierozsądku. Znajduje tam jedynie niezrozumiałość, a ta jest właściwością Boga.

Mówiłem już poprzednio, że dzieła ludzkie nie są niezrozumiałe, choćby za takie uchodzić chciały. Uczyni jakieś dzieło: jeżeli ty je rozumiesz i ja je zrozumieć. Może dość czasu na to spotrzebuję, bo moja inteligencja nie dorównywa twojej. Jeżeli zajdzie potrzeba, to na pomoc przywołam wyższy rozum od mojego, przenikliwszy rozum. Ale jeżeli ty, człowiek, jasno pojmujesz twoje dzieło, i ja równie jasno je pojmem. Należę do tej samej co i ty rasy, i choćbyś nie wiem jak wysoko sięgnął, ja iść za tobą mogę choć zdaleka. Zrozumiano Kanta, rozumiano Hegla, rozumiano najzawilszych, rozumiano tak dobrze, że dzieła ich wybrakowano: wykazano, co w nich jest prawdą, a co fałszem, niedorzecznością, sprzecznością. Gdy więc człowiek jasno zrozumie jakieś dzieło, znak to, że jest ono ludzkie, że zostało stworzone, obmyślane przez człowieka. Tylko niezrozumiałość nie mogła zrodzić się w umyśle ludzkim; pochodzi ona koniecznie z sfer wyższych, a zatem jest boska.

Dodaje zaś siły temu dowodowi to, że w tej ciemności, w tej nieprzenikliwości nie znaleziono żadnych sprzeczności. Nic widoczniejszego jak sprzeczność, bije ona w oczy. Gdyby znaleziono jaką, świat cały byłby ją widział, świat byłby się jej dotykał, i eucharystyczna instytucja przestałaby istnieć. Żyje ona jednak od blisko dwudziestu wieków; gromadzi w dalszym ciągu dokoła

siebie tysiące i miliony wiernych, miłujących ją i uwielbiających. Nie może więc być ani sprzeczną, ani niedorzeczną; jest tylko niezrozumiałą, boską.

II.

Ażeby znaleźć w świętej Eucharystji sprzeczność, trzeba by wiedzieć, co to jest materja, jakie są jej niezbędne właściwości, jakim zmianom może ona podlegać. A tego nie wiemy. Jeszcze mniej wiemy — co jednak koniecznie potrzebaby wiedzieć chcąc wykazać sprzeczności, — o sposobie, w jaki Jezus Chrystus jest obecny w świętej Eucharystji. Sposobu tej obecności nikt nie zna, nawet Kościół, który naucza, że jest on zupełnie niepojęty.

Nie będę tu cytował Leibniza, Malbranche'a, Newtona, Hallera, Humboldta, wyznających zupełną nieświadomość zasad stanowiących materję. Czy musi ona z konieczności posiadać jakąś rozciągłość, czy nie? Czy przymioty mogą być odłączone od substancji? Jakim zmianom może ona ulegać? Któż to wie? Materja, o której niegdyś mniemano, że jest niezmienna, wciąż się zmienia. Ta sama cząstka materji przechodzi w jednej chwili z ostatecznych granic zgęszczenia do stanu najlotniejszego. Taki a taki gaz może być zgęszczony, może stać się ciałem stałym i znów się ulotnić. Weźmy kroplę wody, puśćmy ją na ogień, a natychmiast nabędzie takiej siły rozprężenia, że zajmie czternaście tysięcy razy więcej miejsca. Ta woda tak cicha, spokojna, staje się siłą straszliwą, zdolną góry rozsadzać. Weźmy marmur, kwarc — wszak to materja, ale jak zimna, bezwładna! obok tego przyjrzyjmy się światłu przebywającemu 75 tysięcy mil na sekundę, — weźmy eter, a światło przy nim wyda się ciałem ciężkim. Otóż skoro tak różną jest materja w stanie naturalnym, któż wypowie, czem mogłaby się stać, gdy ją Bóg zechce podnieść, wywyższyć? Św. Paweł, mówiąc o uwielbionych ciałach świętych Pańskich, wyraża się: „*Sem i natur corpus animale, surget corpus spiritale*. Bywa wsiane ciało cielesne, a po-

wstanie ciało duchowne¹⁾). Oto stan najmniejszego wśród błogosławionych. Czemże więc będzie Ciało Jezusa Chrystusa, nieskończenie bardziej uduchowione niż największy wśród błogosławionych? Słowem, nie wiecie, co jest materja, ani do jakich przemian jest ona zdolną, a zatem brak wam najpierwszej zasady do wykazania sprzeczności w tajemnicy świętej Eucharystji.

Brakuje wam i drugiej podstawy, byście mogli wykazać i ustalić sprzeczności, o których mówicie: nie macie dokładnej świadomości, w jaki sposób Jezus Chrystus jest obecny w świętej Eucharystji. Cóż Kościół bowiem mówi o tem? czy twierdzi, że Ciało Jezusa Chrystusa jest tam w stanie naturalnym? Wcale nie. Czy naucza, że jest tam w stanie nadprzyrodzonym, uwielbione? Także nie. Mówi, że Jezus Chrystus jest tu sposobem jedynym, tajemniczym, Jemu tylko właściwym, o którym nikt nie ma pojęcia. Jest substancjonalnie, istotnie; to jest rzeczą pewną; ale co to jest substancja? Jest duchownie, to jest na sposób duchów, tak mniej więcej jak dusza jest w ciele; ale jakże to dusza jest w ciele? Któż to wie? Znajdźcież tedy w tej głębi tajemniczych ciemności, ciemności naturalnych, równie wielkich, równie nieprzeniknionych jak ciemności nadprzyrodzone, znajdźcież, mówię, punkt oparcia, by zeń uczynić podstawę dla rzekomych sprzeczności; pierwsze do tego zasady wam się wymykają. A zatem, prosty rozum, prawdziwa filozofja nie jest w stanie podnieść żadnego zarzutu przeciwko rzeczywistej obecności Jezusa Chrystusa w świętej Eucharystji. Można tu jedynie stwierdzić niezrozumiałość. Ale niezrozumiałość nie jest sprzecznością. Powtarzam, że niezrozumiałość, złączona z pięknem i płodnością, jest pierwiastkiem boskim.

III.

Choć święta Eucharystja jest niepojęta i nie dozwala, by umysł ludzki przenikał jej ciemności, to z drugiej

¹⁾ I Corinth. XV, 44.

strony nie jest jednakowoż rzeczą niemożliwą, aby badając naturę, idąc za głosem nauki i rozumu, nie dopuścić tu odrobiny światła. Bóg, tworząc świat natury, wzorował go według planu wyższego światła łaski, i rozsiał po nim symbole, wyobrażenia, dopomagające nam dostrzec cuda tamtego świata.

Rozbierzmy więc szczegółowo główne trudności, jakie przeciwstawiane są tajemnicy świętej Eucharystji, i spróbujmy zapomocą pewnych podobieństw w naturze dostrzec jej możliwość.

Najpierw, jakże to Jezus Chrystus nie przestając być w niebie, może być obecnym na ołtarzu, na tysiącach ołtarzy jednocześnie? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, trzebaby wiedzieć, czym jest przestrzeń, gdyż rzeczywista obecność, rozważana w ogólności, jest tylko kwestją przestrzeni. Jesteś u mnie, w moim pokoju, mówię do ciebie, słucham cię; jest to rzeczywista obecność. Wychodzisz z mego pokoju, przechodzisz do sąsiedniego, drzwi za sobą zamykasz; nie widzę cię już, ale cię słyszę, rozmawiamy jeszcze przez ścianę; jest to jeszcze obecność rzeczywista za zasłoną. Opuzczasz dom mój, idziesz ulicą; ścigam cię wzrokiem; odwracasz się i żegnasz mnie skinieniem; i to jest jeszcze rzeczywista obecność. Droga wdał się ciągnie; wkrótce już cię nie dostrzegam i ty mnie nie widzisz; rzeczywista obecność ustaje. Ale wiedza daje mi w rękę przybliżającą lunetę; ty masz taką samą, i jeszcze się widzimy, jeszcze dajemy sobie znaki; rzeczywista obecność odradza się niejako. Widzisz więc, że zwiększająca się lub zmniejszająca przestrzeń tworzy lub niszczy rzeczywistą obecność. Przestrzeń ta jest bezmierna między niebem a ziemią, między Jezusem Chrystusem a nami; ale gdyby Bóg ją zniósł! Czyż Bóg tego uczynić nie może? Leibniz nie znajduje, by takie zniesienie przestrzeni było niepodobieństwem. A wtedy Jezus Chrystus i my, przez proste usunięcie przestrzeni, bylibyśmy postawieni w stosunku, zowiącym się rzeczywistą obecnością.

Powiesz mi: „Czyż Bóg może zniweczyć przestrzeń między dwiema istotami?” Dlaczegożby nie? my to czynimy codziennie; wiedza przez cały szereg niezrównanych wynalazków pozwala nam dokonywać na wielką skalę owego znoszenia przestrzeni.

Weźmy najpierw telegraf. Mogę przezeń w jednej chwili pchnąć myśl moją do wszystkich punktów kuli ziemskiej. Przypuśćmy, że mam u siebie przyrząd telegraficzny najdoskonalszy, jaki dziś mieć mogą. Poruszając palcami po jego klawiszach, myśl moją posyłam do Anglii, do Azji, do Ameryki, poprzez góry, przez oceany, wszędzie. I nie tylko myśl moją, ale i wolę. Wyobraźmy sobie, że jest jakiś powszechny nad całą ziemią władca; w jednej chwili może swoją wolą pobudzić do działania wszystkie wole całego świata. Żeby zaś wyrażenie mojej myśli, mojej woli miało piętno autentyczne, starają się wynaleźć sposób przesyłania telegraficznie podobizny pisma, czyli materialnego ciała, w jakie myśl moją przyoblekam. A gdy raz znajdą ów sposób, któż może przewidzieć, na czym się wynalazek zatrzyma?

Weźmy teraz telefon. Tu już nie myśl, nie pismo rozesłać po świecie, lecz żywe słowo, dźwięk, ton, akcent. Zdaleka przyjaciel poznaje głos przyjaciela.

Zkolei stańmy przy fonografie. Rok, dwadzieścia, pięćdziesiąt lat mija; gdzie jestem, co się ze mną stało? Wszystko, co mną było, zniszczone jest, z wyjątkiem głosu, najbardziej znikomej części mego jestestwa. Uchwycono go, przechowano, uczyniono nieśmiertelnym, i teraz tak samo ten głos nic sobie nie robi z czasu jak i z przestrzeni. Za sto lat będzie go można jeszcze słyszeć, tak jak go słyszeli współcześni. Przypuśćmy, że ten nadzwyczajny wynalazek istniał już i był w użyciu w chwili, gdy Jezus Chrystus mówił na górze: „Błogosławieni czystego serca”. Moglibyśmy dziś słyszeć głos Jego, Jego akcent, dźwięk Jego słów. I padalibyśmy na kolana w zachwycie i uwielbieniu.

Wiedza zatem stwarza dla człowieka rodzaj rzeczywistej obecności; daje mu sposób upowszechnienia, utrwa-

lenia myśli, słowa, głosu, czyli cząstki jego samego, a Bóg, Wszechmoc nieskończona, nie mógłby urzeczywistnić tego na korzyść miłości swojej! to niedorzeczność. Światło przebiega 75 tysięcy mil na sekundę, cztery miliony mil na minutę, 270 milionów mil na godzinę. Dostosujmy tylko tę szybkość do wynalazków, o jakich mówiłem, a nasza ziemia już im nie wystarczy; obecność rzeczywista przeleje się poprzez czasy i przestrzenie.

Powiesz może: „Ależ to jest promieniowanie w przestrzeni jedynie naszej myśli, naszej woli, pisma, głosu, to nie promieniowanie naszej substancji”. Dobrze; pytajmy teraz innych nauk: fizyki, chemji, fizjologii. Odśloną nam one inne, niemniej cudowne tajemnice. Wszystkie istoty promieniają; wszystkie nazewnątrz wydają coś ze swej substancji. Światło, ciepłik, magnetyzm są siłami promieniującymi. Człowiek więcej niż każda inna istota promieniuje; wciąż się odnawia promieniowaniem. Po krótszym lub dłuższym przeciągu czasu nie pozostaje w nim ani jednego atomu z ciała, jakie miał poprzednio. Promieniowanie to jest częściowe, ograniczone, powolne, przystosowane do tak nietrwałej istoty, jaką jest człowiek. Czyż nie mogłoby ono być całkowitem i nieustannem w Jezusie Chrystusie? Byłoby tu toż samo zjawisko posunięte do nieskończoności.

Objaśnienia te uważam jedynie jako hipotezy, prawdopodobieństwa, jakich pełno bywa w każdej nauce; nie przywiązuję do nich wielkiej wagi; ale, ponieważ dla pewnych umysłów mogą się one przydać, więc ich nie odrzucam. W moich oczach wszystko błędnie i znika wobec tego wielkiego a prostego argumentu: Bóg chciał, by była rzeczywista obecność i uczynił ją. Chciał jej, gdyż sam jest Miłością nieskończoną; uczynił ją, gdyż jest Wszechmocą nieskończoną. Cóż na to odrzec możecie?

IV.

Przyjrzyjmy się teraz zasłonie, pod którą ukryty jest Jezus Chrystus. Inne są tu znów ciemności i inne światła.

Ponieważ Jezus Chrystus chciał być w świętej Eucharystji niewidzialnym, potrzeba było, by Go nam coś wskazywało, a ponieważ nie mógł w niej być jak tylko w stanie chwalebnym, który jest Jego naturalnym stanem, potrzeba było, by nam Go coś zakrywało. Obecność rzeczywista wymagała wskazówki i zasłony.

Ale z czegoż złożoną będzie ta wskazująca zasłona? Bóg bezwątpienia mógł użyć do tego czegośkolwiek bądź. Zdawało się jednak, że stosownemby tu było coś nadzwyczaj lekkiego, bezmateriałnego niemal. Potrzeba było niejako, by między Jezusem Chrystusem a nami znalazło się coś tylko niezbędnie koniecznego.

Jezus Chrystus wziął trochę chleba bez kwasu, trochę wina. Wybór ten odnosił się do Jego zamiaru, by stać się naszym pokarmem, i wskazująca zasłona miała nam to mówić. W tej odrobinie chleba, w tych kilku kroplach wina niema prawie materji; ale Jezusowi ta lekkuchna hostja wydała się zbyt jeszcze ciężką, zbyt nieprzejrzystą; udelikatnił ją jeszcze.

W chlebie, jak we wszystkich istotach, są dwie rzeczy: substancja, to jest to co podtrzymuje, co zawiera wszystko, i kształt, to jest kolor, smak, widzialność, to co podpada pod zmysły i służy do ukazania niewidzialnej substancji. Jezus Chrystus zachował tylko tę drugą rzecz — kształt. Potrzebne Mu to było, by uderzyć wzrok nasz i nim kierować. Nacóż mogła się przydać substancja? łączyłaby się niepotrzebnie z Ciałem Jezusa Chrystusa, które tu powinno być samo jedynie. Zadaniem substancji jest zasilanie materialne życia ludzkiego; tego tu nie potrzeba. Z tych powodów Jezus Chrystus odrzucił substancję chleba i wina. Odjął wszystko, co jest tu materją, ciałem; zachował tylko widzialność, bez której nie byłoby zasłony wskazującej. Zostawił tylko czyste pozory i osłonił nimi, niby welonem, uwielbioną swą Osobę obecną w Sakramencie. Szukając zatem Pana Jezusa w ołtarzu, nie szukamy Go poomacku — wiemy dokładnie, gdzie jest, a znalazłszy Go, nie czujemy się przygniecenii Jego chwałą. Witamy Go i uwielbiamy pod zasłoną.

Czem są te pozory pozostające po konsekracji? Trudno to orzec. Czy można za św. Tomaszem sądzić, że te namacalne przymioty chleba i wina są absolutne, to jest, że istnieją same, mocą swej własnej natury i niezależnie od podtrzymującej je substancji? Czy też mamy mniemać, że Bóg, odrzuciwszy substancję, w dalszym ciągu oddziaływa na nasz wzrok, smak i powonienie, jak gdyby substancja istniała tam jeszcze? Mniejsza o to; substancji tam już nie ma, Bóg ją odrzucił, gdyż była niepotrzebna, bezużyteczna, przeszkadzała tylko. Wszecmoc Boga sprawiła, że pozostały jedynie pozory i one to osłaniają, a zarazem wskazują rzeczywistą obecność Jezusa Chrystusa.

V.

W świętej Eucharystji jest zatem między Jezusem Chrystusem a nami zasłona, służąca zarazem, by nam ukazać Jego obecność i by ukryć Go przed nami. W jaki sposób Jezus Chrystus jest pod tą zasłoną? Kościół odpowiada: „*Vere, realiter et substantialiter*”. Prawdziwie, rzeczywiście i istotnie. W określeniu swem używa przysłówków, synonimów na podobieństwo Jezusa Chrystusa, który po swoim zmartwychwstaniu mówił do apostołów: „Oglądajcie ręce moje i nogi; zeciemi ja tenże jest: dotykajcie się i przypatrujcie: bo duch nie ma ciała, ani kości, jako widzicie, że ja mam”.

Jezus Chrystus nie jest widmem w świętej Eucharystji. Jest tam prawdziwie, rzeczywiście, istotnie, tak jak jest w niebie. Niema dwóch Chrystusów: Ten, który jest w niebie, jest jednocześnie tu — pod zasłoną, tu i tam chwalebny, ale tu niewidzialny.

Nie trzeba jednak mniemać, że najświętsze Ciało Jezusa Chrystusa jest ograniczone rozmiarami zasłony. Jest ono tam nie w stanie ciał pospolitych, ale w stanie ciał uwielbionych, w stanie duchów. Jest tak, jak moja dusza jest w moim ciele. Czy ona wychodzi poza granice mego ciała, czy nie wychodzi? Któż to wie? Tak i Jezus jest

w świętej hostji. Nie jest większy w wielkich hostjach; nie jest mniejszy w małych. Nigdy nieprzełamany, nigdy niepodzielony. *Non confractus, non divisus, integer accipitur*¹⁾. Kapłan, łamiący hostję, dzieli zasłonę, ale nie dzieli Jezusa Chrystusa. Kapłan konsekrujący święte hostje mnoży zasłony, ale nie mnoży Jezusa Chrystusa. Kapłan, przenoszący świętą hostję, nie przenosi Jezusa Chrystusa, który rozszerza swoją obecność lub ją usuwa, nie ruszając się, ani będąc poruszonym.

I nie tylko Jezus Chrystus jest obecny w świętej Eucharystji prawdziwie, rzeczywiście i istotnie, ale jest pod zasłoną ze wszystkimi organami Ciała swego najświętszego, ze wszystkimi władzami swojej świętej Duszy, z całym blaskiem swojego Bóstwa. Oczy swemi nas widzi; swemi uszami nas słucha. Zmysły Jego dotknięte są fizycznie naszą obecnością, skoro kłękamy u stóp Jego przed tabernakulum.

Wiem, że niewszyscy teologowie przystają na tę teorię. Sądzą, że Jezus Chrystus w ołtarzu nie posługuje się cielesnymi organami, że wskutek nieograniczoności Jego najświętszego Ciała, oczy Jego, organa, zmysły, pozostają w bezczynności; że widzi nas zapomocą swojej wiedzy wewnętrznej (*infuse*), albo zapomocą błogosławionego widzenia. Przypuszczają, że co najwyżej rzeczy zewnętrzne mogą stykać się ze świętą Jego duszą za pośrednictwem innych środków niż zmysły. „Nic nie stoi na przeszkodzie, mówią oni, by Pan nasz Jezus Chrystus był obdarzony nowymi siłami życiowymi, jak to bywa i z ludźmi w pewnych nadzwyczajnych stanach, które to siły cudownie użyte, pozwoliłyby Mu utrzymać stosunki z nami zapomocą bezpośrednich sposobów i uwolniłyby Go od współdziałania zewnętrznych organów czucia²⁾”.

Wszystko to jest możliwe. Lecz o ileż prostszą, naturalniejszą, bardziej wzruszającą, bardziej ludzką jest myśl, że gdy modlimy się u stóp Pana Jezusa w Najśw.

¹⁾ Proza św. Tomasza: *Lauda Sion*.

²⁾ W. O. Dalgairns. *La sainte Communion*.

Sakramencie utajonego. On widzi nas oczyma swojemi, słucha swemi uszami tak, jak widział i słuchał apostołów nad brzegami jezior galilejskich, lub przy serdecznych wy-nurzeniach przy Ostatniej Wieczery! Dlaczegoż miałoby być inaczej? Czy na przeszkodzie stoi przestrzeń? Ależ On nie podlega zwykłym prawom przestrzeni. Czy byłby to cud zbyt wielki? Ależ wszystko tu jest cudowne, a ten cud nie przewyższa innych. A jak wiele zyskuje tu mi-łość! Skoro Jezus Chrystus ustanowił rzeczywistą obecność w świętej Eucharystji, aby nam zastąpiła nieznana przez nas obecność Wcielenia, musiał ją uczynić jak najbardziej do tejże podobną. Czyż nie jest On bliżej nas, jeżeli nikła zasłona postaci przeszkadza jedynie naszemu, ale nie Jego wzrokowi i jeżeli zamiast być oddzielonym od nas fizyczną przeszkodą, którą usuwałby tylko przez działanie swej wiedzy wewnętrznej (infuse), może On po ludzku wchodzić z nami w stosunek oczyma swemi, które nas widzą, uszami, które nas słyszą, sercem, które uderza czując nas blisko siebie?

Była to myśl św. Bonawentury, wielkiego doktora, nazwanego seraficznym, gdyż posiadał szczególniejszą intuicję serca. Tak mu się wydawało oczywiście, że Jezus Chrystus posługuje się oczami i uszami swemi, by nas widzieć i słyszeć, że przywodzi to jako argument, by dowieść, iż Ciało Pana Jezusa jest całe pod zasłoną eucharystyczną¹⁾.

Suarez, największy może wśród drugiego pokolenia scholastyków, jest tegoż samego zdania. Bez trudu można przypuszczać, że mocą Bożą zewnętrzne zmysły Pana naszego w Najśw. Sakramencie, uszy Jego, oczy Jego działają tak samo, jak gdy przebywał wśród swoich apostołów²⁾.

Inny wielki teolog, jezuita Lessius, jeszcze silniej tę samą myśl wypowiada. „Bardzo jest prawdopodobnem, że Chrystus w Eucharystji, swoją boską mocą, widzi oczy-

¹⁾ Bonavent. In 4-a distinct., XIX art. 1, 2.

²⁾ Suarez. De Sacramentis, LIII, 3.

ma ciała kapłana i inne obecne osoby i słyszy ich głosy. Skoro Pan nasz w Sakramencie tym mieszka z nami cielesnie, przystoi, by mógł utrzymywać z nami stosunki za-pomocą cielesnych swych zmysłów i by nie pozostawał tu w sposób niejako uśpiony, martwy¹⁾.

Przytoczmy jeszcze jednego teologa, który może być zwany ostatnim ze scholastyków, i który nadzwyczaj starannie gromadzi zdania teologów z dawnych czasów. „Można mniemać, mówi uczony Viva, że w Eucharystji Chrystus Pan posługuje się oczyma swemi w sposób naturalny, aby widzieć wszystko, co otacza ołtarz. W przeciwnym razie byłby podobnym do rzeczy martwej, do kamienia, a to byłoby niegodne Pana naszego²⁾).

Zakończmy pięknym ustępem wyjętym z pism uczonego hiszpańskiego kardynała Cienfuegos. Wielką część swego dzieła *Vita abscondita* poświęcił dowodzeniu, że Jezus Chrystus posługuje się w świętej Eucharystji swemi cielesnymi zmysłami. „Twierdzę, że Pan nasz w świętej Eucharystji używa swoich zmysłów. Chociaż nie określam, czy to jest naturalnie, czy cudownie, czy przez bezpośrednią moc boską, twierdzę, że fakt ten, jakkolwiek nadzwyczajnym może się wydawać, jest tysiącokrotnie odpowiedniejszy, a nawet potrzebniejszy, tak dla godności Pana naszego tu obecnego, jak i dla naszego pożytku i dla celów, w których święta Eucharystja ustanowiona została“. Potem dodaje, że Pan Jezus widzi nas swemi oczyma, słyszy swemi uszami dlatego, że wierni, będąc tego pewnymi, wzrastają wielce w miłości, ufności i czci dla Niego. Obcowanie ich z Nim staje się prawie boskiem. Z większem staraniem oszyszczać będą swoje sumienie. Bardziej będą zajęci, by Go przyjąć godnie, i jak największych do tego dołożą usiłowań. Bo gdy sam myślę, że z hostji Pan Jezus widzi mnie swemi cielesnymi oczami, że słyszy zewnętrznymi swojemi uszami modlitwy, jakie do Niego zanoszę, o, jakże wiara moja wzrasta na

¹⁾ Lessius ap. Cienfuegos, *Vita abscondita*.

²⁾ Viva. part. 7, disput. 4, 2, 7.

tę myśl! jak moja miłość się rozplómienia, głębokie zdumienie i cześć napełniają mnie, a najśłodsze pociechy zalewają moją duszę¹⁾.

Oto czym jest rzeczywista obecność Jezusa Chrystusa pod zasłoną eucharystyczną. Żaden umysł, choćby najbardziej przenikliwy, choćby wspomógłony był całym światem wiedzy, z pewnością nie potrafi nigdy usunąć ciemności, otaczających tę głęboką tajemnicę. Ale także z pewnością żaden umysł, nawet najbardziej niechętny nie zdoła odkryć tu czy niemożliwości, czy sprzeczności, nic, co nie byłoby łatwym dla Boskiej Wszechmocy i co nie wypływałoby jak potok z nieskończonej Miłości. To samo mówiła Anna Gonzaga po swoim nawróceniu: „Łatwo można pojąć, że Bóg, który nieskończenie miłuje, daje dowody nieskończonej miłości i nieskończonej swojej wszechmocy, a to co jest właściwe wszechmocy Boga, o wiele przechodzi pojęcie słabego naszego umysłu. Odkąd spodobało Mu się oznajmić mojemu sercu, że Jego miłość jest przyczyną tego wszystkiego, w co wierzymy, odpowiedź ta silniej mię przekonywa, niż wszystkie księgi”. W tem to, dodaje Bossuet, księżna znalazła rozwiązanie wszelkich swoich dawniejszych wątpliwości: Bóg umiłował — wszystko przez to jest powiedziane! Jeżeli Bóg, mówiła ona, zdziałał tak wielkie rzeczy dla ukazania nam swej miłości we Wcieleniu, czegoż nie uczyni uzupełniając ją w Eucharystji, ażeby się oddać już nie ogólnej naturze ludzkiej, ale każdemu wiernemu w szczególności. Wierzmy więc ze św. Janem w miłość Boga: wiara wyda nam się słodką, gdy ją weźmiemy z tak miłosnego punktu²⁾.

VI.

Rzeczywiście wiara w Eucharystję „wzięta z punktu tak miłosnego” nie przedstawia już prawie ciemności. Jak się one zmniejszyły w oczach rozumu i prawdziwej nauki!

¹⁾ Cienfuegos. *Vita abscondita*, disp. 2, lect. I, 1.

²⁾ Bossuet. *Mowa żałobna na pogrzebie Anny Gonzagi*.

Ale postaw je wobec miłości, a ujrzysz, co się z niemi stanie!

Są bezwątpienia ciemności, są trudności w tajemnicy rzeczywistej obecności; ale ten, kto kocha, nierad byłby, gdyby ich nie było; bo te trudności służą do triumfu jego miłości. Miłujący spogląda na tabernakulum i myśli: jak Jezus Chrystus jest tam? odpowiada: Bóg tak umiłował świat! Jak jest w tysiącach hostyj? Bóg tak umiłował świat! Jak jest On w moim sercu? Bóg tak umiłował świat! Co za szczęście, zamknawszy oczy, powiedzieć: Boże mój, kocham Cię i Tobie się oddaję!

I nietylko miłujące serce nie wie, jak Jezus Chrystus sprawił, by pozostać w świętej Eucharystji, ale nie chce tego wiedzieć. Nie chce, by mu to odsłonięto, bo gdyby wiedziało, straciłoby jedną z najśłodszych, najsubtelniejszych rozkoszy miłości. Dziecko wchodzi do ciemnego podziemia, lęka się trochę. Ale matka trzyma je za rączkę; ojciec z drugiej strony je prowadzi; cóż za rozkosz wstępować w te ciemności, gdy się jest otoczonym tak tkliwą opieką!

Zresztą, jakże to Jezus Chrystus przychodzi do mnie? Ogoławając się. Cóż więc za szczęście, że idąc do Niego mogę się огоłocić! On opuszcza swoją chwałę, swoją zewnętrzną potęgę, swój majestat. Co za radość móc się wyrzec dla Niego moich zmysłów, mego rozumu, wszystkiego, co mię napełnia dumą! On, przychodząc do mnie, staje się niejako tylko sercem. Co za szczęście stać się tylko sercem, idąc do Niego!

Oto w jaki sposób wszystkie trudności, wszystkie ciemności tajemnicy świętej Eucharystji, zamiast być przeszkodą miłującemu, stają się jednym więcej urokiem, jedną więcej podniętą dla jego miłości.

VII.

Ale co mi wspominasz o ciemnościach, o trudnościach? Niema ich wcale, gdy się kocha! Skoro tylko

wypowiemy to wielkie słowo, odrazu pełna światłość zewsząd nas oblewa.

Dziwisz się, na przykład, że Jezus Chrystus chciał pozostać rzeczywiście obecnym w świętej Eucharystji, i przyznaję, że dla niekochającego musi się to wydawać niedorzeczem, niemożliwym. Ale jak inaczej się to pojmuję, gdy się kocha! Jestem tylko nędznym stworzeniem, zimnem, samolubnem, ale gdy kocham kogo, czuję się szczęśliwym przebywając z nim. Cierpię, gdy muszę się z nim rozłączyć; jeśli rozłączenie ma trwać długo, jeśli miałoby być na zawsze, ból mój staje się niewypowiedzianie dotkliwy. Czyż trudno pojąć, że Jezus Chrystus, kochając tysiąckrotnie silniej niż my, nie chciał rozłączenia ani oddalenia, lecz pragnął na wieki pozostać z tymi, których umiłowal! Nie mógłbym pojąć, gdyby było przeciwnie.

Dziwisz się, że Jezus Chrystus, chcąc pozostać na ziemi, nie zadowolnił się pozostaniem w jednym tylko miejscu, ale chciał być w tysiącnych miejscach ołtarzy naraz! Skoro się dziwisz, to znak, że nie kochasz! Przypuszczam, że jesteś ojcem, matką. Bóg udarował cię czworgiem, pięciorgiem dzieci. Rosną u twego boku, jak młode roślinki, które kiedyś podpora się staną dla twej starości. Nagle burza jakaś rozpędza je na wszystkie strony świata. Powiedz, czy nie cierpisz? czy nie chciałbyś pozostać ze wszystkimi i z każdym z osobna? Kolejno, biedna matko, wędrujesz od jednego do drugiego, pozostając tu miesiąc, tam drugi, aby oszukać pragnienie serca. Ale gdyby naraz te ukochane twoje dzieci potrzebowały ciebie jednocześnie, gdyby się dowiedziały o ich smutku, niedoli, chorobie, gdyby umierały w jednej godzinie, szukając cię gasnącym wzrokiem przy sobie — powiedz, czy nie byłoby gorzką dla ciebie męczarnią nie móc się podwoić, potroić, podzielić tak, by stanąć wszędzie przy cierpiących, których miłujesz? A więc co ty, matko, pragnęłabyś uczynić, Bóg, który jest ojcem, Bóg, który wszędzie ma dzieci, Bóg, który posiada nietylko serce pełne niewymownych pragnień dla ukochanych, ale ma i bezgraniczną wszechmoc, by te pragnienia ziszczyć —

Bóg to uczynił. Nie bluźnij przeciwko cudowi rzeczywistej obecności rozszerzonej do wszystkich dusz: jest to najcudowniejszy pomysł miłości. Byłabyś go stworzyła, gdybyś była mogła.

Dziwisz się, że Jezus Chrystus, pragnąc zostać między ludźmi, nie zachował przynajmniej swojej wielkości, swego majestatu, że uczynił się tak małym. Ależ wielkość, majestat dobre są dla tych, których się nie kocha. Bóg zaś jest Ojcem i oto usunął swoją wielkość, swój majestat, ażebyśmy mogli zbliżyć się do Niego poprostu, poufale, jak to czynią dzieci z ojcami swymi, choćby ci zajmowali najwyższe stanowiska.

Dziwisz się, że Jezus Chrystus poniósłszy mękę i śmierć za nas, chce jeszcze bezprzestannie ponawiać swoją ofiarę i w świętej Eucharystji pozostawać na zawsze, jako poświęcająca się ofiara. Nie wiesz chyba, jakie to szczęście cierpieć i umierać za tych, których się kocha; nic nad to niema większego na ziemi. Tylko dla ułomnej, ludzkiej natury szczęście to jest nietrwałe. Gdy się oddało swój czas, majątność, serce, można jeszcze oddać życie; skoro się odda życie, to już koniec, już nic nie można uczynić dla ukochanych. Gdybyż to można było oddawać je tysiąc razy, nieskończoną ilość razy. „Cierpieć, zawsze cierpieć, nigdy nie umierać”. Wzniosłe to słowo wypłynęło z serca kobiety, z serca świętej. Piękniejszym nad nie może być jedynie: „Umierać, zawsze umierać a umarłszy tysiąc razy jeszcze na nowo umierać”. Ale takie słowo mógł powiedzieć jedynie Bóg i uczynił żeń niejako serce świętej Eucharystji, a to, by tak w miłości jak i we wszystkim być nam Mistrzem!

Dziwisz się, gdyż wszystko cię dziwi w tej tajemnicy, że Jezus Chrystus przybrał w świętej Eucharystji postać, którą możemy spożyć, karmić się nią, wcielić ją w siebie! To cię dziwi. Ale nie, to cię nie może dziwić. „Któż nie wie, mówi śmiało Bossuet, że w uniesieniach ludzkiej miłości kochający chcieliby niejako zjeść się wzajemnie, pochłonać, wcielić się w siebie wszelkimi sposobami, aby przedmiot swej miłości posiadać, aby się nim żywić, aby

się z nim zjednoczyć, aby z niego brać życie. Co w miłości cielesnej jest szaleństwem, niemożliwością, to staje się prawdą, mądrością w miłości Jezusa. Bierzcie i jedzcie: to jest Ciało moje. Pożywajcie nie cząstkę, nie kawałek, ale wszystko¹⁾.

Takie to właśnie uczucie wzniosłem światłem oblewa opowieść o Ugolinie. Drobne dzieciątka czołgają się osłabłe u stóp ojca umierającego z głodu; wyciągając doń ręczyny, mówią: „Ojcze, zjedz nas, pożyw się naszymi ciałami!”

Oto jaką jest święta Eucharystja. Zbierz wszystkie uczucia serca ludzkiego, złącz je, zmieszaj, a będziesz miał tę uwielbioną instytucję. Pojmuję dobrze, że nie może jej zrozumieć ten, kto nie kocha. Ale kto kocha i widzi, co Jezus Chrystus uczynił, aby zadowolnić swoje serce, jak w jednym akcie streścił wszystkie pragnienia i dał mu trwanie na wieki, ten w uwielbieniu zapragnie umrzeć z miłości.

¹⁾ Bossuet. Méditations sur l'Evangile.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Święta Eucharystja (ciąg dalszy).

Stół Pański.

W dalszym ciągu będziemy się zastanawiać nad największą ze wszystkich chrześcijańskich tajemnic, nad tajemnicą eucharystyczną. Dotąd poznaliśmy ją zewnętrźnie; teraz zstąpimy do jej głębi.

Treść tajemnicy eucharystycznej to nie rzeczywista obecność Jezusa Chrystusa na ołtarzu, ale spożywanie Jego Ciała i Krwi. Jezus Chrystus jest tam obecny, aby być przez nas spożytym, aby, stając się pokarmem dusz naszych, dać nam życie boskie, jakiego potrzebujemy.

To właśnie silnie wyrażają tak słowa obietnicy i ustanowienia, jak i okoliczności, wśród których były one wyrzeczone, a nawet i istota chleba i wina, którą Jezus Chrystus wybrał, by z niej uczynić ukrywającą Go zasłonę. Niemniej jasno wyraża to także bogata i wspaniała nomenklatura nazw, dawanych tej tajemnicy, poczynawszy od czasów katakumb. Nazywaną jest Stołem Pańskim, Stołem mistycznym, Stołem świętym¹⁾, Boską Ucztą²⁾, Boskim Chlebem, Pańskim Chlebem³⁾, Chlebem niebieskim, Chlebem wyższym nad wszelką substancję⁴⁾, Kielichem życia,

¹⁾ Hippolyt. in Proverb. IX, 1. Theod. in I Corint. XI, 20. Euseb. Demonst. Evang. I, 10.

²⁾ Chryzost. in I Cor. Homil. XXVII.

³⁾ Ignat. Eph. n-o V Origen. in Matth., no XIV Hieron. in Tit. II, 14.

⁴⁾ Tertull. in Orat., c. 1.

Kielichem zbawienia¹⁾, Przenajświętszem Ciałem Chrystusowem²⁾, Przenajdroższą Krwią Chrystusową³⁾, Połączeniem, Świętem Zjednoczeniem, Świętą Komunią, Stołem Komunii⁴⁾, i wiele innych nazw, wyrażających tę samą myśl.

Czy ośmielimy się zgłębić, co się ukrywa pod temi znaczącymi nazwami?

I.

Stół Pański! Różnie są stoły zastawiane. Jedne zastawia przyjaźń, przyozdabiają uczucia rodzinne; do innych, wspaniałych, królewskich, zasiada się z uszanowaniem przez wzgląd na osobę zapraszającego. A wreszcie, ponad stoły wszystkie jest Stół nazwany świętym, Pańskim, Ucztą świętą, *sacrum convivium*, do którego się nie zasiada, ale przy którym się klęka, do którego przystępuje się ze złożonemi rękoma, z oczyma spuszczo-nemi, z sercem bijącym wiarą i miłością ze względu na świętość, na boskość podawanego nam tu pokarmu. O *sacrum convivium*, *in quo Christus sumitur*.

A dlaczegoż to jest Stół święty, a na tym świętym Stole dlaczego podają nam boski pokarm? Dlatego, że żadne życie trwać nie może, jak tylko pod warunkiem, że będzie zasilane. Każda istota potrzebuje pożywienia stosownego do swego ustroju. Ponieważ mamy boski ustrój, potrzebny nam jest boski pokarm. Bóg, bezwątpienia, mógł nas inaczej utworzyć; ale skoro przez święty Chrzest wlał w nas boskie życie, musiał nam zgotować i boskie pożywienie.

Nauka zajmuje się rozbiorem pokarmów niezbędnych dla organizmu ludzkiego i znajduje cudowne rzeczy

¹⁾ Basil. In Spirit. sanct. cap. XXVII. Constit. Apost., VIII, 13.

²⁾ Origen. adv. Cels. VIII, 33. Constit. Apost. II, 57, 33; VIII, 14. Cypr. Epist. X.

³⁾ Hippol. in Proverb., IX, 1. Constit. Apost. VIII, 13.

⁴⁾ Dion. Hierarch. Eccles., cap. III, 11. Joan. Damasc. Orth. fid., IV, 13.

wprawiające w podziw. Ukazuje nam jak zboże, jak winna latorośl — te dwa królewskie pokarmy ucywilizowanego człowieka — wyszukują w ziemi i z nieomylnym instynktem wybierają pierwiastki potrzebne dla naszego życia: jedne potrzebne naszym kościom, inne naszym nerwom, jeszcze inne podatne dla naszej krwi. A gdy te pierwiastki w taki cudowny sposób wy-ciągnięte zostały z ziemi, nauka ukazuje nam znowu, jak się one łączą w doskonałej proporcji, tysiąc-krotnie lepiej umierzonej, lepiej zastosowanej, niżby tego mógł dokazać najbiegłęjszy chemik czy lekarz, i jak wnikając w nas przez spożycie, rozchodzą się po całym naszym organizmie, nie myląc się co do swego przeznaczenia. Jeżeli więc Bóg takie rzeczy uczynił, aby zasilać to krótkotrwałe, nikłe życie, czyż można się dziwić, że więcej uczynił dla zasilenia w nas życia boskiego? Jeżeli ożywił niejako, uduchowił te rośliny, aby w ziemi wyszukiwały tego, co potrzebne jest naszemu ciału, to gdzież postara się On o to, czego potrzebuje nasza dusza? Daj nieśmiertelnej duszy uciechy, majątności, zaszczoty — czemuż to dla niej będzie? Otwórz przed nią skarby wszystkich nauk, wszystkie tajniki wszechświata, najbardziej zdumiewające wynalazki i odkrycia — niczem one będą dla duszy łaknącej prawdy. Tylko Bóg zaspokoić może jej pragnienia. I oto dlaczego Jezus Chrystus powiedział nam: Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje. Bierzcie i pijcie, to jest Krew moja. A z mojem Ciałem i Krwią moją jest moja Dusza złączona z Bóstwem. Jesteście boskiemi istotami; posilajcie się mojem Bóstwem!

Nie dość jest, by pożywienie człowieka przystosowane było do jego konstytucji; musi się ono stosować do jego temperamentu, do jego usposobienia, jego słabości, jego chorób. I tu ujawnia się wiedza znakomitych lekarzy. Odnawiają organizmy, które niewłaściwe odżywianie byłoby zniszczyło. Znałem pewnego wybitnego męża, który życie zawdzięczał mądrymu lekarzowi, urodził się on rachitycznym, skrofulicznym; znakomity lekarz, przez stosowanie właściwego odżywiania, przerobił jego organizm

i tak go wzmocnił, że człowiek ów żył blisko 80 lat. I oto dlaczego, gdy Jezus Chrystus zapragnął oddać się nam na pokarm, nie dał siebie takim, jakim był na górze Tabor, takim, jakim był w dniu Zmartwychwstania lub Wniebowstąpienia. Na cóż byłoby nam się zdało takie chwalebne pożywienie? Na cóż byłoby się ono zdało maluczkim, ubogim? Na co byłoby się zdało nawet bogatym, szczęśliwym tego świata, szczęśliwym napozór, a tak często w głębi zranionym, złamanym przez życie? Spójrzcie na świętą Eucharystję. Ciało oddzielone jest od Krwi, nie w rzeczywistości, ale napozór, by nam przypomnieć, że było Ono zranione, udręczone, złamane, jak my. Głowa uwieńczona cierniem, a Ciało całe okryte tyłu ranami, jak nigdy nasze nie będzie. Jezus Chrystus, ażeby dać nam poznać, jak bardzo ów pokarm zastosowany jest do naszego stanu, rzekł do nas: Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje za was wydane, za was złamane. Bierzcie i pijcie, to jest Krew moja za was wylana.

Uczta, którą Jezus nam gotuje, podobna jest do pożywienia, jakie swoim pisklętom daje pelikan:

Pie Pelicane,
Jesu Domine!

Spojrzał wokoło siebie, przeszukał całą ziemię. Co dać swym dzieciom, by utrzymać w nich życie? Nic nie znalazł, co mogło być dla nich stosownem, nic dość wielkiego dla ich nieśmiertelnej duszy, nic dość tkliwego dla ich duszy zmiażdżonej, zranionej! Wtedy wskazał na pierś swoją, otworzył serce i rzekł: Bierzcie i jedzcie; bierzcie i pijcie. Jam tylko dość wielki, ja tylko dość cierpiącem, by móc być waszym pokarmem.

Nauka w swych studjach nad odżywianiem się ciała ludzkiego dostrzegła inne jeszcze cuda. Pyszniście się, jak chcecie, ludzie duchem żyjący, niemniej prawdą jest, że inteligencja wasza rozwijałaby się w próżni, gdyby pokarm cielesny tak nędzny, tak marny nie podsyczał od czasu do czasu jej ognia, który łatwo gaśnie i zastyga. Są nawet pokarmy coś więcej nad to czyniące, dające nam nie-

tylko siłę, żywotność, ale rzec można dodają one wesela naszej duszy, zaostwiają nasz dowcip, ożywiają wyobraźnię; nieledwie uwierzyć nam każą w nasz własny geniusz, tyle światła i zapалу wlewają w całą naszą istotę. Otóż, jeżeli proste, ziemskie pierwiastki zdolne są dokonać takiej przemiany, cóż mówić o Boskiem Ciele Pana naszego Jezusa Chrystusa złączonem najistotniej z naszą duszą?

Zresztą, jakkolwiek daleko sięgają owe żywotne soki, jakie Bóg ukrył w ziemskim pożywieniu, jest pewna sfera, do której gdyby się dostały, sprowadziłyby tylko zamieszanie: sfera obowiązku, cnoty, pokory, czystości, oderwania się od ziemi, sfera boska, do której, niestety, przedostają się nieraz zniechęcenie, znużenie i która musi być zatem także podniesiona, umocniona, podtrzymana boskiem pożywieniem. I dlatego to Jezus Chrystus rzekł: Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje, bierzcie i pijcie to jest Krew moja. Jak pospolita substancja nasycą się wyższymi sokami, tak ja to Ciało moje przez trzydzieści trzy lata przesycam pokorą, czystością, posłuszeństwem. Bierzcie i jedzcie i stawajcie się pokornymi, czystymi, świętymi, miłującymi Boga i ludzi na podobieństwo Tego, który chce być waszym pokarmem.

Oto czym jest święta Eucharystja. A teraz, cóż możecie powiedzieć, coby zachwiało moją wiarę? Wierzę w wyższą część mojej istoty, tak jak wy wierzycie w niższą. Pożywam Ciało Jezusa Chrystusa, jak wy spożywacie chleb ziemski. Piję krew Jego przynajdroższą, jak wy pijecie czystą wodę kryniczną, lub wino z swojej winnicy. Bez naturalnego pożywienia ludzie żyć nie mogą; bez nadprzyrodzonego pokarmu nie mogą żyć chrześcijanie. Nie umiem wytłumaczyć, w jaki sposób przez Komunię świętą wlewa się w duszę cnotę, czystość; ale czy pojmujecie, jakim sposobem ziarno zboża, wino z jagód wyciśnięte przywraca waszemu umysłowi zapal, wzmacnia inteligencję? Niema ani jednego zarzutu skierowanego przeciw temu boskiemu pokarmowi, którego nie odwróciłbym natychmiast przeciwko pożywieniu cielesnemu.

Tak, Panie Jezu, żyję Tobą, jak człowiek żyje naturą. A raczej, będąc stworzeniem złożonem, żyję razem Tobą i naturą; karmię się zielenią i karmię się niebem według słów Twego proroka: I wróci się proch do ziemi swej, z której był, a duch wróci się do Boga, który go dał. (Eccl. XII, 7.)

II.

Wiek XVIII sądził, że udało mu się znaleźć nie dający się odeprzeć zarzut; orzekł, że karmić się Bogiem jest to niedorzeczność. Ach nie, to właśnie jest wzniosłe!

Samo już zwykłe pożywanie się jest naprzekór naszej pysze zaświadczeniem, że jesteśmy niczem; że życia w sobie nie mamy, że brakuje go nam parę razy na dzień. Spożywanie — to wyznawanie najpierwszego pewnika, mianowicie, że jesteśmy niczem innem, jak tylko słabem, jednodniowem stworzeniem. Niepodobni jesteśmy do Boga, który się nigdy nie odżywia.

Ale karmić się Bogiem, jakaż to wielkość niezmierna! Jest to uznanie, że jesteśmy więksi niż cała ziemia, skoro na tej kuli ziemskiej, tak wspaniałej, tak żyznej, nie znajdujemy pożywienia dostosowanego do naszej natury. Gdybyśmy byli istotami ziemskimi, ziemia mogłaby nas żywić; skoro nam jednak potrzeba boskiego pokarmu, to znak, że jesteśmy istotami boskimi.

Nie ośmielonoby się nawet stawiać tak błahego zarzutu, gdyby się przyjrano ogólnemu planowi istot. Czy że Bóg, chcąc ustanowić prawo spożywania eucharystycznego, według tego wzoru urządził świat cały, czy że dla wszystkich stworzeń obmyśliwszy spożywanie i przemianę materji jako jedyny środek życia, ustanowił na samym szczycie, jako boskie uwieńczenie, tajemnicę eucharystyczną, zawsze jest prawdą, że nic nie żyje, nie rośnie, nie utrzymuje się, nie wznosi, nie przechodzi z jednego królestwa przyrody do drugiego, jak tylko przez pożywanie. Cóż jest niższego jak ziemia, glina, błoto? A jednak

tu zawierają się pierwiastki, soki tajemniczo wyrabiane. Roślina je czerpie, zabiera, przemienia je na swoją własną naturę. I oto ziemia, glina staje się istotną częścią rośliny i podniesiona jest przez nią do wyższego życia roślinnego.

Roślina rośnie, rozwija swe kwiaty, wydaje woń, owoce. Z kolei zwierzę zagarnia ją dla siebie i spożywszy ową roślinę, zamienia ją na swoją własną substancję, podnosząc ją przez to do wyższego życia, do życia obdarzonego czuciem.

I znowu z kolei zwierzę spożyte bywa przez człowieka; staje się substancją człowieka; przez spożycie podwyższone zostaje do uczestnictwa w ludzkim życiu.

A więc i człowiek musi zapomocą jakiegoś środka wznieść się wyżej i zmienić swoją istotę. I oto naco jest święta Eucharystja. Człowiek pożywa Ciało, pije Krew Jezusa Chrystusa; ale nie przemienia tego pokarmu w swoją własną istotę; on to jest właśnie przemieniony w boską istotę, według prawa wypowiedzianego przez Orygenes¹⁾, że jeżeli przyjmowany przez nas pokarm jest niższej od nas natury, zamienia się w nas, a jeżeli przeciwnie jest natury doskonalszej, zamienia nas w siebie. Oto jak się tu dzieje. Człowiek nie zmienia Ciała Jezusa Chrystusa w swoją własną naturę; sam jest zmieniony w naturę Jezusa Chrystusa.

I tak przez owo tajemnicze, a jednakowoż powszechne prawo spożywania i przemieniania substancji ziemia staje się rośliną, roślina zwierzęciem, zwierzę staje się człowiekiem, a człowiek staje się boską istotą.

III.

Człowiek potrzebuje więc pokarmu, by mógł żyć, i to pokarmu przystosowanego do jego natury. Jakże się przyjmuje ten pokarm? Jakiego potrzeba aktu do wcielenia go w siebie? Dwóch aktów: aspiracji i asymilacji.

¹⁾ Origen. Comment. in Joan. cap. VI.

Wciągamy w siebie substancję nam obcą, żywotną; a skoro już w nas jest, wtedy przez drugie tajemnicze działanie zamieniamy to obce życie w nasze własne życie. Jak to się dzieje? Jest to tajemnica nawet dla ciała, tem więcej dla życia boskiego. Jak Jezus Chrystus może wnikać w nas przez św. Komunię? Nie wiemy. Jak Dziecię Jezus wyszło z łona swej Matki, Najśw. Marji Dziewicy? Kościół odpowiada: jak promień słońca, nie niszcząc niczego, niczego nie naruszając. Jakże to po swoim Zmartwychwstaniu Jezus Chrystus mimo drzwi i okien zamkniętych wszedł do wieczernika, gdzie się znajdowali apostołowie? Tym samym sposobem, jak smuga świetlna — nie zostawiając śladu swego przejścia. Jakże to światło przedostaje się do naszych mieszkań, najszczelniej zamkniętych? Jakże to piorun przebija najgrubsze mury? A czemże jest jednakowoż światło, czem siła elektryczności wobec uwielbionego ciała? Najsubtelniejsze nawet żywioły nie mogą dać o tem pojęcia. By można w przybliżeniu cośkolwiek z tego zrozumieć, trzeba sięgnąć do duszy, do ducha. Uwielbione ciało ma ich szybkość i przenikliwość. Jakiemże więc musi być Ciało Jezusa Chrystusa, Ciało Króla wszystkich ciał uwielbionych?

Przed chwilą było tu przede mną, nazewną, na ołtarzu, zakryte zasłoną. Klęczałem w pewnej odległości. Teraz jest we mnie. Jak tam wniknęło? Nie wiem. Jaki wyłom uczyniło, aby się przedostać? Żadnego. Tak samo nie rozsunęło ścian mojej piersi, jak nie rozsunęło ścian zamkniętego wieczernika. Skoro Jezus przeszedł przez mury, rzekł do apostołów: „Oglądajcie ręce moje i nogi, że ja tenże jestem; dotykajcie się i przypatrujcie, bo duch nie ma ciała ani kości, jako widzicie, że ja mam”. A potem wyszedł tak samo, jak wszedł, mimo drzwi i okien zamkniętych, nie zostawiając śladu swego przejścia. Tak samo wchodzi do serca mego w świętej Komunii.

Ale jeśli nie wiem, jakim sposobem Jezus tam wstępuje, wiem dokładnie, kiedy wchodzi. Małeńka hostja jest znakiem boskiego wejścia. Mówi do mnie: „Zbierz myśli i uczucia wszystkie i uwielbiaj: oto Jezus”.

IV.

Wtedy rozpoczyna się asymilacja. Kto ją pojmuje? To niedosyć, że Jezus Chrystus wstępuje w nas; musi się jeszcze z nami złączyć. Czyni to; ale jak dalece to czyni, jakim sposobem? Spróbujmy cośkolwiek o tem powiedzieć.

Są różne rodzaje zjednoczeń. Które z nich wybrał Jezus Chrystus?

Jest najpierw zjednoczenie hipostatyczne. Dwie istoty złączone w jedności osoby. Byłoby to zbyt wiele: człowiek nie byłby już człowiekiem.

Jest następnie zjednoczenie uczuciowe, zjednoczenie przyjaciela z przyjacielem. To nie było dostateczne.

Wreszcie jest trzecie, ale czy ośmielę się o tem mówić? Jest to złączenie pokarmu i pożywającej ten pokarm istoty: bierzesz trochę chleba, spożywasz go; łączysz się z tobą. Wkrótce nie jest już chlebem, jest twojem ciałem, twoją krwią, jest tobą. Oto, jakie zjednoczenie wybrał Jezus Chrystus. Stał się pokarmem w świętej Eucharystji.

Pokarm to istota, którą Bóg stworzył, aby była spożyta. Być spożytą — to racja jej bytu, to przyczyna jej przymiotów, jej piękności, jej wyborności, jej życia, to, jeżeli tak rzecz można, jej szczęście.

Św. Paweł mówi, że stworzenia jęczą i pozostają jakoby w bólach rodzenia, czekając na ostateczną godzinę, która da im poznać dzieci Boże. A ja, darujcie mi moją śmiałość, mówię, że wszystkie stworzenia, które Bóg uczynił pokarmem, czekają niecierpliwie, by zostały spożyte. Gdy człowiek do ust je zbliża, jakaż to jest ich radość, że nareszcie dochodzą do celu, dla którego stworzonymi zostały. A dostawszy się do wnętrzości naszych, jak śpiesznie wydobywają z siebie i rozlewają w naszym organizmie to życie, które przyniosły dla człowieka! Pochłaniają się w tej pracy i znikają, bolejąc, że już nie mogą więcej życia nam udzielić, ale szczęśliwe, że wypełniły

swoje przeznaczenie, że dokonały wielkiego dobroczynnego posłannictwa — utrzymania życia w sercu ludzkim.

Oto, czym Jezus Chrystus chciał być i czym jest w świętej Eucharystji, z tą różnicą, że jeśli mówiąc o pokarmach, użytych im uczuć, jakich mieć nie mogą, tu jestem w niemożności opisanie uczuć ożywiających rzeczywiście Jezusa Chrystusa. Uwielbiasz Go, to dobrze; nawiądasz Go, to jeszcze lepiej; miłujesz Go — to doskonale. Ale jeżeli Go nie spożywasz, to i nacóż On tu jest? Wszak woła do ciebie: Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje. Jak niecierpliwie czeka. Zapalają świece; jakie szczęście, będzie spożyty! Chwila Komunii nadchodzi. Z jakim weselem słyszy otwierające się drzwiczki tabernakulum, drzwiczki Jego więzienia! Nie może pośpiechu swego powstrzymać; kapłan niedość prędko Go podaje. Czasem hostja wymyka się z rąk kapłana i leci, śpieszno jej, by została spożyta. A gdy jest już w ustach, gdy niewidzialnym sposobem, znanym Bogu samemu, zstępuje do głębi człowieka, cóż tam działa? Czy beczynnie tam pozostaje? Jezus beczynny! ten ogień! ta miłość! ten boski pokarm! Ach, teraz jest chwila triumfu! O jak rozdziera okrywającą Go zasłonę; już jej teraz nie potrzebuje. Jest w sercu tych, którzy Go miłują, którzy Go pragną! Łączy się z nimi, przemienia ich w siebie. Jest to rodzaj wzajemnego współprzenikania. Tu *in me et ego in te*. Byłoby to niebo, gdyby niebo mogło być na ziemi.

Na nieszczęście jest to zaledwie błyskawiczna chwila. Święte postacie znikają, rzeczywista obecność ustaje wraz z nimi i Jezus Chrystus zamiera w nas niejako. Ale zamierając pozostawia po sobie pokój, ten pokój głęboki, zbyt boski, by mógł od kogo innego pochodzić!

V.

Ale i to jeszcze nie cała tajemnica świętej Eucharystji; trzeba wyżej dążyć.

Czy zauważyliście, że Kościół do słów konsekracji ośmielił się dodać rodzaj wzniosłego nawiasu?

Jezus Chrystus powiedział: Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje. Bierzcie i pijcie: ta jest Krew moja nowego testamentu, która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów".

Kościół przy świętym ołtarzu powtarza te same słowa. Ale nagle przerywa, jakby zdumiony tem, co wyrzekł: Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje. Bierzcie i pijcie, to jest kielich Krwi mojej nowego testamentu (tajemnica wiary), która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów.

Czy ośmielimy się zbadać do głębi te myśli, które każały Kościołowi dodać w nawiasie: *Mysterium Fidei*?

Zbliżamy się do ołtarza w chwili, gdy kapłan wstępuje na jego stopnie. Świece się palą, milczenie panuje, lud się modli. Nagle, w pewnej chwili kapłan opiera ręce na ołtarzu i przejęty, skupiony wymawia kilka słów tak cicho, że ich nie słyszy nawet chłopię, klęczące u stóp jego. Ale słowa te brzmią jak krzyk rozgłosny wskroś głębokości niebieskich. I natychmiast z szybkością iskry elektrycznej, z szybkością tysiącrotnie przewyższającą nasz umysł, Ciało Jezusa Chrystusa jest obecne na ołtarzu, *Corpus Domini nostri Jesu Christi*. A ponieważ Ciało Jezusa Chrystusa jest ciałem żywym, ciałem zmartwychwstałym, uwielbionym, więc z tem ubóstwieniem Ciałem Pana naszego jest i Boska Krew, krążąca w Jego żyłach, bijąca w Jego sercu: *Sanguis Domini nostri Jesu Christi*.

Zatrzymuję się tu, by was zapytać: „Czy rozumiecie tę wielką tajemnicę wiary: *Mysterium Fidei*?” Jakiemże bowiem jest to Ciało, jaką jest ta Krew? Cóż to mamy przyjąć? czy ludzką osobę? Nie. A więc co? Oto ludzką naturę: moją, twoją, naszych przyjaciół, na-

szych wrogów. Przyjmiemy ją w usta, złączymy z naszym sercem, całą bez wyjątku, bez zastrzeżeń. I oto dlaczego Jezus Chrystus mówił: Jeśli tedy ofiarujesz dar twój do ołtarza, a tem samem wspomnisz, iż brat twój ma nieco przeciw tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a idź pierwszej pojednać się z bratem twoim. Gdyż wnosić uczucia niezgody i nienawiści do tajemnicy zjednoczenia i miłości byłoby to niezrozumienie i świętokradztwo.

A w jakim stanie podana nam jest owa ludzka natura? Oto złamana; ciało odłączone przynajmniej napozór od krwi, ażeby wzruszyć nasze serca i przypomnieć nam, czym jest w rzeczywistości ta biedna ludzka natura. Spojrzyjmy wyżej, ponad bóle jednostek i rodzin i zapłaczmy. Ziemia cała cierpi, wszędzie rany się krwawią, klęski różnego rodzaju przygniatają narody. A cóż dopiero, gdy sięgniemy myślą do wojen z początku zeszłego stulecia, do okropności 93 r., do wstrząśnień ubiegłych wieków? Wszędzie ciało odłączone jest od krwi, wszędzie ludzkość do krzyża przybita, i nie śmiejmy się na to skarżyć, bo jeśli nie wisi ona na krzyżu, to pogrąża się w bezceści. Jezus Chrystus wziął ją na siebie i oddał nam ją złamaną dlatego, ażebyśmy przed uczestnictwem w weselu Bóstwa, zaczęli od uczestniczenia w cierpieniach ludzkości i z natury naszej miłości dla ludzi uczynili przedsięwzięcie miłości naszej ku Bogu.

Czy to wszystko? Jeszcze nie. Kościół uczy, że z tem Ciałem i Krwią Jezusa przyjmujemy Jego świętą Duszę. Ciało i Krew Boga to wiele, ale to jeszcze niedosyć; smiem twierdzić, że nie mogłoby nam wystarczyć. Pragnę całować stopy Jezusa, jak Magdalena, pragnę głowę oprzeć na Jego piersi, jak św. Jan, ale niech mi wolno będzie przystąpić do Jego Duszy! Jestem duszą i w pełni mogę cieszyć się tylko duszą. A oto Dusza Jezusa zbliża się do nas i wzywa nas, ta najpiękniejsza, najwyższa, najszlachetniejsza, najwznioślejsza ze wszystkich dusz. Cóżby się

działo, gdybyśmy byli mniej zamknięci w sobie, gdybyśmy zupełnie przed Nią otwierali nasze dusze? Włapały w nie swoją wzniosłość, swoją wielkość, swoją miłość. Oderwałyby nas od rzeczy poziomych, uniosła z sobą na wyżyny!

Ale i to dopiero jest początkiem tajemnicy. Ta Dusza tak piękna, szlachetna i wielka złączona jest z drugą Osobą Trójcy Przenajświętszej, ze Słowem Przedwiecznem. Złączona nie związkiem przyjaźni, jak to bywa wśród ludzi; nie zjednoczeniem świętości i chwały, jak to jest w niebie. Złączona jest z Niem zjednoczeniem tak wielkiem, tak nadzwyczajnem, że Słowo Przedwieczne i ta święta Dusza tworzą jedną i tę samą Osobę. A zatem, skoro przyjmując Ciało i Krew Pana naszego Jezusa Chrystusa przyjmuję Jego Duszę, oczywiście jest, że zarazem przyjmuję Słowo, drugą Osobę Trójcy Przenajświętszej. Jak się to dzieć może? jak dusza moja nie stopi się w takim ognisku? Nie wiem: *Mysterium Fidei!*

Zbliżamy się do szczytu. By się tam dostać, starajmy się dobrze zrozumieć to co następuje. Jest zasada teologiczną, że we wszystkich działaniach, nie stanowiących koniecznego życia Boga, w tych działaniach swobodnych, które Bóg wydaje niejako poza siebie, *ad extra*, według wyrażenia teologów, jest zasada, że tam, gdzie jest jedna Osoba Trójcy Przenajświętszej, są koniecznie i dwie drugie, a zatem skoro pod postaciami sakramentalnymi prawdziwie jest Słowo, tam jest także Ojciec i Duch Święty, czyli jest cała Trójca Przenajświętsza.

Ale te trzy Osoby Boskie nietylko to działają. Są w nich inne działania, stanowiące ich niewymowną Istotę, działania wiekuiste, konieczne, nigdy nie ustające: Ojciec wiekuście rodzi Syna; od Ojca i od Syna wiekuście pochodzi Duch Święty. Działania te nigdy nie miały początku, nie mogą mieć końca ani przerwy. Skoro tak jest, to gdy pomyślę o chwili, w której postaci eucharystyczne przebywają w mojej piersi i te niewysłowione działania, które przez wieczność całą uwielbiać będziemy, do-

konywają się we mnie, gdy mówię sobie, że w głębi serca mojego Bóg Ojciec rodzi Syna swego, że z Ojca i z Syna pochodzi Duch Święty i że te wzniosłe, nie dające wypowiedzieć się czyny dzieją się w moim sercu jak w świętym przybytku — padam na kolana w zachwycie i wzruszeniu. O Boski Sakramencie, dusza moja nie zniosłaby tego szczęścia, gdyby Bóg udzielił mi możności przeniknięcia tych cudów aż do głębi!

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Ostatnie Namaszczenie.

Kościół rozwija tyle gorliwości, tyle cudownych pomysłów, by podnieść i uświęcić życie swych dzieci, czegoż więc nie uczyni, by je do śmierci przygotować? Śmierć to akt ostateczny; może być zadosyćuczynieniem, może być całopaleniem. W każdym razie kończy wszystko. To też nigdy Kościół nie okazuje się tkliwszy, potężniejszy, bardziej przewidujący. Stworzył umiejętność śmierci, która, jak wszystkie umiejętności, ma swoje stopnie początkowe i stopnie wzniosłe. Kościół uczy ową istotę, jak cień mijającą i bolejącą nad tem, że tak szybko mija, tę istotę, tak wielki wstręt czującą do śmierci, uczy ją nie bać się śmierci, spoglądać na nią śmiało, przyjmować odważnie bez trwogi, uczy nawet iść naprzeciw śmierci i ukochać ją jako wybawicielkę i przyjaciółkę.

A daje nietylko światło w tej sztuce dobrej śmierci, ale także i siłę. Dotyka poświęconemi palcami oczów umierającego, aby je zamknąć na wszystko, co ziemskie, a otworzyć na jasności nieba. Namaszcza jego stopy i dłonie, by je oczyścić z prochu; namaszcza serce, by je umocnić i zagrzać do ostatniej walki. A dopóki trwa ten bój straszliwy, ile modlitw, jakie gorące błagania zanosi za umierającym! Swoją miłością macierzyńską zasłania go przed Bogiem! Wzywa na jego pomoc wszystkich aniołów i wszystkich świętych z nieba. Jakie zasługi przytacza na jego korzyść! A gdy tchnienie już ustępuje, z jakąż tkliwością zamyka mu oczy! Nie opuszcza go nawet wtedy, gdy wśród wonności, śpiewów i łez złoży jego

ciało w poświęconej ziemi cmentarza, nie przestaje już modlić się za niego, dopóki go nie wprowadzi do wiekuistej światłości. Wszystko tu jest wzniosłe i gdybym chciał udowodnić, że Kościół jest matką, prawdziwą matką, to nie potrzebowałbym innego dowodu.

Kilka razy mówiłem już o tych rzeczach, wykazywałem, czym jest śmierć w wysokim pojęciu Kościoła i jaka potęga dana jest Religji, by pocieszała, umacniała, podtrzymywała w tych okrutnych chwilach. Powracam jeszcze do tego, by w żywym przykładzie pokazać, jak Bóg wiele pociechy zlewa na umierających i czym staje się Religja w wielkiej niedoli.

Przykład biorę z życia. Jest to jeden z owych bolesnych dramatów tak częstych, niestety. Młoda szesnastoletnia dziewczeczka gaśnie powoli w oczach rodziców, a gdy w Religji znajduje ona dość siły, by z uśmiechem na ustach umierać, ojciec jej i matka także w Religji znajdują siłę, by nie umrzeć z bólu, widząc ją umierającą. Chrześcijaństwo musiał dać światu wielkie pociechy, gdyż inaczej zbyt okrutnemi byłyby rozłączenia. Dlaczego tak głęboką uczynił ranę miłości? Dla tego samego już zniewolony jest stosowne nieść jej lekarstwo.

Lepiej niż wszystko, co mógłbym powiedzieć, historia ta wykaże wielkość mego lekarstwa. Czytelnik ujrzy w niej żywą Religję, uczuje obecność tego Ducha, któremu wdzięczna ludzka dusza daje nazwę: *Consolator optime*.

I.

Kilkanaście lat temu danem mi było zbliżyć się do pewnej zacnej rodziny, a stało się to w sposób niespodziewany, jak się to nieraz kapłanom zdarza. Jedna z córek tej rodziny w chwili bardzo dla siebie ważnej usłyszała moje kazanie i zapragnęła rady mojej zasięgnąć. Trochę dobrego, jakie mi się udało dla niej uczynić, pozyskało mi wdzięczność rodziców. Od tego czasu zawiązały

się między nami stosunki, błogosławiłem związek małżeński jednej z córek, następnie ochrzciłem pierwsze jej dzieciątko; ale nie domyślałem się, że Bóg, pozwalając mi uczestniczyć w radościach tej rodziny, zechce mnie z nią ściślej i na zawsze złączyć, czyniąc uczestnikiem jej cierpień. Nigdy nie zapomnę chwil spędzonych wśród tego miłego grona, pełnego pokoju, miłości i podniosłości ducha. A chwile upływały nam nad cudnym brzegiem morza i tam, wobec nieskończoności fal, mając nad głowami nieskończoność gwiazd, wiedliśmy rozmowy o Bogu, o duszy, mówiliśmy o przyszłości, o szczęściu ziemskim i niebieskim. Często pogawędka nasza, zaczęta uśmiechem, kończyła się łzami. Świeża bowiem rana krwawiła się tu jeszcze; przed dwoma zaledwie laty umarła najstarsza z czterech córek, podcięta jak kwiat, doszedłszy zaledwie lat osiemnastu. Wspomnienie anielskiej istoty żyło wciąż w dotkniętej jej strata rodzinie. Nie o niej jednak chcę tu mówić; nie znałem jej, widziałem raz tylko modlącą się w kościele. Zrobiła mi wtedy wrażenie anioła, który dotknąwszy się ziemi, pragnie co prędzej powrócić do nieba.

Teraz ta sama groźna choroba, co ją zabrała, zdawała się godzić w najmłodszą, szesnastoletnią Kajetanę. Wyjątkowe to było dziecko tak pod względem inteligencji jak i serca. Wykształcenie jej było nieco zaniedbane; miała zaledwie 13 lat, gdy jej siostra Ludwika zapadła na zdrowiu, matka zaś, zmuszona oddać się chorej i towarzyszyć jej pod łagodniejsze niebo południa, nie miała ani czasu, ani możliwości zająć się nauką najmłodszej dziewczynki. Gdy zaś nieszczęście przywróciło matce ową możliwość, pierwsze oznaki straszliwej choroby, ukazujące się w Kajetaninie, kazały unikać wszelkiego trudu jej nauką i pracą. Dziwną jednak to dziecko posiadało intuicję; nie potrzebowała uczyć się — odgadywała. Nie uczono jej muzyki, ale ona ją rozumiała i siadłszy do fortepianu improwizowała. To samo było z rysunkami. Namietnie kochała piękno i w sztuce nie znosiła nic miernego. Cecho-

wała ją wielka szlachetność i tkliwość; ale dziwna nieśmiałość, jakiś lęk krępował w tej epoce jej porywy. Serce to było głębokie; otwierało się tylko przed ukochanymi i wtedy z nawiązką oddawało wszystko, co od nich otrzymywało.

Nie przypuszczałem, że Bóg mnie wybrał, bym tej dziewczeczce dopomógł opuścić ziemię, powrócić do nieba. Pierwszą tego wskazówkę otrzymałem w przeddzień mego wyjazdu z owej nadmorskiej miejscowości. Przechadzałem się rano nad brzegiem oceanu, rozmyślaniem przygotowując się do odprawienia Mszy św., gdy zbliża się do mnie matka Kajetany. Serce macierzyńskie pełne było przeczuć; niepokoila się, lękała, że dziecko zabranem jej będzie. Pragnęła, bym nie odjeżdżał, dopóki dziewczeczka nie otworzy przede mną swego serduszka, nie pozwoli mi tam zajrzeć i złożyć słowa, mające ją przygotować do groźnej chwili, o której zbliżaniu się nie można było, niestety, powątpiewać. Co do mnie, nie miałem tego wrażenia, nie wierzyłem w grożące niebezpieczeństwo; sądziłem, że strata najstarszej córki wpływa na budzenie się przesadnych obaw w biednej matce. Ale jakże odmówić żądaniu tak wzniosłej troskliwości? Trzeba było jednak wynaleźć pozór, by nie zatrwożyć umysłu słabej dziewczynki. Wilję tego dnia dzieci usilnie mię prosiły, bym pozostał jeden dzień dłużej; byłem nieubłagany; teraz podszedłem do Kajetany, rzekłem: „Wiesz, dziecko, jak się namysliłem? zamiast jechać jutro rano, pojedę dopiero pojutrze“. Wybuchnęła radością. „Ale czynię to pod pewnym warunkiem, dodałem z uśmiechem. Jutro odprawię Mszę świętą na twoją intencję, a ty przystąpisz do Komunii św. Razem będziemy Boga prosić, aby ci wrócił zdrowie. Bóg, to najlepszy lekarz“.

Dziewczynka zakłopotana nic nie odpowiedziała: „To spowiedź cię krępuje, nieprawdaż? — Och tak, nigdy nie odważę się spowiadać przed tutejszym ks. proboszczem, którego nie znam. Gdybym to mogła uczynić przed tobą, mój ojcie! — Jeżeli to cię tylko wstrzymuje, to się nie

kłopotcz. Nacóż to Pan Bóg pozwolił urządzić druty telegraficzne? Dla dobra dusz. Przygotujże się dzisiaj, jutro piękny i dobry dzień dla nas będzie“.

Natychmiast wysłałem depezę do biskupa owej diecezji i w godzinę miałem już potrzebne do spowiadania upoważnienie. Wtedy po raz pierwszy nawiedziłem duszę tego dziecka. Zapragnąłem użyć całego wpływu, by ją uczynić jak najpiękniejszą, nietylko niewinną, bo nią już była, ale wspaniałomyślną, silną, ofiarną wobec śmierci grożącej jej szesnastu latom. Zresztą nie mówiłem jej o śmierci, bo i poco? Niechby mi się tylko udało wlać w to niewinne serce kropelkę miłości Bożej, czyż to nie wystarczy? Nazajutrz przystąpiła do Komunii świętej i pożegnałem ją ze łzami w oczach.

Byłem głęboko poruszony tem spotkaniem, ale nie przewidywałem, że i dalej danem mi będzie ułatwiać temu dziecku drogę do śmierci. Sądziłem, że za powrotem do domu dziewczynka w mieście rodzinnem znajdzie duchową pomoc, jakiej może potrzebować, a ja oddzielony przeszło 200 milami i obowiązkowem zajęciem, modlitwami tylko służyć jej będę.

II.

Po powrocie do D. Kajetana zrazu nie zdawała się być bardziej chorą; zajmowała się robótkami ręcznymi, rysunkami, trochę muzyką. Jediną zmianą w niej zauważoną było wielkie pragnienie czynienia dobrze wokół. Mówiła, że chce koniecznie stać się dobrą. Posłyszala o bardzo nieszczęśliwej rodzinie: ojciec pogrążony w pijanństwie, matka poniewierana i bezradna, sześcioro zaniedbanych dzieci. Postanowiła zająć się tą nędzą, wyrwać tych ludzi z występku i biedy. Na zarzuty ojca odpowiadała: „Nie bój się, ojcie; zobaczysz, że przez najstarszą dziewczynkę pozyskam całą rodzinę. Za nią wszyscy pójdą“. Sama poszyła odzież dla sześciorga drobniaku; dla najstarszej wyrobiła miejsce w szkole miejskiej

a namowami, prośbami, nieustannem błaganiem trafiła do serca jej rodziców i przywróciła biednej rodzinie pokój, ład, a nawet rozbudziła cnotę.

Nadeszła zima i spowodowała pogorszenie w stanie chorej. Opadała z sił widocznie. Codzień niemal odbierałem o niej wiadomości. Matka błagała mnie, bym gotów był przyjechać, gdyby dziewczęciu bliskie niebezpieczeństwo groziło. Błaganie stało się usilniejsze, gdy zwykły jej spowiednik ciężko zachorował, a lękano się, by sprowadzeniem nieznanego kapłana nie zatrwożyć jej zbyt. Jeden z takich listów odebrałem 25 grudnia, a 27 miałem głosić słowo Boże w Chartres i niesposób już było to odwołać. Trzebaby więc jechać na całą noc, spędzić przy chorej parę godzin i drugą noc obrócić na powrotną podróż. Zmęczenie mnie nie przerażało, ale dręczyła mnie myśl, że zaledwie kilka godzin będę mógł poświęcić biednej dziewczynce, a przedewszystkiem, że trzeba jej będzie udzielić pośpiesznie Ostatnich Sakramentów i nagwałt czynić to, co czynić trzeba z przygotowaniem, a potem zaraz opuścić konające, umierające dziecko, tak zdaleka mnie przywołujące. Mimo więc tego listu chciałem odwlec swój wyjazd do 28 grudnia, gdy otrzymany telegram położył kres wszelkiemu wahaniu: „Kajetana umierająca, błagamy przyjeżdżaj”. Wyjechałem natychmiast w dzień Bożego Narodzenia. Przejeżdżając przez Paryż, wstąpiłem do jednego kapłana, serdecznego mego przyjaciela, prosząc, by, jeśli otrzyma ode mnie depeszę, zechciał mnie z kazaniem w Chartes zastąpić; niemożliwem byłoby mi bowiem odjeżdżać tego dziecka w konaniu. Przybyłem w nocy; jakże bardzo zmienioną ją zastałem. Ale czy że atak choroby minął, czy że radość z mego przybycia szczęśliwie na nią oddziaływała, czuła się trochę lepiej. Część ranka spędziłem przy jej łóżku na poufnej z nią rozmowie. Wyspowiadała się, udzieliłem jej rozgrzeszenia, które przyjęła z wzruszającą wiarą. Zresztą, o śmierci nie mówiliśmy i słowa. Widziałem, że myśli o niej: ale dla mego przy niej posłannictwa wystarczyło, by jej serce otwie-

rało się coraz więcej dla miłości Boga, by się napełniało wiarą, nadzieją i szlachetną ofiarnością, a o tem nie wątpiłem.

Było jednakowoż coś, o czem byłbym pragnął, by pierwsza ze mną mówić zaczęła, o Komunii świętej. Lecz ona nie zaczynała, a ja wiedziałem, że jak wielu chorych, nie chce i ona Komunii przyjmować w łóżku i nie na czczo. Wspomniałem wreszcie o tem: „Och, nie teraz, później, gdy będę mogła być w kościele”.

Niestety, wiedziałem, że tam już nigdy nie wróci. Ale jak nalegać? Nie chciałem jej trwożyć; gdybym miał przed sobą dni kilka, zaczekałbym; ale wieczorem musiałem odjechać, a nowego pogorszenia można się było spodziewać lada dzień; skoro mnie nie będzie, to samo sprowadzenie nieznanego księdza więcej ją jeszcze zatrwoży. Nie wiem, jakie słowa Bóg mi włożył w usta, na które dziewczeczka, składając ręce, odrzekła: „Jeżeli tak, to dobrze”. Chciała tylko, bym w tajemnicy przyniósł Najświętszy Sakrament; jedynie matka miała być obecną. Chodziło jej, by ojciec o niczem nie wiedział. Dobry to był chrześcijanin, lecz niezmiernie tkliwy i jeszcze złamany śmiercią najstarszej córki; bała się, by wzruszenie go nie dobiło.

Nie wiem, co wpłynęło na zmianę tego planu, podczas, gdy się udałem do pobliskiego kościoła, by przynieść Boga, którego Kościół nazywa: *Consolator optime*. Sama powiadomiła o tem ojca, braciszka, siostry, domowników. Urządzono śliczny ołtarzyk, cały woniejący od zimowych kwiatów. Dziewczę kazało się ubrać i siedziało naprzeciw ołtarza oczekując z sercem miłości pełnem tego Boga, który do niej z miłości przychodził. Powiedziałem kilka słów dla przygotowania, ukrywając lzy moje. Zdawało mi się, że mam przed sobą anioła.

Odjechałem wieczorem. Te odwiedziny skłoniły mnie do poświęcenia się zupełnie pięknemu dziełu uświęcenia jej duszy i postanowiłem, gdy tylko będę mógł, zjawić się u jej łóżka. Wiedziałem, że to już długo trwać nie będzie.

Łaska zaczynała przedziwnie działać w tem młodem serduszk. Oto co pewnego styczniowego dnia napisała w swoim dzienniku: „Bóg prowadził mnie zawsze szczególniejszym sposobem. Charakter mój miał zbyt wiele niezależności; zdawało mi się, że zawsze według woli mojej wszystko dziać się powinno. Byłabym chciała nie słuchać nikogo, nawet Ciebie, mój Boże. Ale Tyś się zlitował nade mną; zesłałeś mi tę chorobę, bym poznała bezsilność moją. Dziękuję Ci za nią, o Panie; dziękuję, żeś mnie tu doprowadził, gdzie niema nadziei prócz w Krzyżu”.

W ubłogosławionych przez Boga śmierciach zawsze smutek Ogrójca poprzedza boleści Kalwarji; — zanim usta spalone gorączką zawołają za Panem: *Sitio*, pragnę, bywa inna, boleśniejsza może godzina, gdy się mówi: Smutna jest dusza moja aż do śmierci; gdy się myślą przebiega minione życie, widzi się swoje upadki, swoją nędzę, ilość swych niewdzięczności, a zarazem widzi się świętość Boga i drży się i trwoga resztę sił zabiera. Jednego popołudnia w owym miesiącu styczniu, naznaczonym tyłu dla niej cierpieniami i takim wielkim w dobrem postępie, Kajetana oparłszy głowę na piersiach matki, zwierzyła jej się cichutko ze swych niepokojów, smutków, niemal trwogi miotającej jej duszę. Biedną matkę wstrząsnęło to do głębi i oto jaki list do mnie wysłała:

„Jak bardzo potrzeba mi pociechy! Serce moje przepełnione bólem. Kajetana z dniem każdym czuje się gorzej; gorączka połączona z zaduszeniami i biciem serca męczy ją codzien od czwartej po południu do północy. Wczoraj, gdy ją prawie przez cały ten czas podtrzymywałam, otworzyła mi nareszcie swoje serce z wylaniem, jakiego u niej nie pamiętam. Potrzebuje ona rady i uspokojenia, a tego dać jej nie umiem. „Widzisz, mówiła do mnie, ja czuję mój stan, oddawna śledzę postępy choroby i wiem, że już długo żyć nie będę. Bywam smutną, gdyż dręczą mnie różne wątpliwości. Tak mało umiem; tak mało się uczyłam. Nigdy też nie miałam spowiednika,

któremu ośmieliłabym się wszystko opowiedzieć. Zamykano mi natychmiast usta, które z takim trudem otwierałam, bo wiesz, jak jestem nieśmiała... I znów zostawałam z moimi smutnymi myślami... Byłam zła i jestem nią dotąd; jakże bardzo brakuje mi miłości dla otaczających mnie osób! Boże mój, jak bardzo pragnę być dobrą. Ks. Bougaud tak krótko z nami pozostał, a ta nieszczęsna nieśmiałość zamykała mi usta, nie pozwalając tak się z nim rozmówić, jak to teraz z tobą, mammo, czynię; a tak mi potrzeba wyrwać z serca te gnębiące myśli!” Widząc zaś, że płaczę, dodała: „Nie martw się, mammo. Opuszczam życie bez żalu. Nawet o nie Boga nie proszę, ani też o zmniejszenie moich cierpień. Ale gdy umrę, gdzie pójdę?” — Do nieba! zawołałam. — „Ach! odrzekła, wstrząsając głową, jakby z powątpiewaniem, jakże tam trafię z tą moją nieśmiałością!” Potem mówiła mi o ziemskich rzeczach jako będących samym zawodem, o szczęściu niebieskiem, o pragnieniu swoim przygotowania się dobrze do tej drogi. Widzę, że długa, szczegółowa z całego życia spowiedź przyniosłaby wielką ulgę memu biednemu dziecku. Dostrzega, w czem dawne jej spowiedzi były niedokładne. A przytem jej serce dziwnie dojrzało w tej długiej chorobie. Ach! gdybyś, Ojcze, mógł tu przybyć, zanim moje biedactwo wychyli do dna ten kielich, zanim pozna całą mękę osamotnienia duszy! Już teraz potrzeba twojej pomocy, mój Ojcze. Zresztą wśród tych lęków siła jej moralna jest niezachwiana. „Bóg wszystko dobrze czyni, mówiła mi jeszcze. Opóźnił chwilę mojej pierwszej Komunii, bo będąc młodszą, nie byłabym jej może dobrze przyjęła. Zabiera mnie ze świata, bo nie umiałabym może oprzeć się złemu. Niech Jego święta wola będzie błogosławiona”.

Zbyt dobrze znałam Kajetanę i dosyć w tym względzie miałem doświadczenia, by nie poznać, co się kryje pod temi niepokojami. To oczyszczanie się zaczynało, to Bóg wrzucał złoto w ogień, by je od wszelkiej domieszki uwolnić. Odpisałem natychmiast, uspokajając matkę; nad-

mieniłem jej, że choć krótko przy jej córce byłem, do głębi poznałem jej duszę i sumienie; że jest to anioł powracający do nieba. Dusza jej jest czysta i nic mi innego nie pozostaje, jak uczyć ją, w jaki sposób ma się przez cierpienia uświęcać. Wejrzenie na krucyfiks, krótki akt miłości, westchnienie ku Bogu wystarczy.

Pamiętałem jednak, że pociechę nieść trzeba; gdy Pan nasz popadł w konanie na górze Oliwnej, anioł przystąpił, by Go pocieszać. Dlatego skorzystałem z swobodniejszego dnia, by pośpieszyć do tej dziewczki, dręczonej jednocześnie cierpieniami ciała i niepokojem duszy. Z krótkiej tej podróży, gdyż tylko dzień jeden przy chorej spędziłem, zachowałem niezatarte, słodkie wspomnienie. Słów kilka wystarczyło, by przywrócić pokój w trwożliwym sercu pobożnego dziecka. Wszystkie cienie ustąpiły wraz z próżnemi niepokojami. Czysta jej dusza odzyskała pogodę i cała zajęta była przyjęciem Boga swojego, od którego tak się lękała, że zostanie oddaloną. Pojechałem do sąsiedniego kościoła po Wiatyk. Nic dla mnie równać się nie może z chwilą, gdy Bóg, Pan nieba i ziemi, spoczywa na mojej piersi, a ja Go niosę choremu. I teraz lzy zalewały mi oczy, gdy czułem, że to wszystko, co za cenę własnej krwi byłbym chciał dać chorej dziewczeczce: pociechę, pokój, siłę w cierpieniu — to wszystko On jej da z sobą. O wzniosłe tajemnice naszej Religii, jak można ich nie rozumieć! jak oczywiste jest, że one są tylko niedostępne dla tych, co nigdy nie kochali. Z jakimże przejęciem, z jakim uniesieniem przyjęła chora tego Pocieszyciela serc. „Pokojem mię udarował!” rzekła tylko, a pokój ten promieniał w jej oczach.

W niecałe dwa tygodnie potem znów nastąpiło groźne pogorszenie i zawezwano mnie telegraficznie. Przybyłem w nocy; atak minął i chora zasypiała. Twarz jej przywozдила na pamięć postacie owych aniołów, jakimi średnio-wieczni malarze otaczali Najsw. Pannę, zapełniali niebo. Tylko ci aniołowie nie cierpią, a tu krótki oddech, wy-

chudłe rysy, oczy, czarnemi plamami podbite, wskazywały, że zbliża się godzina, w której wszystko co ziemskie musi się w niej złamać, by mogła się stać czystym aniołem. Widząc, że niema natychmiastowego niebezpieczeństwa, pobłogosławiłem ją w milczeniu i usunąłem się do sąsiedniego pokoju.

Zauważono, że w każdym pogorszeniu, wśród najgwałtowniejszych cierpień uspokajała się, skoro tylko otrzymywała wiadomość o mojem przybyciu. Sprawiała to Religia, pomoc, którą chora za mojem pośrednictwem w niej znajdowała; wszyscy tem byliśmy uderzeni. Rano poszedłem do niej, przeżegnałem ją i usiadłszy przy niej, trochę z nią porozmawiałem. Pokój, jaki ją napełnił za ostatniej mojej bytności, już jej nie opuścił, a wzrosło poddanie się woli Bożej. Miłość Boga, silniejsza od śmierci, podtrzymywała ją; serce jej całe otwierało się na zalew tej miłości.

Mimo odwagi tej pobożnej i dzielnej dziewczki nie mówiłem z nią dotąd o Ostatniem Namaszczeniu. Pobożni jej rodzice uważali, że trzeba skorzystać z tego dnia, by go jej udzielić. Kto wie, kiedy będę mógł znowu przyjechać? A zresztą, czyż nie mogła skończyć w każdym z tych ataków duszności? I dlaczegoż nie korzystać z tego ranka spokojnego, z siły moralnej dziewczynki, by dać jej możność zasługi ofiarowania Bogu życia. Nie mogliśmy dla tej pięknej, szlachetnej duszy nie pragnąć, by przemieniła śmierć w dobrowolną, poświęcającą ofiarę. Po krótkiem przygotowaniu wspomniałem jej wreszcie o tem. „Czy to mama mówiła? — Tak, moje dziecko, odpowiedziałem. Będzie ona spokojniejsza, skoro ja muszę odjechać. A zresztą widzisz sama, że lekarze nic ci pomóc nie mogą. Tylko Bóg może cię uleczyć, a sakrament Ostatniego Namaszczenia nato poczęści został ustanowiony”. Wziąłem książkę zawierającą te wszystkie przepiękne modlitwy dla umierających, tak pełne różnych nadziei: nadziei powrotu do zdrowia, nadziei uświęcenia duszy, nadziei wiekuistego połączenia się z Bogiem. Prze-

czytałem je jej i wytłumaczyłem, jak mogłem najlepiej, aby przygotować jej duszę do przyjęcia tego sakramentu.

Nieraz już bywałem przy chorych w czasie tej wzruszającej ceremonii, ale nigdy nic podobnego nie widziałem. Siedząc na łóżku, pełna wiary i poddania, sama wyciągnęła ręce by zostały namaszczone. Nikt z nas obecnych nie płakał. Jej nadzieja odbiła się w naszych sercach.

Coraz to stawało się oczywistym, że dziewczę szybko w niepowrotną drogę odchodzi. Nietylko z każdą chwilą nikły jej siły fizyczne, ale piękność jej duszy czyniła niesłychane postępy. Wielka to jest wskazówka dla śledzących drogi Boga: każe On kwiatom zakwitać w pełni, zanim je zerwie.

Opuściłem ją wieczorem w przekonaniu, że jej już nie zobaczę, że dwa lub trzy dni cierpień i wzrastającej ku Bogu miłości dokonają ofiary. A jednak przeszło dni kilkanaście, dni długich, bolesnych, z przebłykami ludzkiego polepszenia, nie dającego uspokojenia, dni beznadziejnego oczekiwania.

Gdy znowu do niej przybyłem, zastałem ją trzymającą w ręku krzyż. „Ojcze, jakże czekałam na ciebie! — A mnie, dziecko, jak pilno było być przy tobie. Ciągłe krzyż twój dźwigasz! — Tak, mój ojcze, ale z Panem Jezusem”. Biedna mała męczenniczka, krzyż coraz twardszy się stawał dla jej zboliałych członków.

Po południu dnia tego dano znać, że owa dziewczynka, którą Kajetana się zajmowała, przyszła zapytać o jej zdrowie. Chora prosiła, by ją do niej przyprowadzono. I wtedy wzniosły widok przedstawił się moim oczom. Nie mogłem poznać nieśmiałej naszej dziewczynki. To szesnastoletnie dziecko odnajdywało siły, by umierającymi ustami z płomienną gorliwością uczyć o Bogu, uczyć, jak Go trzeba miłować, opowiadać, jak Bóg miłuje. Skąd brała tę siłę nadprzyrodzoną, tę moc przekonywającą, tę swobodę umysłu? Nie mogłem wyjść z podziwu.

Na cztery dni przed śmiercią ona, która dotąd tylko przede mną chciała się spowiadać, mimo że tyle razy nalegałem, by się do innego udawała kapłana, — gdyż wiedząc, że 200 mil mnie dzieli od niej, drżałem, czy w ostatniej chwili będę mógł być przy niej z pomocą — teraz pozbywając się zwykłej nieśmiałości, zapominając o człowieku, widząc tylko Boga, rzekła do matki: „Sprowadź, mammo, jakiegokolwiek księdza. Niech mi udzieli Komunii św., potrzebuję tego. Komunja uspokoi moje cierpienia i sił mi doda”. I przyjęła Boga z tak żywą pobożnością, że nie widziała ani kapłana, co Go przyniósł, ani nic, co ją otaczało; była jak w zachwyceniu. Ksiądz, który ją pierwszy raz widział, nie mógł ukryć swego zdumienia. Taka gorącość ducha w umierającej młodzieńczej dziewczynie w podziw go wprawiła.

W nocy przyszło pogorszenie. Gdy matka, zaniepokojona nierównym jej oddechem, zbliżyła się śpiesznie do łóżka pytając, co jej jest: „Mammo, umieram, odpowiedziała. — O jeszcze nie. — Tak, mammo. Ale nie płacz. Ja się wcale nie smucę; jestem szczęśliwa. Niedługo znów się zobaczymy”. Pożegnała ojca, siostry, brata. Cały dzień prawie spędziła z głową opartą na ramieniu matki. Nie mówiła nic, ale wciąż chciwie słuchała matki mówiącej jej o Bogu, o Jego dla nas miłości, o szczęściu, jakie nam gotuje. Jakiż to widok cudowny i potężny, tej matki rozdartej boleścią, otwierającej przed dzieckiem wrota wieczności, dodającej jej odwagi przy śmierci, cierpiącej w tej godzinie oddawania jej niebu tysiąc razy więcej, niż cierpiała kilkanaście lat temu, wydając ją na świat. Niemniej pięknym był widok tej dziewczynki, czerpiącej z ust matki słowa żywota wiecznego i drżącej z radosnej miłości, gdy słyszała wymawiane imię Boga i Pana naszego.

Przybyłem tegoż dnia wieczorem. Powitała mnie spojrzeniem pełnym wdzięczności, ale mówić było jej już trudno. Udzieliłem jej znowu rozgrzeszenia; przyjęła je przyciskając krzyż do ust.

Siedziałem przy niej; od czasu do czasu całowała krzyż. Spytałem jej: „Córko, czy bardzo kochasz Pana Jezusa? — Och tak. — Czy nie lękasz się iść do Niego? — Nie; On tak dobry”.

Skarga jedna nie wybiegła z jej piersi, tylko po sobie w jaki przyciskała krzyż, miarkowałem siłę jej cierpienia. Przed północą rozkrzyżowała ręce: „O, jak cierpię! na jakim krzyżu spoczywam! — Czy go, córko, nie chcesz dzielić z Panem Jezusem?” — Skinęła głową; to była jedyna jej skarga.

W chwilę potem ujrzałem, że porusza ustami. Nachyliłem się nad nią mówiąc: „Drogie dziecko, oddaj duszę twoją Bogu”. Wyciągnąłem rękę i wymówiłem słowa rozgrzeszenia. Potem zacząłem odmawiać modlitwy przy konających. Łzy zalewały mi oczy i z trudnością tylko mogłem czytać. Gdy je skończyłem, wydała ostatnie tchnienie.

Blisko domu, gdzie się to działo, w ogrodzie, w którym niegdyś Kajetana z siostrami wesoło się bawiła, wystawiono wielką kaplicę, a raczej kościół o trzech nawach. Ojciec to jej wznosił go własnym kosztem, aby ułatwić służbę Bożą okolicznym robotnikom i wieśniakom oddalonym od kościoła. Pod wielkim ołtarzem znajduje się grób rodzinny i stoją tam dwie trumny młodych dziewcząt; na jednej widnieje napis:

Kajetana, lat 16.

Na drugiej:

Ludwika, lat 18.

Oto jak Bóg postępuje z miłującymi Go! O Boże, i miałożby nie być innego żywota, w którym umierzysz szczęście nasze do wielkości naszych cierpień i naszej miłości!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

O wiecznem przeznaczeniu dusz.

Niebo.

Trzeba przyznać, że ludzkość nigdy nie wątpiła o swoim wiekuistym przeznaczeniu. Czy idąc za Platonem, czy za Jezusem Chrystusem, wierzyła zawsze, że dąży ku czemuś i że tu celu swego nie dosięgnie. Naprózno niektóre jednostki usiłowały w epokach upadku stłumić w sobie i wokoło siebie wiarę w lepszy żywot: ludzkość odwróciła się od nich z pogardą, a raczej odepchnęła je ze wstrętem.

Ludzkość, stwierdzając istnienie owego wiekuistego mieszkania, ku któremu czuła że dąży, widziała jednocześnie wyraźnie, że mieszkanie owo będzie dwojakie: jedno dla dobrych, którzy tam będą wynagrodzeni, drugie dla złych, którzy będą karani. I rzecz dziwna! wierzyła w wiekuistość mąk równie silnie, jak w wiekuiste szczęście. A niemniej jasno widziała, że między temi dwoma mieszkaniami jest jeszcze trzecie, przygotowane dla tych, którzy nie są dosyć czyści dla nieba, a są zanadto czyści dla piekła, mieszkanie to nie ma być wiekuiste, ale przemijające, i tam te dusze znajdują wśród tajemniczych cierpień sposób oczyszczenia się i uzdrowienia.

Gdy się bada to powszechne podanie i porównywa się je z nauką Kościoła, ma się jeden więcej dowód harmonji, istniejącej między dogmatami a intuicjami serca ludzkiego. Tu jednakowoż ta harmonja nie wystarczałaby może na wytłumaczenie wszystkiego. Zniewolonym się jest mniemać, że jakieś wielkie, uroczyste uświadomienie

miało miejsce wokoło kolebki rodu ludzkiego i że jego echo nigdy zupełnie nie zaginęło. Wspomnienie to, mniej lub więcej naruszone przez wyobraźnię lub namiętności, można odnaleźć żywe i widoczne w podaniach wszystkich ludów.

Badanie tego dostarczyło już apologetyce chrześcijańskiej wiele zajmujących kart. Spróbujmy dodać jeszcze parę rysów, wnikając kolejno do tych trzech krain. Na bramach wiodących do nich możnaby wyryć sławny napis Dantego:

Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki,
Wzniosła mię z gruntu Potęga wszechwładna,
Mądrość najwyższa, Miłość pierworodna¹⁾.

Najpierw mówimy o Niebie, pierwszym mieszkaniu stworzonem przez Boga i które w Jego przedwiecznych zamiarach miało być jedyne.

I.

Nie będę się zatrzymywał nad dowodzeniem istnienia Nieba. Niebo nie potrzebuje żadnych dowodów. Piekło tylko zatrzyma umysł ludzki i staje przed nim jako niemożliwość. Dowody gromadzić wypadnie koło tego straszliwego dogmatu. Ale dość wymówić słowo Niebo, by rozum radośnie nań się zgodził, a serce zabiło wzruszeniem. Któż może zaprzeczyć istnieniu niebieskiego Raju? Wszystkie nasze marzenia do niego dążą, domagają się go wszystkie nasze najwznioślejsze, najczystsze pragnienia. Człowiek znosi to ciężkie życie dlatego tylko, że kiedyś będzie pocieszony i nagrodzony Niebem.

Właściwości Boga niemniej wymagają Nieba, jak i ludzkie skłonności. Odrzućmy Niebo, a cóż zostanie z wielkiego dzieła Bożego? Kilkochwilowe życie, zalane potokami bólu, zakończone nicością. Oto co Bóg byłby uczynił, pracując siedm dni nad takim arcydziełem. I czegoż mogło Bogu brakować, by wszystko lepiej urządził?

¹⁾ Tłum. Porębowicz.

czy potęgi, czy mądrości? czy miłości? Wszystkiego razem; wszystkiego musiałoby Mu zabraknąć i jeżeli wszelkie dzieło nie kończy się Niebem — jest niczem innym jak złowrogim żartem.

Przeciwnie, jeśli jest Niebo, wszystko staje się zrozumiałem. Cierpienia tego życia? Będą pocieszone. Praca i trudy ziemskie? Będą nagrodzone. Pojmuje się, że dusza uczuwa nienasycone pragnienie prawdy, skoro uczyniona jest nato, by się nią wiecznie karmić; pojmuje się, że tęskni za szczęściem, skoro stworzona została dla wiekuistej szczęśliwości; że pogardza doczesnością, bogactwami, że poświęca się dla prawdy, dla cnoty, skoro tak prędko ma pierwsze opuścić, a drugimi żyć wiecznie. Wszystkie władze człowieka są niejako fundamentami, na których ma stanąć gmach wiekuisty.

Słowem, bez Nieba wszystko jest fałszem, sprzecznością, dziwactwem. Nie można pojąć ni Boga, ni duszy. Przeciwnie, z Niebem wszystkie cienie znikają, sprzeczności się rozpraszają; wszystko stapia się w prawdziwej harmonji.

II.

Bóg stworzył Niebo, stworzył je przed ziemią. Wybudował gmach wiekuisty przed utworzeniem krótkotrwałego namiotu. A uczynił to z większym staraniem i wspańnością, ponieważ miało to być ostatnie, trwałe mieszkanie. Ale gdzie je umieścił? czy można wiedzieć, gdzie jest Niebo? Jest to niewątpliwie jakieś miejsce i to miejsce materialne, skoro mają tam być nietylko same dusze, ale dusze złączone z ciałami. Jest to miejsce bezmierne, miliony razy większe od ziemi, skoro ma zgromadzić wszystkich świętych, jacy zamieszkali naszą kulę ziemską od samego początku i jacy aż do końca zamieszkiwać ją będą. Jest to miejsce niewypowiedzianie piękne, wobec którego ziemia ze wszystkimi swymi cudami jest tylko miejscem wygnania i ciemności. Tak mówi Pismo święte. Wszędzie przedstawia nam ono Niebo jako wy-

raźne¹⁾, określone, mające pewne granice miejsce pobytu²⁾, i niewymownie piękne³⁾. Ale raz jeszcze pytam, gdzież ono jest? gdzie się znajduje ta błogosławiona sfera, do której wszyscy wzdychamy?

Starożytni umieszczali Niebo poza owym szafirowem, posianem złotymi gwiazdami sklepieniem, tak ślicznie otaczającym naszą ziemię. Pojęcie to dziecinne; w puch je rozbiła nauka. Niema żadnego szafirowego sklepienia; a owe błyszczące gwiazdy, zdobiące firmament, są światłami tysiące razy większemi od ziemi. Są one niezliczone; prócz tych milionów, które dostrzegamy, są inne miliony zbyt odległe dla wzroku naszego. Skierujmy teleskop na jakąkolwiek stronę nieba, a ujrzymy drobniałe błyszczące punkciki — są to słońca ze swemi systemami planetarnymi. Aby umysł doreszty wprowadzić w nieskończoność, przypomnijmy sobie, że przestrzeń nie ma granic, że krańce jej wymykają się oczom naszym; że Bóg, nagromadziwszy gwiazdy w widzialnej części przestrzeni, musiał je też nagromadzić tak samo i w części dla nas niewidzialnej; że więc wszechświat stworzenia nie ma granic ani w głębokości swej, ani w rozciągłości. Pytamy się o miejsce dość obszerne, by pomieściły się w niem owe niezliczone szeregi Błogosławionych, o których Apostoł wspomina, że żadne oko ludzkie niezdolne jest ich zrachować. Czyż ten bezmiar nie zdaje się być dla nich zgóry przygotowany?

Prawda, że nie byłoby to jedno jedyne miejsce. Odległość między gwiazdami nie da się obliczyć. Ale cóż to znaczy, skoro Święci, tak samo jak Aniołowie mogą w mgnieniu oka przebywać wszelkie przestrzenie? Odległość taka — to jedno więcej szczęście.

Prawdą też jest, że miliony milionów gwiazd mają odmienne warunki światła; tworzą one różnej piękności mieszkania. Ale czyż Pan Jezus nie powiedział: „W domu

¹⁾ Joan. XIV, 10.

²⁾ Hebr. XIII, 14, 11.

³⁾ Apoc. XXI, 1, 27.

Ojca mego jest mieszkania wiele¹⁾. A więc to są owe rozmaite mieszkania, o których wspomina Ewangelja; przeznaczone dla różnych dusz. Jak one się tam gromadzić będą? czy według porządku natury, aniołowie na jednych gwiazdach, ludzie na innych? Może będziemy zamieszkiwać te same miejsca, gdzieśmy cierpieli, kochali, gdzie się modliliśmy, a które przemienione i ubóstwione, zachowałyby ze smutków przeszłości tylko wspomnienia, tak jak Jezus Chrystus zachował na rękach i na stopach swych blizny ran swoich. Byłaby w tem słodycz niewymowna. A może ugrupowanie dusz odbywać się będzie podług zasługi? Tak o tem, zdaje się, mniemał św. Jan Chryzostom. Sądził on, że na każdej gwiazdzie będą zgromadzeni Święci o jednakowych zasługach. „Staraj się, mówił do pewnej wdowy, żyć w ten sposób, byś mogła być na tej samej, co twój mąż gwiazdzie“. I w ten sposób mieszkania byłyby coraz to piękniejsze i w miarę zasług tych, którzy je zamieszkiwać będą. Byłyby one ich zwykłym mieszkaniem z możliwością przejścia od razu do innych gwiazd.

Nakoniec prawdą jest, że wszystkie te ciała niebieskie nie są nieruchome. Mniejsze krążą koło większego, które jest ich środkiem przyciągającym, i stamtąd czerpią życie. Ten punkt środkowy, długo uważany za stały, zakreśla także niezmierne koło, obracając się dookoła dalekiego ogniska i pociągając za sobą cały swój system planetarny. I same owe ogniska, owe miliony słońc, które zapełniają nieskończoną przestrzeń, krążą również dookoła jakiegoś nieznanego nam punktu, ogniska centralnego, jedynie stałego wśród tego bezmiaru. Otóż dla czego by to w tym niewzruszonym punkcie, w tym środku wszechświata, nie miało się znajdować Niebo, przybytek, z którego Majestat nieskończony opromieniałby światy wszystkie? Tam także byłby przybytek Jezusa Chrystusa, gdyż musi On posiadać wyłączne miejsce. Jako człowiek nie

¹⁾ Joan. XIV, 2.

może być wszędzie, a przecież musi być wszędzie, skoro jest Głową, Wodzem wszystkich, przedmiotem błogosławionego zachwyty dla wszystkich i źródłem, z którego chwalebne życie ma się rozlewać na wszystkich. Jak Bóg rozwiąże te trudności? Jakim cudownym sposobem uczyni Jezusa Chrystusa obecnego dla każdej duszy, której ma być wiekuistym szczęściem? Czy tajemnica świętej Eucharystji nie jest niejako cieniem wznioślejszej jeszcze tajemnicy, przez którą Jezus Chrystus, pozostając w Niebie w wyłącznym miejscu, byłby zarazem obecnym bez zaślony wszystkim duszom?

Niektórzy teologowie twierdzą, że w tem wspaniałem zebraniu ciał niebieskich dwie rzeczy należą do doczesności, a nie do wieczności. Pierwsza, to rozproszenie gwiazd w przestrzeni, druga — to ich ruch. Badając szczegółowo świat gwiazd, doszli do przypuszczenia, że ciała niebieskie są w ruchu dlatego, by się połączyć, i że dążą do miejsca swojego spoczynku. Potrochu zlałyby się jedne z drugimi i wśród bezmiarów utworzyłyby jedną jedyną ziemię, będącą niezmiennem mieszkaniem Błogosławionych. Można się zgodzić na to przypuszczenie, chociaż i ten wymierzony ruch gwiazd, ten ład, ta hierarchja, ów punkt środkowy, wokoło którego wszystkie krążą, nie mogą się sprzeciwiać pojęciu wieczności.

Dodajmy, że piękność ziemi, blask słońca i gwiazd są tylko bladym cieniem tego, czem kiedyś będą owe królewskie przybytki. Oglądamy tu zaledwie ich zarys. Bóg podejmie ten szkic i wykończy go. Z tego miejsca wygnania, gdzie tylko skąpą ręką rozsiał piękno, abyśmy się zbyt doń nie przywiązywali, uczyni miejsce wiekuistego wesela. Całe Pismo święte pełne jest tej myśli. „I widziałem niebo nowe i ziemię nową, mówi św. Jan. Albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeszła“¹⁾. A św. Piotr: „Niebiosą z wielkim szumem przeminą, a żywioły od gorąca rozpuszczą się, a ziemia i dzieła, które na niej są, popalone będą... Lecz nowych niebios i nowej

¹⁾ Apoc. XXI, 1.

ziemi wedle obietnic Jego oczekiwamy¹⁾. Nie próbujemy opisywać tych nowych niebiosów i nowej ziemi. Jeżeli nawet tu, na naszej ziemi, tyle jest piękna: blask światła, przejrzystość powietrza, cudne barwy jutrzenki lub zachodu słońca, milczące mroki lasów, bezmiar oceanów — te wspaniałe ozdoby znikomej naszej siedziby, czegoż Bóg nie uczyni dla przyozdobienia wiekuistego mieszkania, którego dusze nigdy już opuścić nie mają? Św. Jan w Apokalipsie rozsiewa brylanty, szafiry, topazy, szmaragdy, by dać nam słabe pojęcie o niem. Nad opis jednak św. Jana wolę obraz kreślony przez św. Pawła. Odrzucając wszelkie próby wyobraźni, poprzestaje on na słowach: „Okło nie widziało, i ucho nie słyszało, i w serce człowieka nie wstąpiło, co nagotował Bóg tym, którzy Go miłują“²⁾. Zadowolmy się tem wyrażeniem; wszystko nam ono mówi.

III.

Kiedyż to dusza wejdzie do tego nieba nowego, by się na wieki cieszyć oglądaniem Boga? Natychmiast, jeżeli czysta opuści tę ziemię. Dlaczegoż miałaby być jaka zwłoka? Któż mógłby jej wymagać i jaką z niej korzyść odnieść? Ani Bóg, ani dusza.

Niektórzy jednak ludzie nie godzą się na takie natychmiastowe wejście do chwały. Szczęście niebieskie, mówią oni, zależy w rzeczywistości na знaniu i kochaniu Boga. A jakże dusza rozłączona z ciałem, pozbawiona cielesnych organów mogłaby widzieć, znać, czuć, kochać? Mózg potrzebny jest umysłowi do myślenia. Gdy mózg jest chory, umysł nie myśli, lub źle myśli. To samo dzieje się z sercem, niezbędnym organem miłości. Stąd zdaje się wynikać, że dusza poza ciałem, pozbawiona jego organów, nie traci siły; przy sprzyjających okolicznościach zdolną byłaby odtworzyć nową istotę, ale obecnie pozostaje niezdolną do jakiegokolwiek działania, nieświa-

¹⁾ II Petr. III, 12 i 13.

²⁾ I. Cor. II, 9.

domą siebie i jakby uśpioną, dopóki organa, potrzebne do pełnienia intelektualnych czynności, nie zostaną jej przywrócone.

Wielu Doktorów przez długie wieki roztrząsało te zarzuty, które fizjologiczne odkrycia zdają się na nowo do życia dziś przywoływać i wzmacniać. Przecistawmy najpierw tym zarzutom bolesne następstwa, wypływające z takiej doktryny. Jakto! więc te ukochane istoty, za którymi płaczemy, o których myślimy, że są w niebie, które prosimy o przyczynę, miałyby pozostawać w uśpieniu przez lat tysiące! Te bohaterskie istoty, które pracowały, cierpiały, życie dla Boga oddały, miałyby czekać, choć są zupełnie czyste, na otrzymanie nagrody przez tysiące lat. Bóg nie śpieszyłby się przycisnąć do serca swego tych, którzy Go tak bardzo kochali! Wzywamy Świętych, błagamy, by nam z pomocą śpieszyli. Daremne błagania! Dusze ich, nieświadome siebie, śpią. Pozbawione organów cielesnych nie są zdolne czuć, myśleć, ni kochać. Odzyskają dopiero tę wzniosłą zdolność, gdy ciało ich z prochu powstanie za dziesiątki tysięcy lat może! Nic smutniejszego nad tę doktrynę; to też została ona potępiona nie jeden raz. Najpierw przez bullę dogmatyczną Benedykta XII w 1336 r.¹⁾; potem przez sobór powszechny we Florencji 1439 r. „Wszelka dusza, oczyszczona z grzechów, jest odrazu, nawet przed zmartwychwstaniem jej ciała, dopuszczona do nieba i cieszy się natychmiastowem widzeniem Boga”²⁾. Jest to więc artykuł wiary.

¹⁾ Benedictus XII, in constit. Benedictus Deus. „Auctoritate apostolica definimus quod animae sanctorum omnium... post mortem, et purgationem in illis qui purgationis hujusmodi indigent, etiam ante reassumptionem corporum suorum, sunt in coelo cum Christo, et vident divinam essentiam visione intuitiva.

²⁾ Conc. Florent. In decret. Unionis. „Definimus... illorum animas, qui, post baptismum susceptum nullam omnino peccati maculam incurrerunt; illas etiam, quae post contractam peccati maculam, vel in suis corporibus vel eisdem exutae corporibus sunt purgatae, in coelum mox recipi et intueri clare ipsum Deum trinum et unum”.

W jaki więc sposób dusza rozłączona ze swemi cielesnymi organami ogląda Boga? Kościół nic w tym względzie nie orzekł; pozostawia swobodę wyjaśnieniom filozoficznym i fizjologicznym. Czyż Bóg nie może zastąpić sposobem nadzwyczajnym brakujących organów? Wszak używa aniołom pozorów cielesnych; cóż może stać na przeszkodzie, by użyzył również duszom rozłączonym od ciała jakichś osłon świetlanych i tymczasowych organów, które służyłyby im aż do dnia, w którym powrócone im będą ich ciała zmartwychwstałe?

Zresztą gdy mówimy, że dusza rozłączona jest z ciałem, czy rzeczywiście jest ona zupełnie z całym swem ciałem rozłączona? Czy nie zachowuje pewnej jego części, pewnej formy? Może właśnie w ową formę, nie opuszczając jej nigdy, zawrze kiedyś atomy, z których utworzy się jej nowe ciało? „Stan duszy rozłączonej z ziemskim ciałem, mówi dr. Döllinger, nie każe puszczać absolutnie duchowej egzystencji, bez żadnego substratum, bez żadnego cielesnego organu. Jedność duchowej i cielesnej osobistości składającej człowieka, ciągle trwanie świadomości, zdolności organizacyjne, wszystko każe mniemać, że dusza, nie mając właściwie ciała, ma jednak jakąś powłokę, osłonę, zastępującą tymczasowe ciało. Że nawet w owym pośrednim stanie, poprzedzającym zmartwychwstanie, nie brakuje jej jakiegoś organu cielesnego, bez którego nie można sobie wyobrazić żadnego wrażenia, żadnej czynności. Organ ten będzie zarodkiem, z którego przy zmartwychwstaniu rozwinie się nowe, nieśmiertelne ciało¹⁾. Są to wszystko przypuszczenia; jedno tylko jest pewne: wejście czystej duszy do Nieba i dopuszczenie jej natychmiastowe do błogosławionego oglądania Boga!

IV.

Błogosławione oglądanie Boga! oto słowo wyrażające szczęśliwość niebieską.

¹⁾ Döllinger. Le Christianisme et l'Eglise, p. 347.

Jest to istotne widzenie; widzenie to uszczęśliwia i ubłogosławia.

Bywają na ziemi widzenia przynoszące szczęście, ale trwają one chwilkę zaledwie i szczęście dają tylko częściowe.

Ileż to naprzykład, razy, gdy podziwiałem jaką prawdę i pracowałem nad jej rozwinięciem, aby ją drugim ukazać, nagle łzy mi zalewały oczy i pełen zapału wołałem: „O jakże to pięknie!” Ale moje nędzne organa nie mogły długo znosić takiego wzruszenia i ogarniało mnie znużenie.

Jakiż artysta, malarz, poeta, wielki pisarz, mówca nie odczuwał tych zachwytów nad prawdą i pięknem! Któż nie zna Archimedesowego Eureka, uniesień Platona, wzniostłego upadnięcia na kolana Krzysztofa Kolumba?

A czemże to jest miłość, jeśli nie uszczęśliwiającem widzeniem, widzeniem zbyt krótkiem? Gdyby trwało dłużej, oderwałoby nietylko duszę od nieba, ale i od ziemi, i od wszystkiego, z wyjątkiem przedmiotu umiłowanego.

I dlaczegoż to Bóg pozwala, by na tym biednym świecie były takie uszczęśliwiające widzenia, jeżeli nie nato, byśmy przeczuwali, czem będzie tysiąckrotnie więcej uszczęśliwiające widzenie w Niebie; i dlaczego, dając je nam, uczynił je mijającemi jak błyskawica, jeżeli nie nato, byśmy zapragnęli widzenia nie kończącego się nigdy?

Wyobraźmy sobie prawdę, piękno, dobroć, miłość zebrane w jednej istocie i posunięte do nieskończoności i wyobraźmy sobie dalej, że owa istota boska, dobra i piękna wiecznie przed nami stoi. Widok ten każe nam się stapiać w miłości, wprawia nas w zachwyt, w uniesienie, upojenie; zbytek szczęścia mógłby nas zabić wtedy. Będzie to ów wiekuiście rozbrzmiewający krzyk zachwytu, będzie to owo niezgłębione zdumienie, z którego przez całą wieczność wyjść nie zdołamy. Kościół uczy, że władze nasze choć przemienione, podniesione przez Boga ponad nie same, nie będą mimo to zdolne znieść takiego szczęścia. Jak się żelazo w ogniu hartuje, by je uczynić

odpornem na wszelkie ciśnienie, tak Bóg hartować będzie naszą inteligencję, naszą wolę w owem tajemniczem przygotowaniu, które Kościół nazywa światłością chwale, a które, umacniając naszą duszę, nie dozwoli jej umrzeć z nadmiaru szczęścia.

V.

W takim to stanie dusza odzyska swoje ciało. Mówiłem już, że tylko pozornie była z niem rozłączona; zawsze zachowała ów jego zarodek z możliwością rozwinięcia go, jego formę niewidzialną z możliwością wypełnienia jej na znak przez Boga dany, na który z niecierpliwością czeka.

Skoro tylko ten znak otrzyma, natychmiast zabierze się do czynu. Ciało, zniszczone śmiercią, przeszło przez różne chemiczne rozkłady; zamieniło się potrochu w gazy: kwasu węglowego, kwasu siarczanego, amonjaku, azotu, rozpływające się w powietrzu, i wróciło do wielkiego skarbcza przyrody. Stamtąd dusza je odbierze; złoży je w doskonałych proporcjach i napełni niemi niewidzialną formę, która na ziemi stanowiła jej naturę, jej tożsamość, jej fizjonomję. Wszystko to znów się odnajdzie, ale już przemienione. Gdy wielki mówca przemawia, postać jego olbrzymieje, oblicze staje się niezwykle pięknem, tak że go poznać trudno; cóż dopiero będzie, gdy dusza podniesiona będzie, uniesiona zachwytem szczęścia, miłości nieskończonej? Fizjonomja jej opromieniona będzie nadzwyczajnym blaskiem, przypominającym Tabor. „A oblicze jego rozjaśniało jako słońce”¹⁾. W chwili wielkiego wzruszenia nie sama tylko twarz się zmienia — całe ciało jest niejako podniesione. Nie dotyka się niemal ziemi, unosi się, ulatuje. Słaby to obraz tego, co wówczas się stanie. Dusza opanuje swoje ciało; uniesie je w nieskończone przestrzenie, jak Pan nasz w dniu swego Wniebowstąpienia. Uczyni je tak bezmaterjalnem

¹⁾ Matth. XVII, 2.

że nic nie zdoła powstrzymać jego lotu; ale, powtarzam, fizjonomja przez to nie zostanie wcale naruszona. Ktokolwiek spotka cię w wonnych rajszych przestworzach, zawoła: „Ach! to ty!” Poznamy tam rodziców naszych, rodzeństwo; poznać swych małżonków i dzieci. Choć „będą jako Aniołowie Boży”, nie odbierze to niewieście jej fizjonomji, delikatniejszych kształtów ciała, tkliwszych przymiotów serca, ani też mężczyźnie jego męskości, jego siły, potężniejszych darów jego umysłu. Powszechnie jest mniemanie, że wszyscy zmartwychwstaniemy w jednakowym wieku trzydziestu lat. Czy to jest pewne? Dlaczegożby dziewczę, zmarłe w szesnastu latach, nie zachowało wdzięku młodości? Dlaczego starość, ponosząca trudy dla miłości Boga, nie zachowałaby, przy ubóstwiej piękności, korony siwych włosów? Czyż męczennik nie będzie miał blizn po swoich ranach? Powiedzmy tylko, że w ciałach zmartwychwstałych nic nie będzie brzydkiego, ułomnego; nic, coby nie było idealnie pięknem. Ciała godne będą dusz; będą one jakoby zwierciadłami bez skazy, odbijającymi wszelkie piękno.

VI.

Mówimy nieraz: „Wieczność, to bardzo długo! Znudzi się taka ciągła kontemplacja!” Nikt się ziemią nie nudzi; nikomu nie śpieszno jej opuścić. Jakże możnaby znużonym być Niebem?

Może wyobrażacie sobie, że człowiek od jednego rzutu oka wszystko w Bogu dostrzeże i że przez całą wieczność to samo spojrzenie powtarzać się będzie. W takim razie zrozumiałem stałoby się znudzenie; ale kto tak sądzi, okazuje, że nie ma pojęcia o Bogu. Bóg jest nieskończonością. Bóg jest niezgruntowaną głębiną. Bóg jest wiecznością, ciągle nową. Niech duch stworzony stanie naprzeciw Boga — choćby był największy, nigdy nie ujrzy Boga całego, nigdy nie przeniknie Jego głębi. Im będzie większy, tem więcej widzieć będzie; ale im więcej danem mu będzie oglądać, tem więcej oglądać będzie pragnął. Żeby

wzrok nasycić, musiałby widzieć wszystko; ażeby zaś wszystko dojrzał, musiałby być nieskończonym. Wieki średnie uważały umysł ludzki jako naczynie, które raz napełnione zadowalnia się tem. Tak nie jest. Umysł ludzki jest nienasycony.

Patrzę na świętych w Niebie. Zatopieni są w niewymownych rozkoszach oglądania Boga. Nie mogą ich sobie jednak wystawić nieruchomymi wśród tej kontemplacji. Przechodzą oni ze światłości w światłość, ze szczęśliwości w szczęśliwość. Nieskończoność otwiera się przed ich wzrokiem, wciąż się w niej zatapiają, nie nasycając się nigdy. Pragnienie, wciąż się odradzające i zawsze zaspokajane, jest doskonałym szczęściem. I tak znika bezpodstawny zarzut monotonii Nieba, możliwość znudzenia się szczęściem; wieki średnie niechący wytworzyły to wyobrażenie w umysłach mało wykształconych chrześcijan.

I nie tylko wieczność nie wystarczy na zbadanie do dna samego cudownej Boskiej piękności, ale śmiem rzec, że za krótką będzie dla poznania dzieł Boskich. Wtedy dopiero rozwiną się one w całym ogromie. Niezliczone mnóstwo słońc i światów gwiazdzystych, prawa ich ruchu, cudowna gra oświecającego ich światła, skarby ukryte w ich wnętrzu, potężna, oryginalna, nieskończenie rozmaita roślinność, okrywająca je, nie będą już miały dla nas tajemnic. Ale czy to nawet jest pewnem, że wszystkie te rzeczy obejmujemy od pierwszego rzutu oka? Wieki średnie w opisach Nieba przyzwyczały nas zbyt do bezczynnej kontemplacji. Dlaczegoż Bóg nie pozostawiłby nam w niebie naszej działalności, naszej umysłowej przenikliwości, naszej pracy, która jak w raju ziemskim byłaby przyjemnością, nie karą? A wtedy jakaż to perspektywa badać te bezmiary! Jak opuszczać takie zachwyty, jak do nich nie wracać? Zwiedza się dwadzieścia, trzydzieści razy bazylikę świętego Piotra w Rzymie, nie zaspokajając nigdy swojej ciekawości. Niezliczoną ilość razy wstępuje się na szczyty gór, by podziwiać stamtąd krajobrazy. Spędza się miesiące całe nad morzem i zawsze się nam ono

nowem wydaje. Cóż to zatem będzie wobec tych milionów i milionów słońc tak różnych, tak wspaniałych, które oglądać będą dusze, aby szybując przez te nieskończone sfery, coraz więcej kochać, chwalić, wielbić Tego, który tak wielkie rzeczy uczynił.

Czemże jednakowoż będą wszystkie cuda porządku naturalnego wobec cudów porządku nadprzyrodzonego? Jeżeli każda z tych gwiazd była zamieszkała, jeśli zapełniały ją niezliczone masy dusz zdolnych znać i kochać Boga, jeżeli przez dziesięć, dwadzieścia tysięcy lat był tam Kościół nadprzyrodzony, widownia dobroci, wspaniałości Boga, jakież to widok, rzec można, nieskończony! Czyż bowiem Bóg miałby się powtarzać? Czyż każdy świat nie miałby swoich specjalnych instytucji, swoich obrzędów, sakramentów, stosownie do potrzeb i pragnień zamieszkujących go istot? Czyż każdy nie otrzymałby cudownych łask i uświęceń? A więc jakież to niewyczerpany przedmiot kontemplacji i zachwyty!

Ale czyż potrzeba aż tylu rzeczy? Jedna dusza, dobrze poznana, wystarczy, by nas zachwycić. Żadna zasłona nie będzie kryć przed nami jej blasku. Ujrzymy w niej jaśniejącą dobroć Boga, Jego cierpliwość, niezliczone uprzedzenia Jego łaski, gromy ciskane ręką miłości, by duszę od zła oderwać. Życie każdej duszy da nam na nowo poznawać Boga, rzucając nowe i niespodziewane światło na Jego najświętsze, uwielbione właściwości.

W tej to ekstazie podziwu i miłości, w tych uniesieniach wzniosłego wesela, w tem zaspokajaniu świętej ciekawości schodzić będą chwile wieczności. Nie będzie czasu na nudy.

VII.

Dodajmy, że w Niebie nie będzie życia samotnego i samotnej kontemplacji; będzie tem społeczeństwo najmiłsze, najdoskonalsze ze wszystkich społeczeństw. Już tu na ziemi, co to za rozkosz znać piękne dusze i żyć z niemi.

Ale jak się ich zna mało! Tak krótko niemi można się cieszyć! traci się je tak prędko, rozłącza się z niemi! Tam żyć się będzie zawsze z najpiękniejszymi, najczystszymi, najszlachetniejszymi duszami, łączącemi zapał i blask geniuszu, powaby dobroci, czar świętości! Żyć się z niemi będzie w najśladziej zażyłości. Co za szczęście będzie gromadzić się koło dusz więcej jeszcze od innych przemienionych i odbierać od nich coraz nowe światła, coraz nowe zachwyty! Wszyscy święci nie wnikają jednakowym sposobem ani w jednym stopniu w głębiny Istności nieskończonej; a zatem między tymi błogosławionymi będzie ciągła wymiana myśli, uczuć, uwielbień, zachwyty, skąd znów wypłynie jedna z największych niebiańskich radości.

A jak słodkimi będą w Niebie stosunki z rodzicami, z przyjaciółmi, z tymi, których się znało i kochało na ziemi! Pierwszą naszą czynnością po przybyciu do Nieba będzie ich odnalezienie. Ojcowie, małżonkowie, dzieci, przyjaciele odnajdą się i kochać się będą, jak nigdy na ziemi kochać się nie mogli. Jakież zachwyt niemy, niewysłowiony ogarnie ich przy zobaczeniu się w niebie! Te właśnie przymioty, wdziek, powaby zachwycaly nas w nich niegdyś, ale jakże to wszystko spotężniało! Były w nich dawniej pewne braki, niejake wady, które naszą cierpliwość na próbę wystawiały; teraz ich niema; wszystko zatopione w chwale. To też jak miłość wzrosła! Biedne serce pękłoby ze zbytku szczęścia, gdyby nie zostało zahartowane wiekuiłą mocą. A jakie tam będą rozmowy o wszystkim co się przeżyło, o smutku i tęsknotach rozłączenia, o łaskach otrzymanych, o uniknionych niebezpieczeństwach, o nieskończonem miłosierdziu, które zawsze wspomagało. I wieki upływać będą, i szczęście nigdy się nie wyczerpie. A z jaką radością odwiedzać się będzie razem miejsca, gdzie się żyło, gdzie się kochało, cierpiało, gdzie się w łasce Bożej umarło, gdzie rozegrał się dramat życia, cały przesiąknięty miłosierdziem Bożem. Wtedy zrozumiemy, co znaczyły próby, które nam się tak długimi i niezrównanymi wydawały, ciosy okrutne, na

które omal żeśmy nie szemrali. Ujrzymy powód bolesnych rozłączeń. We wszystkim okaże się dobroć Boga i nie zdołamy znaleźć dość żywych, dość gorących dziękczynień!

VIII.

To wszystko są jednakże drugorzędne radości Nieba. By poznać istotną treść i głębię, trzeba się wznieść wyżej. Nawet widzenie Boga nie daje o tem zupełnego pojęcia. W widzeniu tem jest Bóg i dusza oglądająca Boga. Przepaść rozdziela duszę od Stworzyciela. To też ostatnim wyrazem szczęścia niebieskiego jest nie kontemplacja, lecz posiadanie, lecz złączenie. Tu in me et ego in te. Żadnego rozdziału! Ty we mnie; a ja w tobie! Ale jak się to stać może? Jakim sposobem dusza może pojąć Boga? Szuka się porównania na ziemi, nie znajduje się nic podobnego. Nawet związek małżeński jest niedość zupełny, zbyt słaby. Jednak zdaje się, że Bóg innego nie znalazł. Sponsabo te mihi in sempiternum¹⁾. I poślubię cię sobie na wieki. Uroczysta to chwila, gdy biedna, niedołężna istota słyszy jak wszechmocny Bóg mówi do niej: „Poślubię cię sobie na wieki”, a ona, przejęta miłością i zdumieniem, zapyta: Quomodo fiet istud? jak się to stać może? I uczuje się otoczoną, przesiąknietą, ubłogosławioną do głębi posiadaniem Nieskończonego. Cokolwiek teraz z nią się stanie, jej Bóg jest z nią, w niej, nie jak pan, nie jak ojciec, nie jak przyjaciel, ale jak oblubieniec; a raczej i ta nazwa jest zaledwie nędznym cieniem na wyrażenie, czem jest Bóg dla duszy, którą chce ubłogosławić. Oto jak o tem mówi Bossuet: „Bóg wyszuka w głębi duszy miejsce, przez które zdolna ona będzie odczuwać największą szczęśliwość. Wesele wnikać tam będzie zbyt obficie, by mogło się dostać zwykłemi drogami; wszystkie wejścia będą musiały być dlań otwarte i trzeba będzie dać duszy zdolność nadzwyczajną. Tam to

¹⁾ Oze. II, 19.

On położy mistrzowską swą rękę, ale my nędzne nieuki pojąć tego nie możemy“¹⁾.

Tak, zamilkniemy, nędzne nieuki. Nie mówmy o tem, czego nie wiemy. Nie możemy nawet wyrazić, ile szczęścia wlewa w serce miłość ludzka. Wiedzmy tylko, że zwykła potęga Boga tu nie wystarcza, że potrzeba będzie jej najwyższego działania, i pokornie powtórzmy za św. Pawłem: „Oko nie widziało, i ucho nie słyszało, i w serce człowieka nie wstąpiło, co nagotował Bóg tym, którzy Go miłują!“

¹⁾ Bossuet. 2-gie kazanie na uroczystość WW. Św.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

O wiecznem przeznaczeniu dusz (ciąg dalszy).

Czyściec.

Niebo, będące przybytkiem szczęścia, jest także przybytkiem świętości. Nic zmazanego wejść tam nie może. Święty, święty, święty jest Baranek bez zmazy, tam przebywający i napełniający je blaskiem niewysłowionej swojej czystości. Weźmy najczystsza duszę; jeżeli zostanie na niej jeden pyłek prochu ziemskiego, nie może ona stanąć przed Bogiem, gdyż nie zniosłaby Jego wzroku. „Panie, woła Psalmista, któż będzie mieszkał w przybytku Twoim? albo kto odpocznie na górze twojej świętej?” Ten, na którym w chwili wejścia nie znajdzie się żadna plama. „Który chodzi bez zmazy”¹⁾. A św. Jan mówi: „Albowiem bez zmazy są przed stolicą Bożą”²⁾.

A gdzież to na ziemi są owi niepokalani, którzy jedynie wejdą do Nieba? gdzież są ci, którzy, opuszczając ciemności i zepsucie tego życia, nie uniosą najmniejszej plamki? Trzebaby więc przyjąć do Nieba wszystkich tych winnych, lub wtrącić do Piekła wszystkich tych niewinnych? Albo znieważone Niebo, albo niemożliwe Piekło: oto coby trzeba przypuścić, gdyby nie było miejsca pośredniego, gdzie się można oczyścić.

Taką też jest wiara Kościoła; uczy, że istnieje miejsce, gdzie dusze sprawiedliwe, ale niezupełnie doskonałe, są

¹⁾ Psalm XIV, 1 i 12.

²⁾ Apoc. XIV, 5.

zapomocą tajemniczych cierpień i prób oczyszczane, doskonale niejako wykończane, zanim dopuszczone zostaną do oglądania Boga. Czyściec — to jedno z arcydzieł nieskończonej Miłości, a jedno z najwspanialszych i najmiłościwszych. Bóg daje przezeń duszom jakby cudowne odroczenie kary; sobie daje przezeń możność łatwiejszego przebaczenia. Przez Czyściec rozszerzył i wyrównał wąskie i ostre ścieżki wiodące do Nieba.

Zbadajmy plan Czyścica, jego wewnętrzną strukturę, sposób, w jaki dokonywa się tam oczyszczanie wybranych i starajmy się zrozumieć, dlaczego myśl o tem miejscu cierpień nie tylko nie mrozi przerażeniem, ale jest słodką dla serca, wlewając w nie spokój i nadzieję.

I.

Przedewszystkiem rozpatrzmy dowody istnienia Czyścica.

Czyściec jest jednym z tych dogmatów, które mogłyby się obejść bez dowodów, gdyż korzenie jego sięgają do najgłębszych tajników wewnętrznej ludzkiej wiedzy. Wszystkie ludy odczuły instynktownie, że są istoty schodzące ze świata niedość czyste, by mogły być od razu dopuszczone do oglądania Boga, a niedość winne, by na wieki pozbawione były tego błogosławionego widzenia. Musi zatem być miejsce, gdzieby się te dusze doskonale oczyściły, nim staną przed Bogiem, który nawet w aniołach swoich dojrzał plamy. To pojęcie zbyt było wysokie, zbyt religijne, by nie uderzyło genialnego umysłu natchnionych poetów starożytności: Homera, Eschylosa, Sofoklesa, Platona, Wergiljusza. Przytoczmy tylko przedziwne słowa tych dwóch ostatnich, są one odbiciem wszystkich innych. „Zdaje mi się, mówi Platon, że śmierć jest tylko rozłączeniem duszy z ciałem. Po tem rozłączeniu dusza stawa przed Sędzią, który ją bada bez najmniejszego względu na stanowisko, jakie zajmowała na ziemi. Bardzo często, choćby to była dusza nawet króla perskiego lub innego króla, lub jakiego możnego człowieka, Sędzia nie znajduje w niej nic zdrowego. Mogąc iść za swojemi skłonnościami,

dusza owa pogrążała się w zniewieściałości, w rozpucie, niewstrzeźliwości, w różnego rodzaju nadużyciach, tak że przepełniona jest bezecnością. Widząc to Sędzia, odysła ją sromotnie do więzienia, gdzie ma ponosić zasłużone męki. Są dwa rodzaje męk: takie, które są nałożone nato, by skazany osiągnął z nich pożytek, stając się lepszym, i takie, które mają służyć za przykład innym ludziom, aby ich skłonić do poprawy wzbudzoną przez nie obawą. Otóż ci karani przez bogów i ludzi nato, by kara stała im się pożyteczną, są to tacy, którzy popełnili grzechy dające się uleczyć. Cierpienie przynosi im rzeczywiste dobro; gdyż tylko przez nie można być oswobodzonym od nieprawości. Ale co do tych, którzy przeszli granice złego, stali się nieuleczalnymi, służą oni za przykład innym, bez żadnego dla siebie pożytku, gdyż nie są w możności być uleczonymi; cierpieć będą wiecznie męki przerażające¹⁾.

Oto jedna z tych kart, które zjednały Platonowi przydomek boskiego. Niewiadomo, co tu więcej podziwiać, czy genialną intuicję, sięgającą do dna wszystkiego, czy tę mądrą ciekawość, odnoszącą pożytek z najdrobniejszych okrucich podania. Wergiljusz wstępuje w ślady Platona. Wzruszająco pięknymi wierszami opiewa los dusz zbyt świętych, by mogły być do piekieł wtrącone, ale niedość świętych, by zostały wprowadzone do czystego, tchnącego pokojem Elizjum.

...Lecz tak mus na nie działa przez dziwne przyczyny,
 Że ich długo zebrane trzymają się winy.
 Więc kara dawnych grzechów srodze je uciska:
 Jedne wiszą wydane na wiatrów igrzyska,
 A drugich hydne zbrodnie i zmierzłe przywary
 Zmywa wielkie jezioro, lub czyszcza pożary.
 Każdy ma tu swe chłosty. Nareszcie nas wiodą
 W Elizej, który rzadkim staje się nagrodą,
 Aż gdy czas wszelkiej zmaży zagładę uiści
 I wzięty z niebios ogień zupełnie oczyści²⁾.

¹⁾ Plato. de Republic. X, 46.

²⁾ Eneida. ks. IV.

W odczytywanych stopniowo świętych księgach ludów wschodnich w Egipcie, Chinach, Indjach, a później w Ameryce północnej i południowej znajdowano intuicję czyli odczucie lub też treść podania o miejscu oczyszczenia przed ostatecznem wejściem do Nieba. Święta to intuicja, lub raczej resztką pierwotnego objawienia, a prawdopodobnie jedno i drugie razem złączone.

By się jednak przekonać o całym pięknie tej idei, o jej jasności i dokładności, trzeba się zwrócić do ludu żydowskiego. Przypomnijmy sobie wzruszającą scenę, gdy żołnierze Judy Machabeusza zbierają między sobą składkę i posyłają ją do Jerozolimy, aby złożono tam ofiary za ich braci poległych na polu bitwy. Ponieważ przed walką dopuścili się byli zbrodni, lękano się o ich zbawienie. Że jednak popełniwszy ową zbrodnię polegli odważnie, bohatersko w obronie ojczyzny i religii, miano nadzieję, że krew ich przelana przyniosła im oczyszczenie. Pozostawała jednak wątpliwość i oto dlaczego modlono się za nich, błagano, by Bóg słuchał jedynie miłosierdzia swego i pozwolił, by się doreszty oczyścili za grobem. „A tak — mówi święty pisarz — święta i zbawienna jest myśl, modlić się za umarłych, aby byli od grzechów rozwiązani¹⁾”. Luter próbował tę kartę zniweczyć, zniszczyć te słowa promienne. Karta została i do końca wieków świadczyć będzie o wierze ludu żydowskiego w dogmat Czyśćca.

Zaledwie Kościół nastąpił po Synagodze, zaraz powstały wszystkie liturgje, czyli formy modłów i obrzędów nazwane liturgjami apostołskimi, gdyż jedne sięgają samychże apostołów, inne biskupów wyświęconych przez apostołów. Otóż we wszystkich tych liturgiach jaśniej wiara w Czyściec; wszędzie są modlitwy za umarłych. Katakumby niemniej jasno o tem mówią. Wszyscy Ojcowie pierwotnego Kościoła jednogłośnie się o tem odzywają; rozwijają dowody wiary w Czyściec. Opowiadają jego mądrość, potrzebę, konieczność, aby dopełnić niedosta-

¹⁾ II Machab. XII, 46.

teczne ludzkie zadosyćuczynienie i otworzyć szerszy zakres działania Boskiej dobroci¹⁾. Wieki średnie ustanawiają wielkie nabożeństwa za dusze zmarłych, msze wiekuiste, hymny: *Libera*, *Dies irae*, uroczystość dnia Zadusznego; aż wreszcie, gdy protestantyzm próbował zaprzeczyć temu dogmatowi tak pięknemu, wzniosłemu, tak pocieszającemu, Kościół uczynił z niego jedno z nieomylnych i nieodwołalnych orzeczeń Wiary. Oto jest owo orzeczenie, w którym tak intuicje świata starożytnego, jak i wszystkie okruciny pierwotnego objawienia, zjawiające się w pamięci ludzi, oświecone są prawdziwym światłem. „Ponieważ Kościół katolicki oświecony od Ducha Świętego, idąc za świętymi Listami i podaniami Ojców, uczył na świętych Soborach, że jest Czyściciel i że dusze w nim zatrzymane mogą być wspierane przez sufragja wiernych, a szczególnie przez najdroższą Ofiarę Ołtarza, święty Sobór nakazuje biskupom czuwać starannie, by nauka o Czyścicu w całości wierzona i utrzymywana była wśród wiernych, wszędzie nauczana i głoszona...”²⁾.

Sobór zaś tak formułuje tę naukę w całości: „Jeżeli kto powie, że przez łaskę usprawiedliwiającą wina i kara wieczna są tak odpuszczone winowajcy, że już nie pozostaje mu żadna kara doczesna do odciążenia na tym świecie lub na drugim w Czyścicu, zanimby wszedł do Królestwa niebieskiego, niech będzie przeklęty”³⁾.

„Jeżeli kto powie, że ofiara Mszy nie ma być ofiarowaną za żywych i za umarłych, za grzechy, kary, zadosyćuczynienia i inne potrzeby, niech będzie przeklęty”⁴⁾.

¹⁾ Clem. Alex. Strom. VII, 6 ad fin. Orig. Hom. XVI, n-o 5, 6, Cyprian. Epist. LII ad Anton. Ephrem Paraen. ad poenitent. 47. Greg. Naz. Carm. I de seipso. Basil. in Isai., VI, n-o 186. August. de Civit. Dei, XX, 25; XXI, 13, 16.

²⁾ Trid. Sess. XXV.

³⁾ Trid. Sess. VI, can. 20.

⁴⁾ Trid. Sess. XXII, can. 3.

A zatem, prawdą jest to, co starożytni przeczuwali. Są dusze mogące być uleczone; udzielona jest im cudowna zwłoka, aby dokończyły swego oczyszczenia; a w tej bolesnej pracy, nieodłącznej od każdego wielkiego dzieła, mogą one być wspierane modlitwami, dobrami uczynkami tych, którzy nie przestają ich miłować na ziemi.

Wszystko to musimy jeszcze zgłębić i rozjaśnić.

II.

Dogmat Czyścica, jak widzieliśmy, zapuszcza swe korzenie w najdalsze głębiny wewnętrznej ludzkiej świadomości i jest niejako świętą intuicją serca człowieka, czynioną dogmatem, godzi się on zarazem przedziwnie ze wszystkimi przymiotami Boga. Ukazuje się jako pośrednik między sprawiedliwością a miłosierdziem, jako cudowny pomocnik miłości. Gdyby Czyścica nie było, sprawiedliwość byłaby zbyt straszliwą, bez litości odrzucałaby zdala od Nieba każdego, ktoby umarł z jednym grzechem powszednim. Ale któż to schodzi z tego świata bez jednego grzechu powszedniego? Męczennik, ulatujący prosto ze swego stosu do Nieba, — dusza wydająca ostatnie tchnienie w chwili, gdy ręka kapłana rozwiązuje ją z grzechowych więzów. Tak, to są szczęśliwe wyjątki! Ale ileż to dusz, bardzo czystych, dziewiczych, które jednak drobnymi plamami zbrukały godową swoją szatę. A ileż innych, niestety, które poznały zło, z trudem się odeń uwolniły, opłakały je gorzkimi łzami, ale którym, choć święcie pokutują, przeszłość ciąży ołowiem i pociąga do mnóstwa grzechów powszednich! A ci bardzo liczni pobożni, umierający nagle, bez możliwości ostatecznego oczyszczenia! Gdyby zatem nie było Czyścica, sprawiedliwość Boska musiałaby neliłitościwie odepchnąć wszystkie te piękne dusze, gdyż i najłżejszej winy Bóg nie przebaczy, jeżeli nie była opłakana, a opłakiwać w Niebie nie można.

I to jeszcze niewszystko. Do Nieba wejść nie można nie tylko z winą, ale i z długiem. Czy zliczymy dusze, które żałując za grzechy, niedostatecznie za nie jeszcze

zadosyczyniły? Czy zrachujemy biednych grzeszników nawróconych na łożu śmierci? Kapłan ich rozgrzeszył, oczyścił, schodzą wolni od wszelkiej winy, ale obciążeni długami. Co z nimi zrobić? Sprawiedliwość nie może odpuścić niespłaconych długów. I znów musiałyby te nieprzeliczone szeregi dusz zostać odepchnięte od Boga, którego tak gorąco ukochały.

Na szczęście jest Czyściec. Miłość nieskończona go stworzyła. Uczyniła zeń jakby przedłużenie świątobliwego żywota, aby zeń mogły korzystać dusze noszące na sobie ślad prochu ziemskiego. Skoro te dusze świat opuszczają, już na nie czeka Miłość nieskończona; chce je niejako przetopić, aby przez to dokonać ich udoskonalenia. Czasem jest to tylko lekkie skrzywienie do sprostowania; u innych gruba warstwa niedoskonałości do starcia; to znów stare długi do spłacenia; mnóstwo cieni zasłania boskie piękno w tych duszach, choć go tam nie niszczy. Miłość nad nimi pracuje i z pod tej mistrzowskiej ręki wychodzą one zupełnie czyste, zdolne oglądać Boga, którym cieszyć się będą przez całą wieczność.

Czyściec nietylko miarkuje sprawiedliwość i ją zaspokaja, ale rozszerza także i miłosierdzie; zostawia miłości pełną swobodę. Stąd to pochodzi działanie miłosierdzia przy łożu śmierci. Czyściec wyjaśnia, uprawnia i umożliwia tę tkliwą miłość Boga, który w ostatniej godzinie zadowalnia się często tak małą rzeczą. Niech stary grzesznik obudzi w sobie początek miłości Boga, to w połączeniu z rozgrzeszeniem już wystarczy; Czyściec dokona reszty. Bez Czyśca czyż Bóg mógłby tak łatwo przebaczyć? Czyż jeden akt skruchy uczyniony nad grobem mógłby doprowadzić grzeszników do oglądania Boga — grzeszników, którzy przez trzydzieści, czterdzieści lat trwali w grzechach i przed śmiercią nic nie odpokutowali? Bóg przebacza, gdyż zostawił czas na przerobienie tych dusz, na przywrócenie zatartego i zeszpeconego w nich przez grzech podobieństwa do Jezusa Chrystusa, na ociosanie i oszlifowanie tych kamieni, mających służyć do bu-

dowania wiekuistej świątyni. Przez Czyściec Bóg zadowalnia swoją miłość, nie nadwyrażając sprawiedliwości.

Prawda, że te dusze, zamieniwszy bóle ziemskie na cierpienia czyścicowe, nie mogą wysłużyć sobie ich zakończenia. Czas zasług minął dla nich. I tu znów się ukazuje działalność nieskończonej Miłości! Bóg pozwala, byśmy czynili dla tych dusz to, czego one już czynić nie mogą. My to możemy złagodzić ich cierpienia, przygasić ogarniające je płomienie. A ponieważ nasze nędzne zasługi nie zdziałałyby tu wiele, przychodzi nam z pomocą Jezus Chrystus, składając w nasze ręce swoje nieskończone zasługi. Wolno nam jest przenajdroższą Krwią Jezusa uśmierzać ich bóle. O szczęście żyjących! o radości umarłych! o boska pociecho umierających! Gdy nadchodzi ostatnia godzina, a wspomnienie grzechów naszych niepokoi nas i trwoży widok tak bardzo przez nie zeszpeconej duszy naszej, mówimy sobie pełni nadziei, że na szczęście jest Czyściec, gdzie do ostatka wypłacimy się z długów. A jeśli znowu przeraża nas myśl o żarzącym ogniu, wiemy, że towarzyszyć nam będą modlitwy naszych krewnych, naszych przyjaciół, że wspomogą nas sufragia Kościoła, że bez przestanku Krew Jezusa Chrystusa przytłumiać będzie czyścicowe płomienie. Myśli takie uspokajają umierającego; poleca się modłom swojej rodziny, a pewny pomocy Kościoła, całując stopy Ukrzyżowanego, zasypia w pokoju, nie lękając się Czyśca.

III.

Świat starożytny równie wyraźnie dostrzegał potęgę modlitw za umarłych, jak samo istnienie Czyśca. Te dwa pojęcia wiążą się ze wszystkimi podaniami, gdyż oba razem wypływają z najszlachetniejszych tajemnic ludzkiej duszy. Oto biedna wdowa klęka na grobie ukochanego małżonka; oto dziecko, młodzieniec oblewa łzami łożo śmierci swej matki, wołając jak św. Augustyn: „Boże, Tobie oddaję duszę mej matki!” Jeżeli takie modły nie służą do niczego, to pocóż tak potężnie ze wszystkich piersi się

wyrywają? Dlaczego wszyscy nieszczęśliwi je zanoszą? dlaczego wszędzie i zawsze, na całej powierzchni ziemi wierzone w skuteczność modlitw za zmarłych? I oto ten płynący z głębi duszy, powszechny i ciągły popęd miałby być sztucznym? nieprzeparta potrzeba serca miałaby być fałszywą? Nie można zrozumieć, dlaczego Bóg miałby na to pozwolić.

A jednocześnie jak ta modlitwa jest słodka, jak pocieszająca! Fałsz wszelki niepokoi, miesza, a jeżeli czasami zwiedzie duszę, to na krótko, pociągając za sobą gorzki żal. Tu przeciwnie, słodycz wstawiania się za zmarłymi jest tak wielka, że ciągle doń się powraca, nigdy się nie nużąc. Gdyby Bóg nie był tego ludziom objawił, serce samo byłoby to wymyśliło.

A do jakiego stopnia ta modlitwa za zmarłych jest niezniszczalna, nie dająca się wykorzenić! Gdybyś mi powiedział, że jest ona niepotrzebna, że nie może dojść do nich, nie uwierzyłbym ci, lecz pomyślałbym, żeś nigdy nie cierpiał, żeś nigdy nie utracił ukochanej istoty i wiem, że inaczej czuć będziesz w chwili, gdy zalany łzami uklęknieś na świeżej, nie porosłej jeszcze trawą mogile!

Pociechy jeszcze dodaje myśl, że nie tylko ulgę przynosimy naszym drogim zmarłym, ale że oni wiedzą o tem, że modlitwy nasze nie tylko spadają na nich jako orzeźwiająca rosa, ale że je widzą wzlatujące z serc naszych; że patrzą na nas, gdy klęczymy na ich grobach, mieszając łzy nasze do błagań; myśl ta jest dozwolona.

O boskości Religii Chrystusowej! o tkliwości najtkliwszego z serc! Jak Bóg jest wielki, jak dobry, że pozwala modlić się za zmarłych! Łzy bólu wspierają pobożną modlitwę. Pobożność ulgę przynosi bólowi; a razem złączone wytwarzają ukojenie i dają nieziemską pociechę.

IV.

Wejdzmy teraz do owej pracowni, gdzie nieskończona Miłość wykończa dusze, gdzie im przywraca boskie podobieństwo; przypatrzmy się, co się tam z niemi dzieje.

Są one święte, miłowane od Boga, miłujące Go ponad wszystko, pewne, że przez całą wieczność nic ich od Niego nie zdoła odłączyć. Muszą więc z konieczności mieć w głębi potężną radość, promienną nadzieję.

Z drugiej jednak strony zostały one nagle zatrzymane w swym wzlocie ku Bogu, i w chwili gdy mniemały, że Go posiedzą, uczuły się odepchnięte, oddalone. Wiedzą teraz, że są okryte plamami, których On nie znoś, wiedzą, że nie są godne stanąć w Jego obecności. I jakże mogłyby nie być pogrążone w boleści?

A ponieważ te dusze są najdoskonalej czułe, ponieważ miłość ich ku Bogu przewyższa wszystkie miłości, można pojąć, że radość w nich i szczęśliwość dochodzą do najwyższego stopnia, a cierpienie do najwyższego natężenia bólu.

Posłuchajmy, co o Czyścicu mówi św. Katarzyna Genueńska, niewiasta o sercu serafina: „Nie myślę, mówi ona, by po szczęśliwości świętych w Niebie, mogła istnieć większa radość, niż dusz czyścicowych. Ciągły związek z Bogiem czyni tę radość z każdym dniem żywszą, a związek ten staje się coraz silniejszy, w miarę jak niszczy w tych duszach znajdującą się przeszkodę! Ponieważ zaś ogień czyścicowy bez przestanku pali i pochłania tę przeszkodę, dusze coraz to więcej oddają się jakiejś ekstatycznej radości.

„Lecz z drugiej strony znoszą one cierpienia tak straszne, że ludzki język nie może tego wypowiedzieć; nawet pojąć nie można, czem jest najmniejsza isierka pożerającego ich ognia. Bóg w łasce swojej raczył mi dać uczuć jedną z takich iskier. To co wtedy Bóg mi dostrzec pozwolił, nigdy nie wyjdzie z umysłu mojego; ale nie znajduję słów na wyrażenie tego¹⁾.“

Takim jest pierwszy rzut oka na Czyściec, i rozum w zupełności nań się zgadza. Jest zatem miejsce, gdzie używa się szczęścia absolutnego bez domieszki jakiego-

¹⁾ Traktat o Czyścicu, roz. II.

kolwiek cierpienia, i jest, niestety, miejsce, gdzie ponosi się cierpienia bez najmniejszej domieszki radości. A między jednym a drugim jest trzecie miejsce, gdzie radość i boleść, szczęście i cierpienie łączą się w niewymowny sposób, aby wykończyć dzieło udoskonalenia dusz, rozpoczęte tu na ziemi wśród łez radości.

Zastanówmy się nad tem głębiej.

V.

Tak w Czyścicu jak na ziemi wielkim artystą doskonałym dusze jest boleść. Tam jest ona niewypowiedziana; nic nie istnieje, co mogłoby ją złagodzić, wszystko zaś przyczynia się do jej zwiększenia. Milczenie, samotność, potęga myśli, niemożność zniesienia kierunku tych myśli, gorąca, niezaspokojona miłość! Są tu dusze najżarliwiej miłujące Boga. Długie lata wzdychały do Niego i w chwili gdy sądziły, że Go posiedzą, zostały gwałtownie odrzucone od Niego. Jakaż to boleść! Kto wie, czy aby stała się ona ostrzejszą, a przez to i krótszą, Bóg w chwili sądu szczegółowego nie ukazał się im w swej promiennej, niewysłowionej piękności. I z oczami pełnymi Jego chwały, z sercem zachwyconem widokiem Jego godnych uwielbienia doskonałości, musiały oddalić się od Niego i pograć w ciemne, pełne bólu czyścicowe otchłanie. Ile lat trzeba będzie tam spędzić? Nie idzie im o cierpienie, ono niczem jest dla nich, pragną, by całe potoki bólu je zalały, gdyż prędzejby się skończyło to, co jest najdotkliwsze, to jest rozłączenie, przebywanie zdala od Umiłowanego! Nawet tu na tej marnej ziemi, gdzie uczucia są tak powierzchowne, bywają serca tak miłujące, że nie mogą znieść rozłączenia i pękają z bólu. Cóż dopiero tam będzie? Rzecz można, że gdyby Bóg cudem swej wszechmocy nie podtrzymywał dusz czyścicowych, zginęłyby z boleści spowodowanej rozłączeniem z Tym, którego tak niewypowiedzianie miłują.

I gdybyż tylko czuły się oddalonemi od Niego, rozłączonemi z Nim! ale one czują, że są odepchnięte. Bóg

spogląda na nie z gniewem. W chwili wydawanego wyroku dostrzegły one na uwielbionem obliczu Jezusa Chrystusa, tak promieniejącą pięknnością, że na jego widok wybrani miłością goreją, o biada, dostrzegły smutek, prawie gniew. Ach! więc w nich są cienie rażące nieskończoną Świątość, brzydota, sprawiająca, że Umiłowany odwraca się od nich ze wstrętem! Nie potrzeba grozić tym duszom Czyścicem — same się tam rzucają. Choćby im dawano Niebo, nie chciałyby tam wejść w stanie, w jakim się znajdują. Niech się rozżarzy ogień czyścicowy, nie będzie on według ich uznania dość silny, dość żywy, by pochłonął ich grzechy. Jak chemik puszcza na metal, dla stopienia go, prąd najsilniejszego ognia, tak Bóg może czyni z każdą duszą w Czyścicu, nie mogąc zaspokoić jej pragnienia ekspiacji. Wtedy dopiero będzie szczęśliwa, gdy ten straszliwy ogień stopi wszystkie jej niedoskonałości, stojące na przeszkodzie do połączenia jej z Bogiem.

Niektórzy teologowie mniemają, że płomienie czyścicowe przewyższają najżywsze boleści tego świata. Być to może, lecz dusze w Czyścicu nie żalą się jednak na to. Czem ogień będzie silniejszy, tem prędzej je oczyści.

Inni teologowie sądzą, że natura tych płomieni jest taka sama jak ognia piekielnego. Nie wiemy, czy tak jest, i mniejsza o to¹⁾. Pewnem jest, że dusze tam goreją, że płoną, że serce ich pożera płomień tak gorący, tak palący, że choć są nieśmiertelne, zginęłyby w nim, gdyby ich Bóg nie podtrzymywał cudownie.

Jak długo pozostawać będą na tym stosie? Niewiadomo. Może całe wieki. Byłem obecny przy wydobyciu zwłok zmarłego przed 300 laty księcia burgundzkiego; in-

¹⁾ O. Peronne T. J. „Czy ogień czyścicowy jest materialny, czy metaforyczny? to jest, czy zależy na pewnym smutku duszy pochodzącym z rozważania czy to przeszłego życia, czy szkarady grzechów, czy innych powodów, dla których to oczyszczające strapienie jest dobrowolne i gorąco pożądane przez owe dusze?” Tract. de Deo Creatore part. III. c. VI.

nym razem przenoszono przy mnie ze zrujnowanej kaplicy prochy trzech biskupów z wieków średnich; — tak za pierwszym, jak i za drugim razem odprawiona została Msza św. za spokój tych dusz. Kościół upoważnia nawet do fundowania wieczystych nabożeństw, jakby w obawie, że męka może trwać tak długo! O tajemnico boleści!

Tak, jest to tajemnica boleści, ale i tajemnica pociechy! Jakżeby Bóg nie wybaczył biednym istotom na ziemi i nie dopomógł im, by żałowały za grzechy przed śmiercią, skoro później takie ma środki dla ich oczyszczenia? „Nadzwyczajna surowość mąk czyśćcowych, mówi O. Faber, nie dałaby się pojąć, gdybyśmy nie przypuszczali, że mnóstwo jest dusz zbawionych, a zbawionych, mimo że ich doskonałość nie była zupełną. Czyścić lepiej wyjaśnia tajemnice tego świata, niż jakiegokolwiek inne Boskie zarządzenie. Tu mnóstwo niezrozumiałych trudności znajduje rozwiązanie... Wobec tego systemu, który moglibyśmy nazwać ósmym straszliwym sakramentem ognia, udzielanym duszom, którym siedem sakramentów nie zdołało pomóc do doskonałej czystości — czyż możemy go uważać jedynie jako środek pokuty dla świętych, aby ich oczyścić przez surową sprawiedliwość od drobnych niedoskonałości, wynikających z ludzkiej ułomnej natury? Że spełnia on to zadanie, nic bardziej pocieszającego dla samychże dusz, nic bardziej zgadzającego się z doskonałościami Boga; ale czyż jednocześnie nie powinniśmy uznać, że jest to jeden z Boskich pomysłów, by pomnożyć owoce Męki Pana naszego, i że został ustanowiony w przewidywaniu tego mnóstwa ludzi, którzy mieli umierać w miłości Boga, ale w miłości niedoskonałej? Czyż to nie jest jeszcze dalszy ciąg miłosierdzia świadczonego umierającym? I czyż to nie rzuca niejakiego światła na to przypuszczenie, że większość katolików będzie zbawiona, szczególnie zaś ci, którzy tu na ziemi żyli w ubóstwie, strapieniu i boleściach“¹⁾).

¹⁾ Faber. Stwórca i stworzenie.

VI.

Jeżeli niemożliwą rzeczą jest odmalować cierpienia dusz czyśćcowych, o wiele jeszcze niemożliwszem jest opisać ich radości. Radości te są bezmierne, niezgłębione, niewyczerpane. Tryskają z wciąż odnawiających się źródeł. Pierwsza to radość upajająca, pochodząca z pewności, że będą zbawione. To już nie jak niegdyś nadzieja tylko — to pewność zupełna! „Jestem zbawiona, jestem zbawiona! Nic mię nie odłączy od Boga mojego. Cóż więc znaczy czas, choćby przyszło czekać wieki całe? Co znaczy boleść, choćby jej były całe oceany? Widzieć będę Boga mojego! cieszyć się Nim będę przez wieczność całą!“ Na ziemi tak bardzo lękały się, by Go nie utracić; tak Go pragnęły, tak się do Niego modliły! Teraz to już skończone; już są pewne, że Go posiadają. Nic nie zdoła Go im odebrać!

Chwilami omdlewają z niezmiernych boleści. Jakże czas jest długi, jak niemiłosierne to rozłączenie! obumierają niejako. Nagle z udręczonego ich serca podnosi się krzyk radości: „Jestem zbawiona! jestem zbawiona! Oglądać będę Boga mojego w ziemi żyjących!“ Oto pierwsze źródło ich szczęścia.

Czyż ośmielę się powiedzieć, że drugie pochodzi z samejże ich boleści? Rozumieją ją dobrze; pojmują jej działanie. Jasno widzą, że przez tę boleść skruszona będzie zaporą rozłączająca je z Bogiem. Nie odpychają więc boleści, ale ją przyzywają; nigdy nie znajdują, by była dość przeszywająca. Nurzają się w niej, jak w odradzającym strumieniu. Nawet tu na ziemi dzieje się czasem podobnie. Spotyka się dusze rozradowane wśród cierpień. Są takie, które wołają: „Albo cierpieć, albo umrzeć!“ — „Cierpieć, zawsze cierpieć, nigdy nie umierać!“ Pytano się pewnej karmelitanki, czy nie cierpi bardzo w atakach ciężkiej choroby. „Tak, odrzekła, ale na nieszczęście nie trwa to długo!“ A zatem jeżeli pokorne stworzenia, będące jeszcze na drodze próby, związane ze słabnącem ciałem, z umysłem nurzającym się w cieniach, doznają takich ra-

dości wśród oczyszczających cierpień, jakie Bóg na nie zsyła, cóż mówić o jasnych, gorących, czystych, pełnych łaski duszach czyścownic? „Dusze te, mówi św. Katarzyna Genuńska, cierpią męki z taką radością, że za nic nie chciałyby ująć jednego atomu bólu. Uznają jasno, jak te kary święte są nałożone przez Boga; nie tylko więc nie skarżą się na nie, ale przeciwnie, przyjmują je z takim weselem, jakby już znajdowały się w Niebie”. „Ogień miłości jest w nich tak żywy, tak gwałtowny, że z radością rzuciłyby się do Czyścica i do płomieni o wiele jeszcze strasliwszych, gdyby mogły przez to rychlej usunąć przeszkodę, nie pozwalającą im wzlecieć ku Niebu i z Nim się połączyć¹⁾).

Ale i szczęście wynikające z pewności zbawienia i radość na widok niszczonej przez cierpienia przeszkody, oddłączającej je od Boga, niczem są wobec niewysłowionego pokoju, jaki się w nich budzi skutkiem poddania się świętej woli Boga. Są tam, gdzie Bóg chce; ani kroku nie uczyniłyby, aby wejść do Nieba przed znakiem, na który czekają. Ich doskonała świętość nie pozwala im ani na pragnienia, ani na skargi. Dobrze im tu, gdzie są, skoro je tu Bóg umieścił; dobrze im tu będzie, dopóki Bóg je tu mieć zechce. Więcej jest w Niebie radości; niema więcej pokoju.

Czyściec charakteryzuje więc dziwne połączenie cierpienia z radością, szczęścia z boleścią. Radość nie sprzeciwia się cierpieniu; boleść nie niszczy szczęścia; a jedno i drugie niewypowiedziane w jednejże duszy złączone, stawiają ją w wyjątkowym położeniu, nie mającym podobnego sobie ani w Niebie, ani na ziemi.

VII.

Los tych dwóch stanów: radości i cierpienia, jest zupełnie różny. Radość wciąż wzrasta, cierpienie ciągle się zmniejsza. „Wystaw na słońce, mówi św. Katarzyna, kryształowe naczynie okryte grubą zasłoną. Nie mogą doń

¹⁾ Traktat o Czyścicu. roz. IX.

przeniknąć promienie słoneczne, nie z winy słońca, nie przestającego świecić, ale z powodu zasłony tamującej światło. Niech jednak zasłona ta potrochu stopnieje, kryształ coraz więcej promieni słonecznych przyjmować w siebie będzie; a gdy przeszkoda zupełnie zniknie, kryształ cały przeniknięty będzie światłem. Tak samo rzecz się ma z duszami czyścownic. Boleść potrochu wypala w nich rdzę²⁾). Dołączmy do tej boleści dla prędszego usunięcia przeszkody, dla stopienia tego lodu bezprzeszanne modlitwy Kościoła, świętą Ofiarę Mszy, przenajdroższą Krew Jezusa Chrystusa wylewaną na nie poświęconemi rękami, a ujrzymy, jak zasłona coraz cieńszą stawać się będzie, jak przegroda się zmniejsza, a co za tem idzie, boleść coraz to mniej potrzebna, coraz mniej dolegać im będzie. „Z drugiej strony, mówi św. Katarzyna, w miarę jak ogień niszczy rdzę, dusze coraz to więcej odbijają w sobie promienie żywego Słońca. Radość ich wzrasta się w miarę, jak rdza znika i jak one coraz to więcej przeniknięte są boską światłością. I tak radość wciąż wzrasta, boleść wciąż maleje, dopóki nie wypełni się czas próby”. Nadchodzi chwila, gdy dusza, stawszy się zupełnie czystą, nie cierpi już wcale. Choćby przez wieki została teraz w ogniu czyścownicym, płomienie te nie mogłyby jej żadnego bólu sprawić. „Gdy Bóg tak stopniowo doprowadził duszę do tej doskonałej czystości, staje się ona niecierpieliwą, gdyż nic w niej już niema, co ogień mógłby strawić; a przypuściwszy, że w tym stanie doskonałej czystości pozostałaby jeszcze w ogniu, to ten zamiast być jej przykrym, stałby się raczej ogniem miłości Bożej, bez cienia bólu³⁾). Ale niemożliwym jest, by w nim pozostawała. Bóg, widząc ją w stanie czystości, pragnie co prędzej ją pojąć. „Rzuca na nią promienie swojej miłości, które ją rozpalają, i przyciąga ją do siebie z siłą, zdolną ją unieść mimo jej nieśmiertelności³⁾). I dusza ulatuje do Nieba.

¹⁾ Traktat o Czyścicu. roz. II.

²⁾ i ³⁾ Traktat o Czyścicu; roz. II.

Czy w Czyśćcu widzą, jak dusze dojrzewają dla Nieba, podobnie jak na ziemi widzimy rozwijające się kwiaty? Czy zorza dnia niebieskiego złoci te dusze i blasku im użyczą? I czy po tych oznakach towarzyski ich przeczuwają, gdzie one ulecieć mają? Jakież tam wtedy muszą być pożegnania! jakie obietnice niezapominania o sobie! jaka pewność ujrzenia się wkrótce! Ale są to rzeczy, których nam Bóg nie objawił, a które ujrzymy kiedyś, jeżeli będziemy tego godni!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

O przeznaczeniu dusz (ciąg dalszy).

Piekło.

Dante w chwili przestąpienia progu piekielnego spostrzegł na bramie następujące słowa:

Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
Przeze mnie droga w naród zatracenia,
Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki.
Wzniosła mię z gruntu Potęga wszechwładna,
Mądrość najwyższa, Miłość pierworodna.

.

Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...¹⁾.

Słowa te zawierają straszliwą teologję Piekła; — straszliwą, ale nie mniej wzniosłą od teologji Nieba, której jest konieczną przeciwwagą. Jeżeli jest Niebo, musi być i Piekło. Jeżeli jest nagroda dla dobrych, musi być kara dla złych; chyba, że się ich narówni ze sprawiedliwymi wynagrodzi, co byłoby szczytem niesprawiedliwości, lub że się wszystkich zarówno unicestwi, co byłoby szczytem niedorzeczności. Wiekuiste Niebo wymaga wiekuistego Piekła; są to dwie konieczne szale wagi sprawiedliwości.

Skoro Dante przeczytał, a raczej usłyszał te słowa, wymawiane przez ową żywą bramę, zapłakał. I jaby to chętnie uczynił i za poetą powtórzył: „Mistrzu, ze słów

¹⁾ Porębowicza.

tych jakaż groza świta!" Ale jak on skłoniłbym głowę, słysząc pełną mocy odpowiedź przewodnika: „Wszelkie ludzkie czucie musi tu umrzeć!" Tak; aby mówić o Piekłe, wznieść się trzeba wyżej nad uczucie człowieka. Spróbujmy to uczynić.

I.

Jest Piekło i to Piekło wieczne. Pierwszym tego uderzającym dowodem, dowodem filozoficznym i rozumowym, a przede wszystkim płynącym z sumienia, jest ten: Musi być różnica między dobrem a złem i to nie tylko głęboka, ale rdzenna, konieczna, gruntowna. Sumienie czuje to nieprzewyciężenie. Rozpoznanie wyraźne dobra i zła jest podstawą wszelkiego porządku moralnego i społecznego. Jeżeli wiekuiste Piekło zostanie zniesione, natychmiast owa istotna różnica rozwiewa się, nic z niej nie pozostaje. Bo oczywiście jest, że jeżeli dobro i zło dochodzą do jednakowego wyniku, sprowadzają takąż samą chwałę, to znak, że są jednej natury. Skoro tak dobro jak zło doprowadzają do Nieba, widocznie nie różniły się niczem na ziemi. Każda istota rozwijająca się stanowiącą ją zawiązek. Jeżeli więc przypuścimy, że Piekła niema i że, co za tem idzie, dobro i zło jako ostateczny rozwój mają toż samo wiekuiste szczęście, wynika stąd, że są identyczne.

A nic to nie znaczy, że dobro i zło niejednakowo szybko w Niebie się zjawia, że zło dłuższą dostanie się tam drogą, że będzie potrzebowało wieków na to samo, do czego dobro od razu się dostało. Rzecz to małej wagi, skoro wynik jest taki sam. Choćby się nawet zgodzić na czasowe Piekło, trwające setki, tysiące, dziesiątki tysięcy lat, cóż to znaczy, jeżeli ten potok boleści zaginie kiedyś w oceanie nieskończonej szczęśliwości? Oto istota występna, rozpasana, zbuntowana przeciwko Bogu, uparta i zatwardziała w swym buncie do końca, i oto dziewica czysta, niewinna, poświęcająca się wytrwale do końca: obie są teraz w Niebie, obie cieszą się oglądaniem Boga. Tylko jedna dłuższego na to czasu potrzebowała — oto

cała różnica. A zatem pierwiastki dobra i zła nie były rdzennie sobie przeciwne, skoro dały ten sam wynik i otrzymały tę samą nagrodę. Nie widzę, jaką odpowiedź możnaby dać na ten pierwszy argument.

II.

A oto drugi, może jeszcze silniejszy. Trzeba uznać, że jeżeli między Bogiem a człowiekiem jest spór, walka, to ostatnie słowo musi być przy Bogu. Otóż bez Piekła wiekuistego ostatnie słowo mieć będzie człowiek przeciwko Bogu. Weźmy na przykład zatwardziałego złoczyńcę. Cóż Bóg może uczynić, aby go do siebie przywieść? Obsypać go światłem, łaskami? ależ on niemi gardzi. Zatopić go w morzu swej miłości? a jeżeli on tę miłość podepce? Ścigać go błaganiami aż do łoża śmierci? jeżeli on jednak umrze znieważając Boga? Karać w Piekło? lecz skoro to Piekło nie jest wieczne, on i tam oprze się Bogu, bluźnić Mu będzie; rzuci Mu wyzwanie: „Cierpliwości! musisz mi otworzyć Twoje Niebo i mimo wszystko posiędę Twoją wieczną szczęśliwość!" I w rzeczy samej, jeżeli Piekło nie jest wieczne, to ten buntownik wejdzie do Nieba z głową hardo wzniesioną, nie skłoniwszy jej nigdy przed Bogiem. Jakto! Bóg jest stwórcą, prawodawcą, najwyższym Panem i nie ma sposobu, by nakazać dla siebie cześć, uszanowanie? Po życiu ziemskim, pełnem występków, po których nastąpiło dziesięć, dwadzieścia wieków bluźnierstw w Piekło, będzie Bóg musiał przyjąć owego złoczyńcę do Nieba! To wstrętne. Choćby więc jeden tylko taki człowiek się znalazł, to, aby Bóg ostatnie miał słowo, jak je mieć winien, musi być Piekło, i to Piekło wiekuiste.

„Ale — może kto powie — dlaczegoż takiej istoty nie unicestwić, zamiast skazywać ją na męki?" Dlaczego? bo nic nie sprowadziłoby pewniejszej porażki Boga. Gdy tu na ziemi człowiek całym szeregiem przewinień ścigał na siebie powszechną pogardę i niezatartą hańbę, chwytając za rewolwer i w śmierci szuka ucieczki przed na-

łożoną nań przez świat karą. Teraz jeszcze byłoby okropniej. Aby uniknąć gniewu Bożego znalazłby się w nicości. Zamiast przez ponoszoną karę przywrócić ład, który grzechem nadwyreżył, on zniweczyłby go doreszty. Śmierć nie byłaby zadośćuczynieniem; byłaby to ucieczka w nicość. Ośmieszałoby to Boga, czyniąc Go bezsilnym.

Odpowiedzą mi na to: „Dla takiego zgadzamy się, że Piekło jest potrzebne. Ale tylu jest innych, których życie nie ma tego charakteru buntu; są oni raczej słabi niż zbuntowani!” Tylu innych! ale czyż wiadomo wam, którzy są ci, co w Piekle zostają i jaka jest ich liczba? Kościół uczy, że jest Piekło, ale nie mówi kto jest tam; zabrania nam nawet myśleć o tem. Żąda, byśmy o Piekle myśleli ze względu na nas samych, nie pozwala myśleć o niem dla drugih. Upoważnia jedynie do wierzenia, że Piekło nie jest puste, ale stanowczo zakazuje zastanawiania się nad kimkolwiek, kto miałby się tam znajdować, choćby to był najwystępniejszy człowiek. Bóg sam jest Sędzią. Powtarzam jedynie, że gdyby przypuszczalnie była jedna tylko istota zbuntowana przeciwko Bogu, nie chcąc ustąpić, nie pozwalająca, by w tej walce Bóg miał ostatnie słowo, jak je mieć powinien, to już potrzebne jest Piekło i to Piekło wiekuiste.

III.

Taka jest moc tych dwóch argumentów wypływających ze zdrowego rozsądku i z głębi sumienia, że wywołały one jednogodność — rzadkie zjawisko w historii umysłu ludzkiego. Rozpatrzenie wszystkie religie, nawet o bardzo niskim poziomie, a także i najwięcej uduchowione — ani jednej nie znajdziecie, która nie uczyłaby wiary w karę wieczną... Różnić się mogą co do natury tych mąk, co do win, jakimi się na nie zasługuje, ale wszystkie mówią o wiecznym Piekle przeznaczonym dla bezbożnych i występnych. Nawet Mahomet, tak skłonny do dawania uczniom swoim obietnic niezawodnego szczęścia, nie zawahał się wobec tego punktu, i Piekło wieczyste jest arty-

kułem wiary w Koranie, tak jak i we wszystkich świętych księgach innych ludów¹⁾.

Jednogodność filozofów jest tu niemniej wielką. Z wyjątkiem bezbożnika Lukrecjusza, zaprzeczającego istotnej różnicy między dobrem a złem, wszyscy filozofowie, wszyscy poeci i historycy starożytności wierzyli w Piekło i głośno to wyznawali. A nawet i Lukrecjusz po swojemu stwierdza wiarę rodu ludzkiego w dogmat wiecznego Piekła²⁾. Zebrano starannie wszystkie świadectwa, a w szczególności Hezjoda, Homera, Herodota, Diodora z Sycylii, Orfeusza, Eschylosa, Pindara, Platona, Wergiljusza³⁾ i t. d. Wystarczy zacytować dwóch ostatnich o umyśle głęboko religijnym. Platon mówi najpierw o tych, którzy, dokonawszy sprawiedliwego żywota, mają prawo do wiecznej nagrody, potem o tych, którzy popełnili winy, ale mogą jeszcze być uleczeni i podlegają przemijającej karze, nakoniec dodaje: „Co do tych, którzy doszedłszy do ostatecznych granic złego, stają się zupełnie niezdolni do uleczenia, cierpieć będą na wieki straszliwe męki! I dlatego to, gardząc próżnemi zaszczytami i zważając jedynie na prawdę, postaram się żyć i umrzeć jako człowiek sprawiedliwy, i was o to samo błagam, jako też i innych... gdyż, skoro staniecie przed Sędzią i czekać będziecie na wyrok, drżąc z trwogi, niczem już sobie wtedy nie będziecie mogli dopomóc. Gdy wyrok zapadnie, Sędzia rozkaże sprawiedliwym stanąć po swojej prawicy i wejść do Nieba; złym rozkaże ustawić

¹⁾ Carl, (dr. teologii). Dogmat katolicki o Piekle. Znaleźć można w tem dziele mnóstwo nader ważnych tekstów.

²⁾ „Niema już spokoju, pisze Lukrecjusz, niepodobna jest spać spokojnie: dlaczego? gdyż jest się zmuszonym obawiać się po tem życiu kar wiekuistych... Trzeba koniecznie wyrwać tę obawę z serca ludzi i wygnać ją raz na zawsze z całego świata, bo mąci ona pokój rodu ludzkiego, nie pozwala zakosztować żadnego bezpieczeństwa, żadnej radości, żadnej uciechy.” (De Nat. rer., lib. I, 3).

³⁾ Carl. Dogmat katolicki o Piekle.

się po lewicy i zstąpić do piekieł¹⁾). Czyż może być coś bardziej stanowczego, cudowniej przeczonego, czy potężniej obmyślanego?

Wergilusz niemiennie jasno się wyraża. Któż nie zna jego opisu Piekła i tych dźwięcznych, jak ze spiżu ulanych wierszy:

...Sedet aeternumque sedebit
Infelix Theseus²⁾).

Lub o tym drugim, wieczyście szarpanym przez sępa:

Immortale jecur tondens, faecundaque poenis
Viscera³⁾):

I o trzecim:

Sisyphon aspiciens: Cur hic e fratribus, inquit,
Perpetuas patitur poenas?⁴⁾

Oto opisy Piekła a Piekła wiecznego, oto rana, która nigdy krwawić się nie przestanie. Ewangelja mówi o robaku nigdy nie zamierającym: Gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie⁵⁾). Tu przedstawiony jest sęp szarpiący bez przestanku potępionego. Immortale jecur tondens.

Dziwniejszą nad tę jednogodność religij i systemów filozoficznych jest jednogodność sekt heretyckich. Od osiemnastu wieków roją się dookoła Kościoła. Wszystkiemu pokolei zaprzeczały w dogmatach, w nauce, w sakramentach, wszystkiemu prócz Piekła. Zaprzeczały Bogu prawa przebaczenia, odpuszczania nam, prawa miłowania nas, nigdy Mu nie zaprzeczały prawa karania. Zaprzeczyły przemijającemu Czyścicielowi, nie zaprzeczyły wiekiestemu Piekłu. Jak to wytłumaczyć? Skąd się bierze ta

¹⁾ Plat. Gorgias, oper., t. IV. De Republ. lib. X, t. VII.

²⁾ Virg. Aeneid., lib. VI.

³⁾ id., ibid.

⁴⁾ Ovid. Metamorph., IV.

⁵⁾ Marc. IX, 43.

jednogodność? Dogmat ten najwięcej przeraża umysł ludzki; on jeden, rzec można, zasmuca i ściska serce; on każe drżeć namiętnościom; przeciw niemu buntują się wszystkie występki, wszystkie złe skłonności; natura ludzka, żadna swobody i rozkoszy, powstaje przeciwko niemu. I mimo to on jeden wśród wszystkich dogmatów nigdy nie był zaprzeczany, w ten jeden dogmat wszyscy zawsze wierzyli! On jeden od 6000 lat łączy w dziwnie niepojętej zgodzie wszystkie religie, wszystkie filozofje, wszystkie sekty! To daje do myślenia. Głos to niewątpliwie sumienia.

IV.

Ale i to nie byłoby ugięło umysłu ludzkiego przed strasznym dogmatem mąk wiecznotrwałych. Trzeba tu było słów Boga samego, potwierdzenia Bożego, wypowiedzianego z całą jasnością i mocą. I to się stało. Całe Pismo święte pełne jest tego; nie sięgając do Mojżesza, Joba, Dawida, Salomona, Izajasza, Daniela¹⁾, trzymając się jedynie Ewangelji, można przytoczyć cały szereg tekstów doskonale ze sobą powiązanych, wspierających się wzajemnie, a tak jasnych, że żadna wątpliwość nie może mieć miejsca co do tego głównego punktu Boskiego objawienia. Skoro się tylko uznaje Ewangelję, trzeba też przyjąć i dogmat wiekiestej kary.

Otwórzmy Ewangelję św. Mateusza, tę księgę ułożoną prawdopodobnie przez wszystkich apostołów przed ich rozejściem się i spisana w osiem lat po zmartwychwstaniu Pana Jezusa. Oto co tam czytamy: „Biada człowiekowi onemu, przez którego zgor-

¹⁾ Te różne teksty znajdują się w dziele Carl'a: Dogmat katolicki o Piekło. Można dyskutować nad każdym tekstem, ale całość jest imponująca, szczególnie gdy się doda objaśnienia Ojców Kościoła. Nie trzeba zapominać także, co Pan Jezus powiedział, iż aby wierzyć w Piekło, nie potrzeba świadectwa umarłych; wystarczy wierzyć Mojżeszowi i prorokom. Habent Moysen et prophetas. (Luc. XVI, 29).

szenie przychodzi! A jeśli ręka twoja, albo noga twoja cię gorszy, odetnij ją i zarzuć od siebie. Lepiej tobie ułomnym albo chromym wniść do żywota, niżli mając dwie ręce, albo dwie nogi, być wrzuconym w ogień wieczny¹⁾. W drugiej z rzędu Ewangelji święty Marek powtarza te same słowa Jezusa Chrystusa i dodaje kilka wyrazów potęgujących jeszcze znaczenie: „A jeśliby ręka twa gorszyła cię, odetnij ją: lepiej jest tobie wniść do żywota ułomnym, niż mając obie ręce, iść do piekła w ogień nieugaszony, gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie”. I raz jeszcze powtarza to samo wyrażenie: „Gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie²⁾”. Więc jest ogień wieczny: ignem aeternum, ignem inextinguibilem; Gehennam ignis inextinguibilis. Już św. Jan Chrzciiciel, każąc na puszczy, użył tego samego wyrażenia: „Którę łopata w ręku jego i wychędoży bojowisko swoje i zgromadzi pszenicę do śpichlerza swego; a plewy spali ogniem nieugaszonym. Comburet igne inextinguibili³⁾”. Jeżeli te słowa nie wystarczają na określenie Piekła, jakichże wyrażen użyć należało?

Zresztą i ten tekst nie jest jeszcze najważniejszy. Jest inny, także u św. Mateusza, nadzwyczaj uroczysty i absolutnie stanowczy. Jest to opis Sądu Ostatecznego, wyrok rozłączający dobrych i złych: „Tedy rzecze król tym, którzy będą po prawicy jego: Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, otrzymajcie królestwo wam zgotowane od założenia świata. Tedy rzecze i tym, którzy po lewicy będą: „Idźcie ode mnie prze-

¹⁾ Matt. XVIII, 8.

²⁾ Marc. IX, 42, 43 i 45.

³⁾ Łuk, III, 17.

kleci w ogień wieczny, który jest zgotowany diabłu i aniołom jego”. I pójdą ci na mękę wieczną; a sprawiedliwi do żywota wiecznego¹⁾. Daniel już powiedział: „A mnożę z tych, którzy śpią na prochu ziemi, ocucą się: jedni do żywota wiecznego, a drudzy w hańbę, aby widzieli zawždy²⁾”.

Wyznajmy, że niesposób znaleźć wyrażenie wznioślejsze, uroczystsze, silniej brzmiące: „Idźcie przekleci w ogień wieczny”. Ojcowie Kościoła zwracali uwagę na równorzędność nagród i kar, które na tym samym stoją poziomie. Jeśli nagrody bywają wieczne, i kary są też takimi. Jeśli kary miałyby się kończyć, to i nagrody tak samo. Jest to dowodzenie św. Augustyna³⁾, św. Grzegorza Wielkiego⁴⁾ i wielu innych.

Pozostawało jedynie ukazać taką duszę w niegaszącym ogniu. Św. Łukasz to czyni. Znana jest przypowieść o złym bogaczu. Umiera i pogrzebion jest w Piekło; et sepultus est in Inferno. A jakież jest to Piekło? Miejsce mąk, in locum tormentorum. A co sprawiało te męki? Ogień, który go ogarniał, crucior in hac flamma. Pragnąłby kropelki wody, aby ochłodzić spiekły język, ale nie może tego otrzymać. Wszystko kończy się temi straszhliwemi słowy: Odebrałeś dobra za żywota twego, a Łazarz także złe; a teraz on ma pociechę, a ty męki cierpisz⁵⁾.

Czyż potrzeba jeszcze innych tekstów? Dodajmy tylko słowa świętego Pawła: W płomieniu ognistym oddawającego pomstę tym, którzy Boga nie znają i którzy nie są posłuszni Ewangelji Pana naszego Jezusa Chrystusa,

¹⁾ Mat. XXV, 34, 41, 46.

²⁾ Daniel XII, 2.

³⁾ Aug. De Civit. Dei, cap. XXIII, 2.

⁴⁾ Greg. lib. XXIV Moral.; cap. XVI.

⁵⁾ Łuk: XVI, 19—31.

którzy kaźnie odniosą w zatraceniu wiecznem od obliczności Pańskiej i od chwaly mocy Jego¹⁾).

Czyż po takich świadectwach mogą dziwić w symbolu św. Atanazego słowa streszczające wszystko, cośmy dotąd powiedzieli: „Ci co czynili dobrze, pójdą do żywota wiecznego, a ci co czynili zło, pójdą do ognia wiecznego. Oto jest wiara katolicka. Kto jej wiernie i wytrwale nie zachowa, nie będzie mógł być zbawiony“.

V.

Jest zatem Piekło i to wiekuiste; jest to rzeczą pewną. Ale cóż się tam cierpi? Jaka jest cecha i natura ponoszonych tam mąk?

Usunmy najpierw obrazy okropnych męczarni, wyrafinowanych okrucieństw, wymyślonych przez teologów, poetów i kaznodziejów. Jeżeli coś oburzało dusze i wielu ludziom nie pozwalało wierzyć w ten wielki dogmat, to nie istnienie Piekła, ani nawet jego wiekuiste trwanie; sumienie mimowoli na to się zgadza — uczyniły to opisy wstrętnych mąk, niezgodnych z pokojem Wszechmocnego Sędziego, karzącego lecz nie dręczącego, niezgodnych z naturą istoty najlepszej, „która, gdy się rozgniewa, wspomina na miłosierdzie swoje“²⁾). Obrazy te są smutnymi owocami bezsilnej wyobraźni ludzkiej. Zostawmy je na boku, a trzymajmy się jedynie Ewangelji. W tych tak powściągliwych kartach jest i tak czem przerazić zastanawiającego się człowieka.

Jakże to Ewangelja maluje potępionych w Piekło? pod jaką ukazuje nam ich postać? Najpierw z oczami zalanymi łzami. W wielkich cierpieniach widzimy niekiedy łzy płynące z oczu najwytrwalszych z ludzi. Bywa to jednak rzadko; człowiek, mąż — nie płacze łatwo. W pie-

¹⁾ Paul. II ad Thes: I, 8, 9.

²⁾ Habac. III, 2.

kle płacze ciągle. Ibi erit fletus, tam będzie płacz¹⁾. Tam będzie wieczny płacz, jak mówi Bossuet.

Jeżeli boleść się wzmacza, łzy są niedostateczne — słysząc łkania i jęki. Ploratus et ululatus. Jęk cięższy jest niż łzy, wydobywa się z bardziej dotkniętego serca. A nie jest on jeszcze ostatnim wyrazem bólu. Po łzach, po jękach, jeżeli boleść wzrasta, nerwy się rozstrajają, dołącza się zgrzytanie zębów. Jest to jedna z objawionych cech potępieńców. Ibi erat stridor dentium. Tam będzie zgrzytanie zębów²⁾.

Zważmy te słowa proste, pewne, jasne i w świetle prawdy zobaczmy, czem będą męki piekielne, nie przesadzając ich, nie powiększając: będą wiecznością spędzaną we łzach, w jękach, czasem w zgrzytaniu zębami, w krzykach to stłumionych, to ostrych wywoływanych bólem. Zrozumiemy, że trzeba się zastanowić przed narażeniem się na takie niebezpieczeństwo.

Łez tych nie wywołuje ani ogień piekielny, ani ciemności, ani ten nieład, to zamieszanie: przyczyną ich jest utrata Boga. Dla posiadających Boga ogień sam może być rozkoszą. Bez Boga, dla tych, co zdala od Boga czują się odrzuconymi i przekłętymi przez Niego, wszystko staje się płomieniem, ciemnością, cierpieniem. Choćby nie było ognia wokoło potępionego, on sam stworzyłby go, wydobył z wnętrza bólem przejętych, z serca rozpaczą płonącego. Spójrzmy na chorych, dręczonych wielką gorączką; są rozpaleni, pot wielkimi kroplami spływa ze wszystkich członków; nazewnątrz nigdzie ognia niema, ale jest w ich wnętrzu. Chorzy na cholere jakże błagają o wodę; żar ich pali nieznośny. Zupełnie więc jest podrzedną kwestja ognia piekielnego. Kościół nigdy nic w tym względzie nie orzekł³⁾. Bo i naco? czy ogień będzie na-

¹⁾ Matth. XIII, 42, 50.

²⁾ Matth. XII, 42.

³⁾ „Omnia quae spectant ad poenarum naturam de fide non sunt Nullo Ecclesiae decreto neque ulla in Synodo sancitum est ignem esse corporeum“. Perron. Praelect. theologiae tractat. de Deo Creatore cap. VI. De futura hominis vita, art. III.

zewnątrz, jak ocean, w którym będzie się pogrążonym według powszechnej nauki Kościoła, czy będzie płonął wewnątrz, jak to odmalował Bossuet, jedno tylko jest pewnem — że cierpienie będzie straszliwe. Człowiek, złożony z ducha i z ciała, zgrzeszywszy jednym i drugim, cierpieć będzie okrutnie w obydwóch składających go pierwiastkach¹⁾. Stracić z własnej winy szczęście wiekuiste, być na zawsze rozłączonym z Pięknością, Dobrocią, Miłością nieskończoną, zamieszkiwać miejsce cierpień i ciemności — i to na zawsze! Gdy o tem potępiony myśli, lży do ócz mu się cisną, jęki rozrywają serce i często dochodzi on aż do zgrzytania zębami, do krzyków rozpacz.

Mówię: często, gdyż nic nie dowodzi, by to był zwykły stan potępionych. W Piekło tak samo jak w Niebie jest pewna hierarchja, są szeregi bardziej przygnębione, więcej cierpień ponoszące²⁾. Pan Jezus nie rzekł, że dla wszystkich i zawsze będzie płacz i zgrzytanie zębów. Powiedział tylko, że będzie płacz i zgrzytanie zębami. Uwagę tę czyni pobożny i uczony biskup z Boulogne, ks. de Pressy: *Ibi erit fletus et stridor dentium; non dixit Christus: Ibi erit continuus fletus*³⁾.

Przedstawiają zazwyczaj potępionych, jakoby zawsze i wszyscy miotali najohydniejsze przeciw Bogu bluźnierstwa. Nic mniej nad to pewnego. Estjusz, ów teolog tak mądry, ścisły, sprzeciwia się temu stanowczo, dając słuszny, zdaje się, powód: „Nierozsądnem, mówi on, byłoby

¹⁾ Bossuet. Kazanie o chwale Boga w nawróceniu grzeszników. *Producam ignem de medio tui qui comedat te. Nie zdala od ciebie wyszle ogień przeciwko tobie; rozżarzy on się w twojem sumieniu, a płomienie wybuchną z wnętrza twego; grzechy twoje rozniecą. Czy myślicie o tem, chrześcijanie, że grzesząc, przygotowujecie narzędzie wiecznej waszej męki? A jednakowoż przygotowujecie je; napawacie się nieprawością jako wodą, napęlniacie się potokami płomieni. Zrozumieście dobrze, że Piekło to sam grzech. Piekło, to być pozbawionym Boga, a dowód tego oczywisty jest w Piśmie świętem.*

²⁾ S. Basil. *Regulae breviores*, interrog., 267.

³⁾ Pressy. Rozprawa teologiczna o Wcieleniu.

sądzić, by człowiek w życiu przyszłym miał być gorszym niż w tem życiu; właściwością Bożej sprawiedliwości jest karać grzeszników, ale nie zwiększać ich złośliwość. Wieleż to zaś jest grzeszników, którzy do śmierci nigdy nie bluźnili i nie mieli tego nałogu. Wszak są ludzie opanowani pewnemi namiętnościami, mający jednak wstręt do innych występków¹⁾. Inny niemniej znakomity teolog, Sylwusz, tego samego jest zdania: „Są potępieńcy schodzący z tego świata z pewnemi grzesznymi upodobaniami, ale niektórzy nie chcieli bluźnić. Czyż ta chęć miałaby ich opanować dopiero w Piekło? Nie sądzę; gdyż nikt w przyszłym życiu nie stanie się gorszym, niż był w chwili zejścia z tego świata²⁾. W drugim miejscu swego dzieła z większą jeszcze siłą wyraża toż samo zdanie. Ks. Émery, przełożony u św. Sulpicjusza, przytoczywszy oba te ustępy, pochwała tę naukę i potwierdza ją swoją powagą³⁾.

Uznając wielkość mąk piekielnych, nie trzeba ich przesadzać. Zalecał to wyżej cytowany ks. de Pressy, bardzo świątobliwy i największy z teologów XVIII wieku. Jakkolwiek bolesnymi są te męki, uważał on, że żywot wśród nich lepszy jest aniżeli nicość; a idąc za św. Augustynem, mniema, że dla każdego z potępionych, z wyjątkiem Judasza i niektórych innych, korzystniej jest cierpieć wszystkie męki Piekła, jak nie istnieć. Chętnie przytaczał przypowieść o złym bogaczu. Grzesznik ten otoczony płomieniami nie unosi się przeciwko Bogu, nie oskarża Jego sprawiedliwości; nie bluźni przeciwko Jego miłosierdziu. Co więcej, odwraca uwagę swoją od obecnych swoich cierpień, by przypominać sobie przeszłość. Przywodzi na pamięć ojca, braci; rozczula się nad przyszłym ich losem i zajmuje się środkami zdolnymi uchronić ich od podobnego nieszczęścia. „Gdyby więc, mówi ks. de Pressy, męki piekielne były tak bolesne, jak je

¹⁾ Estjusz. *lib. Sentent. dist. XXXIII.*

²⁾ Sylwusz, *Quaest. XII, art. 4.*

³⁾ Émery. O uśmierzaniu kary piekielnej.

przedstawiają malarze i kaznodzieje, gdyby równały się lub przewyższały katusze, jakie znosi człowiek przechodzący chorobę kamieni, taki, któremu wyrrywają wnętrzności, ćwiartują, lub którego ciało wrzucone w ogień, ze wszystkich stron jest przypiekane — czyż jest możliwem, aby potępiony, znajdując się w takich warunkach, uczuwał coś ponad obecną boleść i by mógł oderwać od niej uwagę, aby się zająć innemi przedmiotami? Trzeba tylko zapytać własnego doświadczenia i zdrowego rozsądku¹⁾". Biskup ten przytaczał inne jeszcze podobne teksty, ale poprzestańmy na tych. Jest tu jednak podwójny szkopuł do uniknięcia: można tak złagodzić męki piekielne, że nie będą już przerażały sumienia ludzkiego, lub tak je zwiększać, że dusze przeciw nim się buntują i zaczynają wątpić w istnienie Piekła.

VI.

Mówią jeszcze: „Jakaż jest jednak proporcja między szybko spełnioną winą a tak długą karą, między grzechem, trwającym minutę, a wiekuistą zań karą!" Zarzut ten trzebaby zwrócić nietylko do niebieskiej sprawiedliwości, ale i do każdego ziemskiego sądu. Za jedną zbrodnię, za zabójstwo, które trwało zaledwie pięć minut, kwadrans, czyż nie skazują na dwadzieścia, trzydzieści lat więzienia? Czyż niema dożywotnich ciężkich robót, galer, czyż nie wydają wyroków śmierci? Jakiż tu stosunek między krótkotrwałym przestępstwem, a tak długą karą? Ustosunkowanie kary do winy nie mierzy się długością czasu, bo w takim razie za zbrodnię popełnioną w minucie trzebaby kary trwającej minutę. Wszak to niedorzeczność.

Kwestja ta wymaga bliższego rozpatrzenia. Przypuszczam, że między chwilowem przestępstwem, a karą wieczną zdaje się nie być proporcji. Są na to jednak dwie odpowiedzi, godne najwyższej uwagi.

¹⁾ Pressy. Rozprawa teologiczna wyżej cytowana.

Podług prawa, podług teorii jest rzeczą pewną, że człowiek umierający w grzechu śmiertelnym, choćby ten jeden tylko miał na sumieniu, zasługuje na Piekło. Był mu zostawiony czas na zbawienie duszy; nie korzystał z niego. Ani otrzymane łaski, ani doświadczenie, ani starość mroząca w nim wszystkie do złego popędy, ani śmierć, trwogą przejmująca, nie zdołały obudzić jego sumienia. Umiera w oddaleniu od Boga, nie chcąc się z Nim pojednać, wrogi i zbuntowany przeciw Niemu. Jakim był wydając ostatnie tchnienie, takim pozostaje — jest jakby zakrzepły, skamieniały. Czy widziałeś lodowce w Szwajcarii? Woda spływała żywa, ruchliwa, fala goni falę — nagle temperatura obniża się o sto stopni i woda, ścięta lodem, jest unieruchomiona. Od sześciu tysięcy lat zdaje się płynąć, a nie płynie, ma wszelkie pozory ruchu, a zlodowaciała na zawsze! Obraz to umierających w grzechu śmiertelnym. Czas dla nich skończony; zostają, jak ich śmierć zastała, i cała wieczność nie wróci im jednego ruchu. Umarli w rozłączeniu od Boga i tak na zawsze pozostaną. Płomienie piekielne nie zdołają ich zmienić, tak jak promienie słońca nie są w stanie stopić lodowców.

Mówią też: „Dlaczegoż potępieni nie mieliby żałować wśród takich cierpień?" Niewątpliwie żałują, wyrzucają sobie: „Byliśmy szalonymi; całą przyszłość straciliśmy!" Ale żal ten już nic nie pomoże. Dlaczego? Bo czas sposobny już minął. Bóg nie daje nam wieczności dla osiągnięcia zbawienia — daje nam na to czas, a czas się kończy ze śmiercią. Gdyby Bóg dawał nam wieczność na skruchę, na żałowanie, cóżbyśmy uczynili z czasem? Gardzilibyśmy nim, marnowali go, używali na zgubę duszy, na psucie jej do końca. Nicby nas nie nagliło. Będzie czas żałować w wieczności. A ponieważ wieczność jest długa, bez końca, w jakiejże to jej chwili zaczęlibyśmy żałować? Może nigdy, boć przed nami wieczność na to cała! Jest więc rzeczą słuszną i konieczną, by Bóg zakreślił granice próby, by po przekroczeniu tej granicy żal już stawał się niemożliwy i by w takim razie, choćby

się miało jeden tylko grzech śmiertelny, oglądanie Boga było wykluczone.

Oto jakie jest prawo w konieczności, w teorii. Ale czy tak jest i w praktyce? Czy prawdą jest, by dusza, która wypadkowo popełniła grzech śmiertelny, jeden jedyny, była skazana na męki wiekuiste? Wolno o tem wątpić; gdyż Ten, który sądzi i wyrok wydaje, jest nieskończoną Miłością, a postąpienie takie sprzeciwiałoby się miłości. Czyż matka odepchnie dziecko po jego pierwszym przewinieniu? Obrażona przez syna, czyż nie przebacza mu i to nie jeden raz, ale dwadzieścia, ale sto razy? A jeżeli go wreszcie opuści, to czyż nie czyni tego dopiero w ostateczności? Błady to obraz Tego, który powiedział: „A zali może zapomnieć niewiasta niemożliwości swego, a choćby ona zapomniała, wszakże ja nie zapomnę ciebie¹⁾”. Bóg obmyślił Wcielenie, aby nas zbawić. Oddał do ostatniej kropli Krew swoją na Kalwarij. Obmyśliłby tysiące Wcieleń, tysiące razy wstępowałby na Kalwarię, gdyby tego była potrzeba. I tego jeszcze mało. Niema słów, niema porównań, mogących dać pojęcie, do jakiego stopnia On miłuje dusze. Aby jedną zbawić, gotów świat poruszyć, gwiazdom spadać rozkaże. Gdy człowiek znajduje się w niebezpieczeństwie życia, szczególnie jeżeli niema przy nim kapłana, aby mu udzielił Sakramentów, czegoż to Bóg nie obmyśla, aby tę duszę zbawić? Miał ów człowiek dziś umrzeć; ale Bóg czeka, odwłóczy, zostawia czas, by kapłan przybył, by rozgrzeszenie jak zbawienna rosa nań spłynęło, by święty Wiatyk umocnił odlatującą z tej ziemi duszę.

Rozważmy to dobrze: Ten, który sądzi i wyrok wydaje, jest Tym, od którego zależy naznaczenie godziny naszej śmierci. Wszystko zależy od godziny śmierci, a to On ją naznacza. Jakaż to niewymowna pociecha! bo czyż Bóg, tak miłujący, miałby wyczekiwać chwili, w której nie byłibyśmy gotowi, aby nas móc potępić? Toż to bluźnier-

¹⁾ Izajasz XLIX, 5.

stwo! Przeciwnie, On czeka chwili, gdy będzie mógł zapomnieć o naszych słabościach, by przyjąć nas w swoje ojcowskie objęcia! Iluż znajdzie się takich, których potępił po pierwszym grzechu śmiertelnym? Jak mało będzie skazanych nawet po dziesiątym, po setnym. Uwielbianie cierpliwości i działania nieskończonej miłości Bożej będzie wielkim hymnem wieczności. Dowiemy się cudownych wówczas rzeczy. W tem też leży najzupełniej teraz zakryta tajemnica wielkiej liczby wybranych.

VII.

Może kto jeszcze nalegać będzie: „Ale Piekło wiekuiste istnieje, a choćby w jego ogniu znalazło się tylko kilka dusz, jak można pogodzić ową wieczność cierpień z miłością, o której ciągle wspominasz? Twierdzisz, że Bóg dla nas odczuwa nie tylko litość, miłosierdzie, dobroć; cała twoja książka ma na celu wykazanie, że ma dla nas miłość, a miłość tak gorącą, że nic na ziemi nie może dać o niej pojęcia. I oto książka twoja kończy się okropnem przedstawieniem Piekła?” Ach, ależ właśnie gdyby w Bogu była jedynie litość, miłosierdzie, dobroć, to może grzesznikowi udałoby się uniknąć Piekła, ale jest w Nim i miłość; a miłość znieważona, wzgardzona sprowadza odrzucenie na wieki, czyli Piekło.

Nie igrajmy z miłością. Nic nad nią niema słodszej, ale też niekiedy nic niema nad nią straszliwszej, nic bardziej nieubłaganego. Nic silniej nie łączy dwóch dusz, ale też czasami nic bardziej ich nie dzieli. Miłość żąda wzajemności, a gdy ją spotka, wtedy następuje zlanie się, przeniknięcie wzajemne w najwyższym stopniu. Ale przypuśćmy, że miłość nie znajduje wzajemności, że widzi się wzgardzoną, zdradzoną; wtedy im była silniejsza, tem więcej wystąpi przeciwko niewierności, niewdzięczności; im bardziej chciała przyciągnąć, tem silniej teraz odepchnie, odrzuci. Nędzna miłość ludzka zna taki gniew, dochodzący do nienawiści tych, co ją zdradzili. Zbyt cię kochałem, bym mógł cię nie znienawidzić!

I oto skąd Piekło powstało. Wielki genjusz Dantego nie omylił się tutaj. Badając, jacy to byli twórcy i budowniczowie Piekła, odnajduje ich trzech: najpierw potęgą, następnie mądrością, a wreszcie miłością.

Wzniosła mię z gruntu Potęgą wszechwładna,
Mądrość najwyższą, Miłość pierworodną.

Zwrócić trzeba uwagę na to znakomite wyrażenie: „Najpierwsza miłość, miłość pierworodna, *il primo amore*”; to jest najszlachetniejsza, najgorętsza, najwięcej zawierająca wiary i ufności; ale także w razie zdrady najskłonniejsza do gniewu, najłatwiejsza do zranienia. Bóg umiłował dusze na podobieństwo młodego oblubieńca, miłującego wybraną swoją; Bóg je przyozdobił, by móc je więcej miłować; nie żałował niczego, by pozyskać naszą miłość. I nie posiada jej! widzi, że jest wzgardzony, znieważany bluźnierstwami, czasami ścigany nienawiścią! Czyż może tak trwać wiecznie? czyż sądzicie, że z Bogiem można w ten sposób postępować? czyż myślicie, że On nie ma serca podobnego do naszego? Im więcej nas kocha, tem zazdrośniejszy jest o nas, tem silniejszym gniewem płonie przeciwko tym, którzy nie chcą Go kochać. Nie ustępuje odrazu; niełatwo uważa się za zwyciężonego; powraca, mając dla opierających się przedziwną tkliwość, czeka wytrwale. Ale wiecznie tak trwać nie może. Czyż Bóg ma się poniżyć, by pozyskać tego niewiernego, tego niewdzięcznika. Ach! On i to uczyni! Ale cóż będzie, jeżeli ten zbuntowany jeszcze się opiera? Nie spotwarzajcie Miłości usuwającej się, chroniącej się w Niebo, gdyż tu nią wzgardzono.

Piekło wiekuiste — to usuwająca się miłość; reszta to tylko następstwo. A w Niebie tak samo jak na ziemi, gdy raz miłość zniknie, nie wraca już nigdy!

VIII.

A zatem Piekło to usuwająca się, znikająca miłość. Ale czy ona całkiem znika, czy nic z niej w Piekle nie po-

zostaje, ani najdrobniejszy promyczek miłosierdzia, by złagodzić, uśmierzyć wiekuiste kary? Kościół nie zabrania w to wierzyć; pozwala mniemać, że z powodu dobroci, której Bóg nawet w swym gniewie zapomnieć nie może, kary piekielne są mniejsze, niżby tego wymagała surowa sprawiedliwość. Bóg wynagradza wybranych sto razy więcej niż na to zasłużyli, a karze potępionych tysiąckrotnie mniej, niżby mógł uczynić. Jest to zdanie św. Franciszka Salezego. „Rzecz zdumiewająca, ale prawdziwa, mówi on, gdyby potępińcy nie byli zaślepieni uporem, znajdowałiby pociechę w swych mękach i dostrzegaliby miłosierdzie Boskie łączące się cudownie z płomieniami wiecznie gorejącymi. Święci widząc, że te męki, chociaż wiekuiste i niepojęte, są jednakże o wiele mniejsze, niż winy i zbrodnie, za które zostały nałożone, zachwyceni nieskończonem miłosierdziem Boga, wołać będą: „O Panie, jak jesteś dobry, skoro wśród gniewu Twego nie możesz powstrzymać potoku Twego miłosierdzia!”¹⁾ Bossuet godził się także na tę doktrynę; oto co mówił: „Ogólne jest mniemanie, że Bóg wynagradza powyżej, a karze poniżej zasług. By tego dowieść, przytaczają tekst psalmu: *Cum iratus fueris; misericordia e recordaberis*, i kilka innych. Nie sądzę, by w tem mniemaniu źle było twierdzić, że potępińcy zawdzięczają owo złagodzenie nieskończonem zasługom Jezusa Chrystusa, dla których Bóg ma więcej względu, niżby na to zasługiwała ich niewdzięczność”²⁾. Jako dzielących to zdanie można tu jeszcze wymienić Piotra Lombarda, św. Tomasza, Loup z Ferrières, Estjusza i wielu innych.

Do tego pierwszego złagodzenia kary, zawartego w samym już wyroku, Kościół pozwala dodać i drugie. Z czasem męka potępionych łagodnieje; promień dobroci przeciska się przez otaczające ich ciemności, i cierpienia ich są przez to uśmierzone dla jednych na pewien czas, w pew-

¹⁾ Traktat o miłości Bożej, Ks. IX, roz. I.

²⁾ Émery, Rozprawa o uśmierzeniu męk piekielnych.

ných epokach, dla drugich stale, choć nie ustają jednak nigdy. „Przed Piotrem Lombard, pisze O. Faber, ogół teologów utrzymywał, że zczasem srogość mąk piekielnych bywa nieco złagodzona; po pewnym przeciągu czasu ich siła się zmniejsza. Piotr Lombard, jak to mówi sam św. Tomasz, zaprowadził pewne zmiany w tej nauce¹⁾”. Św. Tomasz poszedł w jego ślady, a z nim bardzo wielu teologów, ale bez uszczerbku swobody pozostawionej przez Kościół. Za dni naszych dawne te mniemania powołali do życia Ęmery od św. Sulpicjusza, De Pressy, biskup z Boulogne, O. Ventura. Nikt lepiej tego nie dowodzi jak Ęmery w swej Rozprawie o uśmierzaniu mąk potępieńców; jest tam i siła, i pewność i erudycja, cechujące tego znakomitego uczonego. Kongregacja Indeksu starannie zbadała ową rozprawę i oświadczyła, że nic w niej nie znalazła do zarzucenia. Ks. Ęmery utrzymuje tam, że mniemanie o łagodzeniu mąk piekielnych nie sprzeciwia się bynajmniej wierze katolickiej. Rozróżnia kilka rodzajów uśmierzenia. Jedne następują wtedy, gdy ustaje zgorszenie, jakie potępiony dawał w ciągu życia; trwało ono jeszcze jakiś czas po jego śmierci, ale zniknęło wreszcie skutkiem zapomnienia lub śmierci zgorszonych przez niego. Inne wypływają z dobra, jakie potępiony po swej śmierci spełnia zapomocą np. jakiegoś potężnego zakładu przezeń utworzonego, jakiejś dobrej książki, służącej ku zbawieniu dusz; są to zasługi spadające na jego boleści jak orzeźwiająca rosa. Jeszcze inne złagodzenia wynikają z modlitw i ofiar Mszy św. za niego składanych, a które Bóg może na jego rachunek przyjąć. Są wreszcie pochodzące z czystej dobroci Boga; dzieje się podobnie czasami i wśród ludzkich trybunałów, udzielających parodniowego wytchnienia skazanym na dożywotnie ciężkie roboty. Zdania te zgadzają się z powszechną wiarą. Można je przyjąć tuta fide, ale pod warunkiem nałożonym przez św. Tomasza, że owe złagodzenia nigdy nie dojdą aż do usunięcia cierpień.

¹⁾ Faber; Przenajdroższa Krew, roz. III.

Nie ludźmy się zatem. Możemy uważać te drobne uśmierzenia jako wynik dobroci Boga i hołd Mu za to składajmy. Nie wyobrażajmy sobie jednak, że zmieniają one bardzo fizjonomję Piekła. Potępieni zawsze będą pozbawieni obecności Boga; nigdy Boga oglądać nie będą, zawsze zdala od Niego cierpieć będą okropnie; zawsze tam będą łyzy i zgrzytanie zębów, zawsze Piekło pozostanie przybytkiem bólu i zawsze na bramie doń prowadzącej widnieć będzie napis:

Porzućcie nadzieję, którzy tu wchodzicie!

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

O małej i wielkiej liczbie wybranych.

Koniec świata.

Jak dokonaniem zostanie ogólne rozmieszczenie ludzkości w owych wiekuistych mieszkaniach, o których mówiliśmy? Iluż będzie błogosławionych w Niebie, ilu potępionych w Piekło? Czy mała, czy wielka będzie liczba zbawionych? Zawiłe to zagadnienie i zdawałoby się niepotrzebne; a jednak tak nie jest. Jest to bowiem zagadnienie praktycznej użyteczności chrześcijaństwa, boskiej i nadprzyrodzonej skuteczności Odkupienia. Jeżeli tylko mała liczba jest zbawioną tak w chrześcijaństwie jak w pogaństwie, nacóż chrześcijaństwo potrzebny? Jeżeli pod panowaniem krzyża i sakramentów wyjątki tylko mogą wejść do Nieba, to nacóż krzyż i sakrament? Jeżeli po przyjściu Jezusa Chrystusa Niebo zapełnia się jedynie małymi dziećmi, istotami, które na ziemi nic nie wysłużyły, nie kochały, nie używały swego rozumu ani woli, to Chrystus nie może się chlubić swoim zwycięstwem. Jeżeli szatan, zwyciężywszy Boga w świecie aniołów, zwycięża Go znowu w świecie ludzkim, a Bóg, po wiekach całych cierpliwości, pomimo wszelkich usiłowań nie mógł zatriumfować nad szatanem i małą tylko liczbę wybranych zgromadził dookoła siebie, to i nacóż dzieło stworzenia? Oto pytanie wypływające z wielkiej lub małej liczby wybranych.

Zabieramy się do odpowiedzi na nie, z bojaźnią i nieśmiałością, nie narzucając nikomu naszego zdania, domagając się jedynie swobody udzielanej po wsze czasy

wszystkim w nasuwających się wątpliwościach. In dubiis libertas. Sąd Kościoła różni się od sądów ludzkich; Kościół ma intuicje macierzyńskie; niewiadomo po czem rozeznaje badania czynione z miłości, od tych, które rodzi prosta ciekawość. Ecce odor filii mei sicut odor agri pleni, cui benedixit Dominus (Genes. XXVII, 27).

I.

Czy mała, czy wielka będzie liczba zbawionych? Kilka jest sposobów zapatrywania się na tę kwestję. Najpierw, sposobem najogólniejszym jest brać niezmierną całość dzieła Boskiego; nie ziemię tylko, ale Niebo, nie ludzi tylko, ale i aniołów; jednym słowem wszystkie stworzenia rozumne i posiadające wolę, jakie Bóg stworzył lub stworzy do końca wieków. Wobec takiego bezmiaru, takiego uogólnienia, odpowiedź nie może być wątpliwa: wielka będzie liczba zbawionych. Cześć Boga tego wymaga: Bóg nie może być zwyciężonym. Może tu lub owdzie dobro się zachwiać, lub tu lub owdzie zło przeważać; ale Bóg musi odnieść zwycięstwo, Bóg nie może zakończyć dzieła stworzenia ogólną porażką. Gdy Bóg przygotował materialną scenę, na której miała się odbyć walka między dobrem a złem, rozradował się, cieszył się, że wszystko dobrze uczynił: *Vidit Deus cuncta quae fecerat et erant valde bona*¹⁾. Trzeba, by to samo mogło się powtórzyć, gdy ciała niebieskie w wieczność powrócą, jak wojska schodzące z pola bitwy. Bóg musi tak samo cieszyć się i chlubić, gdyż inaczej nacóż byłby rozpoczynał stworzenie, naco podejmował walkę? A więc wszystko nie zostałoby obrachowane, plan byłby źle obmyślony, wojownicy źle uzbrojeni, łaski niedostateczne, wola ludzka zbyt słabo wspierana, skoro prawie wszyscy mieliby upaść; a bezmierne i wspaniałe dzieło stworzenia stałoby się bezmierną klęską, bezmiernem zwycięstwem

¹⁾ Genes. I. 31.

zła nad dobrem, szatana nad Bogiem. Nie mogę w to uwierzyć. Przypuszczam częściowe porażki ludzi, a nawet całych narodów, ale ogólnego, powszechnego pogromu, nie! nigdy tego nie możnaby zrozumieć. Naruszona przez to zostałaby mądrość, wszechmoc, dobroć Boga, jakaś żalobna, pełna smutku zasłona rzucona byłaby na całą wieczność. Zapatrując się zatem na dzieło Boskie w jego powszechnej, bezmiernej całości, na aniołów, ludzi, istoty, które Bóg już stworzył i jeszcze stwarzać będzie, nie można wątpić, że wielka będzie liczba zbawionych. Oto co O. Ventura o tem mówił: „Patrzając na ogół wszystkich stworzeń rozumnych, cielesnych lub niecielesnych, zamieszkujących naszą ziemię lub przebywających na innych gwiazdach, widzi się, że niezmierna większość dostąpi zbawienia i że liczba ginących jest nieskończenie mała w stosunku do całości”¹⁾).

II.

Jeśli zstąpiwszy z tych wyżyn zatrzymamy wzrok na naszej ziemi, na zamieszkującej ją ludzkości, to odpowiedź na owo pytanie wydaje się bardzo wątpliwą i przeważać raczej będzie na stronę małej liczby wybranych. Wątpliwość nasuwa się z powodu mnóstwa narodów bałwochwalczych zamieszkujących ziemię tak przed przyjściem Jezusa Chrystusa jak i teraz jeszcze w tak wielkiej części ją zajmujących, a także z powodu znacznej liczby heretyków i schizmatyków, którzy nie posiadając już prawdziwej wiary, ani prawych sakramentów, tak bardzo narażają swoje zbawienie. Jeśli złączymy pogan i heretyków ze wszystkich stuleci, to wobec nich katolicy ukażą nam się jako mała trzódka. Stąd to pochodzi ogólne mniemanie teologów co do małej liczby wybranych wśród całej ludzkości. Nieśmiało tylko można sprzeciwiać się tak rozpowszechnionemu mniemaniu. Zdaje mi się jednak, że do ostatecznego wyrokowania brakuje tu dwóch rzeczy.

¹⁾ Ventura. La raison philosophique et la raison catholique.

Gdyby koniec świata miał jutro nastąpić, to możnaby niewątpliwie zgodzić się na ową hipotezę teologów. Ale czyż ma się on już tak prędko skończyć? Przypuśćmy, że trwać jeszcze będzie wieki, tysiące wieków; przypuśćmy, że wszystkie ludy zamieszkujące ziemię poznawać będą kolejno chrześcijaństwo, żyć nim będą, obyczaje ich, prawa, instytucje prześlaknięte nim nawskroś zostaną. Niech żarliwa, prawdziwa wiara ożywi całą Amerykę, całe Chiny z miliardową ludnością, Japonję, tak gęsto zamieszkałą; niech chrześcijaństwo przedostanie się do Indji do Australji, na wyspy Oceanji i niech tam panuje dwa lub trzy tysiące lat; czyż stosunek zaraz się nie zmieni i czy wówczas narody pogańskie nie przedstawiają się nam jako mała trzódka wśród ludów katolickich? Sądźmy o tych rzeczach jak lekkomyślny czytelnik, który przeczytawszy przedmowę jakiejś książki i dwa jej pierwsze rozdziały, sąd stanowczy o jej całości wydaje. Przedmowa świata katolickiego zajęła 4000 lat. Po niej rozpoczęło się dzieło, którego dopiero dwa rozdziały znamy. Czekajmy więc, przyznając, że wobec tej niedokładności dokumentów nie możemy orzec, czy ogólna liczba wybranych z całej ludzkości będzie wielka czy mała.

Ograniczając się nawet do upłynionych 6000 lat, brakuje nam drugiej jeszcze rzeczy, by móc w tej kwestji wydać sąd zupełnie jasny: a mianowicie nie wiemy, jaką wagą Bóg ważyć będzie dusze pogan. Łatwo powiedzieć: poza Kościołem niema zbawienia; a nieświadomi prędko stąd wniosek wyciągają, że wszelki heretyk, poganin, schizmatyk, nie należący do Kościoła, jest nieodwołalnie potępiony. Gdyby tak było, coby się stało ze sprawiedliwością Boga? „A od każdego, któremu wiele dano, wiele żądać będą”¹⁾), powiedział sam Zbawiciel. Otóż poganie mało otrzymali, bo tylko prawo natury, według tego też prawa będą sądzeni. Prawo naturalne dało im poznać, że jest Bóg, stwórca, zbawiciel, wynagradzający wszyst-

¹⁾ Łuk. XII, 48.

kich ludzi. To wszyscy mają wypisane w głębi swej istoty i muszą w to wierzyć. Ale kiedy, jak, w jaki sposób ten Bóg Stworzyciel zbawi dusze? Jasna odpowiedź na to nie będzie od nich wymagana. „O Ty, ktokolwiek jesteś, Ty, który stworzyłeś ludzi, Tobie się oddaję. Gotów jestem przyjąć wszelkie środki służące do zbawienia, jakie mi wskażesz, lub jakie mi zostaną przedstawione jako pochodzące od Ciebie”. To już dosyć. Ta wiara niewyraźna, ten chrzest *in voto* wystarczy, zdaniem najpoważniejszych teologów, by pogan doprowadzić do Nieba¹⁾. Z punktu widzenia praktycznego toż samo prawo naturalne dało im poznać różnice dobra i zła. Konieczność unikania zła, a pełnienia dobrego; konieczność żałowania za uczynione zło i wyrzeczenia się go na przyszłość. I to wystarczy do zapewnienia im zbawienia.

Prawda, że człowiek jest słaby, aby wypełnić te dwa akty posłuszeństwa względem prawa naturalnego; nie trzeba jednak zapominać, że łaski nie brakuje mu nigdy. Bóg chce zbawienia wszystkich ludzi, a uczyniwszy wszystkich dla siebie, wszystkim zawsze aż nadto pomaga, by mogli przyjść do Niego. Słodko jest myśleć, mówi O. Faber, że Bóg każdą duszę ludzką otacza jakoby siecią miłości. Czy to ruchliwy, czynny Europejczyk, czy milczący mieszkaniec Wschodu, awanturniczy Amerykanin, ciężki Hotentot, dziki Australczyk, okrutny Malajczyk, wszyscy mają Boga przy sobie. Z każdym z nich postępuje On inaczej, ale zawsze z tłiwością, pobbżaniem i szczodrobliwą

¹⁾ „Wystarczało im (poganom) mówi św. Tomasz, mieć niewyraźną wiarę w Opatrzność i wierzyć, że Bóg wybawi ludzi sposobami, jakie Mu się spodoba; *secundum modos sibi placitos*.” (2-a 2-ae quaest. 2, art. 7 ad tertium).

„Wystarczało, mówi św. Bonawentura, wierzyć, że Bóg będzie Odkupicielem rodu ludzkiego i że go wybawi z jego nędzy, a nie znać szczegółów tej tajemnicy.” (III Sent distinct. 25, art. 1. quaest. 2).

„Wielka liczba, mówi św. Bernard, przed przyjściem Chrystusa, bojąc się Boga, uważali Go jako przyszłego swego Zbawcę, ale nie wiedzieli ani kiedy, ani jak to zbawienie się dokona; i ta wiara wystarczała do ich zbawienia”. (Tract. de baptism. cap. III.)

wspaniałomyślnością. Gdybyśmy mogli wnikać w tajniki historii dusz, ujrzelibyśmy, jak Bóg więzami swojej miłości otacza najdzikszych bałwochwalców; widzielibyśmy, jak się zajmuje największymi winowajcami, najbardziej błądzącymi fanatykami, najobojętniejszemi, nierozumnemi istotami i jak wszystko z przedziwną, twórczą miłością na ich korzyść urządza²⁾).

Taką jest zatem prawda. Czyż można sobie wyobrazić, że Bóg w ten sam sposób postąpi z tymi biednymi mieszkańcami Ziemi Ognistej, z tymi Syngalezami, posiadającymi zaledwie przebłyński rozum, jak z członkami Akademji, którzy znać Go mogli, a nie chcieli? Im więcej jakie dziecko pokrzywdzone jest przez naturę, tem więcej jest kochane i troskliwiej pielęgnowane przez matkę. W tem matki naśladową Boga

To też dawni Ojcowie Kościoła, Doktorowie z pierwszych wieków bez porównania są mniej surowi od tegożczesnych. Nie wąpili oni, że mnóstwo wybranych będzie z pośród pogan. „Wierzimy, mówi św. Agobard, arcybiskup luguński, że przed przyjściem Mesjasza nietylko patriarchowie, ale wielka liczba pogan naznaczona została niewidzialnym znakiem poświęcenia i tym sposobem stali się członkami Jezusa Chrystusa i jednym ciałem z tymi, co są przeznaczeni do zbawienia. *Multos etiam in gentibus positos credimus invisibili chrismate unctos; per quam unctionem membra Christi et unum corpus cum omnibus ad aeternam vitam praedestinati fierent*”²⁾. Hugo z Saint-Victor mówi tak samo o wielkiej liczbie pogan. „*Ex aliis gentibus multos... Multos non solum in Israel, sed etiam in gentibus*”³⁾. Św. Grzegorz Wielki naucza, „że od początku świata i przed Mojżeszem było

¹⁾ Faber. Stwórca ks. III, roz. II.

²⁾ Agobard. Lugd. Epist. adv. Fred.

³⁾ Hugo a S. Victor. In Hier. Eccl. lib. IX.

mnóstwo wybranych, których nie znamy, i że jest rzeczą pewną, iż wielka liczba pogan, multos etiam ex gentibus, oczekiwała Odkupiciela¹⁾). MoŜnaby przytoczyć bardzo wiele podobnych tekstów św. Ireneusza, św. Justyna, Klemensa Aleksandryjskiego, Orygenes a i t. d. i t. d.

Skoro to jest prawdą co do pogan, o ileŜ bardziej stosować się musi do heretyków, schizmatyków, którzy otrzymali chrzest, wierzą we Wcielenie, w wylanie PrzenajdroŜszej Krwi i wśród których nie tylko dzieci, młodzieniaszkowie, maluczcy mieszkańcy wiosek, ale i mnóstwo ludzi prawych, szczerych, prostych żyje w nieświadomości i najzupełniejszej dobrej wierze! Pewnem jest, mówi Pius IX do zgromadzonych w Rzymie 9 grudnia 1854 r. biskupów, że Kościół jest jedyną arką zbawienia; ale trzeba także za rzecz pewną uważać, sed tamen pro certo pariter habendum est, że nieświadomość prawdziwej religii, pochodząca nie z własnej winy, nie stanowi błędu wobec Boga, nulla ipsos obstringi hujusce rei culpa. Któż zatem byłby dość zuchwałym, quis tantum sibi arroget, by stanowić granice owej nieświadomości, szczególnie, gdy się zwaŜy mnogie powody, pochodzące z narodowości, krajów, charakterów i mnóstwa innych okoliczności...

A w dziewięć lat później, w 1863 r. pisał do biskupów włoskich: „Wiecie równie dobrze jak My, że ci, którzy są dotknięci nieświadomością, jakiej niepodobna im było uniknąć, ale którzy wiernie zachowują prawo naturalne i przywykły słuŜać Bogu, prowadzą życie uczciwe i prawe, mogą za łaską i światłem BoŜem dostąpić wiekuistego żywota. Bo Bóg, który widzi głąb umysłów, serc, myśli, zwyczajów, sądzi według niezmiernej swojej dobroci i łaskawości i nie karze wiecznymi mękami tych, którzy nie-dobrowolnie winnymi byli”.

¹⁾ M. Gregoral., lib. IV.

Nie trzeba zatem lekkomyślnie twierdzić, że tylko mała liczba będzie zbawionych. Dla wydania takiego sądu musielibyśmy wiedzieć, jak długo trwać będzie świat, jak dalece rozszerzy się chrześcijaństwo, jaką wagą Bóg będzie waŜył pogan i heretyków, a wreszcie musielibyśmy znać cały plan Boga, cieniem poczęści osłoniiony.

Gdy z trochę wyŜszego punktu rozejrzemy się w tym planie, to zdawać się nawet moŜe, że wielka będzie liczba zbawionych. Bossuet, objaśniając Pismo Święte, mówi, że Bóg stanowi granice narodów według liczby wybranych, jakich z nich mieć będzie: Założył granice narodów według liczby synów izraelskich¹⁾). To znaczy, że dopiero wtedy da znak końca świata, gdy się wypełni liczba wybranych. A czyŜ nie moŜna mniemać, że ta liczba dopiero wtedy się wypełni, gdy prze-wyŜszy liczbę potępionych? Bo i nacóż nakazywać koniec świata, dopóki liczba potępionych byłaby większą? co za powód zakończenia dzieła porażką? Czekajmy jeszcze, nie śpieszmy się. Niech ludzkość wzrasta, „aŜbyśmy się wszyscy zeszli w jedność wiary i poznania Syna BoŜego, w męża doskonałego”²⁾), w istotę tak wielką i piękną, że wszystko, co w niej nie będzie przesiąknięte życiem BoŜkiem, ma być odrzucone jak kąkol z czystego ziarna. Ratujmy dusze i niech na chwałę Boga będzie powiedziane, że nawet na tej ziemi, z tą ludzkością tak słabą i chwiejną Bóg zwycięŜył i ma wielką liczbę wybranych!

III.

A teraz przypatrzmy się Kościołowi katolickiemu, tej owczarni założonej przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, w której dusze są obdarowane tylu drogocennymi łaskami, podtrzymywane tak potężnymi sakramentami: jakaŜ tu będzie liczba wybranych? Bardzo znowu trudna na to odpowiedź, gdyż brakuje dokładnych objaśnień. Sądzę je-

¹⁾ Deut. XXXII, 8.

²⁾ Ephes. IV, 13.

dnak, iż można twierdzić, że w Kościele katolickim większa będzie liczba zbawionych. Niech nas nie zraża widok tego lub owego stulecia, tego narodu, owej diecezji, parafji; należy wznieść się wyżej i ogarnąć wzrokiem całość Kościoła. Otóż powtarzam: w tej całości większość będzie zbawiona.

Tego zdania był Suarez. Miał niejake wątpliwości, skoro chodziło o ogół członków ludzkości; nie miał ich, gdy szło o ogół dzieci Kościoła. „Jeżeli pod mianem chrześcijan, mówił on, rozumiemy tylko tych, którzy umierają w Kościele katolickim, wydaje mi się prawdopodobniejszem według prawa łaski, że większa liczba będzie zbawionych. Pierwszy powód jest ten, że większość umierających w dzieciennym wieku bywa ochrzczona. A co do dorosłych, to choć większość z nich grzeszy śmiertelnie, ale równie często z upadków powstaje, i tak życie spędzają kolejno w grzechach i poprawie. Mało jest takich, co nie byliby przygotowani na śmierć przez sakramenta, i nie znienawidzili grzechu przez akt żalu. To wystarcza dla ich usprawiedliwienia. Dobrze wszystko rozważywszy, prawdopodobnem jest, że większość katolików bywa zbawioną¹⁾).

Tego też zdania był Ludwik Dupont w swym Traktacie o doskonałości chrześcijańskiej²⁾, i Lipsynjusz, pobożny i uczony franciszkanin, który w swym Katechizmie uczy, że opinja na korzyść zbawienia większości katolików jest „najprawdopodobniejsza”, „najlepiej odpowiada chwale Boga, zasługom Jezusa Chrystusa i nadziejom ludzi³⁾).

Tegoż zdania był św. Franciszek Salezy. „Mówiono raz przy nim, opowiada biskup Camus, o owych straszliwych słowach Ewangelji: Wielu jest wezwanych, ale mało wybranych. Mówiono, że liczba wybra-

¹⁾ Suarez, De comparatione Praedest., lib. VI. cap. III.

²⁾ Dupont. De perfect. Christ., tract. I.

³⁾ Lipsinius, Cath. hist. theol., De numero salvandorum.

nych nazwana jest małą trzódką, że liczba potępionych będzie niezliczona i inne podobne rzeczy. On odpowiedział, iż sądzi, że mało będzie katolików potępionych, „gdyż mają korzeń prawdziwej wiary, który wcześniej lub później wyda owoc, a tym jest zbawienie. A gdy go zapytano, co w takim razie znaczą owe słowa Ewangelji o małej liczbie wybranych, odpowiedział, że w porównaniu z resztą świata i z narodami niewiernymi, liczba chrześcijan jest bardzo mała, ale że z tej małej liczby bardzo niewielu zginie, według tego godnego uwagi powiedzenia: Niema potępienia dla tych, którzy są w Jezusie Chrystusie. Dodawszy do tego, że ten, kto dał początek, daje też i wykończenie, prawdopodobnem się staje, że powołanie do chrześcijanizmu, będącego dziełem Boga, jest dziełem doskonałym i prowadzi do celu wszystko wypełniającego, to jest do chwały¹⁾).

To było zdanie św. Alfonsa Ligouri, który za pewnik uważał, że bardzo jest trudno katolikowi się potępić²⁾).

Było to zdanie Bergier'a. „Jeżeli przypowieści Ewangelji mogą być brane jako dowody, to powinniśmy wnioskować, że wielka liczba, a nie mała będzie zbawiona. Jezus Chrystus porównywa rozdzielenie dobrych od złych w czasie sądu ostatecznego do dobrego ziarna odłączonego od kłólu; a przecież w polu dobrze uprawionem kłól nigdy nie jest obfitszy od pszenicy. Porównywa także do wyboru dobrych ryb od złych ryb, a jakimuż to rybakowi zdarzyło się kiedy ułowić więcej złych ryb, niż dobrych? Z dziesięciu panien zawezwanych na gody, pięć jest przypuszczonych, by weszły za oblubieńcem. W przypowieściach o talentach dwaj słudzy są wynagrodzeni, jeden ukarany. W przypowieści o uczcie jeden tylko zaproszony jest odrzucony³⁾).

¹⁾ Duch św. Franciszka Salezego. O wielkiej i małej liczbie wybranych.

²⁾ Św. Alfons Liguori, List. 2-gi: „Difficilmente si dannar-

³⁾ Bergier. Traktat o prawdziwej religji, t. X.

Za naszych czasów tegoż zdania był O. Lacordaire i świetnie je rozwinął z kazalnicy katedralnej w Paryżu. Zauważono szczególnie, jak żywe światło rzucił na słowa: „Wielu jest powołanych, ale mało wybranych”, słowa tak bardzo nadużywane przez przypisywanie im wręcz przeciwnego znaczenia, jak to, które mają¹⁾.

Było to nareszcie zdanie O. Ravignan. Przytoczywszy słowa Suareza, uczącego, że wielka będzie w Kościele liczba zbawionych, dodaje: „Zdaje mi się, że ma on słusność. Dochodzę do tego przekonania po dwudziestoletnim pełnieniu mego posłannictwa. Taki też jest ogólny sąd naszych Ojców. Wiecie, iż Kościół uczy, że aby być zbawionym, wystarcza w sakramencie Pokuty mieć żal za grzechy, żal pochodzący nawet raczej z bojaźni niż z miłości. Skrucha, akt czystej miłości, zbawia sama przez się bez sakramentu, byle jej towarzyszyła szczerza chęć i mocne postanowienie przystąpienia do tego sakramentu. Jansenizm wiele złego sprawił, budząc rodzaj najniebezpieczniejszej rozpacz²⁾”.

IV.

Nikt jednak owego zagadnienia nie studjował gruntowniej i śmielej jak O. Faber. Wyliczywszy zdania pewnej liczby teologów dodaje: Są jeszcze inni: do których opinii przyłączam się stanowczo; sądzą oni, że znaczna większość dorosłych katolików, może prawie wszyscy będą zbawieni”. Często powtarza to zdanie: „Skłonni jesteśmy mniemać, że wielka część katolików będzie wkońcu zbawiona”. I jeszcze: „Trudno nam nie wierzyć, że większość katolików zbawiona zostanie”. I znowu w innym miejscu: „Trzeba więc wnosić, że znaczna

¹⁾ Lacordaire. Konfer. w Notre Dame, 71-sza konf., rok 1851.

²⁾ Cytowani p. O. Fabera w dziele Stwórca i stworzenie.

liczba będzie katolików zbawionych” i wkońcu: „Możemy się zatem bez zarozumiałości spodziewać, że Bóg nie sędzi jak ludzie iż wielka liczba katolików zbawionymi będzie¹⁾”.

Wobec takich twierdzeń mamy prawo zapytać świętobliwego O. Fabera, na jakich to dowodach je opiera. Ma on ich mnóstwo i różnego rodzaju. Najpierw z wielką psychologiczną przenikliwością analizuje powody tworzące dziwne pojęcie o małej liczbie wybranych. Pismo święte nie gra tu żadnej roli bo „gdy się posłużymy argumentami wyjętymi z Pisma, zupełny i nadzwyczajny triumf musimy przyznać owemu słodszyemu uczuciu²⁾”. Przeciwnie zdanie wypływa ze złej naszej natury. Z łatwością dostrzegamy zło, z trudnością dobro. Zwiększamy, przesadzamy zło. Im więcej jest zła w nas samych, tem więcej podejrzujemy o nie drugich i stajemy się niezmiernie dla nich surowi. Przeciwnie, w miarę jak się od zła oddalamy, stajemy się pobłażliwi! Święci gorszą nieledwie swoją pobłażliwością, można rzec o nich, że są dobrowolnymi ślepcami, nie widzącymi nigdzie zła. Ową doktrynę o małej liczbie wybranych wytworzyła nie surowość Ewangelji, ale surowość świata. Świat widzi samo zło i samych potępionych.

Poza ową skłonnością świata do dopatrywania wszędzie zła, jest rzeczą pewną, że zło więcej się ujawnia, niż dobro. Jest ono głośnie, gwałtowne, niespokojne, szalone; zajmuje sobą, rzuca się w oczy. Ów człowiek żył źle, chępiąc się tem głośno; wszystkich oczy były nań zwrócone. Ale oto nawrócił się; nie widzą go już nawet, nie zajmują się nim. Zastąpili go zresztą inni równie źli, jak on był niegdyś, tak że na powierzchni społeczeństwa zawsze zło ukazuje się niejako jedynie i ściąga na siebie uwagę. Stąd pochodzi, że wszystkie wieki narzekały na

¹⁾ O. Faber. Stwórca i stworzenie, str. 283, 275, 301, 372, 314.

²⁾ Id., ibid. str. 383.

panujące rozprzężenie i zawsze się miały za najbardziej ze wszystkich zepsute.

Jeden jest jeszcze punkt, co do którego świat się myli przy ocenianiu ludzkich uczynków. Wielka jest różnica między życiem, nie zasługującym na zbawienie, a niezba- wieniem się ostatecznem. Mnóstwo katolików żyje w obo- jętności, w oziębłości, źle lub wcale nie wypełniając obo- wiązków religijnych; gdyby śmierć znienacka ich zasko- czyła, byłiby niewątpliwie zgubionymi. Tylko że śmierć nie zaskoczy ich niespodzianie; mają czas na dopełnienie tych niewielkich aktów, jakich Bóg wymaga koniecznie do zbawienia. Spowiedź dokładna w godzinie śmierci, postanowienie poprawy, które w owej chwili nie może nie być szczerem; umiarkowany żal za grzechy, to wszystko związane z pobłażaniem, jakiego wymaga umysł zaćmiony chorobą i nawet z roztargnieniem wywołanem cierpieniami — i oto po długoletnim grzesznem życiu dusza ta jest zbawioną przez nieskończone miłosierdzie Boga, który tak lekkie warunki nakłada do rozgrzeszenia. Ale świat tego nie widzi. Nie zna on tej Boskiej pobłażliwości i chętnie sądzi, że ludzie, tak długo żyjący w sposób przeciwny zba- wieniu, nie zbawią się rzeczywiście.

Zauważmy jeszcze, że często u grzeszników serca są mniej złe, niż ich uczynki. Kto jedynie widzi zewnętrzny czyn, sądzi i potępia; kto głębiej wnika, gotów jest roz- grzeszyć. Nieraz uważają jakiegoś człowieka za potwora przewrotności, a kapłan, który wysłuchał spowiedzi z ca- łego jego życia, do łez jest wzruszony śladami cnót, jakie w nim dostrzegł. Jeden z moich przyjaciół był kapela- nem więziennym. Towarzyszył na rusztowanie czterem czy pięciu złoczyńcom; nie wolno było źle się o nich przy nim odezwać. „Było w nich wiele dobrego”, mówił wzru- szony. W ten sposób Bóg patrzy na grzeszników i stąd wypływa to zmiłowanie w chwili śmierci, ta niewysło- wiona tklivość i to usiłowanie uratowania od Piekła dusz, w których ojcowski wzrok Boga odkrywa jeszcze piękne strony. Ale świat zawsze widzi powierzchownie i wnio-

skuje, że człowiek, który popełnił tak złe uczynki, musi być potępiony.

Oto nieco z przenikliwej i bystrej analizy, zapomocą której O. Faber wyjaśnia, jak rozszerzyła się i uogólniła doktryna o małej liczbie wybranych. W takich to także warunkach, pogorszonych jeszcze niezdrowem tchnieniem jansenizmu, jaki wówczas ogarniał społeczeństwo, wiel- kiem powodzeniem musiało się cieszyć przemówienie Massillona. Dowodził on, że do Nieba nie wejdzie nikt, ktokolwiek nie dochował niewinności na chrzcie otrzy- manej, lub jej nie odzyskał przez nader surową pokutę. Zachować niewinność na chrzcie otrzymaną! to oczywiście do kilku tylko jednostek odnosić się może. Odzyskać nie- winność przez surową pokutę! na to się godzę. Ale kazno- dzieja wylicza takie jej warunki, że prawie nikt marzyć nie może o jej wypełnieniu. Zresztą jest to nieprawda. Pokuta równa grzechom nie jest konieczna do zbawienia; wystarcza żałować za grzechy, wyspowiadać się z nich i mieć mocną wolę odpokutowania za nie. Zastanawiano się, czy nie umieścić owego kazania na Indeksie. Szkoda, że tego nie uczyniono.

O. Faber, wykazując powody, pozwalające przypusz- czać wielką liczbę wybranych w Kościele katolickim, wznosi się jeszcze wyżej. Powody te wychodzą z pod jego pióra liczne, pewne i dokładne. Wymienię je tylko.

1-o. Niepojęta wspaniałomyślność Boga. Ona sama skłania nas do przypuszczania a priori, że liczba wy- branych, tworzących jedną z największych chlub stwo- rzenia, musi być ponad wszystko, czego się spodziewać możemy. Boga cechuje wspaniałość i szczodrość tak w porządku natury, jak i łaski. Czyż tu tylko miałyby brakować tej cechy? Bóg wspaniałomyślny we wszystkim miałżeby tu jedynie okazać się skąpym? Och nie! przejdzie On wszelkie nasze domysły co do powiększenia liczby wybranych. Sądząc zatem z tego, co nam jest znane z na- tury Boga, możemy przewidywać, że stosunkowo niewielu

tylko katolików będzie potępionych. Wspaniałomyślność Boga zdaje się wymagać zbawienia niemal wszystkich¹⁾).

2-o. Konstytucja Kościoła katolickiego. Gdy rozmyślamy nad Kościołem katolickim, nad wszystkimi przywilejami, jakie są udziałem katolików, prosty rozsądek wskazuje, że wśród nich musi się znaleźć więcej zbawionych niż potępionych. Pojęcie to nie jest zbyt luźne; przeciwne mniemanie ma w sobie coś niezupełnego, coś ograniczonego. Nie myślę, by zastanawiając się dłużej i głębiej nad tym przedmiotem, można nie dojść do tego wyniku²⁾).

3-. Godność Odkupienia. Ciężko wyrokować, że większość tych, za których została wylana Krew Boga, będzie na wieki straconą. Dusze, które Bóg obmył w Chrście świętym, setki razy rozgrzeszył, które przez św. Komunię przenikał gorliwością i siłą, miałyby być stracone! Na jakiejże to podstawie teologia dogmatyczna stawia twierdzenie, przynoszące tak mało czci umiłowanemu Zbawicielowi naszemu? Jedna kropelka Krwi Jego przenajdroższej byłaby aż nadto wystarczającą do zadośćuczynienia za wszystkie możliwe grzechy wszystkich możliwych światów; a te jej potoki przez Niego wylane byłyby niezdolne odkupić większość członków Jego mistycznego Ciała! Nie wahamy się ani na chwilę uwierzyć we wszystko, co Kościół podaje; ale aby przyjąć taką doktrynę, trzeba by bardzo jasnego i ścisłego z jego strony orzeczenia³⁾).

4-o. Działanie sakramentów. Jest ono tysiąckrotnie potężniejsze, bardziej przenikające, niż to sobie wyobrażamy. Jedna dobra Komunia wystarcza do uświęcenia człowieka. Rozgrzeszenie przyjęte ze skrucą jest dostateczne, by znieść nagromadzone przez lata grzechy i wstrętne występki. Potrzebny do tego jest przy rozgrzeszeniu tylko zwykły żal za grzechy. A teraz pomyślny o liczbie sakramentów codziennie udzielanych w Kościele.

¹⁾ O. Faber. Stwórca i stworzenie, str. 291.

²⁾ id. ibid., str. 292.

³⁾ id. ibid., str. 293.

Czyż można doprawdy mniemać, że ich wynikiem będzie wiekuista zguba większości katolików? Och! z pewnością zbyt nisko oceniana jest tu na ziemi błogosławiona skuteczność Boskiej pomocy i działalność odkupującej miłości!¹⁾

5-o. Działanie miłosierdzia przy łożu śmierci. Już mówiliśmy o tem; tu dodamy tylko prawdziwie przedziwną myśl O. de Condren: że współczucie Boga dla umierających przechodzi wszelkie pojęcie i że Bóg zdaje się tem szcudrzej szafować dla nich swe łaski, im mniej są już oni w stanie nadużyć takowych". Myśl wspaniała! Czegoż bo nie dokonywa nieskończona Miłość u łoża umierających! sto razy więcej, niż dostrzegamy, tysiąc razy więcej, niż możemy przypuszczać! Wyznaję, że jest to sfera zupełnie nam nieznana; ale skoro w tej ostatniej chwili miłosierdzie tak bardzo jest potrzebne, skoro woła Boga jest, by ta dusza zbawiona została, skoro Bóg jest samą miłością — śmiało twierdzą, że ta nieznana sfera u łoża umierających katolików jest państwem Boskiego współczucia jedynie. Ta ostatnia godzina wytłumaczyć może wiele trudnych do pojęcia zbawień. Umysł najsilniej uprzedzony musi przyznać, że wtedy mogą się nadarzyć tysiączne tajemne możliwości zbawienia, a z takim jak nasz Bogiem możliwości te stają się prawdopodobieństwami, które natychmiast przemieniają się w słodką rzeczywistość²⁾).

6-o. Niezmierna surowość kar czyśćcowych. Nie dałyby się one pojąć, gdybyśmy nie przypuszczali, że ogromne mnóstwo dusz zostanie zbawionych, a zbawionych mimo bardzo niedoskonałego ich stanu. Czyściec — to pomysł Boga, aby pomnożyć owoce Męki. Został założony w przewidywaniu owego mnóstwa ludzi, mających umrzeć w miłości Boga, ale w miłości niedoskonałej. Czyż nie jest to przedłużeniem pozagrobowym miłosierdzia, udzielanego przy łożu śmierci? I czyż to zapatry-

¹⁾ Faber. Stwórca i stworzenia, str. 294.

²⁾ id. ibid., str. 297.

wanie nie rzuca światła na to pocieszające przypuszczenie, że większość katolików będzie zbawiona, szczególnie zaś ci, którzy tu żyli w ubóstwie, smutku, cierpieniach?¹⁾

7-o. Cel Kościoła na ziemi. Celem tym jest przeniesienie Kościoła do Nieba. Abyśmy mogli uwierzyć, że większość roślin ziemskich nie będzie godna przeniesienia do rajskiego ogrodu, musiałby chyba Kościół uroczyscie o tem zawyrokować. Niejedno zapewne zasiane ziarno ginie. Jednakowoż rolnik zbiera do śpichrza o wiele więcej, niż ziemi powierzył i to mimo wszystkich szkód wyrządzanych przez ptaki, przez przechodniów, przez suszę i niepogodę. Czyżby boskiemu Siewcy gorzej siew się udawał? Może chwilowo się zdawać, że żniwo Kościoła jest marne; ale czy jest ono takim rzeczywiście? Czy dobre ziarno nie góruje nad kąkolem? Dlaczego nie mielibyśmy sądzić, że w niewielkiej trzódce Kościoła rzadko trafiają się tacy, co do celu nie dojdą? Wśród wszystkich zniewolonych do wzięcia udziału w uczcie ewangelicznej jeden tylko nie miał szaty godowej²⁾.

Oto są główne powody, na których O. Faber opiera swoje zdanie co do wielkiej liczby wybranych w Kościele katolickim. Są to naturalnie rzeczy oparte na przypuszczeniach i O. Faber nie zaprzecza tego. „Ale, dodaje, jeżeli mówimy o rzeczach, których nie znamy, wolno nam jest przeciwstawić te uwagi mniemaniom, dającym o Bogu pojęcie przykre i nieznośne dla naszej słabości. Nie są to zasady, nie są to pewniki; są to tylko wnioski, nadzieje, teorie harmonizujące bezwątpienia lepiej, niż przeciwnie zdanie z tem, co wiemy o naszym Stworzycielu nieskończenie sprawiedliwym i nieskończenie litościwym. A chociaż bylibyśmy w błędzie — co dopiero ostatni dzień wykaże — wolimy wzbudzać o Bogu myśli zdolne pomnożyć cześć Jego wśród ludzi i skłonić ich do gorętszej ku Niemu miłości. On sam zna tajemnicę swoją³⁾).

¹⁾ Faber. *Stwórca i stworzenie*, str. 302.

²⁾ id., *ibid.*, str. 312.

³⁾ id., *ibid.*, str. 315.

V.

Tajemnicę ową wraz z wielu innemi da nam Bóg poznać w wielkiej chwili, zwanej przez Kościół końcem świata. Będzie to niejako ostatni akt dramatu ludzkości. Kiedy to nastąpi? Niewiadomo. Pan nasz oświadczył, że o onym dniu nikt nie wie, ani aniołowie niebiescy, ani Syn¹⁾. Czasem podawany jest nam jako bardzo niedaleki. Dzień Pański przyjdzie jako złodziej, w chwili niespodziewanej: strzeżcie się²⁾. Św. Piotr ostrzega nas też, byśmy się nie dziwili, że Bóg odwróci ów dzień, gdyż „tysiąc lat u Pana jako jeden dzień³⁾”. Zdaje się jednak, że przed owym dniem muszą się wypełnić pewne wydarzenia, a w szczególności trzy, o których wspominamy.

Najpierw rozszerzenie Ewangelji po całym świecie. Jezus Chrystus powiedział: „Idźcie, nauczajcie wszystkie narody”. Powiedział też, że nie przyjdzie ponownie, dopóki Ewangelja nie zostanie ogłoszona wszystkim pogańskim ludom. Chrześcijaństwo ma ogarnąć wszystkie narody, wszystkie lądy, wszystkie wyspy, najbardziej nawet nieznane. Musi je zająć, zmienić ich prawa, przeistoczyć obyczaje, otworzyć w nich źródła świętości, miłości Boga. Ile jest ludów, ile różnych cywilizacji, tyle chrześcijaństwo musi złożyć dowodów swojej żywotności; a w jakże niewielkiej części ziemi jest on dotąd rozpowszechniony! Musi więc dalej pochód swój prowadzić i dawać do końca dowody swego boskiego, nadprzyrodzonego działania, których zaledwie dał dotąd początek. W każdym razie świat się nie skończy, dopóki Ewangelja wszystkich jego zakątków nie przeniknie.

Jeszcze inna praca będzie musiała być prawdopodobnie przedtem dokonana. Chrześcijaństwo został dany światu jako zawiązek pełen owoców, które się muszą rozwinać; jako pierwiastek, z którego ma wytrysnąć mnóstwo

¹⁾ Marc. XIII, 32.

²⁾ II Petr. III, 10.

³⁾ Id., *ibid.*, 8.

następstw. Pierwiastek ten jest niezmienny, strzeżony nieomylnie przez Kościół; za tysiąc lat będzie tenże sam, gdyż ludzie nic przeciw niemu uczynić nie mogą. Ale nie jest on przeto pierwiastkiem bezwładnym, zarodkiem jałowym; — zawiera w sobie całe szeregi następstw intelektualnych, moralnych, politycznych, społecznych, przemysłowych, artystycznych, które dopiero wolno, stopniowo występują i rozwijają się. Nie wystarcza, by boskie drzewo wydało tu i owdzie kilka pięknych kwiatów, kilka wspaniałych owoców. Musi wydać ich tyle, ile ich udrziwnąć zdoła. Kwiaty te i owoce nie mają dopiero w Niebie rozkwitać i dojrzewać; są one ziemskie, na ziemi więc rozwinać się muszą. Skoro niebieski Ogrodnik nadejdzie, by to boskie drzewo przesadzić, trzeba, by ozdobione ono było wszystkimi bogactwami, jakie zawarte były w nasieniu. Otóż praca ta zaledwie jest rozpoczęta. Osiemnaście wieków obróconych zostało na pierwsze rozwinięcie Symbolu. Nie było to zbyt wiele czasu na utrwalenie niewzruszonej jego formuły w płomiennym umyśle ludzkim. Teraz doszliśmy do społecznego i naukowego przystosowania Symbolu. Piękne to dzieło musi być dalej prowadzone i wykończane. Nie można pojąć, by świat się skończył, zanim się ujawni i wystąpi wszystko, co Bóg zawarł w tajemniczych formułach chrześcijaństwa.

Jednocześnie ukończona zostanie i trzecia praca. Ziemia, żywiąca człowieka, otrzymała, tak jak i on, wyczerpujące się życie. Posiada jedynie pewną ilość bogactw. Jej rudy żelazne, jej pokłady węgla, kopalnie złota i srebra są ograniczone. Dojdzie się do ich wyczerpania. Przyjdzie chwila, gdy wszystkie żywotne siły ziemi wygasną lub się zmniejszą. Ziemia zestarzeje się, jak ludzkie ciało. Ostygnie, stanie się niezdolna do zamieszkania. Któż wie; czy się to nie zejdzie z chwilą, w której ukończone zostanie wielkie dzieło nadprzyrodzone, boskie, intelektualne i moralne, ten prawdziwy cel świata? Wówczas ziemia nie miałaby już racji bytu. Albo ją Bóg skruszy sposobem nadnaturalnym, albo pozostawi ją na pastwę tysiąca

katastrof, na jakie są narażone ciała nie posiadające już równowagi. „Deszcze spadających gwiazd i aerolitów, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, pioruny i trąby powietrzne, które niszczyć i palić będą wszystko na ziemi, zgęszczenie atmosfery takie, że już światło słońca nie będzie się mogło przedostać: oto naukowe nazwy zjawisk, jakie według dość prawdopodobnego objaśnienia — uprawnomoconego przez wielu Ojców Kościoła, a w szczególności przez św. Augustyna, zdają się być zapowiedziane w ustępach Starego i Nowego Testamentu, stosujących się do końca świata, to jest, do końca rodu ludzkiego. Zjawiska owe są analogiczne z temi, o jakich mówi nauka, iż miały sprawiać wielkie przewroty naszej kuli ziemskiej przed pojawieniem się człowieka¹⁾”. Wtedy ukaże się Pan i Władca świata, jego Zbawiciel, Odkupiciel i jego Sędzia; i ziemia, która oglądała tyle wspaniałych obrazów, ujrzy teraz widok przechodzący wszystkie tak w wielkości, jak i w majestacie. I będzie to godne Boga zakończenie wielkiego dramatu ludzkości.

VI.

Zaprzecza się potrzebie owego sądu, który Kościół nazywa Sądem Ostatecznym. Wszystko go jednakowoż wymaga, wszystko go nakazuje, a to do tego stopnia, że gdyby nie był objawiony przez Jezusa Chrystusa, głoszony przez Kościół, to powszechny głos sumienia byłby się go domagał. Po tylu ciemnościach, tylu triumfujących niesprawiedliwościach, tylu zdeptanych cnotach, koniecznem i dobrem jest, by zabłysło bardzo żywe światło.

Najpierw światło oświecające dusze. Dosyć długo jedne były zapoznane, znieważane, drugie obsypywane pochlebstwami wbrew prawdzie i cnotie. Czas wreszcie, by się to rozjaśniło. Był już, co prawda, sąd szczegółowy, ale był tajny, ukryty, raczej sąd samej duszy nad sobą, niż sąd Boga. Zaledwie dusza opuści ciało, a natych-

¹⁾ Hen. Martin, Przyszłe życie.

miast widzi się, jaką jest w rzeczywistości, bez żadnej osłony. Sądzi sama siebie, rzec można, i Bóg nie potrzebuje się tu mieszać. Jeden rzut oka tu wystarcza. Jeśli jest podobną do Boga, to jednym pędem, jak orzeł, jak gołąbka wlatuje prosto w niebiosy. Jeżeli czuje, że jest winną, biegnie, leci jeszcze szybciej i jednym rzutem zaprzepaszcza się w Piekło. Taki sąd wystarcza.

Ale jest on indywidualny i tajny; trzeba, by się stał publicznym. Musi być uroczysty, wielki przegląd dusz chwalebnych i dusz potępionych, ażeby się ludzkość przekonała, że Bóg ciągle czuwał, i aby wreszcie poznała Jego cierpliwość, dobroć, miłosierdzie, miłość, sprawiedliwość i aby jedni jękami bolesnymi, drudzy radosnymi uniesieniami głosili wiekiście chwałę Tego, który ich stworzył.

Światłość ma jednak rozbłysnąć nietylko nad duszami, ale także i nad ludami. Każdy naród stworzony został do jakiegoś celu, każdy ma jakieś posłannictwo do spełnienia. Żyje, wzrasta, słabnie, podnosi się, błyszczy, a to zawsze w miarę swej wierności w zachowywaniu praw sprawiedliwości, i w miarę wypełniania swego powołania. Ale tu na ziemi jakże to wszystko jest ciemne! Historia często jest jakoby spiskiem przeciwko prawdzie! Zresztą któż to obejmuje całość? Jesteśmy atomami na ziemi; skrawek jej stanowi cały nasz horyzont. Trzeba więc wzmocnić nasz wzrok, abyśmy mogli dla uczczenia Boga i Jego Opatrzności ujrzyć prawdziwe powody wielkości i upadku narodów.

I to jeszcze niewszystko. Idźmy wyżej. Nietylko trzeba będzie poznać dramat każdej duszy, każdego narodu, ale i dramat całej ludzkości — sposób, w jaki Bóg postanowił stworzenie świata i rządzenie nim. Czyż Jego wielkie dzieło nie jest wciąż zapoznavane, stwarzane? Czyż nie twierdzą, że Bóg zaniedbał ludy pogańskie, że nie dał im dość światła, że Jezus Chrystus zstąpił na ziemię zbyt późno, że Kościół Jego nie rozszerzył się dostatecznie, że połowa rodu ludzkiego pozbawiona była łask

potrzebnych do zbawienia! Wszystkie te ciemności muszą ustąpić i plan obrany przez Boga musi się okazać w całej swej piękności i mądrości. Trzeba, by obok ogólnych, jedynie nam znanych środków zbawienia, ujawniły się środki dotąd zakryte — łaski tajemne, wewnętrzne, szczególne. Trzeba, by ujrzano wszystkie dusze, wszystkie ludy, wszystkie światy nurzające się w nieskończonej Miłości; trzeba, by świat zakończył się hymnem zachwyty.

Bóg ma prawo do tej radości za tyle okazywanej cierpliwości! Po raz ostatni spojrz na swoje dzieło: piękne jest! Jak niezliczone są rzesze tych, którzy odpowiedzieli wiernie na Jego wezwanie! Jak On ich miłuje! Są to owoce wolnej woli i miłości. Prawda, że ich brakuje nieco. Ale bez tej wolnej woli, której tak łatwo mogli nie nadużywać, gdzież byłaby piękność świata? W blasku gwiazd, w głębokościach morza, w obszarach lasów? Bóg chciał czegoś więcej. Chciał posiąść niezliczone mnóstwo dusz wolnych, serc szlachetnych, mogących Mu się opierać, a dobrowolnie Mu się oddających. I Bóg nie będzie żałował, że taki plan obrał. Spogląda na wszystko ze wzruszeniem, radością i miłością większą jeszcze jak w pierwszym dniu stworzenia. *Vidit Deus cuncta quae fecerat, et erant valde bona!*

EPILOG.

Kościół i przyszłość.

Przy końcu tego dzieła apologetycznego nasuwa się jeszcze jedno zagadnienie, do którego trzeba przystąpić odważnie i o ile można, najdoskonalej je rozwiązać, gdyż bez tego nie wypełnilibyśmy całego zakresu, jaki w samym tytule postawiliśmy: *Chrześcijaństwo i czasy obecne*. Idzie tu mianowicie o dowiedzenie się, co się stanie z Kościołem wśród politycznych i społecznych zmian, jakie się teraz dokonywają, przeistaczając w zupełności naszą przyszłość.

Wypada żałować tych, którzy nie widzą, że społeczeństwo europejskie, opuszczając niejako stare wybrzeża, zmierza ku czemuś nieznanemu, unoszone potrójnym prądem wolności, nauki i społecznego postępu. Jedni oplakują ten nowy ruch, inni mu przyklaskują: społeczeństwo, nie zważając na jednych i drugich, dąży naprzód, a każde dwudziestopięciolecie znaczy krok jeden w tej ogromnej i nieprzepartej przemianie.

Więcej jednak jeszcze trzeba żałować tych, którzy niepokoją się o Kościół, wyobrażając sobie, że nie jest w stanie przetrwać takiego przesilenia, że ponieważ społeczeństwo terazniejsze opiera się na zasadach wręcz Kościołowi przeciwnych, zatem grozi położenie bez wyjścia: Kościół i społeczeństwo staczać będą nadaremne walki, wśród których osłabną i wyczerpią się zupełnie. Ci, co tak sądzą, są ślepi; nie widzą, że owa przemiana przygotowana była przez Kościół, że jest ona powoli dojrzewa-

jącym owocem Ewangelji, wynikiem przystosowania jej boskich zasad do rzeczy społecznych, że bez Ewangelji i bez Kościoła bylibyśmy jeszcze ogarnięci potwornościami pogaństwa i że to jedynie Kościół, wziawszy społeczeństwo w swoją opiekę, wprowadził je w ruchliwy i chwalebny świat wolności publicznej, że On to jedynie może społeczeństwu zapewnić szczęście, godność i pokój. Jeszcze więcej są ślepi ci, którzy nie widzą, że Bóg, chcąc by Ewangelja przyniosła te owoce, urządził stosownie Kościół, dał mu wszelkie potemu środki, i że w szczególności od ostatnich stu lat przygotowuje go potężnie, aby na tem nowem polu bitwy stanął silniejszy, żywotniejszy, płodniejszy, lepiej uzbrojony niż kiedykolwiek, pewny teraźniejszości, panujący nad przyszłością! I cóż to, ludzie małej wiary, mówicie w godzinach przygnębienia, że Chrześcijaństwo znika? co mówicie o zmierzchu, co za myśl u was się budzi, że jedynie koniec świata zdoła wydobyć Kościół z owego położenia bez wyjścia, w jakim sądzicie, że się znajduje? Och, jak mało znacie Kościół! Co do mnie, dostrzegam nie zmierzch, lecz jutrenkę wschodzącego dnia. Odczuwam i wdycham nie rozpalone, duszne powietrze wieczoru, ale rozkoszny i orzeźwiający powiew poranka. Kościół jest gotów, a rozpoczynające się zmiany polityczne i społeczne zamiast spaść nań znienacka i zniszczyć go, raz jeszcze ujawnią niespożytą jego siłę i nową aureolą go otoczą.

Oto czem pragnę zakończyć tę pracę. Rozpocząłem ją pod natchnieniem wiary, skończyć ją chcę okrzykiem nadziei. Jeśli, jak Mojżeszowi, nie będzie mi dano wyjść z pustyni, wejść do ziemi przyszłych zwycięstw i triumfów Kościoła, chcę przynajmniej umierać, oglądając je duchem!

I.

Wszyscy tegocześni myśliciele czują, że świat przebywa jakieś przeistoczenie. Powiemy niebawem, na czem się ono zasadza. Pytam się jednak, co może jakiejkolwiek

przeistoczenie zdziałać przeciwko Chrześcijaństwu? Chrześcijaństwo to nie system filozoficzny, który może być obalony drugim systemem; to nie jedno z owych orzeczeń naukowych, którym kłam zadadzą jutrzejsze odkrycia. Chrześcijaństwo jest faktem. W obecnej swej formie nappełnia świat od dziewiętnastu wieków; a pod inną formą sięga aż do początków ludzkości. Cóż można zdziałać przeciw dokonaniem faktowi?

Przytem jest to fakt tak wielkiej wagi, że był studjowany, badany, zaprzeczany, rozbierany przez największych genjuszów, przez najbieglejszych przeciwników i to przez niezliczone lata, a nigdy zarzuty i spory nie zdołały powstrzymać fali uwielbień i posłuszeństwa. Przypatrzcie się jego całości i zdajcie sobie sprawę z cech, jakie go znamionują. Przedewszystkiem zwróćcie uwagę na tę wielką, wspaniałą trylogję wypełniającą sześć tysięcy lat. W pierwszej części lud żydowski; w drugiej Jezus Chrystus, w trzeciej Kościół. Najpierw lud żydowski, który poprzedza, zwiastuje, przygotowuje przyjście Jezusa Chrystusa. Czyż człowiek badający uważnie historję ludu wybranego, pełną w ciągu trzydziestu wieków najrozmaitszych cudów, nie musi dojść do wniosku, że lud ten był boskim wstępem do Chrześcijaństwa i że nadprzyrodzone działanie, Boska interwencja ujawnia się z każdej karty owej historji? Następnie Jezus Chrystus urzeczywistniający obietnice, wypełniający prorocтва; cudami swemi okazuje On, że jest Panem nieba i ziemi i stawia ludziom wzniosły ideał życia, o jakim poprzednio nic nie mogło dać pojęcia i którego piękności nic w następstwie dorównać nie mogło. Badajcie to z rozważą, bez uprzedzeń, z postanowieniem poddania się, jeżeli zwycięży was oczywistość. A będziecie przez nią zwyciężonymi, jak przed wami tylu innych, i uznacie jak tamci Bóstwo Chrystusa. Wreszcie Kościół trwający od dziewiętnastu wieków, zwalczany przez te wszystkie stulecia ze wszystkich stron i wszelkimi sposobami naraz, i mieczem, i podstępami, i rozważaniem, i nauką, i namiętno-

ściami ludzkimi, a zawsze jeden i ten sam, jednakowo silny, zawsze żywotny, nakazujący cześć, wzbudzający szacunek nawet w swoich wrogach niekiedy.

Oto pierwszy rzut oka. Są to niejako trzy olbrzymie budowle, trzy piramidy; każda z nich niewzruszona i niezwyciężona, ale nie osamotniona; przeciwnie, wspierają się one wzajemnie i tworzą całość doskonale spojona, zgodna, piękną, opierającą się zwycięsko wszelkim napaściom. I cóż przeciwko tej potrójnej granitowej skale zdziałają owe przemiany społeczne? Cóż obchodzi wznoszącą się wśród piasków pustyni piramidę, czy lud u jej stóp żyjący jest wolny, czy niewolniczy; czy stanowi rzeczpospolitą, czy monarchję; czy faraon w jej cieniu ciężką stopą przygniata poddanych, czy też Bonaparte na swym koniu szybko przebywa bezmierne przestrzenie: piramida patrzy na to i stoi. Tak i Chrześcijaństwo stoi na swej wiekuiście skale. Nigdy nic nie wzruszy owego potrójnego fundamentu: ludu żydowskiego, Jezusa Chrystusa i Kościoła.

Ale nietylko w swem wielkiem skupieniu Chrześcijaństwo stoi ponad wszelką zmiennością świata; jest tak samo niewzruszony i w najdrobniejszych szczegółach swojej budowy. Bóg uczynił go pełnym światła, bo go stworzył dla dusz: nie dla ich radości, nie dla zadowolenia próżnej ciekawości, ale dla ich wiecznego zbawienia. Każdy szczegół, którego z uszanowaniem dotkniemy, wyda z siebie świetlistą iskrę. Weźmy punkty pozornie najciemniejsze, np. prorocтва. Kiedyż to zostały one wygłoszone? jak liczne? o ile zgodziły się z wydarzeniami? Zdumienie nas ogarnia. Jeśli tu Boga niema, to gdzież On jest? Weźmy punkty w największej sprzeczności będące z wiedzą, np. cuda, czy to ślepego od urodzenia, czy wskrzeszenie Łazarza, czy zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, czy nawrócenie św. Pawła, czy też nawrócenie świata. Najwięksi genjusze badali je i zostali olśnieni. Otwórzmy Ewangelię. Jakaż to piękność jej nauki! Jakie namaszczenie, jaka prostota, jakie piętno prawdy! Dojdziemy do wniosku J.J. Rousseau'a: „Przyjacielu, nie w ten sposób się coś wymyśla”.

Kościół stoi przed nami ze swemi potężnemi cechami. Weźmy jedną z nich tylko: jedność jego nauki. Próbuje ją wytłumaczyć. Jego świętość, skąd ona pochodzi? gdzie taki św. Wincenty à Paulo, taki św. Franciszek czerpali zasady do swego życia? Weźmy inne, jeśli chcecie, fakta. Analizujemy wszystko; przy wszelkiem badaniu ujrzymy wytryskujące światło. Gdyby był jeden tylko dowód, można by mieć nadzieję zniszczenia go. Ale są ich dziesiątki, setki. Gdy jeden zasłonimy, drugi jaśnieje. Od podstaw do szczytu Chrześcijaństwa wszystko pełne jest światła ukrytego i silnego zarazem, przenikającego wszystko i tryskającego ze wszystkiego. Skoro tak jest, czyż przemoga go oczekiwane przemiany polityczne, społeczne, naukowe? Czyż można sądzić, że w chemii lub w fizyce znajdzie się środek niszczący wszystkie te fakta? Historji zniszczyć nie można. Przypuszczam najzuchwalsze zdobywcze naukowe, najbardziej niespodziewane udoskonalenie społeczeństw — czyż przez to Jezus Chrystus nie będzie Bogiem? czy mniej boską będzie Jego Ewangelja? czy Jego cuda dadzą się przez to zaprzeczyć, a skutki Jego przyjścia na świat czy mniej będą cudowne? Czy Chrześcijaństwo mniej silnie stać będzie na swej niewzruszonej od 19 wieków podstawie? Przeciwnie; im więcej cudów zdziała nauka, tem piękniejszymi i bardziej zdumiewającymi uzna cuda Jezusa Chrystusa. Im więcej społeczeństwo rozwijać będzie zmian i ewolucyj, tem więcej będzie niewzruszoność Chrześcijaństwa i z tem większą radością patrzeć będzie na jego pogodne światło jaśniejące wśród wszelkich burz świata.

II.

Do tego pierwszego poglądu trzeba dodać drugi, nie mniej godny zastanowienia. Nie sam tylko Chrześcijaństwo jest niezmienny, ale i dusza. Dusza jest wieczną jak Chrześcijaństwo i jak on niezmienną. Wyobraźmy sobie wszelkie możliwe zmiany, dotyczyć one mogą zewnętrznej powłoki człowieka: głąb jego pozostanie ta sama. Czy

człowiek żyje pod rządami rzeczypospolitej, czy monarchji, czy podróżuje wózkiem, dyliżansem, czy wagonem, czy listy swe wysyła za powolnem pośrednictwem posłańców, jak w wiekach średnich, czy błyskawicznymi pociągami — zawsze serce jego wydawać będzie ten sam dźwięk wzniosły i smutny, złożony z tęsknoty i cierpienia, z krótkich radości i długich bólów, z uniesień i zniechęcenia, z łez i miłości, z przykrości życia teraźniejszego i wzdychania do życia przyszłego. I cóż w tem zmienić może rozwój nauk i cywilizacji? Złagodzić może jedynie niektóre cierpienia zewnętrzne; dać trochę dobrobytu. Dusza za tysiąc lat jak i dziś pozostanie zranioną i chorą; tylko Chrześcijaństwo potężnie zarazem i miłośnie zaradzi jej najboleśniejszym ranom, dopomoże jej najczystszyemu pragnieniom.

Ze wzruszeniem rozważam zawsze, jak Chrześcijaństwo dostosowuje się do ludzkiej duszy. Dostosowanie to jest tak doskonałe i jedyne w swym rodzaju, że dla każdego dobrej woli człowieka oczywiste się staje, iż Ten sam, kto stworzył duszę ludzką, stworzył też i Chrześcijaństwo. To też dostosowanie ono oprze się zwycięsko wszystkim zmianom politycznym i społecznym.

Wszystkie porywy, pragnienia, nadzieje duszy znajdują w Chrześcijaństwie pełne zaspokojenie, a także wszystkie jej słabości, cierpienia, zniechęcenia, są przezeń ukojone, oczyszczone, podniesione. Wszystkie religie mniej lub więcej sprawiają cierpienie: i kalwinizm wierzący przecież w bóstwo Chrystusowe i anglikanizm lub luteranizm uznający świętą Eucharystję; nie cierpi się tylko przez Katolicyzm. Żaden zakątek duszy nie jest nim zdrażniony, on najczulej otacza i łagodzi wszystkie jej strony słabe, mogące się uszkodzić. Ci, co nie należą do katolicyzmu, nie domyślają się nawet, ile czystej radości znajdujemy w Kościele. Umysł, serce, wyobraźnia, sumienie, boleść, śmierć sama, przeniknięte są boskim balsamem.

Powtarzam więc, że Kościół dlatego właśnie nie potrzebuje obawiać się żadnych przemian, jakie mogą zajść w przyszłości. Nim zdołałyby go naruszyć, musiałyby znisz-

czyć duszę ludzką, a tego uczynić nie potrafią. Dotknąć mogą jedynie zewnętrznej, doczesnej powłoki człowieka. Dusza nieśmiertelna pozostanie ze swem wiecznem pragnieniem wiecznego Chrześcijaństwa.

III.

Nie trzeba jednak sądzić, by tak w Chrześcijaństwie, jak w duszy ludzkiej niezmiennosc była tego rodzaju, że powstrzymywałaby ruch każdy. Niezmiennosc nie jest nieruchomością. Nic niema czynniejszego nad duszę. Ona to jest przyczyną tych wszystkich zmian politycznych, społecznych, naukowych na świecie. Skoro więc Bóg uczynił Chrześcijaństwo dla duszy ludzkiej, to chcąc dzieło swoje uczynić zupełnem, celowem, musiał wlać w nią siłę rozwoju równą co najmniej sile rozwojowej duszy, aby Chrześcijaństwo mógł dopomagać duszy we wszystkich jej ewolucjach.

A jakże ta nieśmiertelna dusza jest bardzo ruchliwa, jak rozmaita, jak dociekliwa, śledząca! Wszystko bada: historję, filozofję, nauki, politykę, sztuki piękne i wszystko przyswaja sobie, aby polepszyć stan swój wewnętrzny, z którego nigdy nie jest zadowolona, i stan swój zewnętrzny, nad którym zawsze cierpi. Gdyby Chrześcijaństwo oświecał jedynie nadprzyrodzone wyżyny, czyż mógłby wystarczyć duszy? Opuściłaby go niebawem. Oto dlaczego Bóg w Chrześcijaństwie zawarł wszystkie możliwe światła: światło metafizyczne, moralne, mistyczne, społeczne. Światła te jaśniejąc, każde w oznaczonej godzinie, nie zostawiają w ciemnościach ani jednego narodu, ani wieku, ani cywilizacji, ani jednej duszy, ale nawet dopomagają do rozjaśnienia ludzkich światłości jakich duszom potrzeba.

Godnym uwagi jest przedziwny sposób, jakim Bóg zawarł w Chrześcijaństwie wszystkie te siły świetlane. Nie dał mu ich czynnemi, lecz potencjonalnemi, *potentia litter*, jak mówią teologowie. Tkwią one w Chrześcijaństwie, jak iskra w krzemieniu; potrzeba uderzenia, aby zeń wytrysły. Bóg mógł bezwątpienia od pierwszego dnia

zapalić te wszystkie promienie, rozświetlić te siły, olśnić i w uwielbieniu pograżyć świat cały. Odrazu wszystko byłoby dokonane; wszystkie wieki aż do końca podziwiałby tenże sam widok. Bóg wybrał inny plan o wiele piękniejszy i zgodniejszy z ludzką naturą! Świat wciąż jest w ruchu; zmienia kształt, wygląd, zmieniają się jego pojęcia, namiętności. Ludzkość prędko dochodzi do przesytu. Ukażcie jej najwznioślejszy z widoków — po jakim czasie zapagnie czegoś innego. Ponieważ Bóg zna naturę ludzką, więc uczyniwszy Chrześcijaństwo niezmiennym, jako nigdy nie zmieniającą się prawdę, wlał w nią zarazem przedziwną siłę rozwoju i zdolność przystosowania się do wszelkich poruszeń ludzkości. Ludzkość żyć będzie długo, może jeszcze wiele tysięcy lat! ileż śmiałych pragnień w niej się budzić będzie; ilu zmianom ulegnie — lecz ani jednej takiej, której nie odpowiadałby cudownie Chrześcijaństwo. Jeżeli pragnienia te będą nieziszczalne, mylnie — Chrześcijaństwo ostrzeże o tem, a doświadczenie przyzna mu słuszość. Jeśli marzenia będą złe, niebezpieczne, Chrześcijaństwo je potępi, a szczątki z nich pozostałe wykażą, że słuszenie je potępiał. Jeśli będą piękne i szlachetne, Chrześcijaństwo uczyni je owocnemi i doda im skrzydeł, by wyżej jeszcze się wzniosły. Taki jest plan Boży; czyż nie jest on wspaniały?

I sami ludzie, chrześcijanie, szukać będą w głębi Chrześcijaństwa potrzebnych odpowiedzi na zagadnienia danego wieku i znajdować je tam będą. Podwójnie uczują się szczęśliwymi: raz, jako ludzie, jako obywatele przyczynią się do potrzebnych zmian swojego kraju, a po drugie, jako chrześcijanie znajdą w swej religji siłę, która ustrzeże te zmiany od wszelkich niebezpieczeństw i uczyni je dobrami i korzystnemi.

I w ten sposób ludzkość i Chrześcijaństwo razem postępować będą, razem śledzić bieg rzek, przebywać morza, zwiedzać nieznane lądy: ludzkość zawsze młodzieńcza; zawsze gorąca i śmiała, zawsze znudzona tem, co już zna, a wzdychająca do nieznanego — za co nie trzeba jej ganić,

gdyż jest to znak jej szlachetnego pochodzenia — a obok niej mądry i przedziwnie dobry mistrz z pełnią doświadczenia, jak archanioł Rafał obok młodego Tobiasza, miłujący powierzonego mu wędrowca, wskazujący mu prawdziwe drogi, przewidujący i usuwający grożące niebezpieczeństwa, przygotowujący potrzebne leki na wywołane nierozwagą cierpienia. Doprowadziwszy go zaś zdrowego i całego do celu podróży, oddaje go ojcu, to jest Bogu.

Taki jest ów osobliwy i wspaniały plan Chrześcijaństwa. Według mnie w dawnej apologetyce niema większego błędu nad teorię nieruchomości Chrześcijaństwa, odlanego niejako z brązu, rzucającego od pierwszego dnia wszystkie swoje promienie i nie mającego już żadnej odpowiedzi, żadnej rady wobec zmieniających się ciągle potrzeb świata. Dość było jednak spojrzeć wokoło: Chrześcijaństwo miało zawsze odnawiającą się wiecznie młodość; cudowną giętkość stosującą się zawsze do potrzeb czasu; przedziwny rozwój wyprzedzający lub towarzyszący najśmielszym dążeniom społeczeństw. Ale nie zadawano sobie trudu zrozumienia tych boskich rozkwitów i czyniono z nich zarzuty. Dziękowalibyśmy i błogosławili Bogu, gdyby nam się udało rozświetlić te rzeczy, wprowadzić je w umysły społeczne. Przestanoby się niepokoić zmianami politycznymi, naukowymi, społecznymi, jakie są przewidywane, a dostrzegając ich zbliżanie, oczekiwano ich spokojnie i zgóry już witano nowy promień światła, który, stosując się cudownie do przeistoczeń świata, ujawniałby raz jeden więcej Boskie pochodzenie Kościoła.

IV.

Dość już jednak ogólnych uwag. Rozpatrzmy teraz szczegółowo każdą z zapowiedzianych zmian, a ujrzymy, jak Bóg cudownie przygotował Kościół, by je zrozumiał i na nie się zgodził.

Najpierwsza, najbliższa, nie dająca się odeprzeć, a już napół dokonana zmiana — to zmiana polityczna. Spo-

czeństwa europejskie coraz to więcej odstępują od zasad absolutnej monarchji i prawa Bożego, od podziału narodu na różne uprzywilejowane szeregi: kleru, szlachty, ludu; od prawa głosu opartego na szlacheństwie lub majątku. Stawiają natomiast równość wszystkich wobec prawa, dają wszystkim możność obejmowania wszelkich urzędów publicznych, używają wyborów do udzielania władzy, a czynności władzy kontrolują przez zebrania wyborcze.

Czy społeczeństwa mają słuszość, postępując w ten sposób? Jedni twierdzą, że źle one czynią, bo pcha je do tego pycha i szal rewolucyjny; inni przeciwnie głoszą, że postępowanie to wypływa z godności, z wielkości. Społeczeństwo nie zważa na jednych ani na drugich; unoszone jest, zda się, przez coś silniejszego niż moc ludzka; i nadchodzi chwila, gdy wszystkie narody rządzone będą systemem swobód publicznych.

Ale pytam się, co tu mogłoby przerażać Kościół? Gdyby dowiedzionem zostało, że absolutna zgoda istnieć nie może między swobodami publicznymi a Kościołem, gdyby forma rządu konstytucyjna nie mogła stać się chrześcijańską, to pojmuję że budziłoby to niepokoje. Ale nikt dzisiaj nie odważyłby się podobnej tezy podtrzymywać¹⁾.

Taki zbiór urządzeń i swobód dostrzegany już przez wielkie umysły starożytności — przez Arystota, Platona, Polibjusza, Cyserona, witali też jako ideał chrześcijańskiego społeczeństwa wszyscy wielcy katolicy myśliciele średnich wieków, jak św. Tomasz, Bellarmin, Suarez i inni. Nie znaczy to, by ich należało uważać za twórców wszystkiego, co stanowi tegoczesne społeczeństwo. Europa posiadała wówczas jedność wiary, nie mogli się więc oni troszczyć o swobodę wyznania. Druk jeszcze nie był zna-

¹⁾ De Belcastel: „Nie, swobody publiczne nie są rewolucją. — Nie, forma rządu reprezentatywna nie jest rewolucją. — Niema takiego państwa chrześcijańskiego i cywilizowanego, które mogłoby się utrwalić i żyć bez parlamentu. — Mam nadzieję, iż dowiodę, że rząd konstytucyjny może być szczerze chrześcijański (Listy Katolika do współczesnych).

ny, a zatem nic nie może być liberalniejszego, jak konstytucja wymarzona przez nich dla ludu chrześcijańskiego. Żądali oni, by wszyscy (nie panowie, nie bogacze) ale wszyscy, omnes, mieli udział w rządach, i słusznie twierdzili, że jedynym sposobem utrzymania pokoju jest zachęcenie ludu, by sam strzegł konstytucji. Chcieli, by wodzowie wszyscy byli wybierani, a wybierani przez wszystkich¹⁾. Uczyli wreszcie, że władza pochodzi od Boga; nie spływa ona wprost na króla, lecz na naród, a ten dopiero przekazuje ją królowi i to nie absolutną: społeczeństwo miało prawo stawiać swoje warunki bardzo liberalne i mogło odebrać władzę monarszą, jeżeliby ten nie dotrzymywał warunków; stawiano je królowi w dniu jego koronacji, i musiał przysięgać, że je wypełni. Tym sposobem zbliżano się do swobód publicznych i byłyby one o wiele wcześniej zapanowały, gdyby władza absolutna, kierowana przez pogańskich prawodawców w XVI i XVII wieku, nie była cofnęła liberalnej fali wzbierającej pod wpływem Kościoła; nie byłoby doszło do rewolucji. Brak słusznych reform, żądanych jeszcze przez św. Bernarda, sprowadził reformację, jak mówił Bossuet. Tłumienie swobód publicznych za Ludwika XIV i XV sprowadziło rewolucję.

Uznaję, że swobody publiczne, tak same przez się, jak i z powodu obecnych okoliczności, są niebezpieczne. Ale cóż tu na ziemi nie grozi niebezpieczeństwem? Obwarowujemy się przeciwko swobodom i mamy słuszość. W starożytności zabezpieczano się przeciwko tyranji i także miano słuszość²⁾. Nadużywać można wszystkiego

¹⁾ Dalszy ciąg Listów de Belcastel'a.

²⁾ Publusz: „Trzy są formy rządu naturalne i pierwotne. Monarchja powinna być uznana przez wszystkich i opierać się na rozumie, a nie na bojaźni i gwałcie; w przeciwnym razie wyradza się szybko w tyranję. Rząd prawdziwie arystokratyczny jest wtedy, gdy władza dobrowolnie jest oddana w ręce najsprawiedliwszych i najroztrośniejszych, inaczej przeradza się ona w inny rodzaj tyranji. Tak samo jeżeli demokracji nie towarzyszy sprawiedliwość, ustępuje ona miejsca rozruchom i wtedy

i wszystko powinno być z ładem urządzone. Zresztą inaczej rzecz się ma z ludami chrześcijańskimi jak z pogańskimi. Podczas gdy tamte zdane były na łaskę burzliwych fal, te znajdują w Kościele busolę i ostrzegające światło. Nie sądźcie, by Kościół pozbawiał ludy tak im drogich swobód. Kościół je im właśnie objaśnia, aby nie dopuścić żadnych nieporozumień. Wytlumaczy im np., co to jest wolność sumienia, nauczy ich, że nie jest to bynajmniej wolność przystępowania do jakiej herezji, do przekładania zła nad dobro, do występowania przeciwko Bogu, Kościołowi, prawdzie, lecz prosta tolerancja, konieczna, użyta we właściwym czasie, obchodząca się delikatnie z duszami pozostającymi w błędzie. Dalej uczy, że wolność prasy, nauki, stowarzyszeń musi z obawy nadużyć podlegać prawom, choć sama przez się przynosi ona zaszczyt, jest koniecznym udziałem ludzi, pod warunkiem jednak, by oni sami nie byli niewolnikami grzechu. Kościół mówi im, że gdyby jedynie sprawiedliwi zamieszkiwali ziemię, to nawet wolność prasy mogłaby być prawie nieograniczoną, ale ponieważ są grzesznicy, winowajcy, ludzie błędzący, nadużywający jej czy to przez nieświadomość, czy przez złość, muszą więc być ograniczenia, muszą być zapory. Niebezpieczeństwo swobód publicznych leży nie w ich naturze, ale w tych, którzy ich chcą nadużywać. I oto dlaczego im w którym narodzie większe są swobody, a niedostatecznie lub źle urządzone, tem potrzebniejsze jest tam wdanie się Kościoła, który sam jeden potrafi wytłumaczyć prawdziwe ich znaczenie i ograniczyć niebezpieczeństwo.

Kościół, ucząc terazniejsze społeczeństwo tych pożytecznych rzeczy, stwarza jednocześnie i cnoty konieczne

nie rządzi już wielki lud, lecz ślepa tyranja tłumu..." Można w tych słowach dostrzec niespokojne przewidywanie. W starożytności wszystko zmierzało do tyranji: dziś, dzięki Chrześcijaństwu, wszystko dąży do wolności. (Tekst ów i wiele innych znaleźć można w pięknych konferencjach ks. Perraud, Chrześcijaństwo i Północ).

przy publicznych swobodach. Montesquieu powiedział, że jak honor niezbędny jest dla monarchji, tak cnota niezbędna jest dla republik. A. de Tocqueville uczynił słuszną uwagę, że despotyzm może się obyć bez wiary, ale nigdy wolność. „Religia, mówił on, jest o wiele potrzebniejsza w państwie republikańskim, niż w monarchicznym, a przedewszystkiem jest konieczna w demokratycznej republice. Jakże społeczeństwo mogłoby uniknąć zagłady, jeśliby nie zacieśniał się węzeł moralny, w miarę jak węzeł polityczny się rozluźnia? Cóż można uczynić z ludem, nie mającym nad sobą pana i nie uznającym Boga?”¹⁾ PUBLJUSZ podobnie już przemawiał: Demokracja — to państwo, gdzie żyje Religja, a przez nią władza rodzinna, poszanowanie starców, posłuszeństwo prawom i prawdziwa uległość wszystkich dla ogólnej władzy”²⁾.

Któż zaś skuteczniej może nauczać Religji, miłości rodzinnej, poszanowania, posłuszeństwa, jak Kościół katolicki? Czem więcej zatem jakie społeczeństwo jest wzburzone, niespokojne, czem bezwzględniej zdobywa dla siebie swobody, nie bacząc na roztropność, nie licząc się z niczem, nie radząc się Kościoła, pozwalając zawładnąć sobą duchowi rewolucyjnemu, tem więcej potrzebuje Chrześcijaństwa i cnót z niego wypływających i tem więcej zniewolone będzie wezwać na pomoc spokojną, potężną i pogodną władzę Kościoła i Religji.

I Bóg przygotował Kościół do tego przesilenia politycznego. Nigdy władza Kościoła nie sięgała wyżej, nigdy się tak na nią nie godzono. Bywały niegdyś spory między patriarchami z Antjochji, z Aleksandrii, z Konstantynopola, z Jerozolimy: dziś ich nie ma. Bywały dawniej spory między biskupami a papieżem, dziś ich się nie słyszy. Bywały kłótnie między księżmi a biskupami; dziś o tem nie ma mowy. Wszyscy księża podlegli są swemu biskupowi; wszyscy biskupi podlegają papieżowi. Papież sam panuje

¹⁾ A. de Tocqueville, *Demokracja w Ameryce*.

²⁾ Polyb. *Annal. L.*, No. 1.

mając niezmierną, najwyższą władzę. Sobór watykański, wybrawszy stosowną porę, dokonał dzieła właśnie w chwili, gdy tegoczesne społeczeństwa wchodzą w zakres coraz większych swobód. Niech więc dążą naprzód te wielkie narody! Niech walczą z burzami, niech zakosztują drogiego i wybornego owocu swobód publicznych! Jeżeli cierpieć będą — a lepiej jest cierpieć wśród wolności, niż wegetować w niewoli — znajdą pewne schronienie w cichym, bezpiecznym porcie Kościoła katolickiego.

Jestem pewny, że obecne wstrząśnienia przyniosą Kościołowi nową aureolę i stanowić będą niespodziany dowód jego boskiego pochodzenia. Wszyscy będą podziwiać łatwość, szlachetność, swobodę, z jaką zajmie on swe stanowisko wśród tego gwałtownego ruchu. Nie troszczmy się więc o ciasne, trapiące się umysły, wyobrażające sobie, że Kościół nie może wzrastać, rozkwitać inaczej jak tylko w pewnych określonych formach, i z radością witajmy cudowną sprężystość, z jaką dostosowuje się do różnych rządów i cywilizacji.

V.

Drugą siłą, zmieniającą świat w obecnej chwili, jest wiedza, wiedza doświadczalna, wiedza przystosowana. „Są ludzie, mówi Taine, którzy twierdzą, że Katolicyzm otwartą wojnę prowadzi, jeśli nie z naukami doświadczałnemi, to przynajmniej z ich duchem, z ich metodą, z ich filozofją”¹⁾. Jest to błędne mniemanie. Metoda Kościoła nie jest podobna do metody naukowej — oto wszystko Nauka poddaje wszystkie swoje twierdzenia pod kontrolę powtarzanych doświadczeń, i ma słusność. Kościół, otrzymawszy zgóry swoje pewniki, nie bada ich samych w sobie, i także ma słusność. Poddaje jednak ich pochodzenie i autentyczność powtarzającym się doświadczeniom. Metoda naukowa jest ludzka; metoda Kościoła jest

¹⁾ Taine, *Revue des Deux Mondes*, 1865.

zarazem boska i ludzka. Obie są najzupełniej słuszne i niema żadnej między niemi sprzeczności.

I pole ich badań jest różne, ale nie sprzeczne. W zupełnej niezawisłości pracują każda na swym zagonie. Kościół mówi, uczy, orzeka, wyciąga wnioski, nie troszcząc się o wiedzę. Wiedza studjuje, dostaje się do wnętrza ziemi, bada gwiazdy, nie troszcząc się o to, co mówi Kościół. Ale, o dziwo! po pięćdziesięciu, po stu latach niezawisłej pracy Kościół i nauka dochodzą do tychże samych wyników.

Wiek XVII daje tego niezrównany dowód. Posłuchajmy świadectwa Leibniza. Oto, co ten genjusz naukowy pisał do Arnaulda: „Muszę ci opowiedzieć, jak studjowałem religję. Nie jestem łatwowierny i starałem się usilnie usunąć na bok w badaniach mnie samego i moją wiarę. Zdawało mi się, że w tak ważnej sprawie każde niedostosowanie się do szczerzej prawdy byłoby przemieszczeniem. Z największym staraniem wyszukiwałem i z najgłębszą uwagą czytałem wszystko, co ważnego napisano tak przeciwko naszej wierze, jak i w jej obronie, wszystko, co w różnych czasach wymyślali reformatorzy religii. Starałem się, by żaden zarzut co do jakiegokolwiek punktu nie uszedł mojej uwagi. Roztrząsałem wszystko, co napisane było za czasów naszych ojców i później; a czyniłem to, rzec można, z niebezpieczną ciekawością, ale pożyteczną dla mnie. Z największą uwagą przeczytałem niewydane jeszcze dialogi Bodin'a (nie powinnyby one nigdy być drukowane), zatytułowane: *De arcanis sublimium*; jest to w skróceniu zbiór wszystkich błędnych wierzeń. Rozpatrywałem wszystkie zarzuty pół-chrześcijan. Z ciekawością słuchałem najznakomitszych wolnomyslicieli. I wszystko to zamiast zachwiać, umocniło mnie w wierze. Wszystkie owe wielkie nazwiska i okropne pisma nietylko mnie nie zaniepokoiły, ale nawet pogłębiły i utrwaliły moje przekonania. Porównyując szlachetną pracę myśli, a także upadki tylu genjalnych ludzi, uwielałem Opatrzność, która myśli ludzkie przeciwstawia jedne dru-

gim, a przeciwstawia je w taki sposób, by człowiek zdolny je osądzić, mógł z tego chaosu wydobyć całość cudownych nauk, szczególnie rozważając te punkty, na które myśliciele godzą się tak ze sobą, jak i z Kościołem katolickim. *Si eis potissimum locis animum attenderit, quibus Ecclesiae catholicae traditis conspirant*“).

Do tego świadectwa, tak stanowczego i danego przez niepospolity umysł, można dołączyć i drugie z początku XIX wieku. Czegóż bo nie twierdzono koło 1830 r.? Mówiono, że wszystkie odkrycia naukowe narażają Chryścjanizm na zgubę; że chronologie egipskie, asyryjskie, zodiaki, napisy na obeliskach, w pieczarach podziemnych nie pozwalają już wierzyć chronologii biblijnej; że geologia i astronomja w jawnej sprzeczności stoją z dogmatami Ewangelji, i t. p. Jednem słowem, klęska Kościoła zdawała się być zupełna, i wszystkie pisma pełne były ubolewań nad jego rychłym końcem. Cóż z tego wszystkiego zostało? Oto co pewien znakomity profesor pisał do O. Gratry: „Pozorna niezgoda nauki z wiarą zaciera się tem silniej, im nauka rzeczywistsze czyni postępy i im więcej zbliża się do objawionej prawdy. To też wszystkie zarzuty tak ogólne, jak szczegółowe, czerpane z nauki, a sprzeciwiające się wierze, rozwiały się dziś zupełnie“).

Z tych dwóch świadectw można wnosić, jaką będzie przyszłość. Nauka cudów dokaże — mówię to szczerze z radością i podziwem. Wychodzi ona z bezspornych pierwiastków; posiada doskonałą metodę; czas i najdokładniejsze przyrządy są na jej usługi. A gdy pomyślę, jak wiele zna już ona z systemu planetarnego na niebie, z głębokich pokładów wnętrza ziemi, co zdziałała w dziedzinie elektryczności, pary, biologji i gdy do tego dodam w myśli parę wieków genjalnej pracy, cierpliwych dociekań, szczególniejszych odkryć, nie wątpię o znakomitych skutkach, jakie

¹⁾ Leibniz, List do Arnauld'a str. 148.

²⁾ Przytoczone przez O. Gratry, Listy o Religji.

nauka osiągnie. Przenieśmy się myślą do końca XX-go wieku; cóż się stanie? albo Chrześcijaństwo będzie wówczas zniszczony, unicestwiony przez naukę, albo też jasno zabłyśnie. Któryż prawdziwy uczony, choćby nawet nie chrześcijanin, odważyłby się stawiać pierwsze przypuszczenie?

Gdyby boskie pochodzenie Chrześcijaństwa opierało się tylko na jednym rodzaju dowodów, gdyby np. mówiono: Jezus Chrystus czynił cuda, a zatem jest On Bogiem i gdyby na tem poprzestano, nauka w szalonej swej pysze mogłaby mniemać, że jej się uda obalić ten argument, choć nie zdoła uleczyć ślepych od urodzenia lub wskrzeszać umarłych. Ale ileż to jest dowodów równie potężnych jak cuda, równie niedostępnych nauce? Cóż nauka może zdziałać przeciwko niezmiennej, nadprzyrodzonej, jedynej doskonałości charakteru Jezusa Chrystusa, uznanej i głoszonej nawet przez niereligijną krytykę niemiecką? Jakież to naukowymi sposobami da się wytłumaczyć piękność nauki ewangelicznej? Czemże nauka potrafi dorównać odwadze, wytrwałości milionów męczenników, którzy oddali i codzień oddają życie za wiarę w Jezusa Chrystusa? A te cudowne owoce rodzące się z Męki Zbawiciela: pokora, czystość, miłość Boga i ludzi, a nawrócenie rodzaju ludzkiego, istnienie i trwanie Kościoła z boskimi cechami jedności, świętości, powszechności; a tyle innych dowodów stojących poza nauką, ponad jej badaniami, a które istnieć będą, choćby ona wszystko dookoła zburzyła. Niech zatem wiedza pracuje dalej na wszystkich polach, nie troszcząc się o Kościół, a skoro kiedyś jej odkrycia wykonane zostaną, porównają je z nauczaniem Kościoła i z uwielbieniem podziwiać będą ich doskonałą harmonję.

Wiara nietylko nie zblednie wśród tej wielkiej i śmiałej pracy, ale przeciwnie, stanie się jeszcze piękniejszą. Co herezje uczyniły w IV i V wieku, nauka uczyni w XX i XXI stuleciu. Lękliwi i małoduszni trwożyli się herezjami, ale wielcy chrześcijanie wołali: *Oportet haere-*

ses esse. I rzeczywiście, przez zuchwałe wystąpienia herezje zniewoliły katolicyzm, by silniej ugruntował dogmat, zmusiły papieży i sobory, by dogmat z większą ścisłością głosiły; a jednocześnie przez ciągłe zmiany, przez niepokoje, w jakie wtrącały dusze, przez zgubne następstwa błędnych twierdzeń, herezje dały uczuć piękność i konieczność niezmienną i nieomylną władzy Kościoła. Tę samą rolę odegrała nauka. Zniewolą uczonych, by się zbliżli do rozejrzenia w formułach katolicyzmu, by nie przekraczali ich znaczenia, a porównując je z formułami naukowymi, doprowadzali je do ściślejszych orzeczeń.

I jak po wybuchu wielkich herezji, po dwóch czy trzech wiekowych rozprawach, gdy już ukończona została kontrowersja, wielcy Doktorowie Kościoła katolickiego, taki św. Albert Wielki, św. Tomasz, Duns Skot, zasiedli w ciszy swych celek i napisali owe wspaniałe *Summy*, gdzie wszystko dotyczące się Boga, człowieka, świata, zebrane zostało w obszernej syntezie; tak samo w XX, w XXI wieku, gdy się zakończy praca nauki, znajdą się wielcy Doktorowie, dokładniejsi niż tamci — gdyż w zagadnieniach przyrody uczeni wieków średnich byli w błędzie — i ułożą nowe *Summy*, w których dogmat katolicki wystąpi w pełnym oświeceniu nauki. Oczekuję tej godziny i boleję, myśląc, że mnie już przy tem nie będzie.

Rzecz niewątpliwa, iż do takich wyników nie dojdzie się bez wielkich trudności. Nauka jest zarozumiała i pyszna. Wiele razy zdawać jej się będzie, że zburzy Kościół, ogłosi, że takie a takie jej odkrycia sprzeciwiają się dogmatowi chrześcijańskiemu i nigdy się z nim zgodzić nie zdołają. Słabi zadrżą; ale prawdziwi chrześcijanie powiedzą: „Cierpliwości! Czekajmy, jak czekało tylu innych. Zawierzmy Bogu. Wszystko się wkońcu wyjaśni, a ostatnie słowo zostanie przy Ewangelji i Kościele”.

Wzamian za tyle usług, jakie nauka odda Chrześcijaństwu, otrzyma ona odeń niemniej znamienne. Zapobiegnie on jej chwiejności, uzupełni jej braki, uspokoi jej przesadne uniesienia, wykaże, że choć zna ona wiele rze-

czy, to mnóstwo ważniejszych jest przed nią zakryte, że nie może o nich nic mówić, choć są one milion razy więcej warte, niż wszystko, czego ona uczy. Byłem w nicości i nagle, nie wiem czyja ręka mię dotknęła i głos jakiś rozkazał: Chodź! Skąd się wziąłem? Dokąd idę? Czy mam nieśmiertelną duszę? Czy w pozagrobowej przyszłości są nagrody za cnoty, kary za występki, a nagrody i kary wiekuiste? Któraż to z nauk pouczy mię o tem? czy astronomja? czy geologia? czy fizyka lub chemja? Kto mi da poznać moje przyszłe przeznaczenie? Żadna z nauk nic o tem nie wie, a jednak muszę się o niem dowiedzieć. Zamilknięcie więc, pełne pychy nauk! I nacóż zda mi się wiedzieć, z jakich pierwiastków składają się moje kości, co się znajduje w kuleczkach krwi mojej, jeżeli jutro umrę, a wielka ta nauka nie jest w możności wybawić mnie od śmierci? O wiedzo! gdy się znajdę na łożu śmierci, nacóż mi się zdadzą wszystkie najcudowniejsze twoje wynalazki? Służą jedynie, by na mój pogrzeb śpieszniej znajomych sprowadzić i nie dadzą mi tej pociechy, jaką mi da zapalona poświęcona gromnica, przy której świetle spoglądać będę na ukrzyżowanego Zbawiciela mojego!

VI.

Z tych dwóch potęg, przeistaczających obecnie społeczeństwo, wynika trzecia, jeszcze groźniejsza siła. Nie ma zgody co do dawanej jej nazwy; jedni zowią ją zmianą ekonomiczną, inni rewolucją społeczną, socjalizmem. W każdym razie składa się ona z dwóch równorzędnych ruchów: z coraz to większej produkcji bogactw ziemi — jest to wynik zastosowania nauki; z rozdzielenia ich coraz równiejszego między wszystkie klasy społeczeństwa — jest to następstwo zapanowania klas ludowych. Oto co w przyszłości jest przewidywane. Wszystko to już samo z siebie zawile, w wielu umysłach miesza się jeszcze z niemożliwymi mrzonkami i nie dającymi się urzeczywistnić utopjami.

Jakakolwiek będzie przyszłość tego podwójnego ruchu, nie widzę, w czym mógłby on być dla Kościoła niebezpiecznym. Kościół nauką swoją o pracy, ładzie, ekonomji, oszczędności, dopomaga do wzrostu produkcji, a jednocześnie sprawiedliwością i miłosierdziem swoim ułatwia równiejszy podział. Śpieszmy jednak dodać, że jego wielowiekowe doświadczenie, doskonała mądrość, głęboka znajomość ludzkiej natury nie pozwolą mu nigdy dawać pomocy utopjom, które z konieczności muszą sprowadzać katastrofy. Zwalczać będzie wszelkie urojenia, a jeśliby mimo wszystko wynikały jeszcze jakie nieszczęścia, jedynie jego potęgą zdolna będzie im zaradzić.

Pomówmy najpierw o coraz większej produkcji bogactw ziemi, przypuśćmy jej rzeczywistość; możnaby, bowiem jej zaprzeczyć. Możnaby powtórzyć za znakomitymi ekonomistami, że ziemia lepiej uprawna dostarczy wprawdzie trochę więcej bogactw, ale nigdy dość w stosunku ich zapotrzebowania; że zresztą i ludność wzrastać będzie w proporcji do tychże bogactw, a przez to, choćby one były niezmierne, to wzmagająca się ludność wyczerpie je wkrótce zupełnie. Chcąc nie chcąc, zawsze spotykać się będzie nędzę: ograniczona ona tylko może być przez rezygnację biednych, przez miłosierdzie bogatych, przez cnotę wszystkich. Ale nie upierajmy się i przypuśćmy, że ziemia mądrze uprawiana wyda nadspodziewane bogactwa; do czegoż one posłużą? Najpierw do dobrobytu, co nie jest zakazane. Następnie do zbytku, co jest mniej dozwolone i groźniejsze, gdyż zbytek rodzi osłabienie woli, niszczy charaktery, tłumi energję i siły. Zbytek doprowadza do upadku tak jednostki, jak i państwa. Trwa to niedługo, tyle, by się wstydem nasycić. Następują takie chwile, że dusza się budzi i oburza na to sromotne poniżenie. Pragnie podnieść serce, a że tylko Kościół umie wspaniale zaintonować *S u r s u m c o r d a*, dusza powraca do niego i pod jego panowanie się oddaje.

Nie trzeba zresztą sądzić, by jedynie widok ostatecznego upodlenia, do jakiego zbytek doprowadził, rozbudzał

duszę ludzką i do wyższych aspiracji ją popychał. Prosty dobrobyt, bez nadużycia, bez nadmiaru, poprostu dlatego że jest dobrobytem, budzi także w duszy wznioślejsze pragnienia. Czuje się ona wyższą nad to wszystko. Mar-nem jej się wydaje stapanie po miękkich dywanach, odzie-wanie się w jedwabie i aksamity. Im więcej ma, tem wię-cej pragnie, a mając wszystko, gardzi wszystkim. Pociąga ją nieznane; posiadane nie wystarcza. Wieśniaczka wzdy-cha do sukni jedwabnej, do złotych klejnotów. Bogata pani, która je posiada, znajduje to nędznem, niewystarcza-jącym; marzy o czemś wyższem. Nuży nas mierność, ziemskość — rzućmy ją i dążmy wyżej. I tą także drogą część społeczeństwa powróci do Boga i Kościoła.

Ale choćby nauka, zastosowana do rolnictwa, do prze-mysłu, kazała ziemi wydać tysiąckrotnie więcej bogactw, niż ich kiedykolwiek wydała, to trzebaż je będzie roz-dzielić sprawiedliwie, równo między wszystkie klasy spo-łeczeństwa. Otóż tu właśnie występują prawdziwie groźne niebezpieczeństwa. Samo słowo „podział” nasuwa myśl o bratobójczych walkach między chlebobawcami a robot-nikami, między posiadaczami a tymi, którzy nic nie mają. Cóż Kościół uczyni? Czy zgodzi się na przymusowe wy-właszczanie? Nigdy. Czy pozwoli, nawet gdyby stosowne prawo wydanem było, na wyrzucie z mienia prawnych po-siadaczy? Nigdy. Przykazania: Nie kradnij i Nie pożą-daj żadnej rzeczy bliźniego swego, są skromne i poziome. Kościół równie silnie przy nich stać będzie, jak przy wielkiem: Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. Niema różnicy w strzeżeniu przykazań.

Ale gdy raz ogłosi naukę swoją, gdy, jeśli zajdzie po-trzeba, bronić jej będzie usque ad sanguinis ef-fusionem, powróci potem spokojnie i miłośnie do zwy-kłej swej roli, do pocieszania ofiar. Zwróci się do zagro-żonych, wyrzutek z mienia pracodawców i uczyć ich bę-dzie poddania się, słodyczy, przebaczenia, nadziei i pew-ności, że Bóg odda im w Niebie to, co stracili na ziemi.

To znów zwróci się w stronę robotników, którzy zrzą-dziwszy niezmierne krzywdy, nie zdołali zadowolnić swo-ich potrzeb, i nauczyci ich umiarkowania, uległości woli Bożej, godzenia się na swój los i także tej pewności, że Bóg udzieli im w niebie tego, czego nie mogli otrzymać na ziemi. Kościół w XX i XXI wieku uczyni to samo, co czynili biskupi i kapłani w V i VI stuleciu, gdy przechodzili od starych rzymskich klas zwyciężonych do młodych, gwałtownych, zwycięskich barbarzyńców, pocieszając je-dnych, uspokajając drugich. Ci pośrednicy pokoju słody-czą, cierpliwością, rozumem doprowadzali do tego cudow-nego zlania się zwycięzców ze zwyciężonymi, z którego wynikła cywilizacja chrześcijańska. Oto przyszła rola Kościoła; niema większej ani odpowiedniejszej do uwień-czenia nową aureolą jego czoła.

VII.

Ten to trojaki ruch polityczny, naukowy i społeczny, zlany razem, tworzy to, co zwiemy zapanowaniem demo-kracji. Panowanie to jest nieuniknione, gdyż składające je dążności wypływają jednocześnie z wnętrza Chrześcija-nizmu i z najgłębszych tajników serca ludzkiego. Kościół zatem nie ma się tu czego obawiać; przeciwnie, znajdzie tu sposobność rozwinięcia wszystkich sił swoich i wykaże raz jeden więcej boskość swoją. Tak o tem sądzili naj-znakomitsi myśliciele ubiegłego stulecia. Żaden z nich nie uważał tego jako fakt przemijający i powierzchowny. Każdy dostrzegał wspaniałą rolę, jaką tu Kościół odegra; każdy przepowiadał jego zwycięstwo. Nieprzyjaciele Ko-ścioła jaśniej to nieraz widzieli, niż jego przyjaciele.

Zacznijmy przegląd od mistrza, od Chateaubriand'a. Całą starość spędził wielki pisarz na zajmowaniu się blis-kim panowaniem demokracji. Kilkanaście razy powracał do tego w ostatnich swoich pracach. Wystarczy przyto-czyć jeden ustęp: „Moje badania doprowadzają mnie do wniosku, że dawne społeczeństwo zapada się samo przez

się i że przyszłego społeczeństwa nie pojmie nikt, kto nie jest chrześcijaninem. Tylko z Ewangelji możecie wydobyć upragnione ulepszenia wszystkich hipotez. Gdyby Mesjasz nie był przyszedł i nie był przemówił, jak to sam powiedział, idea nie byłaby się wybiła, prawdy byłyby pozostały zagmatwane tak, jak je dostrzegamy w pismach starożytnych myślicieli. Jakkolwiek zatem będziecie to sobie tłumaczyć, wszystko otrzymaliście od Objawiciela, od Chrystusa; punkt wyjścia dla nas to Zbawca, *Salvator*, to Pocieszyciel, *Paracletus*; od Niego otrzymaliście zawiązki cywilizacji. Widzicie, że w przyszłości wszelkie zagadnienia mogą być rozwiązane tylko w Chrześcijaństwie i to w Chrześcijaństwie katolickim.

„Chrześcijaństwo jest najbardziej filozoficznym i najracjonalniejszym ocenieniem Boga i dzieła stworzenia; zawiera trzy wielkie prawa wszechświata: prawo boskie, prawo moralne i prawo polityczne.

„Dwie pierwsze zasady są już rozwinięte; trzecia — prawo polityczne — nie otrzymała jeszcze uzupełnień, gdyż nie mogła zakwitnąć, dopóki rozumna wiara w nieśkończoną Istotę i powszechna moralność nie zostaną silnie utrwalone. Chrześcijaństwo musiał najprzód usunąć niedorzeczności i bezceństwa, jakimi bałwochwalstwo i niewolnictwo zasypało rodzaj ludzki.

„Religia Wybawiciela, daleka jeszcze końca swej pracy, wchodzi za ledwie w trzeci okres, okres polityki... Gdy Chrześcijaństwo osiągnie najwyższego swego szczytu, rozproszą się ciemności; wolność, ukrzyżowana z Mesjaszem na Kalwarji, zstąpi z Nim razem; odda narodom napisany dla nich Nowy Testament, którego zasady tak dotąd krępowane były. Zdawać się może, iż stary świat się kończy, a nowy zaczyna. Dostrzegam blaski zorzy, lecz już nie ujrzę wschodzącego słońca. Nie pozostaje mi nic innego, jak usiąść nad brzegiem grobu mojego; poczem śmiało, z krzyżem w ręku usunę się w wieczność¹⁾).

¹⁾ Chateaubriand. Pamiętniki z zagrobu, zakończenie.

O. Lacordaire tak samo myślał. Przyszłość byłaby go trwożyła, gdyby nie liczył, że Kościół przyprowadzi do porządku i umoralni demokrację europejską. „Demokracja europejska zerwała węzły łączące teraźniejszość z przeszłością; pogrzebała nadużycia pod zgłiszczami, zaprowadziła tu i owdzie jakąś przedwczesną swobodę, wstrząsnęła raczej światem, niż go odnowiła swojemi instytucjami, a będąc niezaprzeczoną władczynią przyszłości, gotuje nam — jeśli nie zostanie nareszcie umoralnioną i urządzoną — straszną alternatywę bezdennej demagogji lub nieokiełzanego despotyzmu¹⁾).

Wiadomo, co o przyszłości europejskiej sądził znakomity autor *Demokracji w Ameryce*, A. de Tocqueville; kilka słów jego przytaczamy:

„Sądzę, że błędem jest uważać religję katolicką jako naturalnego wroga demokracji. Wśród rozmaitych doktryn chrześcijańskich, katolicyzm wydaje mi się właśnie najsposobniejszym dla zrównania warunków.

„Błędem jest mniemanie, że społeczeństwa demokratyczne są nieprzyjazne religji. Nic w Chrześcijaństwie, a nawet w Katolicyzmie niema absolutnie przeciwnego duchowi tych społeczeństw, a wiele rzeczy bardzo im sprzyja. Jeśli Katolicyzm zdoła wyswobodzić się ze swych politycznych więzów, to przewiduję dlań w przyszłości wielkie zwycięstwa. — Despotyzm może obejść się bez wiary, ale nigdy wolność. Religja jest bez porównania potrzebniejszą w zachwalanej republice, niż w zwalczanej monarchji, a w republice demokratycznej potrzebniejszą, niż w każdej innej. Jakże społeczeństwo mogłoby uniknąć zagłady, jeśliby węzeł moralny nie zacieśniał się, w miarę jak się rozluźnia węzeł polityczny? Cóż można uczynić z ludem, który sam sobie jest panem, jeśli nie jest posłuszny Bogu?²⁾).

¹⁾ Lacordaire. Przemówienie przy przyjęciu do Akademji.

²⁾ Tocqueville. *De la Démocratie en Amérique*, — *L'ancien régime et la Révolution*.

Niemniej jasno wyrażał się Ozanam, założyciel towarzystwa św. Wincentego: „Wierzyłem i wierzę w możliwość demokracji chrześcijańskiej; w nic nawet innego nie wierzę w zakresie polityki... Historia uczy mnie, że demokracja jest naturalnym kresem politycznego postępu i że do tego kresu Bóg świat prowadzi. Ale przyznaję, że prowadzi go ciężkimi drogami, i że, jeśli wierzę w demokrację, to wbrew jej nadużyciom, które mogą zniechęcić ludzi dobrej woli¹⁾).

De Falloux pisał: „Wśród tegoczesnych sporów jeden fakt pozostaje bezspornym, a to, zapanowanie demokracji. Żaden stan społeczny nie wymaga takiego przesiąknięcia Chrześcijaństwem²⁾).

Zakończmy pięknym zdaniem O. Ventury: „Jeśli królowie, ulegając pierwiastkowi pogańskiemu, z gruntu despotycznemu, wyrzekną się pierwiastka chrześcijańskiego, z gruntu liberalnego, gdyż jest samą miłością — i nie zechcą zrozumieć wolności religijnej ludów i niezależności Kościoła, która tak długo była chwałą i bezpieczeństwem ich przodków, Kościół potrafi bez nich się obejść. Zwróci się do demokracji; nawróci tę dziką bohaterkę, uczyni ją chrześcijańską; wycisnie na jej czole pieczęć boskiego uświęcenia i powie jej: Panuj! I będzie panować“.

VIII.

Nietylko zwolennicy i dzieci Kościoła przewidują wspaniałą rolę jego w przyszłości; i jego nieprzyjaciele zdają się wiedzieć o niej. Taine, zanalizowawszy siły Katolicyzmu, wykazawszy po jednej stronie jego siły żywotne, a po drugiej to, co nazwał jego siłami martwymi — choć nie są one bynajmniej martwe, — dochodzi do wyniku, że Katolicyzm jest nieśmiertelny, że demokracja zamiast za-

¹⁾ Ozanam. Listy.

²⁾ De Falloux, Życie Augustyna Cochin.

szkodzić mu, ożywi go jeszcze. „Zawsze trudność rządzenia demokracjami dostarczy mu zwolenników; zawsze głuchy niepokój serc smutnych lub tkliwych prowadzić doń będzie nowe zastępy; zawsze dawność posiadania zachowa mu wyznawców. Są to trzy jego korzenie; nie dosięgnie ich nauka doświadczalna, gdyż nie nauka je tworzy, ale uczucia i potrzeby. Mogą być te korzenie mniej lub więcej rozgałęzione, mniej lub więcej głębokie, ale nie zdaje się, by duch czasu mógł je naruszyć; przeciwnie, w wielu duszach i w niektórych narodach duch tegoczesny wprowadza pewne wstrząśnienia i instytucje, które je wzmacniają jeszcze. Raz Macaulay, uniesiony wyobraźnią, wymownie powiedział, że katolicyzm panować jeszcze będzie w Ameryce południowej, gdy turyści pochodzący z Australji przybywać będą dla zwiedzania ruin Londynu i Paryża, dla rysowania poszczerbionych arkad London-Bridge'u lub gruzów Panteonu¹⁾).

Nikt jednak jaśniej nie wykazał przyszłej potęgi i wiecznego trwania Kościoła, jak największy rewolucjonista Proudhon. Najpierw stwierdza on, że Kościół żyje, choć nie wiedzieć wiele razy powinien był zginąć. „Według praw, rządzących ludzkimi instytucjami, Kościół powinien był zginąć tysiąc razy. Cóż mu pozostaje z tego, co go miało podtrzymywać? Wszystko postradał, a teraz odebrano mu nawet marne państewko, jakie ongi otrzymał z rąk pobożnej księżniczki.

„A jednak Kościół opiera się wszystkim napadom; przetrwał wszystkie schizmy, wszystkie herezje, wszystkie rozbiory, przetrwał tak samo instytucje św. Ludwika jak swobody gallikańskie, przetrwał Pothier'a jak i Kartezjusza, Lutra jak i Voltaire'a. Przeżył nawet swoich własnych nieśmiertelnych. Miał papieży reformatorów na długo przed reformacją, a dziś, gdy reformacja jest czczem jedynie słowem, sobór trydencki rządzi zawsze bezspornie

¹⁾ Taine. Podróż do Włoch, 26 marca.

prawowiernym światem. Co mówię? W miarę jak kościoły, więcej niż on hołdujące filozofji i wolności, rozpadają się w gruzy, Kościół katolicki gromadzi ich szczątki i odnawia się właśnie przez swoją niezmiennność. Ledwo już tchnie, a jednak tchnienie to jest dotąd żywotniejsze, niż wszystkie potęgi, na których początki patrzył, silniejsze niż wszystkie instytucje, jakie powstały poza jego obrębem".

Wielkiego rewolucjonistę zdumiewa, gniewa nawet taka osobliwość. „Cóż tam jest, czego by nie było gdzie indziej? Trzeba przypuścić, że jest to jakiś pierwiastek, który zapuściwszy korzenie w ostatnie głębiny sumień, utrzymuje Kościół, przyprowadza doń bezprzestannie niedobitki wszelkich odszczepieństw i który sprawiłby odrodzenie Kościoła z jego popiołów, gdyby możliwem było, by z tym żyjącym zawsze w sercach pierwiastkiem, przedstawiający weń wiarę Kościół mógł przestać istnieć".

Proudhon szuka tego pierwiastka tak żywotnego, głębokiego, zawsze w sercach żyjącego, zdolnego wskrzesić Kościół, gdyby Kościół mógł umrzeć, i znajduje go zapomocą intuicji tak potężnej, że stawić go ona może ponad wszystkimi rewolucjonistami. „Czy chcecie wiedzieć, co jest owym twórczym, zachowującym Kościół pierwiastkiem? Kościół wierzy w Boga! Wierzy w Boga lepiej, niż wszystkie sekty! Jest najczystszem, najdokładniejszem, najświetniejszym objawieniem Boskiej istności i tylko on jeden umie czcić Boga. Otóż ponieważ ani umysł, ani serce ludzkie nie umiało wyzwolić się od pojęcia Boga, które to pojęcie jest właściwością Kościoła, Kościół mimo wszystkich wstrząśnień nie uległ zniszczeniu"¹⁾.

Ileż tu intuicji i głębokich myśli! Nie Kościół to zatem trzeba niszczyć, lecz zniszczyć Boga, a rzecz to bardzo różna!

¹⁾ Proudhon. De la Justice dans la Révolution et dans l'Eglise.

IX.

Czy mam jeszcze dodać cośkolwiek? Tak, i tem zakończę, Proudhon ma słuszość: Kościół jest wieczny i nie można go zniszczyć, gdyż wierzy w Boga, gdyż Boga pija, gdyż tego Boga, ukochanie dusz wszystkich, oczekiwanie i absolutną potrzebę wszystkich ludów, tylko sam Kościół dać może i daje Go ludzkości. Aby zniszczyć Kościół, trzeba by wyrwać Boga z serca i umysłu ludzkiego. To nigdy się nie stanie.

A czy wiecie, jaki jest ten Bóg, którego Kościół posiada, którego daje duszom i narodom? To nie jest zimny, obojętny, niewidzialny Bóg filozofów, Bóg pozostający w swem Niebie i oczekujący tam na dusze, choć wie, że one same dojść nigdy nie będą mogły. To nie Bóg protestantów, który zniża się wprowadzić do stworzenia, ale czyni to ostrożnie, z zastrzeżeniami; dając cośkolwiek, nie daje wszystkiego i obchodzi się ze swemi biednemi maluczkimi stworzeniami, jak wielki pan ze swymi poddanymi.

Och! nie takiego to Boga posiada Kościół katolicki! Jego Bóg, to Bóg dający bez liczby i miary. To Bóg, który postanowił zstąpić na ziemię i zechciał być złożonym w żłobku; mało Mu tego było. Bóg, który wstąpił na krzyż, gdzie wśród straszliwego konania wylał Krew swoją do ostatniej kropli: i tem się jeszcze nie zadowolnił. Bóg, który ukrył się w świętej Eucharystji i stamtąd zstępuje do serc naszych, znajdując, że i to jeszcze niedosyc. Bóg wspaniałomyślny i dobry, który oczekuje wieczności, by nas ogarnąć swoją wielkością i miłością! Oto Bóg, którego posiada Kościół; i tego Boga nikt nie zdoła odebrać ludzkości.

Taine w przytoczonem dopiero co dziele pisał: „Żaden naród nie rzucił swojej religji, jak tylko dla lepszej religji". Filozofowie, protestanci, uczyńcie więcej. Wymyślcie Chrystusa miłosniejszego, dobroczynniejszego; bo ludzkość, z wyżyn na jakie się dostała, nie zechce zstąpić

do umniejszonego Chrystusa. Może się pograć w obojętności, w materializmie, ale jeśli zeń wyjdzie, a wyjść musi — zwróci się tylko do miłującego Chrystusa.

O Boże, zaczynając tę pracę, napisałem w tytule, jako najwznioślejszą, najjaśniejszą zasadę Chrześcijaństwa, słowa, które według mnie zawierają wszystko: miłość Boga dla człowieka i miłość człowieka dla Boga. Dziś, posuwając się w lata, rozczarowany do wielu rzeczy, nie śmiem powtórzyć tego zestawienia. Wykreślam miłość człowieka dla Boga — zbyt jest słabą, zbyt nędzną, niegodną porównania z tamtą. I na ostatniej karcie mej książki wypisuję tylko zdanie, przed którym korzę się w uwielbieniu, zdumieniu i wdzięczności:

Miłość nieskończona Boga dla człowieka. Jest to pierwsze i ostatnie słowo Chrześcijaństwa.



115158 / 5

Spis treści.

	Str.
Przedmowa autora	1
ROZDZIAŁ I.	
WIARA.	
I. Trojaki świat i trojaki organa wzroku doń zastosowane	5
II. Tajemnicze ciemności trzeciego świata; można je przeniknąć tylko zapomocą Wiary	8
III. Bóg uczynił z wiary pierwiastek życia, aby przez to człowiek zrozumiał i przyjął Wiarę	10
IV. Harmonje panujące między trzema światami a także między trzema organami wzroku	13
V. Wprowadzając nas w trzeci świat, Wiara nie tłumi rozumu ludzkiego; szanuje wszystkie jego prawa	16
VI. Godne podziwu zachowanie się Kościoła, który nigdy nie poświęcił Wiary dla rozumu, ani rozumu dla Wiary	24
ROZDZIAŁ II.	
KSZTAŁCENIE WIARY.	
I. Wiara jest cnotą. Z jakich pierwiastków się składa	27
II. Jak starannie trzeba ją kształcić?	29
III. Traci się Wiarę tylko z własnej winy, a gdy się chce, można ją zawsze odzyskać	31
IV. Skoro jest dobrze utrwalona, daje pokój, boską pogodę tak w życiu, jak przy śmierci	34
V. A nie tylko pokój, lecz i siłę i bohaterstwo	38
VI. Aby dojść do nagrody Wiary, przejść trzeba odważnie wszystkie jej ciemności	40
VII. Miłość — pierwsze i ostatnie słowo Wiary	45
ROZDZIAŁ III.	
O UCZCIWOŚCI I ŚWIĘTOŚCI.	
I. Niema piękniejszej nazwy jak nazwa uczciwego człowieka	48
II. Aby być uczciwym człowiekiem w całym tego słowa znaczeniu, trzeba oddać Bogu, co Mu się należy	50

	Str.
III. Niebezpiecznie jest poprzestawać na uczciwości, nie dążyć do świętości	51
IV. Drugie gorsze niebezpieczeństwo: sądzić, że się doszło do świętości i gardzić dlatego uczciwością	55
V. Piękne połączenie świętości z uczciwością	57

ROZDZIAŁ IV.

MODLITWA.

I. Modlitwa jest siłą człowieka zwyciężającą Boga	59
II. Jest nieomylnym środkiem otrzymania Boskiej pomocy	61
III. Pierwszy zarzut przeciwko modlitwie: wielkość Boga i zmienność praw natury	65
IV. Drugi zarzut: modlitwa poniża człowieka. Przeciwnie, wywyższa go	68
V. Modlitwa jest słodką i miłą	71
VI. Jak cierpią ci, którzy się nie modlą	72
VII. Zaniedbanie modlitwy jednostki spowodowało pierwsze zupełne zaniechanie modlitwy rodzinnej	73
VIII. Niemniej niepokojącym jest zanik modlitwy narodowej	77
IX. Wyższą nad wszystkie jest modlitwa Kościoła. Piękność i potrzeba tej modlitwy. Niedziela	77

ROZDZIAŁ V.

SPOWIEDŹ. — BOSKIE USTANOWIENIE SPOWIEDZI.

I. Aby ustanowić Spowiedź, potrzeba było dwóch rzeczy, sądząc po ludzku, nie do urzeczywistnienia: penitenta i spowiednika	83
II. Do metafizycznej niemożliwości, by Spowiedź ustanowiona była przez kogo innego niż przez Jezusa Chrystusa, dołącza się niemożliwość historyczna	89
III. Prózne usiłowania protestantów, chcących wykazać, że Spowiedź wymyślona została przez ludzi	92
IV. Świadectwa Ojców Kościoła i Doktorów od czasów Lutra i Kalwina, dochodząc aż do Jezusa Chrystusa	95
V. Uroczyste słowa, przez które Jezus Chrystus ustanowił Spowiedź	111
VI. Skrucha i miłość dla Boga nie unikają Spowiedzi	115

ROZDZIAŁ VI.

SPOWIEDŹ (ciąg dalszy). — CUDOWNA BUDOWA SPOWIEDZI.

I. Zasada Spowiedzi; stworzona została, aby wyrwać grzech z duszy	118.
---	------

	Str.
II. Jest cudownie dostosowana do zła, które ma zniszczyć	121
III. Lecząc cudownie rany duszy, odpowiada najsłabiej potrzebom	123
IV. Niesie duszy pociechę i światło. Cecha tego światła	124
V. Wraz z światłem, daje przebaczenie i pokój	127
VI. Wiele dusz protestanckich żałuje Spowiedzi	128

ROZDZIAŁ VII.

SPOWIEDŹ (ciąg dalszy). — CUDOWNA SKUTECZNOŚĆ SPOWIEDZI.

I. Potęga Spowiedzi w powściągnięciu złego	131
II. Potęga ta jeszcze jaśniej występuje w podnoszeniu duchowem i moralnem upadłych dusz	134
III. Wpływ ukryty lecz głęboki na codzienne życie chrześcijan	136
IV. Spowiedź urabia nie tylko chrześcijanina, lecz i kapłana	139
V. Po życiu świętem przygotowuje świętą śmierć	144

ROZDZIAŁ VIII.

ŚWIĘTA EUCHARYSTJA.

PIERWSZE SŁOWA USTANAWIAJĄCE ŚWIĘTĄ EUCHARYSTJĘ.

I. Jasność, ścisłość słów obietnicy	148
II. Jeszcze większa jasność i ścisłość słów ustanowienia	150
III. Po opisie św. Mateusza, św. Marka i św. Łukasza bardzo ważny tekst św. Pawła	152
IV. Cztery powyższe teksty, tak się zgadzające między sobą, nie dopuszczają do żadnej wątpliwości	153
V. Nadzwyczajne wrażenie, jakie wywarły na ludzkość	154
VI. Ludzkość nie tylko uwierzyła w ową tajemnicę, ale żyła nią; spożywając ten nowy pokarm, przeistoczyła się	156

ROZDZIAŁ IX.

ŚWIĘTA EUCHARYSTJA (ciąg dalszy).

DRUGIE TWÓRCZE SŁOWO ŚWIĘTEJ EUCHARYSTJI.

I. Dlaczego Jezus Chrystus dał nam świętą Eucharystję jako pamiątkę. Siła zapomnienia	160
II. Zapominamy nie tylko wielkie wypadki, ale i to, co nam jest najdroższe, znika pomału z pamięci	161
III. Czegośmy nie uczynili, by nadać większą cenę dawanym pamiątkom	163
IV. Jezus Chrystus, dając nam świętą Eucharystję, przeszedł wszystkie nasze marzenia	165

ROZDZIAŁ X.

ŚWIĘTA EUCHARYSTJA (ciąg dalszy).

OLŚNIEWAJĄCE TAJEMNICE RZECZYWISTEJ OBECNOŚCI	
	Str.
I. Ciemności i niezrozumiałości świętej Eucharystji są niezmierne	166
II. Niema w nich jednak niemożliwości lub sprzeczności	168
III. Zapomocą nauki można jednak trochę te ciemności rozświetlić	169
IV. Rozpatrywanie zasłony, pod którą ukryty jest Jezus Chrystus	172
V. W jaki sposób jest Jezus Chrystus pod tą zasłoną	174
VI. Ciemności świętej Eucharystji nie tylko nie są przeszkodą, ale stają się jednym urokiem więcej dla serc miłujących	178
VII. Dla nich zresztą niema już ciemności	179

ROZDZIAŁ XI.

ŚWIĘTA EUCHARYSTJA (ciąg dalszy). — STÓŁ PAŃSKI.

I. Cudowny, Boski pokarm przygotowany dla człowieka	184
II. Jak wzniosłe istoty jesteśmy, skoro takiego pokarmu potrzebujemy	188
III. Jakim sposobem może człowiek wcielić w siebie ów Boski pokarm	189
IV. Jak się dokonywa asymilacja	191
V. <i>Mysterium fidei</i>	192

ROZDZIAŁ XII.

OSTATNIE NAMASZCZENIE. — OPOWIEŚĆ O KAJETANIE.

ROZDZIAŁ XIII.

O WIECZNEJ PRZEZNACZENIU DUSZ. — NIEBO.

I. Niezaprzeczone istnienie Nieba	212
II. Gdzie jest Niebo?	213
III. Kiedy dusza wejdzie do Nieba, aby się cieszyć widzeniem Boga	217
IV. Błogosławione widzenie	219
V. W jaki sposób dusza odzyska swoje ciało	221
VI. Niebo będzie nie tylko oglądaniem Boga, ale i społecznością	222
VII. Posiadanie Boga najwyższym szczęściem Nieba	224

ROZDZIAŁ XIV.

O WIECZNEJ PRZEZNACZENIU DUSZ (ciąg dalszy).

CZYŚCIEC.

I. Dogmat o Czyśćcu zapuszcza korzenie w najgłębsze tajniki ludzkiego sumienia	229
--	-----

II. Godzi się cudownie ze wszystkimi przymiotami Boga	233
III. Modlitwa za zmarłych uzupełnia dogmat o Czyśćcu	235
IV. — Co się dzieje z duszami w Czyśćcu? Ich niezmierne boleści	
— VII. Ich niemniej wielkie radości	236

ROZDZIAŁ XV.

O WIECZNEJ PRZEZNACZENIU DUSZ (ciąg dalszy).

PIEKŁO.

I. Zasadnicza różnica między dobrem a złem wymaga wiecznego Piekła	246
II. Konieczność, by ostatnie słowo pozostało przy Bogu	247
III. Wiara w wiekiiste Piekło jest powszechną	248
IV. Jezus Chrystus nauczał o Piekłe w słowach stanowczych	251
V. Na czym zależy Piekło i jakie są tam cierpienia	254
VI. Pierwszy zarzut przeciwko Piekłu: niema proporcji między chwilowym występkiem a wieczną zań karą	258
VII. Drugi zarzut: nie można pogodzić Piekła z dogmatem o nieskończonej Miłości	261
VIII. Promień miłosierdzia przedostaje się do cierpienia w Piekło	262

ROZDZIAŁ XVI.

O MAŁEJ I WIELKIEJ LICZBIE WYBRANYCH.

KONIEC ŚWIATA.

I. Czy mała, czy wielka będzie liczba zbawionych? Co o tem myśleć w stosunku do całości dzieła Boskiego?	267
II. Co o tem sądzić w stosunku do całej ludzkości?	268
III. Co o tem sądzić w stosunku do Kościoła katolickiego	273
IV. Zdanie O. Fabera co do <i>bardzo wielkiej liczby</i> wybranych w Kościele katolickim	276
V. Kiedy dopełniona zostanie liczba wybranych?	283
VI. Piękność i konieczność sądu ogólnego	285

EPILOG. — KOŚCIÓŁ I PRZYSZŁOŚĆ.

I. Świat się teraz przeistacza. Kościół się tego nie lęka	289
II. Drugi powód, by się Kościół nie obawiał zmian społecznych	292
III. Trzeci jeszcze piękniejszy tegoż powód	294
IV. Szczegółowe roztrząsanie każdego z tych powodów, a najpierw zmiany polityczne	296
Życie chrześcijańskie.	21

	Str.
V. Następnie zmiany naukowe	301
VI. Nakoniec zmiany ekonomiczne i społeczne	306
VII. Owe trzy przewroty stanowią to, co zwiemy zapanowa- niem demokracji. Czem to panowanie grozi Kościołowi i jakie dlań przygotowuje zwycięstwa?	309
VIII. Nietylko przyjaciele Kościoła przepowiadają jego triumf; widzą go też jego wrogowie	312
IX. Ostateczna przyczyna wiekuistego triumfu Kościoła	315

